This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

LIBRARIES

OTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM DRUGI.

PISMA

USZ[illegible] SŁOWACKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1894.

Slav 7123.

Works of
Juliusz Słowacki

vol I Poetical romances. Dramas. 1894
vol II Dramas. Longer Poems 1894
vol III Tragedies. Shorter Poems 1894
vol IV. Longer Poems 1876

Leipsic

Poles

1-2

Slav 125

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM DRUGI.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1894.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

TOM PIERWSZY.

THIS ITEM HAS BEEN MICROFILMED BY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
REFORMATTING SECTION 1994. CONSULT
SUL CATALOG FOR LOCATION.

F. A. BROCKHAUS.

1894.

09 4/2

[illegible] ary

A[illegible] , Ph. D.

[illegible]

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

STACKS
JUN [illegible]

[illegible]

2 - 3

REJECTED

RELEASED
HARVARD COLLEGE LIBRARY

PRZEDMOWA.

Puszczając w świat niniejsze wydanie Pism Juliusza Słowackiego, nie mogę pominąć miłej sposobności objaśnienia powodów tego czynu.

Trzydzieści już temu lat i z górą, kiedy poeta, ożywiony uczuciem natchnienia, chwycił silną prawicą za pióro i począł tworzyć młodocianym umysłem owe zachwytu pełne obrazy, jakie go jednym polotem ponad ziemskie sfery w krainę genjuszów podniosły. — Mimo niezwykłych i aż do śmierci istniejących przeciwności osobistego i ogólnego współbraci losu, mimo niezliczonych zawad materjalnych i fizycznych, pracował on aż do śmierci wytrwale, w raz obranym zawodzie. Z pod pióra jego rosły, niby siłą czarodziejskiej różczki wywołane, jedne nad drugie wyższe twory — było tam coraz więcej ognia, barwy i zachwytu, a wciąż mistycyzm, przez wielu niepojęty, otaczał postać onych cudownem światłem tajemnicy. I można śmiało powiedzieć, że gdyby nie przedwczesna śmierć, która tego wieszcza narodowi zabrała, posiadałby on w nim najbogatszego w liczbę i rozmaitość płodów, autora.

Od zgonu poety dziesięć lat przeszło ubiegło. —

Że zaś prędzej czy później zasługa otrzymuje prawą nagrodę — głos współbraci wyjawia coraz jaśniej i szczytniej Juliuszowi Słowackiemu zasłużoną pochwałę i przy okoliczności braku egzemplarzy pierwszego wydania prac jego, żąda nowego wydania takowych, pod przystępnemi ogółowi okolicznościami. — Zwolennicy gorętsi, osądzają dziś publicznie, śmiało i z ogniem wdzięczności, prace ukochane; a sąd narodu, ocuciwszy się z szału ku

wielkiemu Adamowi, dozwala krytyki, przyjaznej tworom Juliusza. Poznawają wszyscy wartość tego nie całkiem pojętego wieszcza. Uczuwają górny cel w pracach jego; albowiem on w nich bezustannie rozdziera przyschłe blizny kraju, ocucając przez to miłość ojczyzny i przypominając: czem Polacy byli, czem są, a czem być powinni!

Jestem więc pewien, iż w sam czas odnawiam pamięci narodu i ułatwiam posiadanie «Pism Juliusza Słowackiego.» Mając głównie dobro ogółu na celu, zamknąłem szesnaście istniejących tomików paryskiego wydania, w czterech tomach niniejszej objętości, przez co niezwykle wysoka cena prawie sześć razy się pomniejszyła. —

Spodziewam się zatem, że niniejsze «Pisma Juliusza Słowackiego», czyli dalszy ciąg «Biblioteki pisarzy polskich» z równąż radością widzieć przyjętemi, jak «Poezje Stefana Garczyńskiego» które przed kilku miesiącami wydałem. —

Lipsk, 1860-go roku.

WYDAWCA.

SPIS RZECZY.

Strona

Żmija, romans poetyczny ... 3
Objaśnienia do poematu Żmija ... 55
Jan Bielecki, powieść narodowa ... 57
Hugo, powieść Krzyżacka ... 75
Do Michała Rola Skibickiego ... 85
Mnich, powieść wschodnia ... 89
Arab » » ... 101
Mindowe, obraz historyczny w pięciu aktach ... 111
Uwaga autora do czytelnika ... 171
Marja Stuart, dramat historyczny w pięciu aktach ... 175
Przedmowa autora do pierwszego wydania w roku 1833, tomu trzeciego poezji ... 249
Lambro, powstańca grecki. Powieść poetyczna ... 251
Przypisy do poematu Lambro ... 299
Poezje ulotne:
Hymn ... 303
Kulig ... 304
Pieśn legionu litewskiego ... 308
Duma o Wacławie Rzewuskim ... 310
Paryż ... 314
Godzina myśli ... 317

POWIEŚCI

POETYCZNE.

For thee, who thus in too protracted song
Hast soothed thine idleness with inglorious lays,
Soon shall thy voice be lost amid the throng
Of louder minstrels in these later days:
To such resign the strife for fading bays —
Ill may such contest now the spirit move
Which heeds nor keen reproach nor partial praise;
Since cold each kinder heart that might approve,
And none are left to please when none are left to love.

BYRON.

ŻMIJA.

ROMANS POETYCZNY
Z PODAŃ UKRAIŃSKICH,

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PIEŚŃ I.
SUMAK.

Piękny to widok Czertomeliku!
Sto wysp przerżnęły Dniepru strumienie,
Brzozą się kąpie w każdym strumyku,
Słychać szum trzciny, słowika pienie.
A kiedy wiosną wezbrane wody
Zaleją wszystkie wyspy do koła,
Jeszcze nad wodą widać drzew czoła —
Jakby rusałek cudne ogrody,
Gałąską mącą wodne błękity.
I jeszcze słowik w gałąskach śpiewa,
I szumią brzozy, lecz nad ich szczyty
Wznosi się fala i nikną drzewa —
Dziko Dniepr szumi, gdy w jego łonie
Sto wysp zielonych wiosną zatonie.

Piękny to widok stu wysep pana!
Woda mu ziemię z pod stóp wykradła:
Zamek się patrzy w fali zwierciadła,
Co mu przy stopach szumi wezbrana.

A gdy nań patrzysz, dziwnym pozorem
Rzekłbyś, że zamek wstecz rzeki płynie.
Cegła koralów świeci kolorem,
Lekkie filary podobne trzcinie.
Kilka ogromnych paszcz samostrzału
Patrzy strzelnicą na czarne morze:
A górą zamku okna z kryształu,
Świecą się, palą, jak ranne zorze;
I tysiąc barwy w każdym promyku,
Co się z tych okien nazad odkradnie.
W zamku Pan mieszka Czertomeliku,
Dumny Ataman, co Siczą władnie.
Lecz czy sam mieszka? Któż to odgadnie?
Nikt nie był w zamku; mówią że czary
Mieszkają w gmachu, że dłoń zaklęta
Nadludzką sztuką wzniosła filary.
Lecz kiedy wzniosła? Nikt nie pamięta. —

Nie jeden rybak wieczorną dobą,
W Czertomeliku płynąc ostrowy;
Słyszał przed sobą, słyszał za sobą,
Śpiew słodszy, milszy, niż szum dnieprowy.
A rybak milczał, płynął pomału,
Kiedy wieczorne zorze zapadły;
Widział jak w zamku okna z kryształu
To się paliły, to znowu bladły;
A z okien blaskiem konały pieśni.
Znów cicho — głucho — a rybak stary
Żegnał się drżący — to czary — czary!
Wszak rybak czuwa? Wszak rybak nie śni?!

Już to noc trzecia, gdy gasną zorze,
Błyska na zamku ogień jaskrawy —
Ho! to kaganiec, to znak wyprawy:
Popłyną czajki na czarne morze.
Kozaków obóz zalega brzegi,
Pośród czaharów spisa połyska;
A ponad Dnieprem w długie szeregi,
Gęsto strażnicze płoną ogniska.

Tam na mogiłę wstąpił wysoką
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły —
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?
O śpijcie! śpijcie! Przeszła wam pora,
I wyście żyli — tu w Ukrainie,
I wyście żyli — to było wczora —!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
Pocóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! To było wczora.

Płyńmy więc! płyńmy w Natolskie grody,
Burzyć pałace, rąbać fontanny —
Żelazem niszczyć Turków narody,
I porwać obraz Najświętszej Panny,
Obraz, co płacze rzewnemi łzami;
A gdy go człowiek w fali zanurzy,
Morze gniewliwie bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy —
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż wrogów statki w falach pochłonie.

Lecz gdzież jest Hetman? W rannej godzinie
Wyszedł i w stepach błądzi od rana.
Oto przy brzegu czajka hetmana,
Powiewnym żaglem bieli się w trzcinie,
I w koło gwarzy zgraja zebrana:
Wszak nam na drogę brak na zwierzynie;
Idźmy na łowy! idźmy na łowy!
Lecz gdzie nasz Żmija, hetman Niżowy?

Ty śpisz, sumaku! Ty śpisz, sumaku!
Między błyszczące rosą czahary;
A tutaj strzelce w stepach Budziaku,
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
Bo milcząc strzelce idą na łowy.
I coraz ciszej,
Między parowy,
Pomiędzy trawy,
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy
Pozłaca niebo na wschodzie.

O, jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje!
Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje —
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni —
Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną;
I polne róże
Powstają z rosy perłami. —

I cicho łowce szli manowcami.
Trzymaj myśliwcze ptaka na dłoni,
Zakryj mu oczy złotym kapturem;
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
Niech się nie trzepie, w dzwonki nie dzwoni;
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.
Sokoł się chmurzy,
I ociemniony

Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

Tam szelest jakiś! Czy to zwierz ruszył?
To nadto wcześnie! to nadto skoro!
O! nie, to lekki chart tam na smyczy,
Niechętny więzom, piszczy, skowyczy —
Skarć łowcze charta ręką i sforą.
Pierwej wyśledzić sumaka tropy,
Potem go gończe podniosą głosem,
A potem charty. — I chart karcony
Przypadł do stopy;
Okryty wrzosem,
Kwiatem zroszony,
Ciągnie się smutny na sforze.

Wysłać strzelców na rozdroże,
Gdzie się kończy ta dolina;
Tam Kozacy wielkim kołem
Stójcie cicho — a drużyna
Niech tam idzie drogą, dołem,
Niechaj tonie w trawy, zioła — —
W tej dolinie sumak leży.
Gdy starszy strzelec zawoła,
Niech służba w trąby uderzy.

Dane rozkazy, i dzikie jary
Otoczył Kozak, tonie w czahary.
W krzakach się kryją ponure czoła,
I cicho, jakby ludzi nie było!
Jakby się tylko o łowach śniło!
Wiatr wieje w kniei i szumią zioła —
Zniknęły zbroje, łuki, oszczepy;
Świat płonie ogniem umalowany,
I słońce wstaje nad martwe stepy.
Oblane złotem świtu burzany,

Ognistej barwy kwiatem się palą,
I gną się z wiatrem: fala za falą
Przebiega stepy milczące.

Cicho — — Wtem trąby zagrały grzmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity,
Z brzękiem surm, kotłów, okrzyk wesoły;
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
I psy spuszczone jęczą i gonią.
Czekają łowce: wśród strasznej wrzawy
Patrzą na niwy złocone świtem,
I oto śmiga,
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga,
I przez zagony
Przed szybką smyczą,
Sadzi przez doły:
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.
I jeden sokoł już zleciał nisko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił.
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
Jaż go dościgał — już blisko — blisko —
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę — wpadł na oszczepy.
Drgnął tylko — upadł — a tłum wesoły
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć co tylko żyje
Pomiędzy trawy. — Lecą sokoły,
Krążą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
Ogary znowu jęczą i gonią.
Czekają łowce — — Wśród kwiatów fali
Znów coś mignęło? — To sumak nowy? —

O nie! To Tatar miga od stali,
Jak wiatr stepowy,
Jak wąż, piersiami
Trawy rozcina,
Między kwiatami
Złotem połyska,
I łuk napina,
I strzały ciska,
rohatyny kolczate miota.

Dziwi Kozaków ta zbroja złota,
Musi to jakiś być wódz Tatarów? —
Puścić ogary! — Jeden z ogarów
Już go dościga — ha! zobaczycie!
Ogar to stary, dobrze się sprawi,
Wskoczy na piersi — i w strasznej męce
Wydrze mu życie,
Zgniecie, zadławi. —
Już go doścignął — rzecz niespodziana!
Skacze na piersi, liże mu ręce,
U stóp się kładzie — wyje, skowyczy:
Wszak to jest ogar — ogar hetmana!
Pierwszy z ogarów! tak sławny w siczy!
Nieraz Tatara wytropił w jarze,
A dzisiaj znalazł pana w Tatarze.

Wróciła nazad psiarnia zagnana,
A Tatar leci i trawy łamie.
Patrzcie! — i sokół siadł mu na ramię. —
O dziwy! dziwy! sokół hetmana!
Siadł na ramieniu, nastrzępia, pióra,
Zda się że skrzydłem nagli go w biegu.
W łowców szeregu
Okrzyk do koła;
Strzał lekkich chmura
Ściga Tatara!
I jedna w piersi trafia ogara,
Druga pod skrzydło trafia sokoła,

Trzecia Tatara w czoło drasnęła.
Czy krew płynęła? — czy łza płynęła?
Nie można wiedzieć — stanął — zakrywa —
Oczy zalane czy krwią, czy łzami.
Z piersi ogara obróżę zrywa,
Z szyi sokoła pierścień z dzwonkami.
I znów przez stepy,
Wprost na oszczepy,
Leci w zasiane wrogiem parowy,
Tam go wstrzymają? — Nie, nie wstrzymali!
Daleko zdradne prześcignął łowy,
I zniknął w burzanów fali. —

Nie — to nie było senne widziadło;
Bo tam, gdzie przebiegł, pośród wądołów
Bez życia sześciu Kozaków padło,
I sześć ogarów — i sześć sokołów.

PIEŚŃ II.

PŁACZKA.

Z tententem konia leci przez wrzosy:
To pan nasz, Żmija, hetman na Niżu.
Bielą się wzbite tumany rosy,
Z pod kopyt konia spłoszone wrony
Stadem się wzbiły, siadły na krzyżu.
W burzanie miga kołpak czerwony,
Stalowa zbroja miga w burzanie:
— «Witaj Hetmanie! witaj Hetmanie!» —

— «Zdrowia drużyno — co słychać w Siczy?
Czy szumią żagle — czajka gotowa?
Czy nam złą wróżbę wrona nie krzyczy?
Czy zawsze nasza fala dnieprowa,

Tak jak płynęła, płynie do morza?
Ha! tak? to dobrze. — Nim błyśnie zorza,
Być w pogotowiu. — Teraz niech czara
Zaszumi miodem — pieśń grzmi wesoła. —
Lecz gdzie mój ogar? Puścić ogara!
Gdzie jest mój sokół? — Puścić sokoła.»

Stróż psów hetmańskich, ptasznik hetmana,
Dzieci nieletnie, wyszli z drużyny;
Pobladli oba uczuciem winy,
I wyczytali gniew w oczach pana.
Potem rzekł starszy: «Nieszczęsne łowy!
Na nasze łowy ktoś rzucił czary.
Gdzie niegdyś leżał sumak stepowy,
Dzisiaj okryte zbroją Tatary,
Trudzili charty i skrzydła ptaków.
Od strzał kozackich sześciu Kozaków
Pośród stepowych padło wądołów.
I sześć ogarów — i sześć sokołów.
Tatar ci zabił psa i sokoła.»
— «Kłamstwo! to kłamstwo!» — hetman zawoła,
«Gdy w polach jęczą wasze cięciwy,
Smycz moja pada, a Tatar żywy? —
Umiem wybadać prawdę za mgłami
Uwitą w słowa krzywoprzysiężne.
Znacie tę obróż? Pierścień z dzwonkami?
Śmiercią wam biją dzwonki mosiężne.»
Snać że obróżę charta poznali,
Pieśń śmierci w głosie dzwonków odgadli:
Oba zadrżeli, oba pobladli,
Łza im błękitne oczy krysztali.

— «Parę kłamliwą, co razem wzrosła»,
Rzek srogo Żmija, «polecić Bogu,
Wsadzić do czajki, w czajce bez wiosła,
Niech z Dnieprowego spływają progu.» —

Już odszedł hetman. — Powstały gwary:
Skądże wie Żmija o naszych łowach?

Czy mu przynieśli pierścień Tatary?
Czy gdzie ukryty sam był w parowach? —
W różnych domysłach zabrzmiały struny.
Jako żurawi nuta wędrowna,
Pieśń przez srebrzyste płynie piołuny,
Mięsza się z echem — dzika, czarowna,
Bo kiedyż Kozak o czarach nie śni?
Może domysły rozkwitną z pieśni? —

POWIEŚĆ KOZACKA.

RUSAŁKA.

Nad mogiłą w mgłach wysoko!
Krąży sokół, siadł na krzyżu.
Pod tym grobem śpi głęboko,
Niegdyś Hetman, pan na Niżu.

Jeszcze sława Zaporoża,
Jako miesiąc blady, nowy,
Nie przebyła w czajkach morza,
Nie wzleciała nad ostrowy.

Na ostrowach rosły głogi,
I samotna róża bladła.
Zapienione skalne progi
Mgliły błękit wód zwierciadła.

Przy Rusałce, wysp Hetmana
Widać było w blask miesiąca.
Jego luba z mgły uwiana,
Z mgły dnieprowej, zimna, drżąca.

Choć mroziła mglistą dłonią,
Zapalała czarnem okiem —
«Luby! — rzekła — tam się płonią
Polne róże nad potokiem.

«Dzwonki barwą lśnią błękitną:
Uschną dzwonki na pokosach,
Lecz z różami, gdy przekwitną,
Rozkwitają w moich włosach.'

«Duchem zmarłych na tym świecie
Żyję, kwitnę jak mogiła.
Cóż po łąkach? Cóż po świecie?
Niechaj uschną — bym ja żyła —»

— »Czarna duszo! precz odemnie,
Już miłości nie ocucę.» —
— «Wyrzekasz się? Lecz daremnie!
Znów zawołasz, znów powrócę.» —

Rusałka się w mgle rozpływa.
Nocą blady miesiąc świeci,
I po łodziach lśnią łuczywa,
I do Dniepru toną sieci —

Hetman smutny i ponury!
Płynie zwolna łódź Hetmana.
Przed nią postać z mglistej chmury,
Płomieniami malowana.

Taka piękna, po nad falą,
Gdy się o nią blask roztrąca:
Wpół się ogniem lica palą,
W pół się srebrzą w blask miesiąca.

W zachwyceniu, nieprzytomnie,
Choć to może duszy zguba
Hetman woła: Chodź tu do mnie!
Chodź tu do mnie, moja luba!» —

Odtąd zawsze, zawsze razem.
Hetman w więzy lgnął widziadła,
Choć jej dusza zimnym głazem,
Na twarz różne barwy kładła.

Zawsze piękna — z polnych głogów
Róże, złote włosy wieńczą —
I kradzioną z nad porogów,
Mgliste szaty złoci tęczą.

Gdzie zarastał gaj odludny,
Jednem słowem — jednym rankiem,
Wzniosła z wyspy zamek cudny,
I obwiodła złotym gankiem —

Z koralowej zamek cegły.
Wieża druga, trzecia, czwarta,
Na skinienie w niebo biegły:
Lud go nazwał zamkiem czarta.[1]

W zamku, jak kładzione kosą,
Powiązała róż szkarłaty:
Brylantami jakby rosą,
Poiskrzyła jasne kwiaty.

Hetman patrzał na kobierce,
Okiem blask brylantów ścigał:
Ciągle patrzał — stygło serce;
Dla Rusałki już ostygał. —

Ta choć zimna pod obłokiem,
Zimne serce wnet odgadła;
Szybko, szybko czarnem okiem
Brylantowe blaski kradła.

[1] Czertomelik.

Kwiaty brała do warkoczy.
Hetman spojrzał, wzrokiem tonął,
Nad brylanty skrzą jej oczy!
I znów kochał — i znów płonął. —

— «Luba! ty masz blask anioła —»
— «Więc mi nagródź, jeślim warta?
Daj sokoła — daj mi charta,
Zabij charta i sokoła.» —

— «Czarna duszo — precz odemnie!
Sercem się z szatanem kłócę.» —
— «Znów zawołasz? Lecz daremnie!
Przyjdziesz do mnie — ja nie wrócę —»

Odpłynęła. — Hetman kroczy
Zamyślony po komnatach. —
«Co! nie wróci? — A jej oczy
Takie cudne, włosy w kwiatach —»

Myślał. — Z oczu łzy ogromne,
Po niemęskiej płyną twarzy.
Rzekł do siebie. — «Już nie wspomnę!»
Nie wspomina, ale marzy. —

«Nad zamglone chmur błękity,
Oto miesiąc już się płoni;
Już mój sokół, chart zabity,
A jej nie ma? — Pójdę do niej —»

Jakże miłe tchnienie wiosny,
I woń fali świeża, chłodna?
Nad porogiem czarne sosny
Szronem bieli mgła nadwodna.

Pod skałami ciągłe burze,
Łamią w falach blask księżyca;
Nad falami w mglistej chmurze,
W blasku srebrnych tęcz dziewica.

Przy jej stopach chart bladawy,
Niespokojny i ponury;
Na ramieniu sokół mgławy,
Nastrzępiony, patrzy w chmury.

— «Jakżeś piękna! — hetman woła —
«Któż ci może ujść bezkarny!
Chodź tu luba — spłosz sokoła,
Chart niech leci gonić sarny.

«Tu pod moich ust płomieniem,
Twe się blade mgły rozpłonią.
Jak tu miło — pod sosn cieniem!»
Prosi — błaga — okiem — dłonią.

Lecz dłoń jego, ciężka wina!
Czy przypadkiem, czy po myśli,
Na krzyż srebrną mgłę rozcina,
Znak zbawienia święty kreśli:

Przed krzyżem się mgły rozpierzchły,
Jak złamane wód błękity;
I Rusałki rysy zmierzchły,
Obraz zniknął w mgłach rozbity — —

Znikła — słychać tylko burze
W głębi Dniepru — i szum piasków
Lecz mgła spływa, spływa w chmurze
Zabłąkanych kilka blasków.

I rozbite mgły zwierciadła,
Wiatr przybliża, zmniejsza, zmniejsza —
Lśni Rusałka, lecz pobladła,
I pobladła — i smutniejsza —

Potem rzekła: «O mój miły!
Żegnam ciebie, ginę — ginę,
Jak mnie z wiatrem mgły rozbiły,
Tak w uściskach się rozpłynę.

«Prosisz, błagasz nadaremno,
Próżno czekasz na tej skale.
Lecz chodź ze mną! lecz chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale.

«Mgły tu zimne, ale jasne;
Gdy i ciebie mgła okryje,
Patrz, mój luby — teraz gasnę,
W twych uściskach znów ożyję.

«Sokół żywy, chart twój żywy.
Z tobą razem jak z sokołem,
Pójdę błądzić nad te niwy,
Nad dymiących chat padołem!

«Pójdę z tobą — tak w mgłę ciemną
Osłoniona, jak w kryształe.
O, chodź ze mną! O, chodź ze mną!
Droga do mnie przez te fale.»

Hetman kochał — obłąkany,
Hetman kochał — ogniem płonął;
Z progu spojrzał w Dniepru piany,
Padł do fali — i zatonął.

Gdy go skryły burz odmęty,
Potrzaskały w proch granity;
Duszę zbawił obraz święty:
Krzyż na piersiach miał wyryty.

Od grzechowej zmazy czysty,
Już ulata w nieba stropy;
Za nim wzleciał sokół mglisty,
Chart Rusałki rzucił stopy.

A Rusałka nad ostrowy
Sama jedna — we łzach woła:
Kiedyż: kiedyż Hetman nowy
Da mi serce, psa, sokoła? —

Pieśń kona z echem — i wnet jałowe,
Dzikie domysły urosły w gminie:
Więc hetman kocha fali królowę?
Na oślep leci w przepaść i ginie?
Zawsze samotny — zawsze nie z nami;
Gdzieś na smętarzach, nad mogiłami.

Ciszej! tam zachód krwawy, ponury,
Ozłocił stepy, jary i chmury:
Zagasa słońce — słychać jak z dala
O brzegi bije spieniona fala.
Ciszej! — tu smutne mogił wybrzeże.
Oto ostatnie zachodu blaski
Złocą wichrami burzone piaski;
Złocą trzech cerkwi posępne wieże,
Co nad brzeg Dniepru wybiegły stromy,
I tysiąc grobów, gdzie przez wyłomy
Posępne trumien wieka świeciły.
O, dzika Siczy! twoje mogiły
Z piasku uwiane, a grób tak kruchy,
Gdy pod przechodnia zapadnie nogą:
Potem w mgłach srebrnych płynące duchy
Wczorajszych mogił znaleźć nie mogą.

Tam białą postać słońce oświeca.
Łatwo z wybladłej odgadnąć twarzy,
Że to posępna mogił dziewica,
Że to siczowych płaczka wyspiarzy.
Stała na wieku spróchniałej truny,
A wiatr jej czarne unosił włosy,
I wzruszał wianku srebrne piołuny,
I róże wianku, lśniące od rosy.
Mówią, że niegdyś płaczka ta miała
Czoło wesołe, lica różane;
Lecz przymuszona płakać, płakała —
I dzisiaj zmysły ma obłąkane
Zmyślonym płaczem i we łzach oczy.

To hetman Żmija na smętarz kroczy.
Stanął na grobie, rzekł: «Witaj Xeni!
Witaj o sławna płaczko pogrzebu!
Ty nas modlitwą polecasz niebu —
Przez ciebie pieśnią w grobie uśpieni,
Sen mamy cichy, gdy zbroja rdzawa
Zimną się rosą ziemi napawa.
Straciłem dzisiaj ptaka i charta,
Wierni mi byli — i tem boleśniej;
Jeżeli zgraja twych pieśni warta,
Chart mój i sokół wart także pieśni!
Śpiewaj nad niemi.» — «Bluźnisz, mój miły!
A ja do takich próśb się nie zniżę.
Czujesz to zimne tchnienie mogiły?
Słyszysz! jak skrzypią spróchniałe krzyże?
Jak z dzikim wrzaskiem rybitwa biała
Po nad błękitną falą się wiesza?
Pieśń moja smutna — gdybym śpiewała,
Wszystkie te dzikie głosy pomiesza.
Ciszej —!» Lecz Hetman nie słuchał mowy,
Wzrok miał ponury. — Pomiędzy trzciny
Lśni Dniepru fala i próg dnieprowy.
Wśród skał posępnych fale się zwarły,
Na skałach dzikie rosły kaliny,

I mech czerwony i sosny karły.
Na progi czajka z falami leci,
I już zawisła po nad urwiska,
A w czajce dwoje płynęło dzieci;
Łódka z pianami w głazy się wciska,
A pod nią otchłań pieni się, burzy —
Te dzieci połkną dnieprowe fale!
Młodsze chwyciło za kwiecie róży,
Co się po nagiej zwieszała skale;
I padło w przepaść z gałęską kwiatu.
Starsze po sosnach pnie się na głazy,
Napróżno ręce podaje bratu,
Słyszy huk fali i obłąkane,
Mając na ustach modlitw wyrazy,
Rzuca się z krzykiem w przepaść i pianę. —

I nic nie wyszło z fal tajemnicy,
Nic z głębokiego serca Hetmana.
Dłoń swoją oddał w ręce dziewicy:
Ta zachmurzona i pomięszana,
Wiodła go w cerkiew. W cerkwi tak ciemno,
Posrebrza szyby księżyc na nowiu;
Serce przenika trwogą tajemną,
Szyba brzęcząca w ramach z ołowiu;
I przez otwarte dachu szczeliny
Wglądały z kwiatem drżące kaliny.
«Xeni!» rzekł Hetman, «co to się znaczy?
Słyszę jęk smutny i płacze rzewne:
Czy to jest nocne pienie puhaczy?
Czy ty chorągwie wzruszasz cerkiewne,
Że się bez wiatru smutnie kołyszą?»

— «Luby! chorągwie spokojnie wiszą,
Może je wzrusza tchnienie mogiły.
Czego się lękasz — czego? mój miły!
Chodź za mną.» Zdjęła lampę z ołtarza:
Weszli w podziemnych lochów zakręty.
O! jak tu głucha cisza przeraża,

Tu połamane Turków okręty;
W spróchniałych deskach, w zbroje przybrani,
Leżą do koła śpiący hetmani.
A jako kazał obyczaj grecki:
Każdy miał w ręku święte obrazy
Na nich tajemne modlitw wyrazy —
Usta przymknięte, w nich piastr turecki.
Xeni do małej zbliża się trumy;
I strasznie drżała ręka dziewicy,
Gdy podnosiła czarne całuny,
Splamione gęsto łzami gromnicy.
O, nieba! dziecię pod całunami,
Piękne i żywe. — Xeni pobladła,
I przed hetmanem zalana łzami,
Klasnęła w dłonie — do nóg upadła.
«Mój luby», rzekła, «to dziecię — dziecię
Teraz się w ciemnych grobach ukrywa.
Luby! niech pop nas połączy skrycie,
Pop moim ojcem. — Ja nieszczęśliwa!
Łzy moje płyną na wzgardę światu.
Gdy plotę z polnej róży zawoje,
Wnet drżące liście padają z kwiatu.
Wszystko usycha, wszystko — co moje!
Świat mi szyderczym śmiechem przygania.
Zlituj się, luby —!» Lecz próżne słowa.
Już wyszedł hetman — śmiech obłąkania
Połknęła w ziemi cisza grobowa.

PIEŚŃ III.

POŻARY.

PIEŚŃ ODPŁYWAJĄCYCH.

I.

«Ho! daleko Czarne morze,
Gdzie się czajki kąpią w pianach;
Palmy zamki na Bosforze,
Jako trzciny na limanach.
Piękny to pożar łąk, oczeretów,
Lecz jakże płonie wspaniale
Wielki las masztów, las minaretów!
Szumcie czajki! szumcie fale!
Ho! Kozak panem
Błękitnej fali,
Urra ho! dalej! — urra ho! dalej! —
Z naszym hetmanem
Urra ho! dalej! —

II.

«Nasza czajka szybka, zwrotna,
Choć nie błyszczy w malowidłach;
Jak jaskółka, czarna, lotna,
Na sitowia leci skrzydłach;
Pięćdziesiąt wioseł w biegu ją nagli:
Dla Turków niesie podarek,
Dwa dział ze śpiżu i sto janczarek;
Z szumem wioseł — z szumem żagli.
Ho! Kozak panem

i t. d.

III.

«Lećcie z nami morskie wrony;
Gdzie południa świeci gwiazda:
Lećcie z nami — wam na gniazda
Damy turban zakrwawiony.
Za nami wrony! za czajek śladem!
Dla was co pożar ocali;
Łachmany żaglów, zaszumcie stadem,
Z szumem wioseł — z szumem fali.
Ho! Kozak panem
i t. d.

IV.

«Jak wesoło czajki płyną:
Piękny widok przy pogodzie,
Gdy chorągwie się rozwiną,
Gdy obwieją nasze łodzie —
Mijamy smętarz, nasze mogiły,
A tam nas żaden nie słyszy?
Sen ich szanujmy — sen słodki, miły,
Żagla ciszej! wiosła ciszej!
Ho! Kozak panem
i t. d.

V.

«Zmarłych uśpi blask miesiąca,
I szum brzozy, pieśń ołtarzy;
Równie smutna, dzika, drżąca,
Jak zbłąkanych pieśń wioślarzy —
Chaty, mogiły, znikają nagle.
Zaszumcie! zaszumcie wiosła!
Bodaj nas do nich fala odniosła.
Szumcie czajki — szumcie żagle.
Ho! Kozak panem
i t. d.

VI.

«Pieśń dziś smutna, czajka pusta,
Lecz powrócą pełne łodzie.
Tym, co zginą, włożym w usta
Piastr wybity w Carogrodzie.
Pacierze za nich, a potem wina,
Wina w Weneckim kryształe:
Za pamięć druhów pije drużyna.
Szumcie czajki, szumcie fale.
Ho! Kozak panem
Błękitnej fali —
Urra ho! dalej! Urra ho! dalej!
Z naszym Hetmanem
Urra ho! dalej!» —

Tak dziką pieśnią, przy wiosł pracy,
Chaty żegnali — a przed chatami
Na brzegu stali tłumem rybacy,
Starce siczowi, zalani łzami.
Jeszcze niekiedy nuta wędrowna
Od zabłąkanych powraca czajek —
O! pieśni dzika, pieśni czarowna,
Zmięszana z dźwiękiem wiosł i grajek,
Upływaj z echem, jak upłynęła
Młodość — —! Tak rybak marzy i wzdycha;
Wrócił ponury, milczał — sieć cicha
W błękitne fale Dniepru tonęła. —

Niech wolniej pieśń płynie, na moim torbanie
Strun braknie. — Któż wyda kozackie pożogi?
Huk ognia, trzask domów, co lecą w otchłanie! —
Rwę struny torbanu i ręka drży, z trwogi
Śpiewając, sam jestem jak Turek wybladły,
Choć widzę ogniska płonące po chatach!
Zatrważa mię każdy liść z drzewa opadły,
I szelest sumaka, co śmiga po kwiatach —

Jak ciche, błękitne przystanie Synopy!
W około na palach podnosi się szaniec,
A fala błękitna konała u stopy
Latarni portowej, gdzie w nocy kaganiec
Oświecał dalekie błękitu odmęty.
Dla kupca, dla majtka, to widok jedyny,
Te mnogie przy groblach uśpione okręty,
Gdzie siatkom podobne krzyżują się liny,
I bielą się żagle — ze strzelnic galery
Wygląda blask spiżu, gdzie drzemie grom bitwy;
Na masztach różnego koloru bandery,
Tak lekkie, krajane, jak skrzydła rybitwy.
Gdy niebo i morze nie łączą się mgłami,
Ciekawe wejrzenie ż wież puszcza się szczytu,
I ściga okręty z białemi żaglami,
Co zdają się płynąć do nieba błękitu.

Dziś tłumem się grobla napełnia portowa,
I fala spieniona od huku zadrżała.
Poznali huk Turcy — to mnogie grzmią działa:
«Lecz w której to stronie? — Od stron Oczakowa.
To może znać dają galery Sułtana,
Ażeby strzedz portów od hord Zaporoża.
Ha! cóż nam te czajki? Nam trwoga nieznana,
Sam huk je dział naszych zatopi do morza.»
Tak Turcy mówili. — Lecz kiedy po fali
Noc ciemna posępne rozciąga całuny,
Na czarnych niebiosach błysnęły dwie łuny —
To płonie Białogród — Trebizont się pali.
Noc była ponura, a łuna szeroka
Pozłaca księżyce i szczyt minaretów.
Otwarto żelazne podwoje meczetów,
Przy lampach lud wzywa modlitwą Proroka;
A potem ufając w przeznaczeń wyroki,
Skończywszy modlitwy, lud wrócił do domów.
I wszystkich w haremach sen ujął głęboki:
Obudzą się może wśród ognia i gromów. —

Gdy Ulem meczetu zamykał podwoje,
Nie postrzegł zapewne, lampami olśniony
Że Turek posępny, ubrany we zbroje,
Stał między filary jak gdyby uśpiony,
I ani się ocknął — choć słyszał ponury
Jęk rdzawych zawiasów i ryglów łoskoty,
I widział po ścianach, jak łuny blask złoty
Oświecał żyłami krwawione marmury.

W haremie nie widać że niebo się pali,
Bo mury wysokie, krzew gęsty i drzewa.
Dziewice w złocistej zebrały się sali,
Gdzie płoną pochodnie, róż tchnienie przewiewa.
Jak szczere tam śmiechy, jak miłe zabawy!
Bo Basza daleko — na czterech fregatach,
Na czarne gdzieś morze przedsięwziął wyprawy.
Eunuchy w odległych usnęli komnatach.

Dziewice obsiadły sadzawki, gdzie z głazu
Tryskają fontanny, lamp ogniem iskrzone;
Z westchnieniem widomem przez gazy zasłonę,
Słuchają miłośnych gazałów Szirazu.
Ta żądzy tajemnej kraszona rumieńcem,
Choć przyszłość zna swoją — a jednak ciekawa,
Dziecinnie się śmieje, gdy w dłoni jej trawa
Węzłami spojona, rozwija się wieńcem.
Ta smutna, kwiat róży po listku obrywa —
Liść każdy opadły ma tajne znaczenie,
Ostatni liść róży jej przyszłość odkrywa:
Zerwała ostatni i słychać westchnienie —
I długo dumała nad kwiatem opadłym,
Ze łzami na twarzy i z czołem pobladłem.
Ta kwiaty obrywa, ta patrzy jak kwitną:
Ta chroniąc płeć dłoni od wiosny upału,
Podrzuca na dłoni dwie kule z kryształu,
Lub płoszy wachlarzem mgłę kadzidł błękitną.

Zulema szukając zaciszy i chłodu,
Usiadła samotna na złotem wezgłowiu;

I okno otwarła na kwiaty ogrodu.
Noc była tak ciemna — bo księżyc na nowiu
Cieniami pokrywał fontanny i drzewa;
I tylko przez okna barwione i kraty
Od sali się światło złociste wylewa,
Na drżące pod oknem z kwiatami granaty.
Na niebo zamglone patrzyła dziewica,
A myśl jej igrała z ciemnością i mgłami.
Czy sen to? — Przy blasku niepewnym księżyca
Widziała minaret pomiędzy drzewami:
Na szczycie z ołowiu, jak światło poranku,
Mignęły płomienie, niepewne jak zorze!
Ukazał się rycerz na wieży krużganku,
W turbanie na głowie, w tureckim ubiorze.
Spojrzała dziewica, westchnęła boleśnie,
I oczy odwraca, zapomnieć by chciała,
Bó tego rycerza widziała gdzieś we śnie.
Znów patrzy — o nieba! tatarska to strzała
Puszczona pod chmury ze skrzydłem płomiennem,
Wróciła na wieżę i zgasła na szczycie.
To może w jej oku zroszonem i sennem
Lśni gwiazda przelotna po niebios błękicie?

Lecz skądże się nagle szczyt nieba rumieni?
W około płomienne rozlały się blaski,
I słychać z daleka trzask głuchy płomieni,
I słychać jęk ludu, gwar dziki i wrzaski,
I straszny szczęk broni i grzmienie janczarek.
Na wieży krużganku znów nowe zjawiska,
Od króla polskiego kosztowny podarek,
Złocona chorągiew hetmańska połyska.
Gdy miasto w płomieni okryło się wianku —
Chorągiew dla Turków to całun grobowy;
A przy niej stał Kozak na wieży krużganku,
Żelazem błyszczący od stóp aż do głowy.

W światłości czerwonej haremu ogrody,
Odkryły się kręte gaików zaryśy,

I ciche kanałów złociły się wody:
Po wodach cień smutne rzucały cyprysy.
Fontanny jak ze snu zbudzone pożarem,
Tryskają pod niebo złotemi słupami — —
Wieść straszna, wieść śmierci, przebiega przez harem.
Rzezańce wzruszeni rozpaczą i łzami,
Prowadzą dziewice po jasnym ogrodzie,
Nad kanał, w około drzewami zarosły —
Tam róże haremu usiadły na łodzie,
A wiosła je szybko od brzegu odniosły.

Czy mamże powiadać, jak czajka w haremy
Przez kraty skruszone na kanał wybiegła?
I krzyki żon Baszy — i radość Zulemy,
Gdy z wieży rycerza przed sobą spostrzegła?
Ta postać, wpół żaglem na czajce owiana,
Znajoma Zulemie — — Nie zdradzę tu w pieniach
Tajemnic ukrytych w nieśmiałych westchnieniach,
I w oczach Zulemy i w oczach Hetmana — —
— — — — — — — — — — — — —

«Skorzej żeglarze! skorzej! Czas nagli,
Księżyc jaśniejszy i dłuższa zorza.
Może nam wicher uciec z pod żagli,
Może nas cisza przykuć do morza;
A ciężko będzie po martwej fali,
Tłuc się wiosłami i bladnąć z głodu!

«Cóż to za gwiazda we mgle się pali?
Ho! to latarnia z wież Carogrodu.
Dalej za światłem! dalej! i dalej!
Jak trzej magowie za gwiazdą wschodu,
Jak trzej magowie za gwiazdy lotem,
Lećmy po złoto, choć nie ze złotem. —

«Ho! ho! ostrożnie. — Czajka na czatach
Niech daje baczność, z dala i z bliska —
Szczęśliwi oni w rodzinnych chatach,
Wieczorne teraz palą ogniska.

Pełne ryb sieci i piwa dzbany,
I pies ich nawet w chacie spoczywa;
A tu na morzu Kozak zbłąkany,
Gdy się przez czajkę fala przelewa,
Jak morska wrona, ze srebrnej piany,
Otrząsa skrzydła, na wierzch wypływa;
Byleby w fali znalazł dolara,
Lub piastr turecki. — Ho! baczność wiara!

«Lecz my szczęśliwsi niż oni w chatach,
Gdy nas obwieją dymem pożary —
Miło w tureckich błądzić komnatach,
I pić i złote chować puhary;
Lub leżeć w siatce, gdy kołysana
Lekko się waha, buja na maszcie,
I patrzeć w niebo i drwić z Sułtana.

«A teraz bracia dobrze rozważcie,
Oto z daleka wieża drewniana:
Czy ją zapalić? czy zrównać z piaskiem?
Oto na wieży latarnia miga,
I brylantowym pali się blaskiem.
Niech moja czajka brzegu dościga,
Ja sam pod zręby ogień podłożę. —
Lecz jeszcze okiem rzucę na morze:
Jak cudny widok! Tu czajek dwieście,
Które noc kryje i groźna strzeże.
Z dala rząd świateł, Pera przedmieście,
Dalej Zofijskie złocone wieże;
Ledwo ich blade widać zarysy
Na ciemnem niebie. — Tam krzew żałoby
Tureckich grobów smętne cyprysy. —
I w nocy nawet czernią się groby.
I gwar daleki i morza szumy,
I myśl o wschodnich roi straszydłach:
Zda się że widzę, jak widmo Dżumy
Płynie nad miastem na czarnych skrzydłach.

Już zniknął Hetman — czas szybko bieży;
Cicho i głucho — słychać jęk dziki —
To pewno strażnik skonał? — Na wieży
Błękitne siarki widać płomyki.
I nagle światło na morze pada:
Krwawo się czarna fala rumieni,
I twarz miesiąca zagasa blada.
Słychać huk ognia i trzask płomieni,
I ożywione jak malowidłem
Dalekie miasto, z minaretami,
Z cieniów wypływa — a tu chmurami
W dymach pożaru zbudzone wrony,
Niekiedy białem migają skrzydłem.
Słychać pisk ptastwa — ogień szalony
Wzmaga się, rośnie. Ogniem owiana,
Straszniejsza niśli widmo pomoru,
Niśli pochodnia w gmachach szatana,
Świeci Kozakom wieża Bosforu.

«A teraz druhy — hej! do zabawy! —
Dalej! w przedmieścia, gdziek Grek zdradziecki,
Gdzie kryje złoto kupiec wenecki.
Lecz pamiętajcie, gdy świt jaskrawy
Pozłoci niebo, wrócić do łodzi —
I przynieść wiele złota z wyprawy:
Będziemy piastry mierzyć na garnce.
Lecz jeśli kogo szatan uwodzi,
Jeśli się z łupu nie wyspowiada?
Niechaj pamięta, w Żmii janczarce
Pięć kul się kryje — biada mu, biada!» —

Już świta — świta. — Ognie pożarów
Gasły przed słońcem — a wschód był krwawy.
Patrzcie! pod miastem chmura kurzawy,
Czy to się zbliża rota janczarów?
Migają zbroje. — Zasiąść na ławy,
I szyję harmat zwrócić do wałów.
Jeśli się zbliża? — wnet stem wystrzałów

Przywitać Spachów. — Nie będzie boju —
Biała chorągiew błysnęła w tłumie,
Posłowie niosą słowa pokoju.
Oto kadzidło hetmańskiej dumie!
Słyszę ich trąby i rozstrojony
Dźwięk surm tureckich, dziki i huczny;
A w tłumie miga kolor zielony:
To jakiś Emir, Basza buńczuczny.
Koń jego szybki jak błyskawica.
— «Cóż tam Emirze od twego pana? —»
Emir pozdrowił nisko Hetmana,
I rzekł: — «Syn słońca a brat księżyca —»
«Ho! — przerwał Hetman — wasz Sułtan stary
Jak brat księżyca zblądł przed pożarem.
Jeśli cię z jakim przysyła darem,
Chętnie przyjmiemy Sułtana dary;
Lecz póki jestem w brzegach Bosforu,
Póki mam silne prawo zdobyczy,
W darach mieć mogę prawo wyboru.

«Pierwsza jest cerkiew. Dla cerkwi w Siczy
Żądam obrazu. — Między ikony
Jest w Carogrodzie obraz święcony,
Obraz, co płacze rzewnemi łzami;
A gdy go człowiek w morzu zanurzy,
Morze gniewliwie bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż pogan statki w falach pochłonie.
Lecz to dla popa — słuchaj Emirze!
Niech sobie mnichy walczą cudami;
Póki mam szablę i czajki hyże,
I zamek w Siczy, król nad zamkami,
Póki mam tysiąc raźnego chłopa,
Co po obrazie? — Obraz dla popa.

«Słuchaj Emirze! dla mej drużyny
Złota potrzeba cudnego blasku!

Nie rodzą kruszców nasze krainy,
Dniepr się nie toczy po złotym piasku:
Gdyśmy go cały orali flotą,
Pytając! Dnieprze, ma twoje łoże
Złoto? — On czajki wyniósł na morze,
Aż pod Carogród — rzekł: Tam jest złoto.
Tu pięć tysięcy jest młodzi z Siczy,
A więc syn słońca, pan twój łaskawy,
Da pięć tysięcy piastrów odprawy.
Dla mnie? — jednego niech nie doliczy. —

«Emirze! teraz dar dla hetmana,
Nie piastr turecki, nie malowidło —
Widziałem pyszny pałac Sułtana,
Gdzie się on kryje blady ze strachu.
Każcie rozrzucić pałacu skrzydło,
A każdy kozak gruz weźmie z gmachu,
Z kamieniem w pola Siczy powróci,
Jak skarb przechowa na dnie skarbnicy,
Potem ten kamień na grób mi rzuci:
Wstanie mogiła — pod tą mogiłą
Głucho śpiącemu będzie się śniło,
Że w czajce grożę waszej stolicy.» —

PIEŚŃ IV.

CZAJKI.

Kozacy wygnani nad Donu brzegami,
Gdy Dniepr opuszczali, pieśń smutna i szczytna,
Z rozpaczy wyrazem, zmięszana ze łzami,
Na głowę Carycy przekleństwa miotała.
O falo błękitna! O falo błękitna!
Tyś czajki nosiła — ty łzy te widziała —!
— — — — — — — — — — — —

«Zda się że słońce piękniejsze świta,
Gdy do powrotu czajka zwrócona;
Miła tej fali barwa zielona,
Czajkami w srebrną pianę rozbita.
Jak się te nurki spokojnie pławią,
Pod słońca blaskiem skrzydły trzepocą —
Lecz kto wie druchy, może przed nocą
Srebrne się morza fale zakrwawią? — »

«Ha! zgadłem bracia — tam na obłoku
Turecki żagiel z wiatrem ucieka.
Zaczęte łowy! mieć go na oku,
Lecz się nie zbliżać — zawsze zdaleka.
Niech żadne wiosło czajki nie nagli!
W dzień się nie zbliżać, nie stawić czoła:
Galery mają oczy sokoła,
Zaraz dostrzegą — — Zwinąć pół żagli.»

«A przed obrazem Bogarodzicy,
Co burzy morze i czajek strzeże;
Zapalić świecę — a przy tej świecy,
Niech pop odmawia głośno pacierze.
Gdy wydam rozkaz — za mym rozkazem;
Wziąść pośród siebie czajkę z obrazem!
Lecz niech się teraz pop nie przysłuży,
Niechaj obrazem morza nie burzy,
Niechaj się modli — innej usługi
Teraz nie żądam — — Jakże dzień długi!»

«Ho! ho! szalony ten Sułtan stary,
Budować takie wielkie galary;
Co trzykroć tyle nabiorą wody,
Niż nasza czajka; za to z czajkami
Tureckim statkom nie iść w zawody:
Gdy pełnym żaglem płyną za nami,
My na mielizny — często w pogoni
Okręt ich pryśnie o piasków ławy,
I tak jak szklanny puhar zadzwoni.»

«Widzicie druchy jak zachód krwawy?
To wiatr nam wróży — korzystać trzeba.
Więc nieco białych żagli rozwinąć,
I robić wiosłem — ku słońcu płynąć.
Postawić czajki w płomieniach nieba,
Tak aby słońce było za nami — —
Ze zwiniętemi teraz żaglami
Utonąć w blasku — pod tą opieką
Nas nie wyśledzi ów upiór smoczy,
Co ma z kryształu stokrotne oczy,
Temi oczyma sięga daleko.» —

«Dzięki ci Boże! oto do końca
Dzień nachylony, blado się pali,
Oto nad falą, widać pół słońca,
A pół do ciemnej kryje się fali,
I na świat rzuca odbłysk ponury —
Już się nad słońce fala podniosła,
Po niebie krwawe snują się chmury.
Teraz do żagli! teraz do wiosła!» —

Okrzyk stokrotny
Bije o chmury;
I żagiel lotny,
Jak skrzydło ptaka,
Białemi pióry,
Czajkę Kozaka
Niesie — — Ta drżąca,
Wygina szyję,
Kąpie się w wodzie,
Fale roztrąca —
I Kozak żyje,
I czajka żywa.
Już lecą — — Blady, na wschodzie,
Z za chmury księżyc wypływa.

«Ho! dobra wróżba, galera Baszy —
Lubię mieć sprawę z Baszy galerą!

Znam tę banderę — a nad banderą
Buńczuk, co płoche jaskółki straszy.
Widzę przy ogniach tureckie twarze,
Zdają się blade — — Czekać w pobliżu,
Aż nam galera boki ukaże,
Aż na nas spojrzy okiem ze spiżu!»

Galera okropną cichością owiana,
Jak widmo posępne, jak pałac zaklęty,
Choć wiosło nie szumi, choć żagiel zwinięty:
Bez ludzkiej pomocy, czarami szatana,
Odwraca pierś złotem ozdobną straszydłem,
I boki jej księżyc bladawy oświeca.
Trzydzieści paszcz widać przy blasku księżyca,
Skąd wkrótce ognistem wyleci zgon skrzydłem.

«Druchy! do wioseł! już dają znaki
Ażeby iskrą podrażnić działa;
Lecz my pierzchniemy stadem jak szpaki,
Próżno nas będzie kula szukała,
Dalej! do wioseł!» I mnogie wiosła
Wnet zaszumiały;
Czajkę zbłąkaną,
Fala rozniosła,
I żagiel biały
Z białawą pianą
Zmięszany, zniknął na morzu — —

I rzekłbyś że fala te czajki pożarła?
Że Kozak grób znalazł w błękitnych fal łożu?
I cichość posępna i cichość umarła,
Okryła na chwilę błękity odmętu.
Lecz iskrą galery zbudzone już działo
Wzruszyło sen głuchy — błysk widać z okrętu,
I dział trzydzieści zagrzmiało.

Dym czarny chmurą na morzu drzymie,
I okręt zabrzmiał szatańskim śmiechem:

Lecz nim śmiech skonał z trzykrotnem echem,
Czajki stadami błysnęły w dymie.
Pobledli Turcy — oto Kozaki
Na pierś okrętu rzucają haki,
Drą się na pokład. — Nad pogan karki
Widać wzniesiony miecz Atamana,
I nad turbany pióro Hetmana,
I atamańskiej odgłos janczarki.
Wśród damasceńskich krzywych pałaszy,
Miecie się Żmija okropnym bojem;
Gdzie walczył Basza — syn młody Baszy,
Na pół makowym spity napojem.

«Ojcze!» do Baszy rzkł Selim młody,
«Giniemy — pozbądź niewczesnej dumy.
Łódź okrętową spuścić do wody;
Gdy ja sam wrogów zatrzymam tłumy,
Uciekaj ojcze!» — Na środek skoczył,
I pośród tłumu, swój turban biały,
Błyskiem krzywego miecza otoczył. —
Jęk na pokładzie — janczarki grzmiały.
Pośród pałaszy w błysku i dymie,
Hetman młodego spotkał Selima;
I dwa się miecze starły olbrzymie.
Żmija miecz wroga na mieczu trzyma,
A drugą dłonią z janczarki błysnął,
Strzelił pod maszty — i płomień nagle,
Szybkim poskokiem wpłynął na żagle,
Aż na banderze złotej zawisnął:
I maszt sosnowy zajął się z trzaskiem —

«Byłaby walka w cieniach schowana,
Trzeba ją takim oświecić blaskiem —
Oto pochodnia błyszczy Hetmana.»
Z trzaskiem pożaru, znów szczęk oręża
Słychać — i dźwięki hartownej zbroi;
Miecz straszny Żmii, jak żądło węża,
Krwi wroga szuka i krwią się poi.

Koszula Żmii utkana w druty,
Hartowna wprawdzie na próbę kuli;
Lecz miecz Selima w Damaszku kuty,
Przedarł druciane węzły koszuli;
Krew popłynęła aż na kobierce
Co okrywały Baszy okręty.
Żmija się zemścił — ugodził w serce:
Schylił się Selim jak kwiat podcięty,
Upadł na pokład ze chrzęstem stali,
Padając, okiem rzucił po fali:
Przez fale płynie łódź okrętowa —
Tam jego ojciec — — Solima głowa
Spadła na piersi.

Czajka wesoła,
Znów śliską piersią roztrąca piany,
I na błękitne wpływa limany;
Nad limanami z ołowiu czoła,
Wież Oczakowa widać wysoko;
A wież turecka załoga strzeże.
Dostrzegło czajek pogańskie oko,
I wiankiem ognia błysnęły wieże,
Dym widać srebrny, huk słychać głuchy:
Lecz czajki ciche — ciche jak duchy,
Gdy wiatrem wzdęta żagli pierś biała —
Płyną wstecz Dniepru, dalej! — a dalej!
Znów z wież tureckich zagrzmiały działa,
Lecz huk bezsilny skonał na fali.

Jak cudnie błyszczą czajek szeregi!
Słońce pozłaca barwy orszaku —
Jak cudnie błyszczą Dnieprowe brzegi,
Kwiat oczeretów szkarłatem świeci.
Niekiedy w ciszy Tatar Budziaku,
Mignie na koniu, jak wiatr przeleci;
Lub w oczeretu kwiatach ukryty,
Patrzy na czajki, na fal błękity.

PIESŃ POWROTU.

«Czajki! czajki! Sicz przed nami!
Oto brzegi Zaporoża!
A daleko, za czajkami,
Już pożarów gaśnie zorza;
I wśród morza,
Między mgłami,
Płonie wielka masztów sosna —
Siła żaglów spadła.

«Gdy nam błyśnie nowa wiosna,
Znowu zadrży dzicz wybladła,
Znowu zagrzmi śpiew janczarek.
Lecz w tym roku dość zachodu,
My do miodu!
Z brzękiem czarek
Pijmy w naszej Ukrainie,
Miód nasz przepalony.

«Gdzieśmy byli, kto popłynie,
Za trupami? — chyba wrony,
Wrony czajek przyjaciółki,
Co śmierć kraczą Asawule,
Kiedy kule,
Jak jaskółki,
Nad czajkami, po przestworzu,
Lecą chmurą czarną.

«My Kozacy siejem w morzu.
Gdy się z wiosną plony zgarną,
Pełnym workiem piastry świecą
Podłe, jako liść zżółkniały!
Jak wleciały,
Tak wylecą.
Przez pół roku pan dostatni,
Kozak Wojewodą. —

«A gdy wyjdzie piastr ostatni,
Znów z Kijowa Dniepru wodą
Do chat naszych — Kozak śpiewa —
A gdy nędze zakłopocą:
W łodziach nocą,
Lśnią łuczywa;
I do ciemnej Dniepru wody,
Cicho sieci toną.

«Miło błądzić, gdzie ogrody
Wschodnich Baszów, kędy płoną
Złota blaskiem jabłka duże:
Lecz się miłej schylić z konia,
I wśród błonia,
Polną różę
Zerwać, zanieść z ranną rosą,
Lubej w upominku.

«Pierwej fale wyspy zniosą,
Niśli Kozak dla spoczynku
Tknie się pługa — — Gdy raz złotem
Da zakupić ręce panu:
Wśród limanu,
Zlany potem,
Zlany łzami, będzie w stożec
Składał kryształ soli.

«O! nie pójdzie Zaporożec,
Zaprzedany do niewoli,
Błądzić — —!»

O cicho! cicho drużyno!
Czy tam widzicie żagle za nami?
Żagle się galer bielą za trzciną,
Za kozackiemi płyną czajkami.
W Czertomeliku płyńmy ostrowy,
Tam będą czajek bespieczne floty:
Próżno nam buńczuk zagraża złoty,

I pierś galery i żagiel płowy.
Oto na brzegu nasze rodziny —
Czajka ma czucie, wierność brytana
I tak jak brytan o stopy pana,
Tak się o wodne otarła trzciny.

PIEŚŃ V.
BASZA.

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.
Jakże mu piękne zdają się chaty!
Róża je polna ubiera w kwiaty;
Malw różnofarbnych drżące kolumny,
Aż po nad strzechy rosną i kwitną.
Owdzie spruchniałe skrzypiąc żurawie,
Sięgają w studni wodę błękitną:
Tam Zaporożec napawa konia,
Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,
I gwarząc z echem wraca przez błonia,
Kiedy wieczorna zabłyśnie gwiadza —
Na śpiew szczekaniem pies się odwoła.
Chaty wiszące w parowach sioła,
Jako jaskółcze czernieją gniazda —

Ale dla Turków jakże zdradzieckie
Czertomeliku wysep zakręty!
Gdy w nie galery weszły tureckie,
Utkwił na miejscu żagiel rozpięty.
I tak za czajką płynące wrogi,
Co wprzód grozili, blade od strachu,
Nie mogli znaleść powrotu drogi,
Jakby w Egipskim zbłąkani gmachu.

Kozak spokojne porzucił chaty,
I biegł na brzegi — tam pop z gromnicą,

Przywdziewa lśniące złotem ornaty,
Trzykroć oświęca Dniepr kadzielnicą,
A gdy odmówił z księgi pacierze,
Rzekł do Hetmana. — «Mój wierny synu,
Czy wierzysz w cuda?» — Hetman rzekł «Wierzę»
Lecz uśmiech jakby na wzgardę gminu,
Oświecił blade lice Hetmana.
A pop rzekł dalej — «Więc w imię Pana,
Jeśliś ochrzczony, weź obraz święty
Gdzie malowana Bogarodzica,
Zanurz do fali — niechaj okręty
Zatoną — zgasną jak ta gromnica.»
Rzekł — i gromnicę rzucił do wody.
Tłum cały milczał, a Hetman młody
Jakby ze wzgardą słuchał rozkazu;
I małowidłem cudownem błysnął,
Lecz nim tknął fali ramą obrazu,
Obraz się w drobne sztuki rozprysnął.
A pop zbladł drżący — zbladła drużyna —
Hetman zawołał: «Czemuż bledniecie?
Jeśli pękł obraz? nie moja wina,
Spruchniał, w tureckim wisząc meczecie!
Ale ten okręt zastrzągł do mułu.
Turków wytracę przed wschodem słońca;
Jednego tylko zostawię gońca,
By o tem zaniósł wieść do Stambułu. —
Cóż ten szmer znaczy? czyż szabla Żmii
Tak się na karkach tureckich starła,
Że już kozackiej nie tknie się szyi?!
Do chat Kozaki! niech myślą Turki
Że już drużyna nasza wymarła:
A gdy noc głucha padnie na wzgórki,
I na parowy — być w pogotowiu
Na odgłos trąbki. — Do chat Kozaki —!»

Już przy zachodzie dnieprowe ptaki,
Czaple się kładły do snu w sitowiu.
Galera piersią nie miała wody,

A spód jej ledwo w trzcinach widomy:
I nad zielone wysep ogrody,
Wyrastał wielki maszt nieruchomy.
Słońce złociste, nie ćmione mgłami,
Tonie w oczeret — blaski niknące
Spały na żaglach, a nad żaglami
Zwieszały liście brzozy płaczące;
A jeszcze wyżej, na żaglów szczycie
Bandera Baszy połyska złotem,
I jeszcze wyżej, w nieba błękicie,
Jaskółki szybkim krążyły lotem.

Tak cichy widok. — Niech Turki marzą
Że są panami stu wysp na Niżu;
Niech śpią głęboko — bo już na krzyżu
Usiadł jak do snu sokół stepowy.
Smutny wszedł miesiąc z płonącą twarzą
I na zamglone patrzał ostrowy.

Cichość posępna i noc głęboka.
Na straży Turek zbrojny połyska,
I z chat kozackich nie spuszcza oka:
Ale po chatach gasły ogniska.
Turek odmawia modły Proroka,
I tak się rajską otoczył chwałą;
Że ani dostrzegł, jak pośród cienia
Mierzonym razem światło łyskało,
Jakby budzone ognie z krzemienia.

Podobnie kiedy Turków ogrody,
Bogatym w kwiaty błysną granatem:
Tak zdala trzciny nad Dniepru wody,
Nagle rozkwitły ognistym kwiatem.
I blask pozłaca ciche brzóz czoła,
Czterech płomieni błysnęły koła,
A gdy znalazły upływu łoże,
Pobiegły szybko, w jedno się zlały,
I wnet ogromne pożaru morze,
Pod okręt wzniosłe toczyło wały.

Na krzyk strażnika, ze snu zbudzeni
Zbiegli się Turcy. Rospacz straszliwa!
Rospacz bezsilna! — morze płomieni
Suche okrętu deski podmywa.
Zawyli strasznie i odurzeni
Umilkli — cisza spadła straszliwa.
Potem w tej ciszy, galerom znana,
Dziko zabrzmiała trąbka Hetmana.

Na odgłos trąbki, jak z ogniów piekła
Wstali Kozacy na czarnych skałach,
Rzekłbyś że zemstą dzicz ta zaciekła,
Gasi pragnienie w ognistych wałach.
Na nagich głazach, obwiani w dymie,
Jako posągi stali olbrzymie:
Rzekłbyś — że dusza ich marmurowa
Nie słyszy jęku — głosu rospaczy.

I słychać grzmiące Hetmana słowa:
»Druchy! nim płomień Turków obsaczy,
Kto do okrętu dopłynie z wodą,
Jesli jest Basza? Baszy wyszuka,
Baszę wykradnie — takiego kruka
Bogatą piastrów uczczę nagrodą.» —
Kozacy milczą — — Za skarby świata
Któż pójdzie w piekło? — Patrzcie! sam Żmija —
Jak istna żmija ogień przelata,
I padł do fali, wśród fal się wzbija,
I znów zatonął — Tam iskry padły.
Ho! ho! z tej wanny nie wyjdzie cały —
A teraz słychać Turków wystrzały.
Widzę go znowu — gdzie tłum wybladły,
Wpadł — oto Turek w rękach Hetmana.
Już maszt się pali, już żagiel spłonął!
Hetman do fali z Turkiem zatonął,
A płomieniami fala zawiana — —
Miło to płynąć w takie ukropy!
Patrzcie tam! patrzcie! Hetman na skale,

Na znak tureckie rozwija szale:
Wąż mu się Turek, wije z pod stopy.

Nad rankiem kędy oczeret płonął,
Błękitne tylko krążyły dymy;
Galerę Baszy pożar pochłonął,
Na skałach czarne znikły olbrzymy.
Tak na skinienie Hetmana ręki,
Wznoszą się ognie — gasną pożary —
Po wyspach słychać wesołe gwary,
I dzikie śpiewy, torbanów dźwięki.
Czemuż tak głośne wesele w Siczy?
Czemuż się tłoczy lud do tej lipy
Z tak głośnym śmiechem? Czy dział zdobyczy?
Czyli po zmarłych wyprawia stypy?
Czy mu chorągiew przysłał Król Polski?
O! nie stąd radość — Pośród drużyny
Wznosi się wielka klatka ze trzciny,
A w klatce siedzi Basza Natolski.
Przed kilku dniami, stu miast był panem,
Zamykał tysiąc dziewic w haremie,
Był ojcem syna: a dziś bez ziemi —
Syn jego poległ walcząc z Hetmanem.
Z Hetmanem dzikie żywioły w zmowie
Zniszczyły miasta — a zgraja dzika
Jak na tygrysa patrzy w sitowie,
Plwa mu na czoło, palcem wytyka.
Co musiał cierpieć? nikt nie wypowie —
Ale cierpienia w sercu zamyka;
Gdy go raniło goryczy słowo,
Na wzgardę chował twarz marmurową.
Lecz chociaż duma wiele wytrzyma,
Gdy z urąganiem wystąpił hardo
Kozak, ubrany w zbroje Selima,
Basza na niego spojrzał z pogardą;
Lecz gdy stanęły w oczach przytomne
Syna pamiątki: piersi nabrzmiały,

W oczach się długo dwie łzy zbierały,
I spadły na twarz dwie łzy ogromne.

Już ciemnem skrzydłem noc się nasuwa,
I gmin się rozszedł, po chatach gwarzy.
Tam zbrojny Kozak stojąc na straży,
Liczy godziny, nad więźniem czuwa.
I okolica mgłami zawiana.
A teraz, słychać hasło strażnika:
— «Kto idzie? — Hetman!» — «Witam Hetmana!»
Żmija milczący klatkę odmyka.
Potem odwraca twarz zamyśloną:
— «Precz stąd Kozaku! Żmija na straży.» —
Wszedł zgięty — odkrył lampę tajoną,
Potem ją światłem podniósł do twarzy:
— «Żyć będziesz Baszo! wzgardę przeżyłeś.
Znasz mnie?» — «O znam cię! znam cię szatanie!
Syna zabójco!» — «Krew za krew stanie —
Baszo, mojego Ojca zabiłeś.
Blask cię buńczuków zaślepił wabny!
Tyś go oczernił — ty od Sułtana
Przyniosłeś Baszy stryczek jedwabny,
I sam na Baszę! i sam na pana! —
Ja, słabe mając do zemsty ramię,
Ja sam, syn Baszy, z miasta wygnany,
Gdym okiem żegnał rodzinne ściany,
Widziałem głowę Ojca na bramie!
I dotąd jeszcze, dotąd w noc ciemną,
Tę bladą głowę widzę przedemną,
Jak mnie krwawemi ściga oczyma.
Lecz teraz, Żmii cienie nie straszą;
Sen mój kupiłem śmiercią Selima.
Jeszcze krwi twojej trzeba mi Baszo;
Krew swoją oddasz za łzy Zulemie,
Łzy, które lała w twoim haremie;
Lecz w równej walce, oddasz ją zbrojny.
Teraz idź za mną — nie bój się zdrady.» —

Szli oba we mgłach. Basza spokojny,
Oczy obracał na księżyc blady.
Szli krętą ścieżką, gdzie wśród wybrzeży
Wznosi się zamek nad Dniepru wały.
Koło ogromnej środkowej wieży,
Wież mniejszych lekkie wybiegły strzały:
W wieżach się smutny puszczyk odzywa —
Śpi blask księżyca i mgła przepływa.

Weszli do zamku, weszli do sali,
Po ścianach błyszczą zbroje — a z góry
Blask od kagańca padał ponury,
I słychać zdala szum Dniepru fali.
W dalszych komnatach — o dziw nad dziwy!
Jakie tam cuda w zamku dnieprowym?
Na ścian wysokich tle lazurowem
Płoną lamp gwiazdy; kobierców niwy
Kwiatem zabłysły, a kwiat tak świeży,
Jak gdyby z ranną rosą zerwany.
Gdzie niegdzie kryształ zastąpił ściany;
W zwierciadłach oko bieży i bieży,
Nową odkrywa salę, za salą!
W każdej te same lampy się palą — —
Czy to są czary? tak długim gankiem
Mógłby wędrowiec zajść aż do Boga!
Z marmuru sali cięta podłoga,
A delfin złoty obrzucał wiankiem
Kryształ, co daje miłe ochłody;
A światła płoną pod szkłami wody.
Patrząc na ognie, kryształ i kwiaty,
Oko zalśnione w ciągłym zachwycie,
Przez okna sali bieży z komnaty,
Bieży odpocząć w nieba błękicie;
I wpada nagle jak w otchłań ciemną,
Przez którą srebrny księżyc przepływa.

Hetman sprężynę ruszył tajemną —
Złota się nagle ściana odkrywa;

I nowa sala — Sali połowa
Alabastrowem światłem zaćmiona,
W połowie ze mgły spada zasłona,
A za mgłą srebrna znów jasność dniowa.
Gdy na złocistym siedli dywanie,
Na znak Hetmana, zdala za mgłami
Zabrzmiały arfy — słychać śpiewanie,
Stłumione zrazu echem i łzami
Cichej fontanny — — Potem ze śpiewem,
Dwanaście dziewic, kwiaty kobierca
Depce — i płynie z zasłon powiewem.
Basza dłoń prawą podniósł do serca,
Potem zbladł cały, oczy odwrócił,
I twarz rękami zakrył obiema,
I rzekł: — «Mój sztylet tak mię porzucił,
Sztylet niewierny — jak ta Zulema.» —
— «Baszo!» rzekł Hetman «ona szczęśliwa.
Z waszych pałaców bierze podarki;
Dla niej po morzu czajka ma pływa,
Błyszczą pałasze i grzmią janczarki!
Dla niej to Żmija przez długie lata
Zdradzał i zaprzał swego proroka.
I twarz zmienioną nosił dla świata,
Choć w sercu była rana głęboka! —
Hetman — i razem wróg mej drużyny,
Często przebrany z bracią Tatary,
Na własne sioła niosłem pożary:
Często przez długie, długie godziny,
Pamiętam, nawet przed dniem wyprawy,
Jak wąż ukryty pomiędzy trawy,
Patrząc na słońce, leżę dzień cały
By choć dzień jeden ukraść obłudzie,
By świst kozackiej usłyszeć strzały;
Sokół mnie poznał prędzej niż ludzie,
Tak twarz wprawiłem, aby udaną
Nosiła barwę. W takiej niewoli,
Jak liść dwubarwny srebrnej topoli,
Cierpiałem mękę — niewypłakaną.

Gdym własne sioła palił i burzył,
Gdym na przekleństwa gminu zasłużył,
Błogosławili —! Ale już blada,
Już gwiazda Żmii mroczy się, spada;
Gdy w mojej dłoni pękł obraz święty!
Odkryją zdradę, spadnie ta głowa —
Przeklną!» — Głos grzmiący przerwał mu słowa:
«Więc bądź przeklęty! więc bądź przeklęty!» —
I przed Hetmanem stanął w komnatach,
Ze srebrnym krzyżem, pop w czarnych szatach.

PIEŚŃ VI.

WALKA.

Szczęśliwe czasy dawnych rycerzy!
Szczęśliwe czasy! gdy cud po cudzie
Barwił powieści. Dziś kto uwierzy?
Jacy to byli stalowi ludzie,
Jakie to były zamki zaklęte,
W czarnych cyprysach dusze zamknięte!
Takie powieści śpią nie wierzone,
Takie powieści kryją klasztory,
Gdzie mnich przez szyby patrząc barwione,
Światu nadawał tych szyb kolory.
Dziś kto uwierzy? że na skinienie
Ręki Hetmana, we mgnieniu oka,
Zagasły światła — arf kona brzmienie,
Z ciemnością spada cichość głęboka.

Popa okropna przejęła trwoga —
A Hetman mówił z twarzą wesołą:
«Biada, kto tutaj w imieniu Boga,
Wstąpi w czarami skreślone koło.

Lecz gdyś tu przyszedł, bądź pozdrowiony --
Zostaniesz moim gościem na wieki.
Słońca nie ujrzą twoje powieki,
Rdzą się okryje ten krzyż srebrzony;
Nikt nie usłyszy jęku — prócz Boga!»
Skinął — zapadła nagle podłoga —
Pop przeniesiony w lochy podziemne,
Zniknął — i słychać było westchnienie.
Znów skinął Hetman, a na skinienie
Dzień świateł wpłynął w komnaty ciemne.
Gdy się rozjaśnił, dwoje rycerzy
Znów przez te same wyszło podwoje,
I do narożnej wstąpiło wieży,
By się do walki stroić we zbroje.

Basza wziął turban stalą podszyty,
Piersi drucianą kryje koszulą,
I miecz Damaszku, z dwóch mieczów zbity,
I ciężki czekan z kolczatą kulą.
Tak uzbrojony lekki i rześki,
Za pasem sztylet zawiesił Feski;
Wziął tarcz z sitowia, jakiej do wojny
Używa w stepach Tatar budziacki,
I już był gotów. — Hetman kozacki,
Bespieczniej wprawdzie, lecz ciężko zbrojny,
Zakuł pierś mężną w pancerz ze stali,
Niósł hełm z przyłbicą ściśle zakrytą,
A z piór i włosów na hełmie kitą,
Rośnie we dwoje, do sklepień sali;
Kopiją wstrząsa do rzutu celną:
Przy boku błyszczy miecz obosieczny.
Tak z Baszą sercem i zbroją sprzeczny
Wychodzi staczać walkę śmiertelną. —

Już się na biały dzień zabierało,
Gdy wyszli z zamku. Jakby zbudzone
Chmury, nadrannym wiatrem kręcone,
Już się z mgłą dolin mięszały białą.

I słychać oddech poranku świeży,
Co lekko wzrusza nadwodne trzciny;
Świegocą wróble na zamku wieży,
Na pół uśpione między kaliny.
I księżyc blady i gwiazdy bladły;
Szarzeją światłem nieba błękity,
A kawki krążąc, stadem obsiadły,
I ołowiane wież czernią szczyty.

Wsiedli do czajki obaj rycerze,
Płynęli z wodą. Hetman ponury,
Patrzał na wichrem kręcone chmury,
Na mgły tumany, na zamku wieże;
A jego serce choć stalą zbrojne,
Tak mocno bije, tak niespokojne,
Jakby w przeczuciach – zadrżał — i nagle
Chwycił za wiosło, rozpuścił żagle,
I pędził czajkę — ta w szybkim biegu
W chwilę na drugim stanęła brzegu.
Tam z serca trwogę odpędził płonną:
«Jak los osądził, rzekł, niech się stanie. —
Baszo! czy walczysz pieszo, czy konno?»
— «Gdy Arabczyka dasz mi Hetmanie,
Ujrzysz jak lekko na siodło wskoczę,
Jak z konia biję i koniem toczę.»
Hetmana trąbki słychać odgłosy:
Wnet, nauczone na trąbkę pana,
Dwa szybkie konie lecą przez wrzosy:
— «Biały twój, Baszo! Czarny hetmana.» —
Oba rycerze siedli na konie,
Oba pędzili szybko przez błonie,
Póki kaganiec z wież Oczakowa
Nie błysnął gwiazdą ze mgły wywity.
Za wodzą Żmii stanął koń wryty,
A Hetman rzecze: «Na próżne słowa
Nie traćmy czasu, poleć się Bogu.
Tam twój Oczaków, kędy się palą
Mnogie kagańce w masztowym lesie,

Tam twoje wieże — do wież tych progu,
Gdy mię zwyciężysz, koń cię zaniesie —
Gdy padniesz, trup twój popłynie z falą.»

Rzekł — ściślej zamknął w przyłbicę czoło,
I czarnej tarczy okrył się skrzydłem.
Basza jak jastrząb krążył w około,
Na różne strony zwijał wędzidłem,
I rzucał czekan i koniem toczył.
Tarcza Hetmana wydała dźwięki,
Trzykroć od tarczy czekan odskoczył
I na rzemieniu wrócił do ręki;
Trzykroć odskoczył — za czwartą razą
Zgruchotał twarde hełmu żelazo;
Lecz ugrązł w hełmie — Żmija zań chwyta:
Nie pośpiał Basza odciąć rzemienia,
Tak związanego, gdy zbył strzemienia,
Hetman pod końskie ciągnął kopyta.
Skrwawiony ostem i oczeretem,
Czołga się Basza jako gadzina.
Żmija miecz wznosi — Basza sztyletem
I lewą ręką rzemień przecina,
Wstając pod koniem, ów sztylet srogi
Aż po rękojeść wraził pod strzemię.
Rumak Hetmana runął o ziemię;
Lecz Hetman szybko powstał na nogi,
Odrzucił dzidę, miecza dobywa,
I znów grzmi walka — walka straszliwa!

Daleko słychać szczęki pałaszy,
I tarcza daje odgłos jak dzwony.
Już krew turecka, krew świeża Baszy,
Lśni po burzanach jak kwiat czerwony.
Ten widok siły hetmana dwoi,
Więc w obie dłonie miecz chwyta silny,
Podniósł i spuścił — lecz raz był mylny:
Sam padł, zwalony ciężarem zbroi.
Nim powstał z ziemi, już wróg straszliwy

Tłoczył mu piersi, wzniósł sztylet mściwy,
I nad bezbronnym mszcząc się rycerzem,
Gdy mu się sztylet po zbroi zwinął,
Podniósł pancerza i pod pancerzem
Wbił po rękojeść, aż krwią zapłynął.
Basza siadł na koń, spiął go ostrogą,
Leciał jak z wiatrem chmura stepowa;
Lecz nie do Turków? do Oczakowa? —
Na północ wsteczną poleciał drogą!

Już zniknął. Blado wschód się czerwieni,
Już się oddala tentent po wrzosie;
Tu koralową barwą jesieni
Błyszczą burzany w srebrzystej rosie,
I szpaków stada po nieba sklepach
We mgle się kąpią — i lgną na łozy.
Gdzie dwie samotne płakały brzozy,
Hetman kozacki konał na stepach. —

Ciszej! — tam jakiś śpiew obłąkany,
Z echem przez suche płynie burzany;
Pieśń taka smutna, dzika i rzewna,
Oblana złotem słońca promieni,
Zbliża się postać, jak cień niepewna,
Dziewica mogił — to młoda Xeni!
Pieśń jej jak lutni niesfornej głosy,
Nagle skonała, krzykiem ucięty,
Bo koło Xeni skrwawione wrzosy;
A choć przyłbica Żmii zamknięta,
Już go poznała — tak dziewic oczy
Wprawne w miłości, choć obłąkane.
Ale napróżno wyśledza ranę,
Chce krew zatrzymać rąbkiem warkoczy.
Gdy mu przyłbicę wzniosła na czole,
Żmiję do życia wróciły bole.
Spojrzał i poznał — lecz nie rzekł słowa,
Ani się zdradził nagłem poznaniem.
I była cisza — cisza stepowa,
Przerwana czasem łzami i łkaniem

Smutnej dziewicy. Xeni oczyma
Ściga wejrzenie zgasłe Hetmana;
A Żmija oczy wlepione trzyma
W stronę, gdzie mglistą chmurą owiana,
Wznosi się zamków Siczowych wieża.
Nagle blask ognia stamtąd uderza,
Potem się rozlał po Dniepru fali —
Między wieżami płomień się wije.
— «Zdrajca!» rzekł Hetman «Xeni! klnij Żmiję!
Oto mój zamek, zamek się pali!
W zamku twój ojciec! — A Basza mściwy
I nad nim jeszcze zemsty dokonał.
Przekleństwo jemu!» — Westchnął — i skonał.

Zaledwo skonał — przez kwiatów niwy,
Rzucając za się wzrok niespokojny,
Na koniu Turek przeleciał zbrojny,
I zniknął we mgle. — Śmiech dziki Xeni
Smutnie po rosach zabrzmiał. — «Mam syna!
Ojciec mój skonał pośród płomieni.
Syn mój jak świeża rośnie kalina;
A Hetman? — Syn miał ojca Hetmanem,
I żyć nie będzie pod innym panem.
Lecz wam Kozacy; wam nie pokażę
Syna mojego — w grób go zakopię;
Ale krew jego przyniosę w czarze,
I krwią mogiłę ojca pokropię.» —

Jakie tam było po chatach łkanie,
Gdy wieść okropna biegła przez sioła!
Zgasłeś! wołali, zgasłeś Hetmanie!
Któż jak ty w czajce lotem sokoła,
Z nami na czarne popłynie morze?
Kiedyż takiego ujrzymy pana?
Kiedyż drugiemu słać będziem łoże,
Gruzami z wielkich gmachów Sułtana? —

Wieją tłumami kozackie kity,
Hetmańska trumna już nad mogiłą;

A w trumnie Hetman leży odkryty.
Coś mu się w śnie strasznego śniło,
Bo wyraz wzgardy w twarzy wyryty.
Z żaglów tureckich śmiertelna chusta
Spowiła ciało. Złotym obraskiem
Pop go opatrzył, posypał piaskiem,
Kawałek chleba włożył mu w usta,
Zgrają tym samym obdzielił chlebem;
A gdy wymówił ostatnie słowo,
Płaczki zaczęły pieśń pogrzebową.
Lecz jedna z płaczek szła za pogrzebem,
Śmiechem zbłąkała pieśni odgłosy;
A choć wesela taić nie umie,
Na przekor śmiechom, jak srebrne rosy,
Łzy jej do wielkiej płyną łzawicy.
A gdy łzy cudze zbierała w tłumie,
Gdy w czarę padło światło gromnicy,
Kołem się wszystkie chmurzyły twarze,
Widzieli wszyscy, krew była w czarze!
I krew do grobu wylała cieśni.
Padła — skonała — — Konaj, o pieśni!

OBJAŚNIENIE.

Romans tu umieszczony jest prawie zupełnie utworem wyobraźni. Na Ukrainie lud dotąd pokazuje wał ogromny, Wałem Żmii nazwany. Niektórzy sądzą że Żmija był jednym z pierwszych i najdawniejszych wodzów Zaporoża; inne podanie niesie, że szatan pod postacią żmii niósł wielki kamień, chcąc nim kościół przywalić, a przerażony zapianiem kura, głaz na stepie upuścił. Idąc za pierwszą z tych powieści, utworzyłem osobę bajeczną, będącą bohaterem mojego romansu, i z nią powiązałem różne przez historję wspominane wypadki. I tak: prawdziwą jest rzeczą, że Kozacy z czajkami wybiegali na Czarne morze, spalili wiele miast Natolji i Cylicji, a zapędziwszy się aż pod Carogród, ogień w przedmieście Pera zanieśli. Sułtan przerażony, widząc płonące wieże Bosforu, złotem okupić się musiał. W papierach znalezionych w kuli na kościele św. Jana w Warszawie, a które Niemcewicz w pamiętnikach o dawnej Polsce umieścił, znajduje się wzmianka o Kozakach. Stamtąd powziąłem wiadomość: iż któryś z Baszów w niewolę przez Kozaków ujęty, na pośmiewisko w klatce jak drugi Bajazet był uwięziony. Opisy miejsc po części z Grądckiego, po części z Baumplana wyjęte. Za czasów tego ostatniego widziano na najwyższej z wysp Czertomeliku ruiny zamku, tak postawione, aby je woda, wiosną inne wyspy zatapiająca, dosięgnąć nie mogła. W tymże autorze wyczytałem, jak galery tureckie zapędziwszy się za czajkami, zginęły w labiryncie wysp Czertomelickich obłąkane. Tenże pisarz opisuje sposób, jakim Kozacy i Tatarowie na sumaki polowali, a obraz tej obławy starałem się wiernie w pieśni

pierwszej romansu wystawić, równie jak sposób zdobywania czajkami okrętów tureckich w czwartej pieśni opisany. Niekiedy idąc za duchem poezji ludu ukraińskiego, chcąc obraz żywiej wystawić, porzucam sposób opisowy, i opowiadanie wkładam w usta sternika kozackiego; nie sądzę zaś, aby taka wolność wyobraźnię czytelnika obrażać miała.

Wiersz dziesięcio-zgłoskowy w niniejszej powieści użyty, a może nadto wyraźną miarą, nieprzyjemnie mordujący ucho czytelnika, w mojem jednak przekonaniu najwłaściwiej do takiego rodzaju utworu zastosować się daje. Z życia takowego wiersza wynikła potrzeba, nie inne jak dwunasto- lub ośmio-zgłoskowe łączyć z nim rytmy; tak, ażeby średniówka zawsze w połowie wiersza przypadać mogła.

JAN BIELECKI.

POWIEŚĆ

NARODOWA POLSKA,

OPARTA

NA PODANIU HISTORYCZNEM.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
Te źródła bogactw w zapylonej ramie.
Czytam — — Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie!
Język i gorszy przesąd zakonnika.
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: «Kraj nasz dosiągł szczytu —
Chylić się musiał.» — Precz z myślą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie. — Okno klasztoru otworzę —
O! jak spokojne otchłanie błękitu,
Tam z dala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy!

Myśl rozwesela daleki szmer lasów,
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów —
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru!
Tam Izba Parów — tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu,
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu;
A oni żyli. — Nie zajrzałem w urny —
Wybiegłem — więcej nie wchodzę w te ściany;
Ale samotny wracam dziś i co dzień,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień.
Ci, co posnęli w tych grobach do koła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli spiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką roskoszą napis mniej widomy
Niszczę do reszty śladem mojej stopy;
I czuję roskosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
Nie mając w duszy wrącego płomienia?

Posępny — siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija!
Czytałem w księgach, a godło obrazu
Było: «Kraj zdradził — i zdrada zabija.»

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę.
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe!

Część po wsiach własne zamieszkała dwory. —
Co było w kraju? Nie skreślę od razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy!
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej — kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król Polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe.
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy:
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy!

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady — —
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie — ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty.
Już wino słabsze zwycięża rozumy
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzezan mówi — szlachta wstaje, słucha.

«Bracia na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkiem słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

«Słuchajcie! Szlachcic obraził mię podły!
Szedłem do króla, nie błagałem łaski —
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! Winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga — nie próżno przychodził:
Król go pochwalił — pochwalił, nagrodził —
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem.

«Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże.
Ja się usunę! — Nieh mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna! —

«Hej! Szlachta, Znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie!
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu padające ściany,
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy — że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
Jękiem i dymem, iskrami płomieni —!
Bracia, noc widna! — nie daleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni.
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zburzę, spalę, grunt domu zaorzę!»

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wachały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy!
Blask chyba równy, gdy w przedpotowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę.
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów,
Liście i kwiaty płyną jak potoki;
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta — już dosiadła koni.
Pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki;
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej, na pola, przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi.
Już pojechali — — Niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ołtarz — potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary.
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pargamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty —
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaci i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielelecki, zbrojno
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy, stanął do ołtarza.
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej, w miłym dany upominku,
Słaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.
A dalej! swaty za młodym rycerzem —
A dalej! bracia husary, pancerni —
A dalej! służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni!
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole,
A na mienionym jedwabiu lazurze,
Lśnił się herb: srebrne księżyca półkole —
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O, jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czego smutna? — Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — ona — miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały,
I pochodniami świecili Kozaki. —
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
«Stójcie!» zawołał pierwszy swat, «przedemną
Nie widzę domu. — Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? Ha! cóż to! dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa —»
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą. — Sam Jan staje słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha!

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady. —
«Anno!» rzekł, «Anno! wracaj! — Nie mam domu!
Nie wrócę z tobą — obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami!
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa —
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu! —» Zadrżał — i spiął konia.
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.

Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze — —
Anna spojrzała i zbladła «O Boże!
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną!»

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta? —
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzezany!
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconemi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona —
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę — — Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze? —

Snują się tłumen: pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody —
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem — a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu. [1]
A pieśni majtków i szum cichej fali,
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubi morze i jak Tass się żali.

[1] Wenecja.

Lecz w jedną stronę zbiegł sie tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory;
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory;
Od szaty bije blask dijamentowy,
We włosach toną przepaski z korali — —

Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska? — Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim —! Kto jest ta dziewica? —
Próżna ciekawość, pod maską jej lica;
Ani się słowem wydaje w rozmowie.

VI.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty —
Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
Śmiech słychać! śmiech ten wymuszony świata,
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Któremi błyszczy biesiadnika głowa —
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędą.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
Nad jedną chwilę roskoszy — choć błędną?

Pan Brzezan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale:
Szedł do komnaty gdzie ciemne marmury,
I wodotryski wychładzały salę.

Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu. —
W około stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych nie jedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy: smutna, nieruchoma.
Chodził Starosta, krok niepewny, skory —
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiadny,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
— «Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty —»
— «O Panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.»
— «Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zaraz by pełne obległa szklannice,
A oni milczą, kryją tajemnicę — —
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny — Lecz cóż to? O Boże! —
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! — Bracia! kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej paziu młody!»

Już nie czas — Zewsząd tłumne pogan wrogi,
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem? —
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,

Czoła złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija;
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady,
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe.
Światła zadrżały, zgasły — tylko blady
Świecił się promień lamp, w alabastrowe
Ukrytych głazy — — Wpadł jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabespiecza —
Pan Brzezan z mieczem stał w obec Tatara.

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole
I gwiazda — nad nią hełm ze strusim piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł Starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — — Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu,
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa —
A Tatar przybiegł i padł na kolana:
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa — —
Twarz jego była straszna, obłąkana!
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki —!
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał, pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara.
A strasznie bladą była twarz dziewicy!

Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Do koła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła,
— «Tyż to mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła —»
I zdiął Bielecki turban muślinowy —
Anna spojrzała, i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona,
Rzekła: «O luby? tak straszny! tak blady! —»
— «Ha! blady!» przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
«Wąszak zdradzam —!» zamilkł — lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: «Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał —
Ja zdradzam! będęż jak róża roskwitał?
Na mojem czole napisano — zdrada!
Kraj cały we krwi —! Wznieś na księżyc oczy.
Patrz na te okna, na szkle malowidła —
Gdy błyśnie słońce, ów aniół roztoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszem patrzy i niepewnem licem;
Smutną ma postać, obumarłe barwy!
Inny jest człowiek gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, po co te rozmowy?
Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.»
— «Mój Ojciec!» — «Ojciec? — Ojciec przeklnie ciebie!

I ty się lękasz? — Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo Ojca, braci, lub ojczyzny?
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje —
Są ludzie — wszyscy przyjaciołmi memi!
Jest wszystko! Luba, czegóż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi —!»

V.
KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły:
Na progu żebrak pacierze powtarza.
W około smętarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród smętarza.

Daleko słychać wiejski dzwon kościelny —
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola:
Było to święto, był to dzień niedzielny;
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty.
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca —
Ucichła — — Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w niskie progi,
Jacyś wędrowce weszli do kościoła —
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza, i twarz nie wesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Bo oba kornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo: —
«O Bracia! dzieci! i tegożem dożył,
Ja stary wiekiem z ubieloną głową?
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę: Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami —
A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam —!»
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało Amen — lecz amen żałoby!
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe;
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden w wędrowców co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Klął nad nim, cicho przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
Zaraz na smętarz niesione wędrowca,

I tam na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego wśród kwiatów smętarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał — jakby błyskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa:
I rzekł: «Wyklęty! — my idźmy do domu! —»
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: «Bóg jest miłosierny!
A jego litość, liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku, i głębsza nad morza —!»

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła — Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa,
Czy brak w niej czucia? bo sucha źrenica,
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty!
We włosach jasne przepaski z korali.

«O mój najmilszy!» rzekła «o mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął, a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami! —»
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
«Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi.»

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,

Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły —
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie;
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy.
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wyśrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby smętarza.

Już ciemno — — Anna sama jedna w nocy,
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza:
Nieszczęsna, Boskiej wzywała pomocy!
Widna jej postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnej śrebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki — --
Dziewica blada, na kamiennym progu,
Usnęła — może usnęła na wieki —!

I cicho! niechaj głos pieśni stłumiony,
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko, brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania —
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy:
Słuchem anioła i myślą anioła —!

HUGO.

POWIEŚĆ KRZYŻACKA.

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze,
Bogu na całe poświęcona życie;
Gdy odrzucała świeże wianku róże,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa,
Jak w chwile śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody,
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowemi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę,
Chowało w morza Baltyckiego wody:
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła,
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone Boskich tajemnic ofiary.

Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy nie widać — ale snać ze zbroi,
Że to obrońca chrześciańskiej wiary —
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — Nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słychać? — To odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru.
A rycerz zadrżał — to może ze strachu?
W tak ciemną porę, w tak posępnym gmachu?

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
I patrzał w cichc klasztoru ustronie.
Wychodzi rycerz — z rycerzem ktoś drugi —
Oba skoczyli z pośpiechem na konie;
Pewnie miał giermka, pazia do posługi;
Lecz czemuż pędzą tak śpiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potem nagle gniew gorzkiemi słowy
Wyrwał się z piersi gorącej Krzyżaka:
«Z radośnem sercem jam rzucić gotowy,
Kraj ten przeklęty! Chciałbym lotem ptaka
Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie,
Grożą tajemnych wyroków sędziowie.

«Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy —
Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy.
Lasy mi słodsze nad ciągłe obawy.

Jagiełło z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzierżawy;
Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

«Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
A ufny w silnej i licznej załodze,
Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady;
I sąd, co trzymał mych czynności wodze,
Puścić je musiał i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zdradnym nie otoczy,
W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

«Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen szeroki przed nami!»
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
Parskał i pianę mięszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory.
Srebrnemi nocy uwieńczone mgłami;
Księżyc posępny płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali — nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las sosnowy!
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy —
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy —
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze,
Rozległe Książąt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącem słońcem witały się wieże,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny —

Nie jeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie,
Słońce, przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;
Już dzień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury.

«Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,
To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża — to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidła obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica,
Patrzą się jasnym brylantowym wzrokiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze,
To Trocki zamek! a to — Trockie morze!»

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złocą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głuche więzienie:
Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa —
Jej głębie wieczne zalegają cienie;

A setne z ziemi wybiegłszy filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów, dzieląc na setne konary,
Wspierają różnie łamane sklepienie.
A okna, cięte w gwiazd rozlicznych wzory,
W dzień dają światło słabe jak o świcie;
Inne okrągłe lśni w tęczy kolory —
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
A jedno w sklepień zasępionych szczycie,
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali;
I dwaj rycerze czuwają na sali —
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli.
Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;
A ile razy do światła się zbliża;
Na piersiach miga krzyż dijamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi.
Znam go! to Komtur zakonu Krzyżaków,
To młody Hugo — — Lecz kto jest ten drugi?
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swej piersi krył ciężką kolczugą;
Ubiór miał pazia — lecz pan mu się zwierza,
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą.
Słowa Hugona skryte, tajemnicze —
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
Spojrzenia pazia tak czułe, dobitne!
I oczy jasne, jak niebo błękitne!
Ćmią długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
Włos jego spływa w złociste pierścienie —
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
Czarną miał, ściśle zamkniętą przyłbicę,

I czarny pancerz i naramiennice —
Olbrzymią postać żelazo okrywa.
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
Stanął w milczeniu i załamał dłonie.

— «Czegoś tu przyszedł? Rzekł Hugo ponuro,
«Czyś jest brat rycerz chrześciańskiej wiary?
Co mi przynosisz?« — «Twoją śmierć Hugonie —»
Czoło komtura okryło się chmurą,
I rzekł do siebie: «Wybadać go muszę — —
Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
Czyliś gdzie widział Bodelszwingu gruszę? [1]
Czyli z Sandkirchen powracasz smętarza?»
Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,
I milcząc, tylko dwakroć głową skłonił —
Pielęgnowany troskliwie w wazonie,
W oknach zamkowych kwiat róży się płonił.
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy — milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada. [2]
Czoło Hugona posępniej sie chmurzy,
Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
— «Powiedz rycerzu czyliś jest bogaty?
Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?»
— «Bogactwem mojem jedna złota sztuka,
Bogactwem mojem są trzy miary wina; [3]
A brat mój tutaj na mieczu wyryty;
W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
A w drugiej sztylet co w krwi wroga tonie.
Tacy rycerze są braćmi mojemi!

[1] Pod gruszą Bodelszwingu i na smętarzu Sandkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wyszczególnieniem znaków tajnych, po których sędziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolni mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

[2] Róża była godłem trybunałów.

[3] Każdy przyjęty do bractwa tajnych Sędziów, powinien był wkupić się jedną sztuką złota i trzema miarami wina.

Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi. [1]
Czy dosyć na tem? Czy znasz mię Hugonie?

Znasz mię! i dom mój i moją rodzinę.
Słuchaj więc — krótkie są wyroku słowa,
Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
Znasz wielkość zbrodni — umrzesz za godzinę!
A ty, co pazia pożyczasz ubiory,
Ażeby kazić ludzi świętej wiary;
Tam skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru!
Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.»

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
«Czy słyszysz luba odgłos jego kroków?
Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
O łatwiej! łatwiej było skonać wczoraj —
Dziś szczęśliwszemu trudniej mi umierać.
Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać.
Słyszysz jak szumią tam fale jeziora?
Księżyc mię żegna, żegnają mię fale.
A sen mój jaki będzie za godzinę?
Lecz próżno! próżno! Ja marnie nie zginę,
Mieliżby życiem zarządzać zuchwale?
Czekaj tu Blanko, zostawiam w tej sali
Ten płaszcz — on w boju płątał by mi dłonie,
Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,
I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
Weź moja luba, i krzyż brylantowy;
On długo! długo błyszczał mi na łonie;
Może ci kiedy przypomni po zgonie — —
Nie, ja żyć będę, chcę żyć moja luba!
Wszak jam w krzyżackim wychował się domie,
I nieraz sławy szukałem za domem.
Mam miecz, co zdziwia Polaków ogromem;

1. Tak nazywała się Westfalja, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

Mam zbroję, której stal tak twarda, gruba,
Że jej żelazo żadne nie przełomie.
Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi.

«Jest jeszcze inna ocalenia droga.
Może w świątyni pogańskiego Boga
Można się ukryć, w jej lochach podziemnych,
W krętych przechodach i kryjówkach ciemnych.
Ta droga bardziej pewna i ostrożna —
Wszak zdradą zdrady uchronić się można.»

To rzekł i wyszedł. Straszną zbroję wkłada,
W której już nieraz występował w szranki;
Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,
Do świątyń Boga, który gromem włada.
Tu ogień Znicza dymny i ponury —
Czarne filarów łamały się cienie.
Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury —
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bespiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przebóg! zadrżał: kamienne bożyszcza.
Stojąc w około święconego zgliszcza,
Żywemi w niego patrzały oczyma.

III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni,
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku —
Przy świetle blado tlejącej pochodni,

Na dłoni rycerz oparty spoczywa —
Ofiara śmierci. — Znany płaszcz komtura
Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
Na hełmie znane kołyszą się pióra,
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
I dobrze znany miecz u jego boku.
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga? —
Hugo, ów śmiały, mężny przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dla czegoż kryje lica w obie dłonie?
Czy łzy zasłania, co po twarzy płyną?
Cichość ponura — «Czyś gotów, Hugonie?
Biada ci! milczysz!» Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
Spojrzał — i zwolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem:
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
Cały hartownem odziany żelazem,
Męstwem młodzieńcze płynęły jagody.
Wszedł, spojrzał bystro: «Blanko! Blanko droga!
Po co ten ubior? te pióra? ta zbroja?
Czemu tak milczysz? Ach, na miłość Boga!
Odpowiedz słowo? Droga! luba moja!
Odpowiedz słowo! Przebóg! twarz jak sina?
Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
I sztylet w piersiach! Więc biła godzina —!
On był tu — —» Zamilkł — tak boleść głęboka,
I żal tak ciężki jego serce ścisnął.
Piersi pracują jak wzburzone fale;
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

«Może myślała Blanka nieszczęśliwa,
Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?
Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
Ja mam żyć? — Luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!»

Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona
Zbójeccy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona,
Cała się służba rozbiegła z wieczora — —
Hugo już nigdy nie postał w zakonie,
Gdzież się więc podział? Niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Płakały po nim — a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze ich łzy brylantowe
Na srebrnych liljach lśniły się przed słońcem! —

DO

MICHAŁA ROLA SKIBICKIEGO,

PODPUŁKOWNIKA WOJSK RZECZYPOSPOLITEJ

KOLUMBIJSKIEJ,

POŚWIĘCAJĄC MU POWIEŚCI WSCHODNIE

MNICHA I ARABA.

I znowu ciebie ziemia przywołuje stara,
Z Kolumbijskiej krainy, z grobu Boliwara;
Z nowych światów, żadnemu nie uległych panu,
Gdzie pył tronów nie spada jako proch Wulkanu,
I nie pokrywa grodów — ani grom tronowy
Szuka pomiędzy tłumem wyższej nad tłum głowy.

Dopóki światów nowych ludzie nie przeczuli,
Myśl nie śmiała biedz skrajem przewróconej kuli.
Na kartach kładł rytownik chmurną dłoń olbrzyma. [1]
Myślano że Bój ziemię tamtą stroną trzyma,
Jak czarę, wrącym stworzeń napełnioną tłumem.
Dopiero Genueńczyk przeniknął rozumem
Tajemnicę tej dłoni, i z jej skrzepłych palców
Wyłamał świat drzew, złota, brylantów, padalców.

[1] Na kartach przed odkryciem Ameryki kreślonych, na ogromnej przestrzeni Atlantyku rysowano dłoń olbrzymią z otwartemi palcami. Ta dłoń przerażała rozognioną podówczas fanatyzmem wyobraźnię ludzi.

Europejska zbrodnia napełniła lasy,
Pod Kortezów mieczami padały Inkasy:
Czarni misionarze duchownemi berły,
Z łona muszel skrwawionych nieraz pruli perły.
Potop krwi religijny świat wyludnił młody.
Dzisiaj z krwi odrastają zielone narody —
Snać płodne serce nowej ziemi nie ostygło.

Lecz myśl twoja żeglarską obłąkana igłą,
Zwracała się na północ — — Przebywasz otchłanie
Drogą, po której niegdyś biegli Luzytanie.
Myślą budzisz tajemnic tłum na dnie korali,
Oczyma Kamoensa czytasz w drżącej fali.
I może przed delfinem napiersnym okrętu
Powstał duch Luziady, ów olbrzym odmętu,
Co niegdyś wróżbą nieszczęść tłukł Hiszpanów statki,
A dziś może ci wróżył śmierć ojczyzny matki. [1]

To ląd! Czy słyszysz stamtąd jaki gwar i wrzawa?
To stary świat! spróchniały jak rozbita nawa.
Żagiel, który ją nosił przez wypadków fale,
Spróchniał dziś, na odległej mórz zatknięty skale.
Dziś go ziele zarasta. — Stara, obumarła,
Długowieczną płodnością ziemia się pożarła —
Walcząc o skąpe reszty płodów, się wysieczem!
Tu drobnych państw granice karły kreślą mieczem.
Z tą dziką ziemią kraj twój porównywaj złoty:
Tam słońce twarz ociemnia, tu czernią zgryzoty;
Jak struś, co głodny gardziel żwirem pustyń dławi,
Tu człowiek kamień wzgardy połyka i trawi.
A te, co na świat stary zbladłem patrzy licem,
Słońce Europy, pięknym nazwałeś księżycem.

Tyś smutny? O! szaleństwo ciemnej twarzy rysem,
Pobielanych tu grobów stawać się cyprysem.

[1] W Luzjadzie olbrzym, duch morza, grozi Hiszpanom i śmierć przepowiada za to, iż się odważają zapuszczać w jego królestwo.

Skłoń lico do uśmiechu, w tej szalonej zgrai
Zamaskowana boleść łatwo się utai.
Tu śmiech jest znakiem życia — Śmiać się nauczyłem
Gorzko — niszczę się — skonam i nie powiem: żyłem.

Lecz twoja dusza marzyć przyuczona szczytnie,
Jeśli uschnie obecnie, wspomnieniami kwitnie;
Myśl wraca po błękitnym oceanów szlaku.
Teraz się wahasz lekko w jedwabnym hamaku — [1]
Tu mangolii róże, a pod palmy cieniem
Skrzą czarne oczy — światła przecięte promieniem,
Jak gwiazdy na odbiegłym od kraju żeglarzem.
Teraz płocha, z piór złotych uwitym wachlarzem,
Prysnęła wonią kwiatów, czysta myśli z czoła,
Smutna, jeśli uśmiechu śmiechem nie wywoła.
Tyś ją opuścił? — Jako perła odrzucona,
Będzie gasła powoli i zamrze i skona.
Gdy pamięć za daleko w kraje marzeń wkroczy,
Nim ją odwołasz, łzami zalane masz oczy.
Lecz te łzy muszą oschnąć w rzeczywistej burzy:
Tu świat jak ciemny obłok gromami się chmurzy.
Wzmagaj siłę ciężarną pracującą w ziemi,
Dawniej fanatyzm, wolność czasy niedawnemi.
A gdy się ta rozwiąże, wałem otocz grody,
Na prędko-stawnych mostach rzucaj szyk przez wody;
Niechaj ulotna para z paszcz działowych gromów
Rzuca zgon, nakarmiona pożarami domów.
Czy maską tajemniczej zemsty osłoniony,
Jak dawny sąd tajemny, w same królów trony,
Zapozew przed sąd Boga wbij ostrzem sztyletu.
Czekaj! może Muezin [2] z szczytów minaretu,
Ogłosi pacierz zemsty, wśród murów Stambułu.
Czekaj! może z dzikiego w Kaukazie Aułu, [3]
Ujrzymy błyskawicę — Ciszej! — Zdradzam myśli,

[1] Rodzaj krzeseł używany w Kolumbji i stosowny do gorącego klimatu krainy: jest to siatka jedwabna zawieszona na dwóch kwiecistych drzewach.
[2] Muezin, zwołujący pieśnią lud na modlitwę Proroka.
[3] Aul. wioska Czeczeńców.

Które mi wyobraźnia, które zemsta kreśli;
Zemsta chciwa pokarmu, drżąca jak zmysł głodu.

Chcąc myśl obłąkać, czytaj dziką powieść Wschodu,
A choć odbiegniesz treści, dźwięk rymów powrotny
Będzie jak szmer fontanny bezmowny, lecz smutny! —

MNICH.

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinaj w Arabji, trudniący się, zwyczajem średnich wieków, przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej karcie przepisanej księgi dodaje następujące słówa.

W samotnej celi w Sinaju klasztorze,
Czekam posępny aż wiek mój przeminie;
Modlę sie, patrząc na czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika;
Oto na białym księgi pargaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzeszone myśli, które się zatarły,
Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa!
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy —
Różnie barwiłem początkowe słowa;
Po ścianach błyszczą święcone obrazy —
Purpurę, złoto i drogie błękity,
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką —
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana —
Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.

Było to w roku — Narodzenia Pana —
W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady.
Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą:
Brat jeden konał, posępny i blady —
Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

«W zakonnej celi, pod habitem mnicha,
Konam samotny — — Włóż kamień pod głowę,
Niech na nim zasnę — Noc ciemna i cicha.
Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę.

«Niegdyś na czele pokolenia ludu,
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne;
Niegdyś szczęśliwy, wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę.
A gdy mię rozpacz przyciśnie gwałtowna,
Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem.
Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,
I cisnę sztylet, stal jego hartowna —
Tak można było pisać na nim złotem, [1]
Jako ty piórem piszesz w twojej księdze.

II.

«Marzyła dusza. Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy;

[1] Jest to oznaką prawdziwej damasceńskiej stali, iż potarta złotem, zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcu.

Często myślałem że już niedaleki,
Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy —
Płoche to było i marne złudzenie.

«Raz jednak z wiatru zachodnim powiewem,
Doszło mię dzikie, melodyjne pienie —
Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, do koła!
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła:
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony.

«Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili —
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta,
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jej czole złoty liść rozkwita,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła.
Nie znałem wówczas sztuki malowidła;
Widziałem tylko, że anioł nademną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moją ciemną — —
Wtenczas rzuciłem ojców moich wiarę!

III.

«Ty mówisz mnichu, że to dzieło cnoty?
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę!
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty:
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli —
Sam ojciec przeklął: Idź, wyrodne dziecię!

Idź w świat i zostań sam jeden na świecie! —
Przeklął i wszyscy przedemną pomarli.

IV.

«Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wyryta!
Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu:
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu,
Utonie kiedy do mogiły piasku,
Jeśli ją tuman nakryje stepowy,
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,
Jak gdyby wczoraj rosła wśród oazy,
Jak gdyby wczoraj zerwana na błoni:
Tak postać Zary kwitnącą, od skazy,
Mogiła myśli gasnących ochroni. —

«Pamiętam dotąd jej dziecinne słowa.
Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,
Raz mię pytała: «Tam, pod gwiazd błękity,
Co to za lampa błyszczy kryształowa?
Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonął!
Zapewne księżyc w ich łono utonął,
I w alabastrach błyszczy się ukryty —»

«Nie przeszła chwila, już byłem na górze,
Wśród śniegów, lodu — i w tak prędkim biegu
Wróciłem nazad, że doliny róże
Kwitły, utknięte w wazonie ze śniegu.

V.

«Ja miałem brata — Całe pokolenie
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,
Dzieliło razem i głód i pragnienie;

A teraz każdy z braci mię przeklina,
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

«Raz zapędzony na łowach daleko,
Wracałem w skwarne pustyni południę.
Koń mój z pod kopyt miotał piąsek wrzący —
Chwiał się, znużony pragnieniem i spieką,
W rozwarte nozdrza chwytał wiatr gorący

«Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia.
Rzekłem do niego: «Słuchaj, bracie młody,
Musisz mieć wodę — daj mi kroplę wody.
Widzę że pełne twe juki podróżne;
Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia.» —

A on mi na to: — «Czary moje próżne;
Ostatnia pełna, ciskam ją o głazy.
Umieraj zdrajco. Giaur niechaj nie żyje!
Gdybym gdzie wiedział pobliskie oazy,
Z których ty pijesz, albo koń twój pije,
Zatrułbym wody — — Bogdaj nie ochłódło
Niebo, skąd chłodu twa dusza wygląda.» —
«Krzyknąłem wściekły: «W żywocie wielbląda
Dla mego konia znajdę wody źródła!»

«I obaj zbrojni zwarliśmy się razem,
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.
Upadł przeciwnik przebity żalazem —
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga zlata!
Patrzę się — przebóg! ta twarz z pod turbanu
Dobrze mi znana — — Już nie miałem brata.

VI.

«Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,
Koń który myśli Araba przenika.

Jak struś na stepach, gdy skrzydła rozwinie,
Ledwie się ziemi stopami dotyka;
I grzywa konia z wiatrami igrała.

«Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójecka strzała.
Ojcze mój! Ojcze; okropna to zdrada!
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

«Rumaka mego przeszło śmierci drganie,
Parsknął i głowa na piasku zaległa.
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa —
Stepy bez końca — — Już nie miałem konia.

VII.

«Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury
Wleciał do smutnej celi zakonnika?
Motyl, nie strojny w złoto ni w lazury,
Ledwo z jedwabnej dziś zmartwychwstał trumny,
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,
I ma na skrzydłach pisany gniew Boży, [1]
Co mu tak ciąży, że je w ogniu pali — —
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,
Lśni przed nim jasność samobójczej stali;
Patrzy posępny na niebios sklepienia,
Twarz ma pobladłą i wzrok zapalony,
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,
Silne, jak drżenie głodu czy pragnienia

[1] Na skrzydłach wielu motyli, a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki. Lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie i że zawierają napis «Gniew Boży.»

VIII.

«Piękny nasz kościół! U stóp jego wały
Spienione miecą na głazy ukropy;
Stoi na skale, jego krzyż nad skały,
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy.
A cudne palmy, pustyni królowe,
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;
Czołem zmiatają ganki marmurowe,
Jak gdyby chciały w prochu złożyć czoła. —

«Lecz wczoraj —! Wspomnij godzinę przestrachu,
Kiedy na kościół napadli Araby.
Straszliwy odgłos rozbiegł sie po gmachu,
W klasztornej sali zebrali się mnichy —
Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?
Już miano wydać kościelne kielichy,
Gdy ja stanąłem: «Bracia! czyż niegodnie
Mamy się poddać? Niech nas Bóg ośmiela!
Weźcie do ręki psalmy i pochodnie,
I czarne szaty i krzyż Zbawiciela!»
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem
W sam tłum Arabów, niosłem ślepe ciosy.
Za mną się światła snuły długim rzędem,
I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.
Pod mieczem mnicha legł nie jeden zbójca;
A kiedy wodza spotkałem na błoni:
Mnichu widziałeś! On poległ z tej dłoni —
W twarz mu zaglądam — — Już nie miałem ojca.

«A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,
Rzekł mi, konając: «Synu! kryłem lica,
Abyś się w boju nie wahał uderzyć,
Abyś wyrzucał sobie śmierć rodzica.
Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj
O zmarłych — ciesz się z tymi, co zostali —»

«Ona — umarła — od zgryzot? od stali?»
«Nie wiem, nie pytaj — lecz ojca przeklinaj!» —

IX.

«I pokolenie płacze po swym królu!
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka, gdy w wymarłym ulu,
Siedzi posępna nad córek grobami. —
I sama szuka grobowego cienia!
Ale łza moja pamięć przodków plami.
Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,
Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita.
Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;
Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,
Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy.
I znów się głębiej oko moje wkrada:
I znowu patrzy, znowu dziko marzy,
Z łona księżyca wykwita twarz blada —
I znów poznałem — to były jej rysy!
Smutne pamiątki wzrastają bez końca,
I tak się krzewią jak czarne cyprysy;
Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

To moje życie — — teraz śmierć się zbiża.
I czuję w sercu nieznaną tęsknotę!
Wyznam ci mnichu, choć ściskam znak krzyża,
Noszę na piersiach amulety złote, [1]
Przez nią mi dane, jej ostatnie dary.
A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,
Nie drżyj — myśl godna chrześciańskiej wiary.

[1] Amulety są rodzajem talizmanów; urobione z drogiego kruszu, zamykają najczęściej wiersz koranu.

Tak mówi Prorok: «Dusza wiernych święta,
«Niechaj miłością nienawiść odpłaca;
«Niech jako muszla srebrzystego łona,
«Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,
«Morderce swoje perłami zbogaca.»
Mnie przyjaciele zdradzili najszczersi —
Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,
Więc zerwij! zerwij talizmany z piersi!
Muzułman gdy się z amuletem dzieli,
Słyszy ostatnie westchnienie anioła —
Zerwij. — Co słyszę! czy to wiatr w tej celi
Smutnie zaszumiał? — Słyszałem westchnienie!»

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIEJ.

«Ciebie głos westchnień tłumionych zasmucił?
Zniknęła niegdyś jak senne marzenie,
A obraz drżący i zbladły powrócił
Do twojej myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
Aby cię znowu do snu ukołysał.
Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,
A ty się wiersza pozbywasz koranu?
O luby! pomyśl kto ten wiersz napisał,
Wspomnij na piękne krainy Iranu!
I patrzaj na mnie — tu jestem, tak blisko!
Czyliż ci moje nie znane wyrazy?

«Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko?
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miły podrgżenón oęci,

A gdy się zbliży, we mgłach się rozpływa:[1]
W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
Blady, jak iskra gasnącej pamięci.

«Oto przybyłam na blasku księżyca —
Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi,
Śmiertelna bladość twarzy mi nie kazi.
Chciałam być piękną — ukrasiłam lica
Kolorem róży czarownego kraju;
Chciałam być piękną — ożywiłam oczy
Promieniem rosy — woń moich warkoczy,
Jest tak łagodną jak tchnienie róż maju.

«Pomyśl mój luby! chwila już się zbliża —
Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?
Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
On nas rodziela — odrzuć go daleko!
Pójdziemy błądzić, para błędnych cieni,
W błędne krainy. — Tam przed skwarną spieką
Wiecznie nas kryją z mgły uwiane drzewa;
Wśród kwiatów źródła z sennym szemrem płyną —
Jaśmin srebrnemi kwiatami powiewa —
Inne tam słońce lśni nad tą krainą,
Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje;
Jak eter czyste wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe,
A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje.

«A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
Będziemy żyli samotni w tym raju.
Ani Araba koń nas nie dogoni!
Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi,
Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystej fali —
Kraj nasz czarowny i mieszkańce kraju,

[1] Wielu podróżnych wspomina o tych dziwnych zjawiskach przyrodzenia. Pielgrzym dręczony pragnieniem, często spostrzega w pustyni niedalekie jeziora a nawet obrazy palmy, które za zbliżeniem się wędrowca znikną. — Są to może krainy duchów.

Spłyniemy w stepy — coraz dalej! dalej!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

«Ach pomyśl pomyśl nad szczęścia obrazem,
Powiedz mi słowo — sen twój nie daleki —
Ty milczysz — Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl! — już nigdy nie będziemy razem,
I nigdy nasze nie złączą się duchy —
Ty milczysz —!»

MNICH.

Boże! zniknęła — — O Mnichu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,
Albo mi powróć święty wiersz koranu!
Słyszałeś! smutna to była rozmowa!
Słyszałeś? —

SPOWIEDNIK.

Bracie, ufaj w niebios Panu.
I sam się łudzisz — i twe myśli, słowa,
Brałeś za płonne wyrazy dziewicy —

XII.

MNICH.

«Ojcze! zgrzeszyłem — — Gniew Boskiej prawicy
Roskruszy serce obłąkane, wrące —
Mnichu! gdzie koń mój! gdzie koń mój stepowy?
Koń co tak prędko pustynie przelata,
Miecąc kamienie i piaski kipiące!
Wody dla konia! choćby ze krwią brata! —

«Ach szybkie! szybkie odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie!

«Mnichu! gdy potok lat prędki przeminie,
Zdaje się krótkim, jako przelot konia;
A ja tak prędko śpieszył się przez błonia,
Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

«Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja — z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu!
I orszak mnichów niosą kir, kobierce,
I światła w rękach i zakryte czoła —
Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru
Nie ma boleści — — Zimne mnicha serce!
I modły zimne jak mury klasztoru! —

«Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca;
Miło umierać wśród kwietnej oazy.
Widziałem drzewa co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży, drżą radości drżeniem — [1]
Tam drzewa czują — tu ludzie jak głazy.

XIV.

«Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu.
A może Arab co się jazdą strudzi,
Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
Na pół ockniony, nim znowu zadrzymie,
Przypomni sprawcę swego króla zgonu:
Senny, z przekleństwem wymówi me imię!»

[1] Tomasz Moor w poemacie Lalla-Rook, wspomina o drzewach, które drżą liściami za zbliżeniem się człowieka.

ARAB.

Klęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu.
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi, bladną i śmiać się nie mogą.

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,

Gdym biegł na stepy, wróg ludzkiej uciechy.
Z łez cudzych winne wybierać haracze —
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy,
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
Ha! czyż mieszkaniec tej nędznej siedziby
Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Niskiej zagrody przestąpiłem progi,
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty,
Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec, pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.
Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły. — O nędzo żebraka!
Perły — to perły! tak małe? bez blasku? —
Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,
I wiodłem starca po nad brzegi morza.
Patrz, rzekłem, oto z łupów karawany
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany,
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne.
Zginęła perła, starania daremne!
Wypłynął — była na twarzy zgryzota.

Zatrułem szczęście i pokój człowieka,
Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
O jak obfite do morza łzy leje!
Widziałem potem jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łoże;

I wołał z jękiem i płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty!

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana,
Dalej wielbłądzie! dalej na pustynie;
Może gdzie radość błyśnie niespodziana —
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi,
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,[1]
Nieraz się smucił przewidując burze;
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
Koral jak majtek cieszył się pogodą!
Ale zerwany wichramy jesieni,
Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
Płynęła zwolna wielka karawana;
Gdy przypłynęła nad pustyni studnię,
Powstała wrzawa ze śmiechem zmięszana;
Tłum cały bieży prędkiemi zawody.
Potem jak stadem spłoszone żurawie,
Gwarzy wesoło i zaczerpia wody —
Ale śmierć była w tej wody przyprawie.
Była trucizna. — Ha! po co się śmieli? –
Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
Tam upadł drugi — tam bracia skostnieli,
I czara drżąca z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś, że Diwy, że ciemni Anieli
Na świat zarazy wyrzucali tchnienie;
Ani tak liczne na brzegu kamienie,
Jak były trupy! — Z całej karawany
Pozostał starzec — młodsi go ubiegli —

[1] Zdaniem naturalistów koral jest istotą żyjącą, a każda z jego gałązek składa się z mnóstwa ożywionych stworzeń.

Pięciu miał synów — wszyscy trupem legli —
Przybiegł nareszcie gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu,
O! rozpacz! martwe było całe plemię!
Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
Chwycił truciznę, z synami się złączy!
Przybiegłem — starca chwyciłem na strzemię,
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy —
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
Uniosłem starca i puściłem cało.
Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało — —

Dalej wielbłądzie! po co zwalniasz kroku,
Gdy mię roskoszne zajmują wspomnienia.
Tu cicho, pusto — i tylko z obłoku,
Księżyc posępne czoło rozpromienia.
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem życia zamknie w sobie;
Cicha — lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj — usłyszysz gwar w kamiennym grobie;
Rzekłbyś że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmięszanym rozpowiada szumem.

III.

Dawnemi laty — — jeszcze byłem młody
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody!
Leciał i parskał i białemi piany
Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć, ścigany,
A koń mój leciał jak gdyby miał skrzydła.

W tem patrzę — między dzikie pustyń głazy,
Jakby czarowne raju malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą między źródła kryształowe,
Stała dziewica, królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku,
W połowie widna, skryta przez połowę;
A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej mój koniu — — Sroższy nad tygrysy,
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mię zrozumiał — zaniósł pod cyprysy,
Tam Solim w cieniu cyprysowym drzymie.
Dzięki ci koniu! Patrzę jego rysy
Błyszczały szczęściem — zginąłeś Solimie! —

Dziewico! wkrótce wróciłem w te strony,
Chciałem się łzami nacieszyć twojemi:
«Ha gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?»

— «Mój luby» rzekła «na piaskach spoczywa,
A wiatr pustyni jego ciałem miota;
Lecz skoro pierwsza błyśnie gwiazda złota,
Dusza się jego od ciała odrywa —
Ty nie wiesz, nie wiesz, jakiem ja szczęśliwa!
Jego duch w niebios niesiony błękicie,
Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
A dusza jego zgaduje przybycie.[1]

[1] Obraz, który tu następuje, jest oparty na podaniu wschodniem, że upiory wracając na świat, piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali za życia. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiora ucinając zmarłemu głowę.

«Gdy nic milczenia nocy nie poruszy:
Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
Zanadto głośnem wydaje się bicie;
On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
Nie są to zmysłów znikome utwory,
Ja go tu czuję — widzę — on ponury!
Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
Ubrany w tęczy złociste kolory.
Jego głos, długie i długie godziny,
Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca!
A gdy ustami dotknie lekko lica,
Zda się, że spadły kwieciste jaśminy.

«Potem się zbliża i krwi krople pije,
Ciężkie rozpaczy wydaje westchnienie;
A kiedy od niej błyśnie i odżyje,
Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie;
Widzę z roskoszą jak źródło wysycha.
On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
I sam z roskoszą tem tchnieniem oddycha;
Na chwilę moje zatrzymuje serce,
I jego serce zaczyna bić z cicha.
Z oczu mi bierze po światła iskierce,
I jego oko tym się ogniem pali:
Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu,
I jego lice bierze blask korali,
Cały rozwita podobny do kwiatu.

«A gdy on smutny wini los i siebie;
Serca Solima zachwycona biciem,
Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie,
Że Solim jeszcze żyje mojem życiem!
Wśród nocy, w całej piękności i sile
Błyszczy, jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile.
Lecz skoro pierwsze promienie poranka,
Oświecą niebo w mgły różano-strojne,
Próżno go tuli do łona kochanka,
On drży i zwraca oczy niespokojnie;

I coraz gaśnie i coraz blednieje —
I tak, jak księżyc kiedy słońce zoczy,
Blednie i we mgłach topi się i mroczy —
Tak Solim w mgły się błękitu rozwije.»

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci.
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogiły stepów nie porzuci!
Teraz dziewica cienia nie zobaczy —
Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora,
Przezemnie tylko — umarła z rozpaczy.

Dalej wielbłądzie tak pusto do koła —
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
I głośno bije skrzydłami czarnemi.
Szczęśliwszych nie ma odemnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz jako liściem miłośnie powiewa;
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżyca,
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niebieskie odebrała szaty,
I dała swoją barwę — swoje lica —
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.

Stój! stój wielbłądzie! tę palmę podpalę
O nie, zasypię źródlane kryształy.
I skona palma w piekielnym upale —
Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały.

Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom — śmierć się zbliża.
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
Widzę zdaleka śmierć posępną, ciemną —
Już się czarnemi skrzydłami nasuwa:
Zasnę — — Już widzę jak wkrótce nademną,
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa;
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje,
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! nie chcę raju — lecz proszę Proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam Prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiem szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szszęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tej samotności przerwać się nie waży.

POEZJE

DRAMATYCZNE.

MINDOWE

KRÓL LITEWSKI,

OBRAZ HISTORYCZNY

W

PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

MINDOWE, Król Litewski.
ROGNEDA, matka Mindowy, ociemniała.
HEJDENRICH, Krzyżak, Legat Papieski.
DOWMUNT, Książe Znalszawski.
ALDONA, żona Dowmunta.
TROJNAT, synowiec Mindowy.
HERMAN, Krzyżak.
WOJSIEŁKO, mnich, syn Mindowy.
LUTUWER.
KRZYŻAK.
MNICH 1SZY.
Litwini, Krzyżacy, Paziowie, orszak Mnichów.

Scena w Zamku Nowogrodzkim

MINDOWE.

AKT I.

SCENA I.

(Sala w zamku Mindowy.)

TROJNAT, HERMAN; PAZIOWIE niosą kobierce.

HERMAN, do Paziów.

Rozścielcie tu kobierce, Papież je przysyła
Dla króla poganina, co dzisiaj chrzest bierze.
Święta korona skronie pogańskie okryła,
Niech więc czci wiarę, niechaj jej świętości strzeże;
Niech poważa Krzyżaków święcone klasztory.

TROJNAT.

Jakże cudnie utkane zamorskie bisiory!
Po takich łąkach nieraz śledzę sarny tropy.
Niemcy musieli pokraść z naszych dolin kwiaty,
Wstąpię na nie, woń może wydadzą z pod stopy.

HERMAN, wstrzymując go.

Wybacz Książe Trojnacie, nie masz chrzestnej szaty,
Nie możesz po nich stąpać, z Rzymu je przywożę.

TROJNAT.

A kiedy będę królem! będę mógł?

HERMAN.

Ha! może,
Jeśli razem zostaniesz i kościoła synem.

TROJNAT.

A kiedy będę królem nie chrześcianinem?

HERMAN.

Marzysz Książe!

TROJNAT.

Ty marzysz! jam dziedzic korony.
Kto wie czy będę czekał, aż losu koleją
Spadnie na mnie dziedzictwo?

HERMAN.

Łudzisz się nadzieją,
Płonną nadzieją — Słyszysz chrześciańskie dzwony!
Słyszysz? chrześciańskiemi przemawiają słowy.
Umilkły wasze bory, ustały drzew szumy,
I ludzie milczeć będą i uchylą głowy.
Słyszysz te dzwony! teraz zbądź niewczesnej dumy.
Zbladłeś?

TROJNAT.

O nie! myślałem — że dzwony usłyszę
Na pogrzebie Mindowy.

HERMAN.

Przy dzwonów odgłosie
Może ciebie w grób włożą!

TROJNAT.

Ja — spłonę na stosie:
Mnie modrzew cichym szumem do snu ukołysze —
Jeszcze usiądzie sokół na martwem ramieniu,
Nastrzępi pióra — chartów zaskowycze sfora.
Ani mię ciasna ziemi uwięzi zapora:
Ja z pieśnią Wajdeloty ulecę w płomieniu,
Ulecę — może razem z jaką Niemca duszą.

HERMAN.

Nie słyszę twojej mowy, bo ją dzwony głuszą.

TROJNAT.

Wykręt krzyżacki — słyszał —

HERMAN.

Już wydane hasła,
Śpieszę chrzcić Króla Litwy.

TROJNAT.

Tyś zawsze gotowy
Chrzcić i grzebać ochrzczonych — idź na chrzest Mindowy
Zapal tam świecę — zapal — i strzeż by nie zgasła —
Nim się dopali, pójdziesz za Mindowy trumną,
Oszczędzisz sobie trudu.

HERMAN.

O Książe Trojnacie!
Nadto słabą masz rękę, duszę nadto dumną;
Do czegóż próżne grosby — ?

TROJNAT.

Czyliż wy mniemacie
Że trudno zabić stryja? Ochrzcić trudniej było,
A wyście go ochrzcili. Byłem królem we śnie,
A o chrzcie nigdy mi się nawet i nie śniło.

HERMAN.

Jeżeli tak? zamiary odkrywasz zawcześnie.
We mgle ukryta zemsta, posępna i cicha,
Jest stałością rycerza: jawna — dumą dziecka.

TROJNAT.

Gdzież więcej dumy, jako pod tą zbroją mnicha!
Jak wąż się kryje, podła, nikczemna, zdradziecka!
Sam cel często łożonych trudów nie opłaci —
Patrz! Braciszek zakonu, najpodlejszy z braci,
Ostatni, wśród posępnej wychowany celi!
Nędzny — na granitowej zasypia pościeli,
Lub, o nędzo człowieka! w trumnie odpoczywa.
I tam uśpiony, dumę zdradza przez sen, słowy:
Rządzi klasztorem, z dumnej przełożonych głowy
Brylantami błyszczący znak godności zrywa,
I sam się stroi. — Patrzaj! a ten przełożony,
Już marzy o czerwonym na głowę birecie!
A ten co biret posiadł — przez sen już ma trony,
Trony papieskie — — Papież? Papież, starzec, dziecię —
Dziecię przy Królu Litwy — nie straszny nikomu!

HERMAN.

Wielki nasz Papież usiadł gdzieś w Italskim domu,
Z drżącą starości dłonią, z osiwiałą głową.

Wielki — — Niechaj wyrzeknie jedno ciche słowo,
Którego brzmieniem ledwo zabrzmią echa sali:
Od dźwięku tego słowa mnogi tron się wali —
Spadają króle, berła wypuszczają z dłoni,
Lub chwieją się jak wieże, gdy Bóg wstrząsa ziemię!
Ale gdy twarz łagodną przed ludem odsłoni,
Chrześcian mnogie na twarz pada przed nim plemię —
Drżące błogosławieństwo starca się rozlega,
Od wzniosłych wież Solimy do Baltyku brzega.
Książe! będziesz przytomny przy chrzestnym obrzędzie?

TROJNAT.

Nie jestem wam potrzebny.

HERMAN.

Żegnam cię.

(Odchodzi z orszakiem paziów.)

TROJNAT sam.

Więc wszędzie!
Wszędzie mnichów spotykam! — Ale przyjdzie pora —
Przyjdzie — on zginąć musi — z nim Niemcy wyginą.
Mindowe, pierwszy z Książąt, Niemcom groził wczora,
Dziś tron otoczył zdradną Krzyżaków drużyną!
Lecz ten sztylet — w nim Litwa pokłada nadzieję —
Ze mną jest lud, kapłani, Dowmunt mąż Aldony.
Dowmunt gdy na się zbroję krzyżacką przywdzieje,
Przyjdzie szukać wydartej przez Mindowę żony;
I mścić się będzie — dla mnie wolny tron zostanie.

(Patrząc w głąb.)

Oto matka Mindowy, ciemna, obłąkana.

(Rogneda wchodzi chwiejącym się krokiem, rękami naprzód wyciągniętemi szukając drogi.)

Rognedo! przyjm od twego wnuka powitanie.

ROGNEDA.

Wnuka? ja nie mam wnuka — nie mam syna — zrana
Miałam syna i wnuka — już syna grób kryje.

TROJNAT.

Rognedo, ty masz syna! Syn twój żyje.

ROGNEDA.

Żyje?!
Syn mój żyje — ze wzrokiem pamięć utraciłam —

Kiedyś patrzałam na świat, wtenczas i ja żyłam,
A teraz noc tak ciemna! — Boże Litwy! — Bożę!
(Siada z obłąkaniem starości.)
Anno! daj mi przędziwo, oto zeszło zorze —
Dziewczęta! wy do pracy — miły szmer wrzeciona —
(Po chwili.)
Śpij moje dziecię! matka przy tobie,
Na twojej głowie korona.
Śpij moje dziecię! śpij moje dziecie!
On żyje i ja żyję — ale moje życie
Bliskie! bliskie już grobu — i on zaśnie w grobie.
Nie ujrzę go przed śmiercią — śmierć prędko się zbliża.
Czy go widziałeś? jak on wygląda? —

TROJNAT.

Mindowe?
Krzyż ma na piersiach.

ROGNEDA.

Nigdy nie widziałam krzyża
Jak on straszny być musi —

TROJNAT.

Krzyże brylantowe.
Są darami Papieża.

ROGNEDA, podnosząc się ze zgrozą.

Papież! Papież!
(Pada na krzesło.)

TROJNAT.

Kona.

ROGNEDA, po chwili.

Anna! staw kołowrotek, podaj mi wrzeciona.
Papież! kto tu wspominał Papieża? — To echo,
Echo mojej pamięci rani mię boleśnie.
Dwóch miałam synów — tamten był moją pociechą,
Twój ojciec — drugi — marzę — ja marzę jak w śnie,
Drugi — gdzież jest syn drugi? —

(Podczas ostatnich słów wchodzą na scenę: MINDOWE w białej chrzestnej szacie z koroną na głowie. HEJDENRICH w ubiorze Legata; z pod komży przeźroczystej przebija się zbroja. HERMAN, niesie krzyż złoty przed Legatem. DOWMUNT w krzyżackiej zbroi z zapuszczoną przyłbicą, na której jest godłem róża; na wezgłowiu również niesie złotą różę i opodal od tłumu opiera się o jeden z filarów. LUTUWER.)

Czuję krew koło mnie,
Mindowe jest tu blisko — Przybliż się Mindowe!
Pewnie z nowej wyprawy wieziesz łupy nowe?
Pewnie teraz twa sława zabrzmi wiekopomnie?
Słyszę jak lud okrzykiem uwielbia twe czyny —
Czy wracasz z ciemnej Żmudzi? z ponad brzegów Dźwiny?
Czy ukorzyłeś Niemców zakon świętokradzki?
Czy Ruś drżała przed tobą? czy drżał król Kipczacki?
Czy z mnogim wracasz łupem? z mnogiemi dostatki?
Powiedz, cieszyć się będę, i ze łzami matki
Będę ci błogosławić — przybliż się mój synu.

MINDOWE.

Matko! co te szydercze słowa mają znaczyć?
Na ubłaganie Bogów dam kubeł bursztynu,
Dam dwa, jeśli za jeden nie zechcą przebaczyć.

ROGNEDA.

On bluźni! jam słyszała — on bluźni! — O Książę!
Nie mogę równie pojąć co znaczy ta mowa!
Z ust twoich płyną dzisiaj niezwyczajne słowa;
Lecz jeszcze miłość matki do ciebie mnie wiąże —
Zbliż się, z błogosławieństwem dłoń ma na cię spadnie.
Cóż to? ty mnie unikasz jako zgryzot mary;
Czy bez wszystkiego możesz obejść się tak snadnie,
Jak bez błogosławieństwa matki — i bez wiary?

MINDOWE.

Nie; są rzeczy bez których obejść mi się trudno,
A wszakże się obchodzę, potrzebą naglony.
Tak z niejedną dzierżawą rozstałem się ludną:
Oddałem Haliczanom brylant mej korony,
Ów Słonim, co wśród smugów wznosi się pod niebo,
I Wołkowyskie moje rozległe dzierżawy.
Rognedo! trudno mi się obejść i bez sławy,
Jednak sławie ująłem, naglony potrzebą.
Jestem królem, lud wielbi — szydzą wojownicy!
I straszniejszy dla Niemców był połysk przyłbicy,
Niżeli ta korona, która tylko świeci
Blaskiem marnym dla niewiast i gminu i dzieci:
Ale cierpmy do czasu, taka losu wola —

Trudno, nawet Mindowie, z losem działać sprzecznie. —
Matko! czyliż mnie będziesz nienawidzieć wiecznie?
Matko! czyż ci nie miło widzieć w synu króla?
Oto przed tobą czoło wieńczone uginam,
Błogosław mnie więc Matko! błogosław!

ROGNEDA, wyciągając nad nim rękę.

Przeklinam!

HEJDENRICH.

Nikt nie odpowie Amen.

ROGNEDA.

Mindowe! Mindowe!
Posłuchaj mnie — słuchajcie wy mnichy krzyżowe!
Przekleństwo wam! przekleństwo krzyżackiej obłudzie,
Co jak zaraza Litwę ciemnem skrzydłem kryje!
Synu! ciebie zaraza dotknie — nie zabije,
Ale od ciebie będą uciekali ludzie.
Zostaniesz sam na świecie, będziesz żył mój synu!
Wymrą ludy, na któreś kładł żelazne pęta,
I zostaniesz samotny na mogiłach gminu.
Ta wiara! wiara ciemna, przez ciebie przyjęta,
Połączy cię z narodem co Litwę pochłonie.
Siedzisz na tronie, z tobą i Papież na tronie!
Mindowe, ty masz dzieci — to będą morderce!
Idź, zabij je w kołysce, własne morduj syny!
Urodziłam gadzinę, ty rodzisz gadziny!
Ha! rozdarłam ci serce! rozdarłam ci serce!

(Wychodzi wsparta na Trojnacie.)

MINDOWE.

Słyszeliście!

HEJDENRICH.

Cóż znaczy przekleństwo poganki?

MINDOWE.

To jest przekleństwo matki! Ale tak — cóż znaczy?
Marne słowa bezsilnej zemsty i rozpaczy?

HEJDENRICH.

Zaprzestańmy już przykrej o przekleństwach wzmianki — —
Oto z błogosławieństwem niosę list Papieża.

MINDOWE.

Ja nie znam pisma — czytaj!

HEJDENRICH.

Krótko rzecz przełożę —
Papież ciebie pozdrawia królu, w imię Boże,
I chrześcian poddanych twej pieczy powierza.
Przypomina ci królu, abyś był gotowy
Bronić twej wiary mieczem, a rozszerzać słowy.
Nadto — znając jak wielka jest twoja potęga,
Gdy państwo Litwy mieczem skreśloną granicą,
Od Baltyckiego morza, do hord Krymu sięga,
Powiększone nie jedną ościenną dzielnicą,
I jak potok wezbrany ciągle się rozlewa. —
Z wielkich krajów nasz Papież twej wielkości miarę
Biorąc, po wtórnym synu słusznie się spodziewa,
Że skoroś tak ukochał chrześciańską wiarę,
Dając nam przywiązania niemylne dowody,
Zechcesz jak czynią Polski i Niemiec narody —
(Mindowe się marszczy.)
Znana albowiem wielka wspaniałość Mindowy —
Zechcesz mówię, jak czynią inni wojownicy,
Na olej lampy, w Piotra świętego kaplicy,
Przysyłać rocznie w darze jeden grosz od głowy.
A chcąc dowieść jak wielle cnotę twą miłuje,
W zawdzięczenie ci Papież, daje i daruje,
I wszelkiej władzy tobie Mindowe użycza,
Nad wszystkiemi krajami, które w dalsze lata
Zagarniesz mieczem w Rusi, u Towtwiła brata,
Lub zyskasz na Danielu książęciu z Halicza.

MINDOWE.

Czy to szyderstwo? pierwszy raz papieska mowa,
Zabłądziła aż w Litwy ponure krainy;
Pół dnia płynęły słodko twe miodowe słowa,
Z trudnościąm rzecz wyśledził wśród słów plątaniny.
Cenię łaskę Papieża — korzystać z niej będę —
Zatrzymam pewno kraje które sam zdobędę;
Nikomu nie ustąpię mojej pracy plonu.
Wezmę kraje zdobyte na Haliczu, Rusi,

A gdy się uda, kraje waszego zakonu.
Papież gdy tak rozdaje, sam wiele mieć musi,
A stąd rzecz uważając, łatwo teraz wnoszę,
Że mu na olej Litwy niepotrzebne grosze.

HEJDENRICH.

Ze złej widziana strony rzecz, złą się okaże;
Lecz wierzaj mi, najlepsze są chęci Papieża.
Patrz jaką drogą świętość przysyła ci w darze;
Jej straży twoje ciało i duszę powierza,
Ona ustali cnoty, zagasi zapały. —
Pewnie wiesz, jak Sebastjan z cnót swych znakomity
Skonał męczeńską śmiercią — oto drzewce strzały,
Którą ten święty został na krzyżu przebity,
Obficie napojone we krwi Sebastjana.

MINDOWE, wyjmując sztylet.

Dam ci podobną świętość dla Papieża pana.
Ten sztylet od dzieciństwa wisi mi u boku —
Pił krew starców i niewiast — i tkwi mi w pamięci
Że kiedy umierali, w tym ofiar natłoku,
Było kilku tak świętych, jak są wasi święci.
Cóż to? drżysz —

HEJDENRICH.

O Mindowe! godzien Boskiej kary
Ten, kto wiarę przyjąwszy, bluźni przeciw wiary!
Z naszej ręki niedawno wziąłeś tytuł króla,
Jeszcze nowa twa godność niepewna i drżąca!
Wiesz jak czarno pisana nasza Rzymska bulla:
Dawnych królów, cesarzów, z dawnych tronów strąca,
Jednym pociągiem pióra, bez sporu, bez bitwy — —

MINDOWE.

Kiedy nie będę królem, będę Księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił,
I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił.
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę —
Ci wolno nie gadają, których jarzmo gniecie —
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?

Czy jest jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe!

HEJDENRICH.

Panie! oba innemi przemawiajmy słowy.
Przez usta posła Papież uczucia wynurza,
Zakończę więc poselstwo —
(Wskazując na niesione przez Dowmunta wezgłowie.)
Oto złota róża,
Dla twojej, panie, żony — Litewskiej królowy.

MINDOWE.

Dla mojej żony? dawno umarła mi żona.
Czyż nie wie o tem Papież?

HEJDENRICH.

Przebacz błąd Papieża
Ale ta ciemna Litwa, lasami omglona,
Zasłania cię przed światem; zamku twego wieża
Jest niższą niż te sosny. Komuż złożę dary?

MINDOWE.

Matce mojej —

HEJDENRICH.

Święconej nie przyjmie ofiary.

MINDOWE.

Posłuchaj więc Krzyżaku, złóż je przed Aldoną —
Jest siostrą mojej żony, będzie moją żoną.
Niech tu stanie Aldona!
(Jeden ze straży wychodzi.)
Wy! głowie kościoła
Odnieście te wyrazy: Choć korona złota,
Z lekkiej blachy, zaledwo dotyka mi czoła;
I gdyby nie przecudna jej liści robota,
Ledwie kilka florenów zaważy na szali;
Jednak wdzięcznie przyjmuję dar papieża pana —
Lekką jak liść koronę żelazo ustali.
Jakiż tron jest świetniejszy? Czyli Ruś znękana,
Gdzie książęta, stargawszy krwi zwiąski przyjazne,
Lodowaty kraj niszczą — jedne tylko Lachy,
Rosnącej Litwie piersi stawiają żelazne.
(Aldona wchodzi.)

Oto jest pierwsza z dziewic Litewskiego grona,
Sprawiaj twoje poselstwo.

HEJDENRICH, do Aldony.

O ty! której skronie
Wkrótce uwieńczy Litwy złocista korona,
Przyjm różę, którą Tybru wychowało błonie!
Tam pod wiary promieniem złote rosną kwiaty.

ALDONA.

Źle się zgadza blask złota z żałobnemi szaty!
Miałam męża — mam męża, jeśli jeszcze żyje —
On się tuła po świecie — Przysięgłam mu wiarę —
Nigdy korona moich skroni nie okryje;
Ale wdzięcznie przyjmuję Papieża ofiarę.
Czuję, wkrótce z tym zimnym rozstanę się światem,
Ten kwiat niezwiędły, będzie mym śmiertelnym kwiatem.

HEJDENRICH.

Jak niemieckie dziewice, przyjęła bez braku —
Złoto zawsze jest złotem —

(Daje znak Dowmuntowi aby podał różę. Dowmunt się zbliża drżący.)

MINDOWE, wpatrując się w Dowmunta.

Co? Ty drżysz Krzyżaku?
Ktoś ty jest? —

ALDONA, wznosi oczy na Dowmunta.

Ach!

(Pada omdlała. Dowmunt wychodzi.)

MINDOWE.

Omdlała! wynieść ją z komnaty!
Ścigać tego Krzyżaka. Ha! co to się znaczy?
Kto on jest?

HEJDENRICH.

Nie wiem panie, nosi giermka szaty
Przybył do nas posępny, z wyrazem rozpaczy,
Zaciągnął się w szeregi nieznany nikomu;
Sądzę że to wygnaniec z wyspy Albijonu,
Na hełmie nosi różę, znak Lankastrów domu.

MINDOWE.

Precz stąd mnichy najemne! koło mego tronu
Widzę sztylety — precz stąd —!

HEJDENRICH.

Wiara królów strzeże.
Żegnamy ciebie, panie!

(Odchodzi z orszakiem Krzyżaków.)

MINDOWE.

Przystąp Lutuwerze.
Nie wiesz co to za jeden jest ów Krzyżak młody!

LUTUWER.

On najmniej podejrzanym zdawał mi się w tłumie —
Młody, jeszcze rycerskiej nie nosi ostrogi —
Milczy, bo po niemiecku nikt go nie rozumie;
Stroni ludzi, bo smutny — smutny, bo ubogi.

MINDOWE.

Trudno abyś podejrzeń ciemny tłok rozegnał.
Jam go dobrze uważał przy chrzestnym obrzędzie,
Gdy kapłan błogosławił, on się nie przeżegnał.
To Litwin — —

LUTUWER.

O Mindowe! pewnie jesteś w błędzie.
To Krzyżak. — Czyżby Litwin przywdział taką zbroję?
Z czarnym krzyżem, w krzyżackim święconą kościele;
Sam bym się nie odważył, wyznam królu śmiele,
Że ja się więcej krzyża, niż Krzyżaków boję.
A chociaż chrzest przyjąłem za twoim rozkazem,
Lękam się nowej wiary, jako nowej tarczy;
Nowa nie zawsze z wrogiem w obronie wystarczy,
Często jak szkło się kruszy, dotknięta żelazem.
Zmuszony żyć wśród Niemców, męczę się i żyję,
Lecz nienawiść do tyla rozkrzewia się w duszy —
Kiedy jestem przy Niemcach tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.

MINDOWE.

Tak myśli lud Litewski — — Słuchaj Lutuwerze,
Wierzę twej nienawiści jak w twą wierność wierzę.
Teraz mi tej ostatniej potrzebne dowody:
Ten Krzyżak, przewiduję, jest to Dowmunt młody.
Nie wiem — nigdy Dowmunta nie widziałem twarzy;
Lecz przeczuwam — on śledzi by mię zejść bez straży,

Zdradziecko zamordować — — Trzeba rzecz wybadać,
Wyśledzić — jeśli Dowmunt, pewna śmierć go czeka.
Dowiedz się —

LUTUWER.

O Mindowe i na cóż odkładać?
Nigdyś nie myślał tyle nad śmiercią człowieka —

MINDOWE.

Jeżeli teraz myślę, mam słuszne powody.
Śmierci Krzyżaka mszczą się wszyscy krzyżownicy —
A ja, nim z nimi zerwę, chcę ażeby wprzódy
Rozeszły się ich wojska z Litewskiej granicy;
Chcę żeby się wprzód Rusi rozproszyły tłumy,
Które jak czarne chmury ponad Litwą wiszą —
Potem u siebie rogi litewskie usłyszą.
Teraz niechaj rozsądek trzyma miejsce dumy.

LUTUWER.

Gdybyś posłuchał królu co radzi to serce,
Tybyś wszystkich Krzyżaków zebrał w dolnej sali,
Potem zamek podpalił, niech się z nimi spali!
Lub Litwinów ukrywszy za ścienne kobierce,
W kryjówki, w czcze kolumny, i w próżne filary,
Skinąłbyś, na skinienie padłyby ofiary,
I krzyżackiej krwi strumień po murach popłynął. —
A jeśli jest w tym tłumie i Dowmunt by zginął.

MINDOWE.

Poradziłeś z zapałem — tak radzą rycerze,
Co wolą mieczem działać, niż myślą i słowy;
Lecz nie pójdę za twoją radą Lutuwerze,
Inny mam wcale zamiar — usnuty, gotowy.
Ona sama odkryje tajemnic zasłony,
Dowmunt zginie, padając przy stopach Aldony.

AKT II.

SCENA I.

ROGNEDA, TROJNAT.

ROGNEDA, stoi oparta na kamiennym stole.

Podaj mi czarę — Litwo! Litwo nieszczęśliwa!
Dla twoich Bogów nową poświęcę ofiarę,
Syna poświęcę — rozpacz serce mi rozrywa!
Ja go zabiję z płaczem — podaj mi tę czarę! —
Napełnię ją trucizną. — Boże Litwy! Boże!
Niech on umrze spokojnie — niech nie cierpi długo,
Ja go łzami obmyję — na stosie położę,
Zaśpiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.
(Sypie truciznę.)
Łza upadła do wina, może ta łza matki
Zniszczy skutek trucizny? Czy już noc na niebie?
Tak mi ciemno — Wsypałam trucizny ostatki,
Dla mnie nic nie zostało —
(Mindowe wchodzi na scenę; Lutuwer rozmawia z nim, wskazuje na czarę i sam oddala się.)

MINDOWE, z udaną spokojnością.

Matko! witam ciebie!
Witam młody synowcze. Powracam z ogrodu,
Słuchałem jak z nad Niemna śpiew słowika płynie,
Zachwycony urokiem wieczornego chłodu;
Ale niemniej szczęśliwy przy mojej rodzinie,
Znajduję szczęście w domu — zawsze miłość wasza,
Chmury nieszczęść wiszące nademną rozprasza.
Przy was jestem bespieczny — zasypiam w pokoju.
Ty milczysz matko?

ROGNEDA.

Synu; może chcesz napoju?
Oto wino —

MINDOWE.

Już wino piłem dzisiaj rano,
Przy chrzcie moim.

ROGNEDA.

Bluźnierca!

MINDOWE, do Trojnata.

Nim gwiazdy powstaną
Trojnacie masz opuścić litewską stolicę.
Zaniesiesz Wojsiełkowi to pismo odemnie;
Zawiera ono w sobie ważną tajemnicę.
Powinno być wręczone prędko i tajemnie.
Wojsiełkowi skąd inąd znane są me chęci,
Wymagam więc pośpiechu — pomnij nakaz srogi!
Biada! jeśli się zwrócisz z przykazanej drogi,
Biada! jeśli woskowej naruszysz pieczęci.
Oto masz list.

ROGNEDA, na stronie.

Już odkrył Trojnata zamiary —
Więc pozbawiasz mię wnuka? przynajmniej z tej czary
Spełń toast pożegnania.

(Mindowe bierze podaną czarę, lecz jej nie pije. Rogneda po chwili drżącym głosem.)

Czyś wypił? —

MINDOWE, uderzając się w czoło.

Rogneda!

ROGNEDA.

Nigdyż krwawe sumienie spoczynku ci nie da?
Widzisz krew w głębi czary?

MINDOWE.

W napojach biesiady
Nigdy krwi nie spostrzegam, ale trucizn jady.

ROGNEDA.

Pokażę ci jak twoja podejrzliwość zwodna,
Spełnię ją do połowy, ty ją spełnisz do dna.

MINDOWE, ciska i tłucze czarę.

O matko, coś wyrzekła? Precz czaro przeklęta!
Tyś mi była najdroższym przodków moich darem!
Jedyny prawie spadek, zawsze dla mnie święta,
Nieraz na ucztach słodkim szumiąca nektarem.

Gdzieś za morzami w kryształ roztopione piaski
Wydały ciebie z łona — nieraz pełna wina,
Zachwycałaś zdumione wejrzenie Litwina,
Gdy słońce w tobie grało tysiącznemi blaski!
Ja ciskam cię o głazy! — Matko, coś wyrzekła!
Skąd ta nienawiść czarna? skąd ta zemsta wściekła?
Chciałaś umrzeć i syna wtrącić do mogiły!

ROGNEDA.

Ukarz mię — zniosę karę, ja mam jeszcze siły!

MINDOWE.

Ha, tak! chciałabyś matko, znosząc karę srogą,
W obliczu ludu umrzeć męczenniczką wiary?
Alem nadto przezorny, bym powściągał kary
Tych, którzy chcą mi szkodzić, lecz szkodzić nie mogą.
Bądź więc spokojną matko — uraza tak mała -

ROGNEDA.

Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała.

(Wychodzi wsparta na Trojnacie.)

MINDOWE sam.

Sam więc jestem, sam jestem; walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi;
Wędzidłem krwawem ściągać dzikie ludu hordy —
To moje życie — usta nie wydadzą skargi!
Nie widzą że ja cierpię. — Zbędę się Trojnata:
Pochwycą go, postrzygą, zamkną w mur klasztorny.
Przed ludem mię zakrywa tajemnicza szata.
Chrześcianin, Krzyżaków przyjaciel pozorny,
Wkrótce zgnębię te zmienne, dwugłowe poczwary.
Wyginą wszyscy! — Wiara? wiara -- czcze wyrazy?
Chrzciłem się, bo mi wtenczas trzeba było wiary;
Teraz, cóż za różnica — czy krzyż od Papieża,
Czy w cerkwiach ruskich złotem błyszczące obrazy,
Albo księżyc Mogołów — — Miecz wiarą rycerza. —
Lecz Aldona nadchodzi, zbadam tajemnicę,
Kto jest ów tajny Krzyżak.

(Aldona wchodzi.)

Aldona! twe lice
Zawsze we łzach — więc wszędzie widzę łzy i zdrady.?

Sztylety, trucizn czary, i miodowe słowa —
Przebacz, ciebie przelękła ta gwałtowna mowa!
Ty drżysz Aldono? zniknął twój rumieniec blady.
Oto czara z trucizną o głazy rozbita —
Chciałem ją spełnić, dotąd byłbym w cichym grobie;
Lecz wyznam ci Aldono! nadzieja ukryta
Wytrąciła mi czarę! — jedna myśl o tobie.
Aldono! powiedz słowo.

ALDONA.

Panie! twe cierpienia,
Ani mię twoja miłość nigdy nie zniewoli.
Nacóżeś mi domowe przerwał zatrudnienia!
Któremi słodzę długie godziny niedoli?
Gdy w gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu,
Widzę jak w koło srebrne toczą się przędziwa;
Gdy słyszę pieśń rodzimą w ich łagodnem pieniu,
Przez chwilę cichem szczęściem tak jestem szczęśliwa,
Że często nad mojemi krośnami schylona,
Widząc jak kwiat pod igły dotknięcien rozkwita,
Cierpień moich zapomnę — póki ciężkie z łona
Nie wyrwie się westchnienie, z oczu łza ukryta.

MINDOWE.

Tyś spokojna? ja nie chcę widzieć cię spokojną!
Szczęśliwa? nie chcę żebyś ty była szczęśliwą!
Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,
Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa.
A gdyś z widokiem cierpień nadto oswojona,
Śmierć jest dla ciebie nową, dziś skończysz dni twoje.

ALDONA, z przerażeniem.

Błagam cię panie! błagam na bogów imiona!
Nie zadawaj mi śmierci, ja się śmierci boję!
Wszystko mi, wszystko bliski zgon już zapowiada!
Koniec mój — o, przeczuwam, będzie nadto skory!
Patrzaj Mindowe! patrzaj! jak twarz moja blada,
Na twarzy rozmarzone gorączki kolory,
Szklistym blaskiem posępnie ożywione oczy —
Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy.
Nie jedna z dziewic moich, co cierpień nie znała,

Mówiąc do mnie, nim skończy, łzami się zaleje;
A gdy mówi, głos zniża, jak gdyby nie śmiała,
Dźwiękiem mowy, lub marne podając nadzieje,
Zbudzić głębokiej ciszy, która jak sen miły,
Żyjącą, osłoniła świętością mogiły.

MINDOWE.

Ty chcesz żyć, jakże silna chęć życia? Aldona!
Może w sercu nadzieje karmisz brylantowe?
O wiem ja, że głęboko oczy dziewic toną,
I przenikają głazy i zbroje stalowe.
Aż dopóki z pod hałmu nie wykwitnie lice.
Znajome, ukochane — wglądasz pod przyłbice.
Musiał być blady?

ALDONA.

Panie! kto?

MINDOWE.

Ten krzyżak młody —
Krzyżak, czy Litwin —

ALDONA, na stronie.

On go nie poznał!

MINDOWE.

Widziałem!
Jakeś zadrżała — padła! Silne to dowody,
Lecz jeszcze będą inne. — Niegdyś ja sam drżałem,
Kiedy bladość cierpienia omgliła twe czoło;
To dzikie serce z twojem sercem biło razem —
Kiedyś się weseliła, brałem twarz wesołą.
Dziś to już przeszło — dzisiaj jestem zimnym głazem.
Słuchaj! czy znasz Krzyżaka co wśród mnichów zgrai,
Nieznajome mi lice czarną zbroją tai?
Znasz go?

ALDONA.

Wierzaj mi! wierzaj! ja go nie znam panie!

MINDOWE.

Może go poznasz, słodkie to będzie poznanie!
Próżne prośby, mam zbroję i serce ze stali. —
Aldona! ja się skryję w tej przybocznej sali,
Tam każde wasze słowo dojdzie mego ucha,

Zwłaszcza gdy teraz nocy panuje milczenie;
Kiedy go będziesz witać, pomyśl że król słucha,
I mieczem przerwie krótkie szczęścia zachwycenie.

(Odchodzi przez drzwi boczne.)

ALDONA, sama.

Mindowe! o Mindowe! — Poszedł. — Nieszczęśliwa!
Zostałam sama jedna, czekać chwili zgonu,
Chwili nad zgon straszniejszej. — Lampa dogorywa.
A na dworze noc ciemna, słychać szum jesionu,
Szum sosen cichy — wszystko! wszystko mię przeraża,
Ten szum drzew i ta cisza — to cisza smętarza.
O jak mi ciężko! — Nie ma i — jeszcze go nie ma,
Może nie przyjdzie? — Boże! niechaj nie przychodzi!
Niech go anioł ostrzeże! — przeczucie zatrzyma! —

(Patrzy przez okno.)

Tam widzę, za lasami blady księżyc wschodzi,
Czarne sosny posępnym witają go szumem;
Rozdarte chmury duchów napełnione tłumem —

(Po chwili.)

Nie przychodzi — on może nie przyjdzie — ja płaczę,
W tej chwili groźnych króla niepomna wyroków!
Smutno mi że nie przyjdzie, że go nie zobaczę —
Chciałam go widzieć — Boże! słyszę odgłos kroków! —
O nie, to źródła szumią w zamkowym ogrodzie.
Ach! on idzie! to — Dowmunt, poznałam po chodzie.
Jeszcze głośniej — i głośniej — jam znowu słyszała —
Udam że ja go nie znam — żem nigdy nie znała.
Król go nie pozna —

DOWMUNT, wchodzi z zapuszczoną przyłbicą w krzyżackiej zbroi.

Potwarz okłamała zdradnie
Serce Aldony — teraz widzę ją — tak blada —
Czy dręczona sumienia wyrzutami, bladnie?
Umię rozróżnić bladość od bladości. — Siada —
Nie odwróciła lica. — Dawniej szelest szaty,
Szelest kroków odgadła — poznała — a teraz
Nie odwróciła lica! Idąc w te komnaty,
Będąc na progu, z progów wracałem się nie raz.
Tak mi okropnie! ona mię nie pozna? może
Nie zechce poznać. — Pani! — Zadrżała.

ALDONA.

Rycerzu
Ktokolwiek jesteś, w północ błądząc po tym dworze,
Módl się — oto różaniec widzę przy puklerzu,
Módl się i — wyjdź —

DOWMUNT.

Wyjdź? — Widać że Litwy królowa,
Przywykła rozkazywać — na jej zawołanie
Przybiegnie zbrojna, liczna, warta pałacowa.
Wyjdę z wrót gmachu — tylko po mnie tu zostanie
Krew —

ALDONA, cicho.

Moja —

DOWMUNT.

Nie wiem! nie wiem — lecz tu krew zostanie.
Wiesz kto ja jestem? Czyli twe serce przeczuwa? —

ALDONA, jak echo tym samym głosem.

Czy twe serce przeczuwa? —

DOWMUNT.

Powtarza pytanie!
Odpowiedz! —

ALDONA.

Wyjdź —

DOWMUNT.

O Boże! ona myśli, czuwa,
I tak jak śpiąca związać nie może wyrazu,
I myśli ją odbiegły. — Słuchaj! czyś ty z głazu?
Dwa słowa! imię moje! — Szalony! szalony!
Oto mi czoło ciemna przyłbica okrywa,
Postać kradnie, płaszcz czarnym krzyżem naznaczony,
I jakże poznać mogła?

(Odkrywa przyłbicę.)

Patrzaj! nieszczęśliwa —
Czy ty mię znasz? Jak żądasz być zbawioną w niebie?
Odpowiedz — i uciekaj! ach uciekaj ze mną —
Znasz mię? —

ALDONA.

Czy ja znam? Boże! nie, ja nie znam ciebie,
Nie! nie! nie przypominam — może — tu tak ciemno,

Może dla tego. — Słuchaj teraz moje oczy
Od ciągłych łez posępną skryły się zasłoną,
Mgła ciemna wszystkie dla nich przedmioty pomroczy,
I zaledwo z łez oschną, znowu we łzach toną.
Szczęście moje z nieszczęściem nie zna równej szali,
Jak mara obłąkana kończę życia drogę.
Nie! nie! ja ciebie nie znam — teraz znać — nie mogę. —

DOWMUNT.

Nie poznała — to lampa tak ciemno się pali.
(Bierze lampę ze stołu i oświecając twarz, przybliża się do Aldony.)
Patrz! patrz!

ALDONA.

Błagam się! błagam, ach oddal się panie!
Oddal się — światło lampy oczy moje razi.
O patrzaj! niezadługo zabłyśnie świtanie,
Patrzaj! już blask jutrzenki twarz księżyca kazi.
O nieba! — ciebie w sali światło dnia zastanie.

DOWMUNT.

Ha! męczarnio okropna! męczarnio szatana!
(Do Aldony, która się zbliża pomięszanie.)
Czego chcesz? precz odemnie! śmierć jedna została. —
(Ze śmiechem obłąkania.)
Cha! cha! jaka myśl dzika! upaść na kolana,
Upaść przed nią. — Cha! cha! cha! prosić, by poznała —
Lub może kupić pamięć zimnym, złotym kwiatem? —
Więc wrócę tak samotny w dziką świata drogę?
Przepaść się otworzyła między mną a światem. —
Nie mogę wrócić — trzeba umrzeć — umrzeć mogę.
I przed śmiercią nauczę ją wymawiać imię
Znajome, zapomniane — naucze jak dziecię,
Lub jak uczą sokoła, wtenczas gdy zadrzymie
Przerywając sen — przerwę jej sen — senne życie —
Słuchaj! wiesz kto ja jestem? —
(Dobywa sztyletu.)
Nie! nie! bezimienny
Upadnę przy jej stopach jako liść jesienny —
Rzucam się całą duszą do grobowej ciszy —

ALDONA.

Dowmuncie! ach Dowmuncie!

DOWMUNT.

Jeszcze głos Aldony?

ALDONA.

Znam ciebie! kocham! słuchaj — on widzi! on słyszy!
Sam! Mindowe w tej sali! za temi zasłony! —

DOWMUNT.

O Boże! jakże miło powrócić do życia —
Ty mię kochasz? Mindowe gdzie jest, gdzie się kryje?
Ach straszną! straszną miałem chwilę do przebycia,
Dotąd mi krew wzburzona głośno w piersiach bije;
O Aldona! ta chwila stoi przed oczyma,
I nie chę zniknąć, póki szczęście się rozpali —
Ta chwila wszystkie myśli nad przepaścią trzyma!
Ale nie wróci. —

ALDONA.

Luby! słyszałam dźwięk stali —
Chroń się! chroń się Dowmuncie! mój drogi! mój miły!

DOWMUNT.

Co mówiłaś? Mindowe gdzie jest? w tamtej sali?
To daleko — uciekać nie chę — nie mam siły —
O nie! nie! tyle szczęścia! Nie, to nie jest zdrada?
Ja muszę być szczęśliwy — muszę widzieć ciebie.
Zgasła lampa, lecz księżyc przyświeca na niebie,
Chodź do światła Aldona. — O! jaka ty blada! —
Rumieniec łzy obmyły, żar gorączki strawił;
Jaka ty blada! — jam cię nie taką zostawił!

ALDONA.

Nie, to bladszy niż zwykle, to ten błask księżyca,
Twarz mi dzisiaj ociemnił. —

DOWMUNT.

Więc księżyc przeklinam!
Jeżeli barwę róży kradnie z twego lica.
Ha! przeklinając księżyc, ludzi zapominam.

ALDONA.

Luby! słyszysz dźwięk stali? Czy słyszysz? To oni!

DOWMUNT.

Słyszę jakieś stąpania — słyszałem chrzęst broni,
Idą jabky tygrysy na mą krew zażarte.

ALDONA.

Dowmuncie! wychodź! wychodź! — jeszcze drzwi otwarte!
Wychodź! — Aldona wiecznie wiary ci dochowa —
Tu wszyscy nas zdradzają: Bogi, ludzie, ściany —
Uciekaj! —

DOWMUNT.

Moja luba, bądź zdrowa! bądź zdrowa! —
(Wychodzi, lecz po krótkiej chwili wraca.)

ALDONA.

Przebóg! czemuś powrócił? blady, pomięszany,
Powiedz coś widział?

DOWMUNT.

W końcu przybocznej komnaty
Oni już są! — już przyszli! —

ALDONA.

O nieba! o zdrady! —
Słuchaj, wyłam te okien pozłacane kraty,
Pod niemi nie daleko są zamkowe sady —
Uciekaj? nad głowami grożą czarne burze —
Uciekaj! —

DOWMUNT, usiłując wyłamać kratę.

Kraty mocno osadzone w murze —
Wyłamać niepodobna — nie, to próżnym szałem —
Niepodobna. — Ha pękły! pękły! wyłamałem —
Bądź zdrowa! daj mi rękę — dłoń zimna jak z lodu —
Bądź zdrowa. —
(Staje na oknie — po chwili wraca do sali —)
Nie — napróżno! pośród drzew ogrodu,
Widziałem tłumy zbrojnych Mindowy rycerzy;
Pod samemi oknami las włóczni się jeży.
Daremna więc ucieczka — przyszedłem bez miecza
By nie wzbudzić podejrzeń, cóż ten sztylet znaczy?
Ani mię przeciw wrogów ciosom zabespiecza,
Ani usłucha dłoni — zdradzi ją w rozpaczy!
Bez ulgi i bez zemsty w zimnym legnę grobie —
Aldona! tyś pobladła! Aldona co tobie?

ALDONA.

Nic, nic — daj mi tę różę, z hełmu twego różę,

Może zmysły orzeźwi.

(Dowmunt daje różę.)

Tak mi w oczach ciemno! —

DOWMUNT.

O rozpacz! — ona bladnie. Chodź ze mną! chodź ze mną!
Chodź! uciekajmy! Boże, gdzież uciec? w tym murze
Są kryjówki — szalony! tam będą i ludzie —
Te gmachy już zdradzieckiej nawykłe obłudzie —
O Aldona! nieszczęście — usiądź tu Aldona!
Oczy moje jak dziecka całe we łzach toną.

ALDONA.

A ja płakać nie mogę. — Cha! cha! luby! drogi!
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy —
Cha! cha! cha! niech tu przyjdą! niech przestąpią progi!
Oto próg pałacowy! —

(Pada przed drzwiami.)

DOWMUNT.

Aldona! Jak głazy
Zimna —

(Składa omdlałą na krześle.)

Rękami będę rozdzierał tych ludzi —
Chodźcie tu! — O te oczy! ta twarz, blada, sina! —

(Po chwili.)

Z rąk martwych wyrwę różę — kiedy się obudzi
Mnie już nie będzie — niech mię nic nie przypomina.

(Obrywa liście kwiatu.)

Kwiat zerwałem — gałąska w jej została dłoni,
Tak mocno trzyma.

(Pod koniec tej sceny słychać coraz mocniejsze szczęki oręża.)

Słyszę! już idą — to oni!

AKT III.

SCENA I.

HEJDENRICH, HERMAN.

HEJDENRICH.

Oby już prędzej rzucić Litewskie krainy.
Hermanie! oto wracam z królewskiej biesiady,
Radość niezwykła wrzała pomiędzy Litwiny,
a jeden byłem smutny! jeden tylko blady.
Dzikie ich uczty. — Słuchaj! w granitowej sali,
W około stół dębowy puharami błyska;
W środku komnaty ogień z modrzewia się pali,
I w koło wieje dymem, w koło iskrą pryska.
Sześciu Litwinów w burkach bez ruchu jak głazy,
Unosili nad stołem smolnych sosn pochodnie,
Jako żywe świeczniki. Gwar, dzikie wyrazy!
Dziwnie się wydawałem — ja, mieszkaniec Rzymu
Wśród tej niesfornej zgrai — mój krzyż brylantowy
Ledwo blaskiem roztrącał czarne kłęby dymu —
Hermanie! oby prędzej rzucić dwór Mindowy!

HERMAN.

O Panie! nie czas teraz rwać z Litwą przymierze,
Nie są przygotowani do wojny Krzyżacy;
Jeden krok nierozmyślny korzyść nam odbierze,
Z długich naszych podstępów, z misjonarskiej pracy.
Gdyby Mindowe umiał korzystać z tej pory,
Przycisnąłby i zgnębił krzyżackie klasztory.

HEJDENRICH.

Prawda, trzeba lwa głaskać. Lecz wyznam ci bracie,
Że mi w niesmak już idzie poselstwo Papieża!

Mam sławny miecz komtura, mam serce rycerza,
Jednak bawię tu dotąd! bawię w mnicha szacie,
I nadto, muszę podle, mnicha obyczajem,
Starać się wziąść przewagę podstępnemi słowy.
Dawniej Krzyżak pogardzał tym księciem i krajem,
A teraz jam spowiednik? jam sługa Mindowy!
Czy pamiętasz Hermanie braciszka zakonu,
Który przybył tu z nami, nosił róży znaki,
Nazywany od braci synem Albijonu?
On zniknął teraz, żadnej nie mamy poszlaki —
Jeśli Mindowe zgwałcił tajemne umowy?
Jeśli się targnął z mieczem na sługę kościoła —
Słusznie zakon oburzy postępek takowy,
I krew brata naszego, o krew Litwy woła.

HERMAN.

Rycerz o którym mówisz w więzieniu zamknięty,
Nie oburzaj się — Litwin nie wart tych zabiegów.
On poganin, zagnany aż do Niemna brzegów.
Chroniąc się przed Mindową, przybrał habit święty,
I znów pod tą opieką wrócił utajony,
Szukać wydartej sobie przez Mindowę żony.
Ale go nie zbawiły nasze święte szaty.
Wczoraj, kiedym w ogrodzie odmawiał modlitwy,
Odkryłem jego wieżę i przez okien kraty,
Miecz mu podałem ostry.

HEJDENRICH.

Zbawiasz syna Litwy —
Nienawidzę Litwinów! pocóż z taką pracą
Nawracać ich na wiarę? jakie ztąd korzyści?
Chrzest nie zgasi wzajemnej ludów nienawiści;
Mogliby płacić haracz — a teraz nie płacą.
W nas gaśnie duch rycerstwa, zakonu granice
Otoczą zewsząd tylko przyjazne krainy;
Pójdziemyż ścigać błędne po stepach księżyce?
Ha! chyba z morzem walczyć! lub z nurtami Dźwiny!
Wygaśnie duch rycerski. — Idzie Litwy książę —
Trzeba znów przybrać postać podłości, pokory —
[...] jaszczurka zamorska zmienne mam kolory;

Lecz jestem posłem, straszna przysięga mię wiąże:
Cały zakon w Legata przedstawiam osobie.
(Daje znak, Herman oddala się. Mindowe wchodzi.)
Wielki królu, Bóg z tobą!

MINDOWE.

Pozdrowienie tobie!

HEJDENRICH.

Panie, tyś pomięszany? wzrok zamglony wróży,
Jakieś tajne zamiary, znamię wnętrznej burzy.
Zapewne nie dość jeszcze ustalony w wierze,
Nie umiesz zbroić serca przeciw troskom świata;
Niepewny Boga, który z nieba czuwa, strzeże,
Niepewny jaka w niebie dla cnoty zapłata.
Modlitwą prędko ziemskie rozproszysz zgryzoty.

MINDOWE.

Modlić się? dzisiaj wziąłem ten różaniec złoty,
Ostrzem sztyletu święte przebiegałem ziarna,
Lecz na sztylecie była krew spiekła i czarna,
Nie wiem czyja? i kończyć nie mogłem pacierzy.

HEJDENRICH.

Królu! jeśli twe serce żałuje i wierzy,
Bądź spokojny! nasz kościół nigdy nie zostawi
Twej wiary bez nagrody, żalu bez pociechy:
Litościwy, odpuszcza, kocha, błogosławi.
Odkryj nam skryte myśli, wyspowiadaj grzechy,
Nic nie ukrywaj synu, a sługa ołtarzy
Rozwiąże je na ziemi.

MINDOWE.

I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy.
I zbrodni. – Kto? ty, trwożny mieszkaniec klasztoru?
Ja sobie nie przebaczę — nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał —
(Pokazując sztylet)
Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na tej rdzawej stali —
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! od Boga mi dane,
Mam prawo tych rozgrzeszać, co się krwią zmazali.

MINDOWE.

Żądasz czarniejszych zbrodni? Słuchaj! przez sklepienie
Jęczy! — Jego korona moje czoło kryje —
Słuchaj! usłyszysz drugie pod ziemią westchnienie,
Ale nie, nie usłyszysz — dotąd on nie żyje —
Czy mi przebaczysz?

HEIDENRICH.

Ufaj! wielka moc kościoła!
Nie będzie próżno błagał chrześciański książę.
Szczera twoja pokuta grzech okupić zdoła,
Co rozwiążę na ziemi, Bóg w niebie rozwiąże.
Więc odpuszczam! niech zniknie ta występku skaza.

MINDOWE.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza,
Lud podły, ciemny, dziki, czołga się podenną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty —
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie
Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny. — Któż mi to przebaczy?

HEJDENRICH.

Panie! jesteś nad ludem byś mu przewodniczył;
A jeśli daną władzę spełniasz nadto srogo,
Jeśli chcesz posłuszeństwa, jeśli rządzisz trwogą,
Bóg ci przebaczy — on sam władzy ci użyczył —
Ja ci przebaczam. —

MINDOWE, z gorzkim uśmiechem.

Dobrze! już jestem spokojny!
Pójdę teraz krzyżackie napadać dzierżawy! —
Dawno czekałem chwili sposobnej do wojny,
Skarb mój wycieńczał — ja sam stęskniłem do sławy.
Z waszej zaś strony nic mi nadal nie potrzeba;
Mam już złotą koronę, przebaczenie z nieba,
Idę kraj wasz napadać, szarpać włoście Żmudzi.

HEJDENRICH.

Panie! ty mię doświadczasz tak gorzkiemi słowy,
Lecz Krzyżak się marnemi słowy nie uludzi.

MINDOWE.

Com tobie wypowiedział, jam dowieść gotowy.
Patrz przez te ciemne kraty, na błonia stolicy,
Tłumem zebrani w polu błyszczą wojownicy —
Może się oni tylko zebrali na łowy?
A tam, niebo ogniste przywdziewa kolory,
Może to pożar wkradł się w nadniemeńskie bory?
Co, łatwowierny mnichu? teraz znasz Mindowe?

HEJDENRICH.

Niech cały ciężar zbrodni spada na twą głowę,
Pomnij na świętą wiarę!

MINDOWE.

Szydzisz ze mnie mnichu!
Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,
Moje gmachy klasztornym kobiercem zaścielę.
I zmówię pierwszy pacierz gdy Mistrz Wielki skona.

HEJDENRICH.

Ty przez nas jesteś królem.

MINDOWE, rzuca koronę.

Tak — precz ta korona!
Rzucam ją — to mi ręce splątane rozwiąże —
Teraz jestem Mindowe, Książe, wróg Krzyżaków.

HEJDENRICH, rozdziera komżę i staje w zbroi i w zwierzchnim krzyżackim płaszczu.

A jam jest — brat Hejdenrich — Krzyżak, wróg twój Książę
Pozbędę się tej szaty, tych pokory znaków —
Jak mię tu widzisz w zbroi, przysięgam na Boga,
Że słowa posła, memi nie były słowami.
Widzisz we mnie rycerza! widzisz we mnie wroga!
Po takiej czarnej zdradzie już zdrada nie plami,
Będę działał podstępnie i walczył otwarcie —
W twoim zamku podniecę zdrady i pożary,
Za morza pójdę błagać o zemstę — o wsparcie.
Płaszcza tego nie zrucę, aż na twoje mary

Rozścielę go całunem — i w wieczór i rano,
Dodam jedno przekleństwo do moich pacierzy;
Jeśli Bóg je usłyszy? Bóg na cię uderzy,
Nim te pochodnie zgasną! nim zorza nastaną!

(Wychodzi.)

MINDOWE, sam.

Grozi, ale napróżno, przezornym być muszę.
Kiedy zwiódłem Krzyżaka — oni światem rządzą,
Zbłądzili, choć myśleli że nigdy nie błądzą.
Serce moje spowiedzią pozyskali skrusze.

(Lutuwer wchodzi.)

LUTUWER.

Panie, spełniłem rozkaz. —

MINDOWE.

Dowmunt już nie żyje?

LUTUWER.

Dowmunt nie żyje!

MINDOWE.

Starcze! starcze, biada tobie!
Jeśli się jaki podstęp w twoich słowach kryje.
Chcę widzieć martwe ciało.

LUTUWER.

Panie! on już w grobie.
Dotąd jeszcze, tak totąd słyszę pieśń wesołą,
Którą tam śpiewa grabarz kopiąc grób głęboki,
I pot zimny na moje występuje czoło.

MINDOWE.

Gdzież go grzebią. —

LUTUWER.

W więzieniu pochowano zwłoki.

MINDOWE.

Starcze! mój zamek w wielki zamieniasz grobowiec.

LUTUWER.

Smutno mi, gdy rycerza zgon niesławny ima —
Grób jego zapomniany, i żaden wędrowiec
Kamienia nie dorzuci, wzroku nin zatrzyma.

MINDOWE.

Dość tego — słuchaj starcze! zerwałem z Krzyżakiem,
W strasznym gniewie wrącemi odpowiadał słowy.

Dziś wojsko poprowadzisz Nowogrodzkim szlakiem.
Przez głuche lasy — dalej przejdziesz bród Niemnowy,
Na łodziach lub wpław — czasu oszczędzać należy —
A skoro ranek błyśnie, ty, z pocztem rycerzy,
Zagrzmisz pogańską pieśnią — od waszego śpiewu
Zadrżą szyby Malborga, wieże się zachwieją.

LUTUWER.

Jestże ten napad skutkiem gorącego gniewu?

MINDOWE.

Snułem go przewidzianych wypadków koleją.
Nigdy głębszą ufnością nie spały zakony —
Myślą że chrztu szatami jak dziecię spowity,
Zapomniałem o zbroi; że w blasku korony,
Zapomniałem o sławie; że w lasach ukryty,
Cieszę się barwą królów purpurowej szaty. —
Lecz powiedz Lutuwerze, jestżem tak bogaty,
Bym zapomniał o wojnie, napadach i chwale?
Patrz na kraje krzyżackie! O brzegów bursztyny
Łamią się Baltyckiego morza szklanne fale;
Na falach płyną miasta z dalekiej krainy,
Z płuciennemi żaglami — i z podległych danin
Wypłacają się mnichom, szlą im Franków wina,
Czary z kryształu, zbroje, sukna z cudnych tkanin
Jedwabiu, lub wielbłądów błędnych Tatarzyna.
A tu lasami łąki zarastają żyzne — —
Jakiż tu kupiec zajrzy? gdzież bogactwa moje?
Ubogą tylke wziąłem po ojcu spuściznę. —
Nie dbam ja o bogactwa! o złoto nie stoję!
Ale w skarbcu jedyna po ojcu pamiątka,
Jedna szata w rozliczne lśniąca malowidła,
Wagą złota płacona, z jedwabnego wątka,
Której barwy tak zmienne jak motyle skrzydła;
Jeden pas złoty, jedna kryształowa czara,
I ta się już rozbiła. Patrz! Krzyżaków miasta,
Czy to Malborg, czy morska Klepidawa stara,
Każde co dzień zamkami pod niebo urasta!
Lud jak w mrowisku tłumne napełnia ulice,
Złotem błyszczą się gmachy, marmurem kaplice,

Dym z ognisk uwięziony wzlatuje nad dachy,
Dachy łączą się z niebios przejrzystym błękitem:
A tu — patrz Lutuwerze! jak posępne gmachy!
Tu każda sala ciemnym połyska granitem —
Gołe i zimne ściany — jeszcze los szyderca,
Jakby mi chciał urągać? często w dnie zimowe,
Ściany zdobi pokryciem srebrnego kobierca,
Wilgoć mrożąc na ścianach w kwiaty kryształowe.
Nędza i wszędzie nędza!

LUTUWER.

Panie, noc uchodzi,
Trzeba spieszyć —

MINDOWE.

Tak prawda! zeszła twarz miesiąca.
Pójdę — może mię nocy powietrze ochłodzi.
Zawsze skarga tysiące wyrazów natrąca.
Nadtom długo wyrzekał na mój los ubogi —
Naprawię go, gdy w Żmudzkie uderzymy rogi.

(Wychodzi z Lutuwerem.)

SCENA II.

(Przedsienie gmachu.)

ALDONA, leży bez czucia na ziemi. HEJDENRICH wchodzi.

HEJDENRICH, podnosząc Aldonę.

Ha! cóż to za dziewica? padła na marmury
Bez czucia. Jakie cudne rysy bladej twarzy!
Widziałem nieraz w kraju Franków kształtne córy,
O których śpiewa truwer, błędny rycerz marzy,
Żadna jej nie wyrówna — oto już spłonęła,
Jak kwiat gdy się rozwija — budzi się — westchnęła. —

ALDONA, z pomięszaniem.

O mój luby! — on umarł — śmierć moja snem była.

HEJDENRICH.

Dziewico bądź spokojna! czuwa sługa Boży.

ALDONA, osuwając mu się do nóg.

Ktokolwiek jesteś? broń mię! strzeż mię! twoja siła
Może te rygle więzień żelazne otworzy!

Boże! tam trup — trup jego bez głowy — o Panie!
Nieszczęsna jest ta, która twej pomocy wzywa.

HEJDENRICH.

Jesteś ty Chrześcianką? —

ALDONA.

Okropne pytanie!
Nie! nie jestem! nie jestem! — jestem nieszczęśliwa!

HEJDENRICH.

Chrześcianin modlitwą nieszczęście osładza.
Lecz powiedz mi dziewico! ja wszystko uczynię.

ALDONA.

Wszystko? o nie, rycerzu, próżna twoja władza,
Nie wskrzesisz go! Widziałam — krew strumieniem płynie!
(Śmieje się z wzrastającem obłąkaniem i wpatruje w ciemność.)
Jakaś postać znikoma, lecz do mnie podobna,
Oddziela się odemnie, przedemną się snuje;
Jest to część mej postaci, a jednak osobna —
Przy niej zostały czucia — ona myśli — czuje —
Ja sama jak głaz jestem. — Wołam cień znikomy!
Cień się coraz oddala — coraz dalej — dalej —
Rozpływa się — już blady — już ledwo widomy —
(Z rozpaczą.)
Ja bez uczucia zostanę!!! Serce się nie pali —
Ostygło — zapominam — pamięć słabo kreśli;
Mówię — a słowa moje nie są wątkiem myśli,
Myślę, a myśli moje nie są wątkiem serca. —

HEJDENRICH.

Jestem świadkiem początku zmysłów obłąkania.
Mindowe, ten poganin, ten ludzi morderca,
Godzien jest niebios kary. Lecz moje starania
Przywrócą jej spokojność, czarne zmysłów mary
Znikną przed złotem słońcem, przed promieniem wiary.

ALDONA.

Wiara? ja miałam niegdyś mojego anioła,
Byłam kapłanką wiosny, niedawnemi laty.
Pamiętam — obraz wiosny w gaju, w końcu sioła,
Jej czoło uwieńczały świeże róży kwiaty,
W około jodły cichym usypiały szumem.

Ileż razy przy blasku srebrnego księżyca,
Sama, lub dziewic wiejskich otoczona tłumem,
Marzyłam — modliłam się! —

HEJDENRICH.

Nieszczęsna dziewica!
Trzeba ją, jakby dziecko, łudzić wrażeń blaskiem.
Uchodź ze mną dziewico — po nad Niemna piaskiem
Stoi klasztór, tam świętych zobaczysz królowę,
Jej obraz jest do wiosny podobny obrazu;
Będziesz ją kochać, wieniec z róż krasi jej głowę —
Tak piękna, tak litośna — a kolumny z głazu
W każde święto okryją gałąski jodłowe.

ALDONA.

Pójdę! pójdę za tobą. —

HEJDENRICH.

Już się księżyc zniża —
W cieniach nocy Mindowe ścigać nas nie może.
Weź płaszcz krzyżacki — kaptur — zawieś znamię krzyża

(Okrywa ją swoim płaszczem)

Dzisiaj jeszcze w Wojsiełka staniemy klasztorze.
Wojsiełko syn Mindowy, tygrys w szacie mnicha,
Ukorzy się przed świętą Legata osobą. —
Nie płacz piękna dziewico! nie płacz — Pan Bóg z tobą!
O! prędko w oczach dziewic strumień łez osycha.

AKT IV.

(Sala ciemna w klasztorze Wojsiełka.)

SCENA I.

TROJNAT, WOJSIEŁKO, ORSZAK MNICHÓW.

WOJSIEŁKO.

acia, mówcie pacierze — oto w nasze progi
vy gość przybył, nowy klasztoru mieszkaniec.

Trojnacie porzuć zbroję, weź habit ubogi,
Za pasem bursztynowy zawieszaj różaniec,
Prędko! nie zwlekaj chwili.

TROJNAT.

Błagam was na Boga!
Wojsiełko! nie chciej w grobie zakopywać brata.
Powróć mi wolność! — Wolność nad życie mi droga!
O Bogi! więc się za mną wieczna zamknie krata,
Życie pełne zwiędnieje w samym wieku kwiecie.
A ten świat! świat —!

WOJSIEŁKO.

I cóżeś zostawił na świecie?
Ludzi? ja ich widziałem, oni mię widzieli,
(Pokazując na miecz wiszący na murze.)
Ten miecz krwią był oblany. — I bespieczniej głowę
Złożysz tu na kamiennej klasztoru pościeli,
Niż na łonie człowieka. — Marności światowe!
Tu mniej marności, płyną godziny mniej chyże,
I ludzie tu się snują z zasępioną twarzą;
Ale ludzie ci milczą jak grobowe krzyże.
Chcą skarżyć brata? chyba przed grobem oskarżą.
Zakonnik ciemny, twardym miodem zapalony,
Mniej straszny od człowieka w miłosnej godzinie.
Lecz ty żądałeś władzy? żądałeś korony?
Będziesz ją miał. — Postrzydz go!
(Mnichy sadzają Trojnata na ławce kamiennej i przystępują do postrzyżyn.)

TROJNAT.

Nim chwila przeminie,
Te nożyce mię wiecznie rozdzielą ze światem,
Błagam ciebie Wojsiełku! jesteś moim bratem — —

WOJSIEŁKO.

Jestem mnichem. — O! bracia zapalcie gromnice,
Niech wiecznie pochwalone będzie Boskie słowo.
Trojnacie — podnieś czoło! rozjaśń blade lice,
Śmiej się — a my pieśń będziem śpiewali grobową.
Klasztór jest ciemnym grobem — tu wiara określi
Wszystkie twoje uczucia, zniknie zawiść czarna.
Tu zapomnij o myślach — gdy masz jakie myśli,

Powiąż je razem z krzyżem jak różańca ziarna.
Wiecznie ograniczony murami ciemnemi,
Gdy zgaśnie ta pochodnia, ty zgaśniesz na ziemi
Twoja prośba litości mojej nie obudzi.
Ja byłem — byłem niegdyś tygrysem dla ludzi,
I jeszcze raz nim będę. — Stańcie tu w około —
Patrzcie — litość wzbudzają te włosy trefione,
Co w tysiącznych pierścieniach spadają na czoło;
Przystąpcie mnichy! włóżcie mu świętą koronę.

(Mnich ustrzyga Trojnatowi pierścień włosów.)

TROJNAT.

O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Pierścień włosów spalić w kadzielnicy,
Jest to dar serca, co się poświęca dla Boga.

TROJNAT.

Te włosy, twardą stalą przetarte przyłbicy,
Przyłbicy, która była postrachem dla wroga,
Spadną pod nożycami, jak za ciężkie winy —
O świat! o świat!

WOJSIEŁKO.

Dalej bracia kończyć postrzyżyny —

(Wchodzi Hejdenrich i Aldona, zakryta cała krzyżackim płaszczem.)

Któż to?

HEJDENRICH.

Papieski Legat i książe kościoła —

WOJSIEŁKO.

Aż do ziemi pokorne uchylamy czoła —
Panie! uświęć ten klasztór łaskawości względem,
Właśnie dzisiaj zebrani w tem ustroniu cichem,
Byliśmy wyświęcenia zajęci obrzędem.

HEJDENRICH.

Cóż to? Trojnat! masz że ty wolę zostać mnichem?

TROJNAT.

Na moje wybawienie niebo cię przysyła,
Ja nie mam! nie mam woli — tu mną rządzi siła.
Oto gwałtem wiedziony do stopni ołtarza,
Zalewałem się łzami —

HEJDENRICH.

I któż się poważa,
Przed ołtarze niechętne prowadzić ofiary?

WOJSIEŁKO.

To za wolą Mindowy.

HEJDEORICH.

Ja mam wyższą wolę.
I wolnić go natychmiast — albo święte kary
Jak gromy spadną na was zebranych w tym kole.
Klątwa! klątwa na klasztór! Już wasze modlitwy,
Posłane, nie ulecą aż do Boga tronu.
Wasze pacierze ściągną nieszczęścia dla Litwy,
W proch się rozsypią mury maszego zakonu;
Znamię przekleństwa nosić będziecie na twarzach —
Nikt zmarłych nie pogrzebie, trumny nie poświęci!
Kwiaty leśne porosną na waszych ołtarzach,
Na waszych murach spocznie Anioł niepamięci —
Ha! zadrżeliście Mnichy? chciałem byście drżeli —
Podnoszę klątwę — moja przytomność jest darem,
Darem dla was. — Ja przez noc odpocznę w tej celi,
Wy zaś idźcie się modlić i złotym puharem
Pijcie za moje zdrowie. — Tyś wolny Trojnacie.

TROJNAT.

Więc żegnam cię Krzyżaku! żegnam ciebie bracie!
Bracie Wojsiełku, będę pamiętał o tobie!

(Odchodzi. — Po chwili Wojsiełek i Mnichy, oddawszy ukłon Legatowi,) oddalają się.)

HEJDENRICH.

O, lepiej Trojnatowi na świecie, niż w grobie —
Dla Mindowy wskrzesiłem zaciętego wroga —
Pomści się za mnie. — Zdala słyszę Mnichów śpiewy,
Za Legata modlitwy wznoszą się do Boga!
Wzburzam to morze mnichów i uśmierzam gniewy. —
Odpocznij tu Aldona. — Nieme obłąkanie
Wyryte ma na twarzy, nie wyrzekła słowa.

(Aldona siada w głębi.)

Noc głęboka — nie prędko zabłyśnie świtanie.
Jaka w około cichość panuje grobowa!
O Bogu zapomniałem wśród światowej wrzawy.

Ja! zakonnik i po cóż mięszam się do świata?
Dla czego przypasałem do boku miecz krwawy?
Ubiegła dni połowa, mnogie przeszły lata,
A ja pierwszy raz myślę — o! jak straszne męki —
Myśleć —

(Słychać dzwon klasztorny.)

Klasztornych zdala dzwonów słyszę jęki —
Kiedyż — może i prędko — dla mnie dzwon uderzy
I cóż czynić? modlić się — niech się modlą ludzie!
Zapomniałem modlitwy, nie umię pacierzy,
A jednak — nieraz, nieraz w udanej obłudzie
Klęczę, całuję zimne podłogi kościoła.
Krwią skalany, mgłą czasu osłoniony ciemną,
Jestem wyższy nad ludzi; dla czegoż przedemną
Aż do ziemi pokorne uchylają czoła?
Mnie uczcili — uczcili szatana w człowieku —

(Po chwili.)

Jestem ostatni z ludzi? gdy wieki przeminą,
Będą mię pokazywać jako widmo wieku!
Mnich i zabójca ludzi. — Ciemna mar drużyno!
Czemuś mię otoczyła? Precz! precz blade duchy!
Oto chwila myślenia! oto chwila skruchy —!
Precz szatanie! nie jestem już twoim w tej chwili.
Już dno odkryłem w prawdy zatrutym kielichu —

(Po chwili, coraz gwałtowniej.)

Lecz po co ta dziewica? po co ta dziewica?
Zastanów się nad sobą — zastanów się mnichu?
Litość w tobie wzbudzają ukruszone lica —
Ludzie jej nie wzbudzili? — Już dusza wywrzała,
Włos osiwiał — ja grzeszę? — Precz stąd nieszczęśliwa!
Ty mię wiedziesz do zbrodni, tyś mię obłąkała!
Szatan w tobie zwodnicze ponęty ukrywa! —
Precz! precz! Ona nie słyszy — dotknąłem się dłoni,
I ogień mię pożera. — Aldona! Aldona!
Weź ten sztylet — zabij mię. — Moje zmysły płoną.
Zabij mię! zabij! — Boże! w tej cichej ustroni
Tyle zgryzot. — Precz! idź się błąkać w lasach Litwy!
O nie! zostań, nie mogę rozłączyć się z tobą.

ALDONA z obłąkaniem.

Słuchaj ty mój rycerzu, naucz mię modlitwy —
A ja okryta czarną zwiątpienia żałobą,
Będę się modlić. —

HEJDENRICH.

Nędzna, mów Ave Maria!
Uciekaj stąd! Nieszczęsna! ona mię zabija!
Chodź ze mną, uciekajmy, te sklepienia choru
Spadną na nasze głowy — patrz już drżą filary.
Kocham ciebie Aldona! lecz w murach klasztoru
Nie śmiem tego powtórzyć — patrz te krwawe mary
Męczenników, rzucają tuż obrazów płótna,
I stoją tu przedemną — ożyły obrazy. —

ALDONA.

Róża grobowa, smutna,
Okryła mogił głazy,
Usypia liści szelestem;
A on śpi w grobie! a on śpi w grobie!
Cha! cha! cha! powiem tobie,
Czem byłam dawniej — teraz już nie wiem czem jestem!

HEJDENRICH.

Obłąkana. — Mnich jakiś do tej sali zmierza.

(Wchodzi Mindowe w habicie mnicha, z zapuszczonym kapturem.)

Z czem tu przychodzisz nędzny klasztorny żebraku?

MINDOWE.

Z rozgrzeszeniem. —

HEJDENRICH.

Dla kogo?

MINDOWE.

Dla ciebie Krzyżaku.

HEJDENRICH.

Wiesz kto ja jestem? Komtur i Legat Papieża.

MINDOWE.

Wiesz kto ja jestem?

HEJDENRICH.

Może klasztoru posłaniec,
Co zbiega okolice i prosi jałmużny? —
Oto masz dar obfity.

(Rzuca mu pieniądz.)

MINDOWE.

Tyś mi jeszcze dłużny.
Jednym pacierzem — patrzaj! oto mój różaniec —
(Wyjmuje miecz z pod habitu.)
Z takim różańcem będziem odmawiać modlitwy.

HEJDCNRICH.

Precz Mnichu!

MINDOWE, zrzuca ubiór mnicha.

Mnich już odszedł — został Książe Litwy.

HEJDENRICH, dobywa miecza.

Już stąd nie wyjdzież Księciem!
(Biją się. — Wpada Wojsiełko i mnichy z pochodniami.)

WOJSIEŁKO.

Boże! Wielki Boże!
Mój — ojcze! ojcze! skąd ta wściekłość sroga?
Na kogoż miecz podnosisz w święconym klasztorze?
Jest to poseł Papieża! jest to poseł Boga!
Mnich niezachwianej wiary, pobożny i święty.
Będziesz wyklęty ojcze i klasztór wyklęty.

MINDOWE.

Poznaj go synu, tego Papieskiego posła.
Święty? dobrego nabył do świętości prawa?
Patrz na jego oblicze — ta postać wyniosła,
Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa,
Jak wąż, w żelaznej łuski pierścienie uwita.
Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą.
To poczwara spragniona i nigdy nie syta —
Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.
Złotą ukrywa zbroję w płaszcz z wełny ubogi —
Poznajcie posła — dobrze poselstwo odprawił!
Więcej zabijał ludzi, aniżeli zbawił.
Nie sam ujechał — patrzcie! to towarzysz drogi,
Myślicie że to Krzyżak pokorny i cichy?
Odkryjcie jego szaty. — Skamienieli mnichy!
Patrzcie! on z tą dziewicą uchodził do piekła.

WOJSIEŁKO. Słuchał z natężeniem słów Mindowy i rozerwał różaniec, który trzymał w dłoni; ziarna posypały się po ziemi.

Otoczyć wejścia! — Ojcze — patrz! różaniec złoty

Pękł w drżącej wściekle dłoni — płonę ze sromoty.
Dajcie miecz. —

HEJDENRICH.

Precz stąd! mnichów zgrajo wściekła!
Pogardzam waszą zemstą! zapęd marny, płonny.
Oto się ciemnym tłumem napełnia komnata,
Ja rzucam miecz na ziemię — sam wyjdę bezbronny,
I nikt się tknąć nie waży osoby Legata;
O tyle jestem wyższy nad te podłe tłumy;
Wychodzę — wam przekleństwo zostawuję Boga!

(Mnichy rozstępują się, Hejdenrich wychodzi.)

WOJSIEŁKO.

Któż widział tyle zbrodni? razem z tylą dumy?
Wyznaję: mnie samego ogarnęła trwoga!
I ty milczałeś ojcze. —

MINDOWE.

Dziwi mię odwaga.
Gdzie Trojnat?

WOJSIEŁKO.

Przez Legata został uwolniony.

MINDOWE.

Trojnat wolny! o nieba on pragnie korony!
Zły los moje zabiegi niszczy i przemaga.
Wyście go uwolnili — — O! mnichy przeklęte,
Miło wam szeptać pacież po murach zakonu,
Na łonie bezczynności wiodąc życie święte;
Lub dzwonić po umarłych, a słyszę jęk dzwonu —
Razem z dziedzicem z cudzej radować się śmierci,
Że wam znów grosz za pogrzeb wpłynie do karbony.
Z ziemią ja kiedyś zrównam ten wasz gmach święcony!
Was samych wplotę w koło, rozsiekam na ćwierci.

MNICH I.

Tobie służymy panie, służąc naszej wierze,
Za ciebie codzień mnogie mówimy pacierze.
Obraliśmy patronkę — na jednym z ołtarzy
Kędy Solimskiej matki Boskiej malowidło,
Stawialiśmy sześć wielkich złocistych lichtarzy,
Ityleż świec z żółtego wosku — i kadzidło.

Lecz jeśli modłów naszych nie miała na względzie,
Odtąd inna patronka stróżem Litwy będzie;
Odtąd ołtarzom panny Marii z Ankony,
Powierzamy los Litwy i straż twej korony.
Lecz ołtarz jej ubogi —

MINDOWE.

Skarbu nie wycieńczę,
Bogacąc nowej dzisiaj patronki obrazy;
Znam jej łaskę i za nią sowicie odwdzięczę.
A mając do Marii Solimskiej urazy,
Chcę żeby wszystkie złoto i drogie kamienie,
Przeszły odtąd na ołtarz Marii z Ankony. —
Oto nie długo słońca zabłysną promienie,
Może się zdrada wciska w mój gmach opuszczony;
Wracam do zamku śledzić podstępy Litwina.
Aldona, co krzyżackie ukochałaś zbroje,
W nadziei że Malborga okrasisz pokoje,
Dziś wrócisz do ciemnego zamku poganina.

(Mindowe wychodzi z Aldoną. Mnichy szepcząc pacierze rozchodzą się po celach.)

SCENA II.

(Noc. Las sosnowy.)

LUTUWER, wyciągając rękę.

Już się do Nowogródzkich zamków nie dostanę.
Rycerze mię odbiegli — umrę! umrę w lesie!
Jutro spłonę na stosie, wiatr prochy rozniesie —
Miecz krzyżacki głęboką zadał w piersi ranę.
I Krzyżak co ugodził, miecz zostawił w ranie,
A ja ten miecz poznałem — okropne poznanie!
Na nim godło Dowmunta. — A gdzież jest Mindowe?
Powiem mu. — Oh! oh! konam — do zawarcia powiek
Pomóżcie cichym szmerem gałęzie jodłowe —
Konam w rodzinnych lasach. —

(Mindowe wchodzi — za nim Aldona.)

MINDOWE.

Ha! cóż to za człowiek?
Zraniony — krew na wrzosach!

LUTUWER, wyciągając rękę.

O Panie! o Panie
Przybliż się — tajemnica. —

MINDOWE.

To ty Lutuwerze?

LUTUWER.

Konam! —

MINDOWE.

I tajemnicę odkrywa skonanie.
Jakaż to tajemnica?

LUTUWER, cicho.

Królu! w krzyż nie wierzę —
Nie mam wiary — i krzyż mię nie może przekonać.

MINDOWE.

Skonaj bez wiary. —

LUTUWER.

Panie! panie! daj mi wiarę!
Jakąkolwiek! nie mogę tak bez wiary skonać —
Przyjąłem chrzest gdyś kazał — dzisiaj Bogi stare
Wołają mię! wołają! każ mi wrócić —

MINDOWE.

Każę.

LUTUWER.

Jodło tyś moim Bogiem! — Oto Litwy gromy,
W proch obróciły złote Krzyżaków ołtarze.
Od twoich zamków, niższe dziś krzyżackie domy. —
O straszny! straszny byłem, gdy na mnichów głowy
Ciskałem oszczep — zakon czoła nie podniesie —

MINDOWE, odwraca się. —

Co to za stuk? —

LUTUWER.

O panie! to nic — to po lesie
Litwini tną gałęzie na mój stos grobowy.
Czy to mi rosa spadła na czoło!

MINDOWE.

Łza moja. —

LUTUWER.

Od dzisiaj będzie rosą rdzawieć starca zbroja — —
Jak za temi chmurami mgli się blask księżyca,

Jeżeli jej od rosy wnuki nie ustrzegą.
Oh! panie jak mi cięży jedna tajemnica!
Przeklniesz! nie wypełniłem rozkazu — —

MINDOWE.

Którego? —

LUTUWER,

Oh!!! zabójstwa! —

MINDOWE, zimno.

Którego?

LUTUWER.

On żyje. —

MINDOWE.

Kto taki?

LUTUWER, coraz ciszej.

Nie pomnę już imienia — Muszę przypominać —
On mię zabił — chcę przekląć, on walczył z Krzyżaki.
Nie pamiętam imienia — nie mogę przeklinać!
Oh! oh! oh! —

(Kona.)

MINDOWE.

Skonał — zimny. — Patrzę na twarz bladą,
I zamiast starca rysów, z uwiędłym wyrazem,
Widzę rysy dziecięcia — — Wychowani razem
Ja go dzieckiem widziałem. — Dziś go na stos kładą.

(Wchodzą żołnierze.)

Litwini — nieście za mną Lutuwera zwłoki,
Do zamku Nowogródka. — Tam wznieść stos wysoki —

(Odchodzi dając rozkazy, za nim wynoszą ciało Lutuwera.)

SCENA III.

(Świątynia pogańska w Nowogródzkim zamku.)

ROGNEDA, przy ołtarzu sypie kadzidło.

Boże Piorunu! rzucam dla ciebie kadzidło!
Wonny się bursztyn pali.
Niechaj twoje mgliste skrzydło,
Białowiejskie puszcze wali;

Zostaw tam lasy ogniem zapalone gromu.
Przybywaj! przybywaj Boże!
Wszystkie duchy do książąt przybywajcie domu,
Nim wasze ciemne twarze, jasne rozmgli zorze. —
Już słyszę jako szumi wzdęta nawałnica,
Kiedy sosna druzgoce Boga wichru ramię;
Z takim szumem wir duchów przy blasku księżyca,
Płynie, topi się i łamie.
Matka królów was wita!
Oto dla was ofiary,
Rzucam w kadzielnic żary,
To dla bogini wiosny — ten kwiat co rozkwita,
A to dla Boga zimy — ten kwiat co usycha,
A to dla Boga piekieł — brylant z krzyża mnicha.

(Po chwili.)

Rozwidniają się duchy w mrocznym kadzideł dymie.
Bogi! syn mój do dawnej znów powrócił wiary.
Na waszych zgliszczach setne zapali ofiary.
Mindowe — syn mój — z dumą powtarzam to imię!
Mindowe! czy słyszycie! powiedzcie mi Bogi
Czy on będzie szczęśliwy? czy długo los błogi
Utrzyma go na tronie? czy przekleństwa moje,
Które niegdyś ściągnęła gorzka jego wina,
Nie zaszkodzą mu w życiu? Przeklinając syna,
Bałam się ich spełnienia i teraz się boję.
Mówcie —! Lecz serce własnym modłom nie dowierza;
Już mi braknie na wasze zaklęcie wyrazu — —
Mówcie!

GŁOS Z OŁTARZA.

Mindowe zginie od ręki rycerza,
Który poległ zabity z Mindowy rozkazu.

ROGNEDA.

To był głos ludzki! nie, nie, to są Boskie słowa!
Bogi, czemuż tak nagle znikacie przedemną?
Daliście mi odpowiedź okropną i ciemną.
Zniknęli, znów mię ciemność okryła grobowa.
To może natężone zmysły mię uwiodły.

(Oddalają się. — Trojnat i Heidenrich wychodzą z za filarów gdzie byli ukryci.)

TROJNAT.

Rogneda za Mindowę zasyłała modły.
Nie można na nią liczyć — to matka. —

HEJDENRICH.

Trojnacie!
Słyszałeś jaką dałem odpowiedź z ołtarza?
Pierwszy raz Legat zasiadł w takim majestacie;
Pierwszy raz posłańcowi papieżów się zdarza,
Dawać wyrok przez usta pogańskiego Boga —
Lecz Mindowe za nami z klasztoru przybędzie;
Nie wie że w zamku znajdzie ukrytego wroga!
Gdy walczy w Prusach, Krzyżak stolicę zdobędzie,
I za wszystkie poprzednie zdrady mu zapłaci. —
Panie! na twe rozkazy mam dwudziestu braci,
A każdy zbrojny mieczem i krzyżem i tarczą.
Teraz gdy na Krzyżaków wyszli wojownicy,
Te małe siły w naszych zamiarach wystarczą;
Potem miodem znęcimy zmienny lud stolicy.

TROJNAT.

Z nocą trzeba otoczyć zamek z każdej strony —
Ja sam się wkradnę z mieczem w znany gmach zamkowy,
Zgładzę dzieci, by przez nich nie stracić korony.

HEJDENRICH.

A Mindowe?

TROJANT.

Kto inny knuje śmierć Mindowy.

HEJDENRICH.

Lecz książe gdy zasiądzież w Litewskiej stolicy,
Czy wspomnisz, że ci Krzyżak dopomógł w zamiarze?

TROJNAT.

Wzniosę ołtarz. —

HEJDENRICH.

O! niechaj w proch padną ołtarze!
Ale nie waż się wdzierać do pruskiej dzielnicy,
Nie waż się —

TROJNAT.

Tak, zadość uczynię twej chęci,
Usługę waszą w wiecznej zachowam pamięci.

Idźmy! Idźmy! Mindowe już w ręku trzymamy,
Idźmy otoczyć zamek i osadzić bramy!

AKT V.

(Sala w pałacu Mindowy.)

SCENA I.

MINDOWE, ROGNEDA siedzi na przodzie sceny.)

MINDOWE.

Matko! próżna ucieczka, w każdej zamku bramie,
Widzę, błyszczą zdaleka buntowników zbroje.
Jak tygrys w klatce, chyba mury te rozłamię?
Nigdym się nie bał śmierci — teraz się nie boję —
Lecz rozpacz ogarnęła, wściekłość mię porywa.

ROGNEDA.

O synu mój! nie umrze ten kto Bogów wzywa,
I kto z ufnością boskim wyroczniom zawierza.
Słuchaj — nie możesz zginąć jak z ręki rycerza,
Który poległ zabity za twoim rozkazem.
Ufaj i śmiało ludzkiem pogardzaj żelazem
Chyba umarli wstaną — —

MINDOWE.

Kto? te mnichów tłumy
Którzy poszli do piekła. — Kto? te Niemcy harde
Którzy z życiem wrodzonej pozbyli się dumy.
Dla żywych i umarłych równą czuję wzgardę —
Umarłych się nie lękam —

ROGNEDA.

Lecz Dowmunt?

MINDOWE.

Śpi w grobie.
Gdyby ci wstawać mogli, których grób pokrywa,
Nie śmiałyby się żony ubrane w żałobie,

Ani dziedziców radość byłaby tak żywa.
Matko — i ja nie wrócę gdy dziś w grobie zasnę.
O zamku! co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie najprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam. — Zamku! na wysokiej górze,
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać,
I nieraz cię krwią ofiar niewinną zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?

ROGNEDA.

Serce rozdzierasz synu.

MINDOWE.

Rozdzierałem serca.
Bezbożny — zbójca — tyran obłudnik — morderca.
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie;
Jam wszystkie spełnił — zimno — znużony po zbrodniach,
Głębiej teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę, przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko! ciężkie było moje długie życie,
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mię nie kochał!

ROGNEDA.

Słyszysz tego serca bicie?
Kochałam cię. —

MINDOWE.

A jednak przeklęłaś mię matko!

ROGNEDA.

Nie masz ty serca synu! — On mi przypomina
Przekleństwo zapomniane!

MINDOWE.

Tu czara nalana
Słodkiem winem — truciznę przymięszam do wina.
(Sypie truciznę.)
O matko! tu Aldona idzie obłąkana.
(Wchodzi Aldona i w obłąkaniu zdaje się kogoś prowadzić za sobą.)

ALDONA.

Chodź tu za mną Dowmuncie — w tej sali tak głucho,

I ty za głośno stąpasz — słyszy moje ucho
Ciężkość twoich odetchnień — szelest twojej szaty —
(Po chwili.)
Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie? — Grób ten dwoje kochanków przykryje.
(Po chwili.)
Chodź za mną — daj mi rękę — jak twe serce bije?
Bije za nadto głośno, Mindowe usłyszy!
Czego tak głośno stąpasz? W pałacowej ciszy
O sklepienie się każde westchnienie roztrąca.
I uśmiech taki zimny — i dłoń taka drżąca.
(Idzie do okna.)
Czemu tak wcześnie? czemu tak wcześnie?
Już mię porzucasz, drogi mój! miły?
Jeszcze gmach cały spoczywa we śnie —
Ledwo wieczorne gwiazdy zalśniły.
Lecz oko twoje mego unika,
I łzami smutna błyszczy źrenica.
Czy cię tak smuci ten głos słowika?
Czy cię tak smuci ten blask księżyca?

MINDOWE.

Nieszczęśliwa — więc dam jej zatrute napoje —
I któżby z ludzi sądził, żeby serce moje
Miało tyle litości?
(Podaje Aldonie czarę.)
Dowmunt ci przysyła
Ten napój — wypij — zaśniesz.

ALDONA, z uśmiechem.

To Dowmunt? —

MINDOWE.

Wypiła —

ALDONA.

Noc była ciemna i chłodna,
Czułam jak się myśl moja rozdzielała ze mną,
I mowa z wątkiem myśli stała się niezgodna.
Straszna to była chwila, jeszcze w noc tak ciemna!
Lecz pewniej — kiedyś — w tej samej dobie,
Była straszniejsza chwila w tej sali. —

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie? —
Nic mi, mój luby — czy słyszysz dźwięk stali?
Chroń się — o Boże! wyłam okien kraty. —
(Śmieje się z obłąk aniem.)
Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie — —
(Śmieje się dziko.)
Aldono! tyś podladła — Aldono, co tobie?
Nie mi, mój luby — bywaj zdrów na wieki!
(Wychodzi zamyślona.)

MINDOWE.

Niech prędko sen śmiertelny zamknie jej powieki. —

ROGNEDA.

Słyszę jakieś stąpania — o synu! synu drogi!
Patrz, oto klucz od świątyń — przez te drzwi komnaty
Uchodź — tam będą bronić wielkie Litwy Bogi,
Tam w ołtarzu odemkniesz potajemne kraty.
Jest wyjście do ogrodu, kędy lampa świeci —
Zapomnij przekleństw.

MINDOWE, wskazując na jedne drzwi.

Matko! tam! tam moje dzieci! —
(Wychodzi innemi drzwiami.)

ROGNEDA, sama.

Poszedł — ostatnich jeszcze kroków szelest słyszę!
I te już nikną — poszedł — wszędy grobu cisze. —
(Po chwili.)
Gdzież jestem? Czy młodości wróciła godzina;
Wszyscy są tu, koło mnie. — Książęca rodzina
Otoczyła mię w koło. Nie są to obrazy,
Które z płótna się patrzą nieruchomym wzrokiem.
Widzę ich — na obliczu czas nie wyrył skazy,
Nie zakryli się żadnym posępnym obłokiem —
Jak wczoraj pożegnani.
(Mówi do otaczających ją duchów.)
Ryngolcie: mój mężu!
Siądź tu przy mnie. — Patrz, jak ta dziecina na łonie
Uśmiecha się i w twoim podoba orężu.
Nie rusz miecza, Mindowe, okaleczysz dłonie!

Masz kwiatek, baw się z kwiatem, dziecię! duszo moja!
Ty się uśmiechasz, mężu! Ryngolcie kochany!

(Słychać szczęk broni.)

Broń jęknęła. — Ryngolcie, czy to twoja zbroja
Zajęczała tak smutnie? Czy miecz spadł ze ściany?
Ty znikasz — pójdę z tobą — nigdy się nie chwiałam —
Czy przyjmiesz mię do grobu? czy przyjmiesz? —

(Przez kilka chwil milczy zamyślona — Trojnat ze sztyletem w ręku, blady, przechodzi przez głąb sali — i wchodzi do pokoju dzieci przez drzwi, na które Mindowe wskazał, oddalając się.)

Słyszałam! —
Tak, to on był!

(Mindowe wraca.)

MINDOWE.

Kto, matko! kto, matko!

ROGNEDA, z zadziwieniem.

Mindowe?
Po coś tu przybył! Po co szukasz tu schronienia?
Uciekaj! Miecz ukryty spadnie na twą głowę.

MINDOWE.

Nikogo tu nie widzę, oprócz mego cienia,
Który po raz ostatni pada na te ściany.
Matko, widać nieszczęściem umysł twój zbłąkany?
Próżna ucieczka, losy niechaj się uiszczą —
Byłem w świątyni, zewsząd zdradne miecze błyszczą.
Czy był tu kto?

ROGNEDA.

Gdzie Trojnat? Trojnat tu przechodził!
Zdaje się że widziałam sztylet — we krwi brodził.

MINDOWE.

Gdzie Trojnat? Matko moja! gdzie Trojnat — on zginie!
Chciałbym ukarać sprawcę niegodnego czynu.
Matko, powiedz! ach powiedz! nim chwila przeminie —
Będzie zapóźno —

ROGNEDA, z rozpaczą.

Ja go nie widziałam; synu!
Nie lękaj się — nie zginiesz od Trojnata dłoni;
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie.

MINDOWE.

O Matko! oby prędzej zabłysło świtanie!
Zaledwo się od wschodu rozwidnia noc ciemna,
Srebrne mgły się podnoszą. — Zda mi się że słyszę,
Jak smutno szumią wody błękitnego Niemna,
Jak posępnie litewskim borem wiatr kołysze.
Matko, czujesz — przez okna tej gotyckiej sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie —
O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali —
Zdradzasz go. — Niech już słońca zabłysną promienie.
Nie wytrzymam, tak srodze duszę moją nęka
Ta nad głową z sztyletem zawieszona ręka.

(Podczas ostatnich słów wchodzi Dowmunt w krzyżackiej zbroi, z zapuszczoną przyłbicą. — Rogneda do końca aktu siedzi nieporuszona.)

DOWMUNT.

Zapłaciłbym krwią moją tak podłe wyznanie!
Boisz się umrzeć — zgonu boisz się, tyranie?
Proś i głoś żal za życiem niewieściemi słowy! —
Nakarmię dziką zemstę bojaźnią Mindowy —
Ujrzę płacz rzewny dziecka!

MINDOWE.

To Krzyżak! strach marny.
Dzieci tylko przeraża zbroja i krzyż czarny —
Broń się. —

(Biją się i po długiej walce zastanawiają się oba.)

A więc innego użyjmy sposobu.
Oba odrzućmy zbroje — ten, kto mię zabije,
Musi wprzód wejść do grobu, potem powstać z grobu.

DOWMUNT.

Pomnisz Dowmunta?

MINDOWE.

Skonał.

DOWMUNT, podnosi przyłbicę.

Już zmartwychwstał, żyje —
Patrz, kto ja jestem!

MINDOWE.

Matko! matko! mąż Aldony!

DOWMUNT.

Mąż Aldony! Tak jest, mąż Aldony!

Broń się nieszczęsny! Cała wściekłość mi wróciła.
Odemszczę w krwi tyrana nieszczęścia mej żony!

MINDOWE.

Więc i śmierć jej odemścij.

DOWMUNT.

Jakto? ona żyła!
I choćby serce uschło, ją mój wzrok ożywi —
Będziemy jeszcze razem; będziemy szczęśliwi!
Jak dziecka strzedz jej będę i osłodzę płacze —
Powiedz że ona żyje! wszystko ci przebaczę,
Nawet tę wieść ostatnią, okropną i ciemną.

MINDOWE.

Ona piła truciznę, zginie razem ze mną.

DOWMUNT, przebija go.

Ty prędzej zginiesz! — Boże! Aldona! Aldona!

(Wybiega.)

MINDOWE, opiera się o filar sali.

Krew mi płynie strumieniem z rozdartego łona.
Matko moja! chodź, zamknij, zamknij oczy syna! —
Jak się ciężką wydaje ta żelazna zbroja!
Ten miecz okropny mrozem krew mi w żyłach ścina.
Czyżeś mię opuściła, matko! matko moja! —
Przekleństwo wam! O mnichu! mnichu! precz mi z krzyżem.
Na tron nieście — a w mnichy Trojnata postrzyżem.
A ty, po co nademną szepczesz te pacierze?
Boże mój — Boże — ciągle odzywa się we mnie —
Precz mnichu! sen przerywasz — niech boleść uśmierzę,
Niech zasnę, oh! niech zasnę — — Daremnie! daremnie!
W strasznych bolach o wszystkiem w świecie zapominam —
Świat i ciebie przeklinam — i dzieci przeklinam —
Wszystkich przeklnę! — O matko! gdzie są moje dzieci?

(Trojnat wychodzi z pokoju dzieci ze sztyletem w ręku.)

TROJNAT.

Nie! tu nie ma nikogo — lampa tylko świeci.
Gdzież ta korona? gdzież jest? zabić bez nagrody?
Gdzież jest moja korona? gdzie purpura księcia? —
Jak mi ciężko — okropnie —

(Patrzy przez okno.)

Słszę ranne chłody,
Spojrzę na ziemię — róża jest jak twarz dziecięcia,
Spojrzę na niebo — księżyc jest jak twarz dziecięcia —
Wszystko mi przypomina! Raz pierwszy krew leję —
Potem przywyknę — teraz pot się sączy z czoła.
Noc straszna! Włos od zgryzot przez noc mi zbieleje —
Jakiś szmer słychać — może to mię dziecię woła?
Czy wrócę ich dokonać? Nie — tak mi się zdało —
Ciemno lampa płonęła, jedno z dzieci spało,
Po płaczu utulone jak na łonie matki,
I przez sen niespokojne marzyło wyrazy.
Drugi już się przebudził — i wołał o kwiatki,
I niewyraźne dawał piastunce rozkazy;
Potem nagle zapłakał, gdy żadnej nie było,
I jakby mu się jeszcze coś strasznego śniło,
Jeszcze zapłakał — jęknął — znów cicho w komnacie,
I jeszcze — jeszcze jęknął —

MINDOWE.

Trojnacie! Trojnacie!
Skończ! skończ! przekleństwo tobie! O boleść straszliwa!
Mocniejsza teraz, kiedy życie dogorywa!
Gryzłbym z jękiem te twarde kolumny, marmury —
Przeklinam ciebie — matko ty przeklnij mordercę!
Twych przekleństw ja doznałem. — Boleści tortury!
O, gdyby prędzej skończyć! Przebij mi to serce!
Lecz nie tym mieczem, którym zabijałeś dzieci —
Precz! precz! czuję — duch z jękiem ostatnim ulecí!
Oh! oh! oh! —

(Kona.)

(Dowmunt wpada, prowadząc za sobą obłąkaną Aldonę.)

DOWMUNT.

Ach, przemów! przemów do mnie, o droga Aldono!

ALDONA, śpiewa z obłąkaniem.

Oto złotą osnową
Winie mi się wrzeciono,
A ja śpiewam dziecinie:
Jeśli się nić uwinie,

Uwieńczona koroną;
Będziesz kiedyś królową.

(Przestaje śpiewać.)

Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.
Pamiętam, tak mi niegdyś piastunka śpiewała;
Czy się ta nić uprzędła? czyli się urwała?
Nie wiem — już nie pamiętam, to tak dawno było!

DOWMUNT, z rozpaczą.

Czy ty mię znasz, Aldono?

ALDONA, zimno.

Tak — myśmy się znali
We śnie. — Tyle mi twarzy na świecie się śniło!
Któż sny pamięta? —

DOWMUNT.

Lampa tak ciemno się pali,
Dla tego nie poznała. —

(Bierze lampę i z nią przystępuje do Aldony.)

Patrz! twój Dowmunt żyje,
Stoi przed tobą. — Patrzaj! choć nieszczęście zmienia,
Nie zmieni rysów twarzy — zginął stróż więzienia,
Ja odzyskałem wolność. —

ALDONA.

Ach, jak mi wesoło!
Idę do ślubu, wianek zawieszę na czoło. —
Jeden kwiat polnej róży
I dużo rozmarynu —
Niechaj mi szczęście wróży;
Dwie gałązki jaśminu,
I jeden liść paproci. —
Patrzaj! oto poranek blade niebo złoci —
I tak mi słabo teraz — tak mi w oczach ciemno.

DOWMUNT.

O luba! droga moja — chodź ze mną! chodź ze mną!
Nie płacz — czas wszystko zgładzi — zmysły ci powrócą;
Strzedz cię będę jak kwiatu, otoczę kwiatami —
Żadne ponure myśli szczęścia nie zakłócą!
Łzy moje cicho będą płynąć z twemi łzami. —

ALDONA, wpatrując się w Dowmunta, z uśmiechem.

Dowmunt! —

DOWMUNT.

Ty mię poznałaś?

ALDONA, oglądając się.

Jak tu ciemno w gmachu.
Te kwiaty na podłodze? —

DOWMUNT.

Krew skalała głazy.
Chodź, chodź! Oto ich twarze pobladły z przestrachu.

ALDONA, śmiejąc się z obłąkaniem.

Cha! cha! Ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy,
I ból. — Niech go uczuję głębiej — Oh! rozdziera,
Rozdziera mi wnętrzności. — Wyrwij mi go z łona —
Już widmo ciemne myśli bladnie — obumiera —
I wszystko przeszło. — Boże! oh! oh! — oh! —

(Umiera.)

DOWMUNT, padając przy niej na kolana.

Aldona! —

(Wchodzi Krzyżak.)

KRZYŻAK, do Trojnata.

Kapłan litewski panem Litwy cię ogłasza,
A lud radośnym krzykiem jego wybór święci.

TROJNAT.

Nie gadaj do mnie — wszystko wygasło w pamięci —
Lecz głos dumy sumienia boleści rozprasza.
Może o tem zapomnę, gdy włożę koronę! —
Dowmuncie! chodź z tej sali. —

DOWMUNT.

Patrzaj na Aldonę,
Jaka blada, jak zimna — to Aldona!

TROJNAT.

Blada?
Ach! właśnie taka bladość była dzieci twarzy,
Tak były ciche, zimne. — Okropna to zdrada —
Zabijać dzieci! Ale mi się marzy
Że jeden jeszcze westchnął — pójdę tam — zobaczę —
Nie, nie, to było tylko konających drganie.

Tyle razy słyszałem z ich kolebek płacze,
Nie dziw że mi się marzą.

KRZYŻAK.

Lud cię woła, panie.

TROJNAT.

Tak prawda — lud mię woła i na króla święci.
Matko! matko Mindowy! spełnione twe chęci.
Cóż to? Nie słyszysz matko? — Nic nie odpowiada —
Rognedo! twego syna ziemia dziś pokryje.
Rognedo? czegoż milczysz?

(Zbliża się do nieruchomie siedzącej Rognedy.)

Przebóg! jaka blada,
Nieruchoma — skościała — zimna!

(Bierzę ją za rękę.)

Już nie żyje! —

Ktokolwiek zechce przeczytać do końca zbiór niniejszych poezji, przekona się jak mało czytelnika sobą i własnemi uczuciami zatrudniam. Usilnie kryłem się za osoby działające w powieściach; a jeszcze mniej widać autora w dziełach scenicznych. Odczytując świeżo dramat Mindowe, wpadam na myśl, że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu, drugim bezbożność, a oprócz tych zarzutów, ileż błędów wiersza nie wyśledzi oko wglądającego przez mikroskop gramatyka! Niech mi więc wolno będzie, uprzedzając krytyki, wyznać, że sam czuję najlepiej wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniej błędów starałem się w Mariji Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? Mamże wyznać że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, wtenczas, kiedy autor miał lat — — Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona, i możeby słusznie jakie z pism perjodycznych polskich, naśladując Edinburgh Review — tylko samo bardziej błahe i nad bardziej błahym pastwiąc się autorem — powiedziało: iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniej w przypisach o przywileje małoletnich upominam się. I tak: Mindowe powinien był wiecznie w tece dziecinnej pozostać; wiecznie by w niej pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego. Ależ i w akcie trzecim, na który niejako uwagę czytelnika zwrócić usiłuję, pozostało mi tu uczynić przykre może dla wielu innych, choć dla mnie mało ważne wyznanie. Jeden z literatów, który dawniej przebiegał sceny Mindowy, uczynił

mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej Grażynie Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historji Karamzyna, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnem ubóstwie królów i kniaziów. Nieraz książę Tweru albo Nowgorodu, testamentem rozpisując swoje skarby: jednemu z synów kubek, drugiemu szatę jedwabną, trzeciemu łańcuch daje w spuściznie. Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny, i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz:

Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję.

I ten drugi:

A tu patrz Lutuwerze, jak posępne gmachy.

Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam.

Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach się spotykać, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowo naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło genjuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Walenrod sam jest szpiegiem Coopera? Że opisanie charakteru Walenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał? Że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w Walenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Paryzyny? A jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł, i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzy popełniane, prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą.

Ale z drugiej strony ileż w tegoczesnych poetach nowych myśli, jaka moc zadziwiająca wynalezienia? Słusznie Cousin w historji filozofji ośmnastego wieku powiedział: że wiek dziewiętnasty będzie bogatym w wielkich poetów, albowiem Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi nowe zasoby wyobraźni; ale nie-

słusznie tenże pisarz dodał: że Bóg uczynił to jakoby dla wynagrodzenia ludzi za oschłość politycznych wypadków wieku. Sądziłbym że wiek ten będzie w wypadkach swoich poetycznym, i że skarby wyobraźni wylane zostały na świat, celem usposobienia ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć, celem silniejszego popchnięcia dążności ludów.

Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność, w słowach Mindowy ukrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy. Trzebaż było, aby Mindowe w każdem słowie, lękając się obrazić czytelnika, obrażenia Krzyżaków się lękał? Wyrzeczenie się wiary, zerwanie z Krzyżakami, bulla papieska, w której Inocenty IV. daruje królowi wszystkie kraje, jakie kiedykolwiek Mindowe mieczem pozyska na Danielu książęciu z Halicza, są to fakta z historji wyjęte. Te rysy były głównym zawiąskiem utworu; musiał więc pozostać, i śmiem dodać, że sceny te, jako żywcem z historji wydarte, są jedyną zapewne zaletą źle ułożonego obrazu.

MARJA STUART.

DRAMAT HISTORYCZNY

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

Marja Stuart, królowa Szkocji.
Henryk Darnlej, mąż Marji Stuart.
Morton, kanclerz.
Rizzio.
Botwel, kochanek Marji.
Duglas.
Lindsaj.
Paź Marji Stuart.
Nick, błazen Henryka.
Astrolog.

Scena w pałacu Holy Rood.

MARJA STUART.

AKT I.

SCENA I.

(Sala w pałacu Holy Rood.)

MARJA STUART, RIZZIO, PAŻ.

PAŻ, wbiega prędko.

Smutne wieści przynoszę! Posłuchaj królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiej kaplicy.
Dziś królowo, nad rankiem, za ogrodu murem,
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda,
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem:
Mały Janek i strzelce i Marjanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem z dala za tłumem, w tem zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się do koła —
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potem wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli. — Znów ten człowiek blady,
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy,
Przeciwko tobie pani, lud budził do zdrady.

RIZZIO.

Poznałem z opisania, to był Knox królowo.
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,

Lud się modli i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześciańskie podaje nauki —
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
«Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!»
Jak papież, klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

PAŻ.

Królowo! śmielsi z ludzi, do zbrodni gotowi,
Wpadli do twej kaplicy, z dzikiemi okrzyki:
«Gniazdo papistów!» krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
Wtem patrzę — oto w szaty kościelne przybrany,
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja i śmiele,
Jak ksiądz, zaczął kazanie w święconym kościele!
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza, zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mię orężem — o ścianę oparty
Miałem uledz — wtem Botwel z królewskiemi warty,
Przybył — ocalił pazia — kaplicę otoczył.

MARJA.

Rizzio! słyszałeś? Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich! lud mię nienawidzi!
Ów Knox śmiało urąga kobiecej koronie!
Takżem to nisko spadła? przeklina mię — szydzi —
Rozdzierają to serce! Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam? Czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocjo —!

RIZZIO.

Przestaną!
Przestaną cię obrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak, pozwól królowo —
Paziu pisz rozkaz — niechaj schwytani na zbrodni,
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

(Paź bierse pióro i siada nad kartą pargaminu.)

Pisz rozkaz, przewinili, litości nie godni —
Wszystkich bym jednym stosu ogarnął płomieniem.

MARJA.

Cały lud byś wytępił? jaka zemsta dzika:
Lud mię zdradza. —

PAŹ, pisząc.

Królowo! czyliż z twem imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

MARJA.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś iego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem!
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz? nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła — —

RIZZIO.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na taką dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy na obłoków tronie,
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie! —
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłem czołem widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonej kary —
A cnót przyćmionych kiedyż znajdą się obrońce?
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce!

MARJA.

Wiara każe przebaczyć.

RIZZIO.

Bóg ma kary w niebie —
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryje niesławą —
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie,

Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie,
Zapalić jasny świecznik, niech błyska i płonie.
(Do pazia który skończył pisać i wstaje.)
Skończyłeś paziu! dobrze, zawołaj rycerza
Który dziś straż odbywa.

(Paź wychodzi.)

Wyrok swój usłyszą —
Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza!
Jak pióra, co na mojej głowie się kołyszą,
Zadrżą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

MARJA, RIZZIO, DUGLAS, PAŹ.

MARJA.

Witam ciebie Duglasie — niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowej.
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.
(Duglas odbiera pismo z rąk królowy, przegląda je i czeka.)
Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niem ubliżyć kobiecie? królowej?

DUGLAS.

Królowej? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz pani — oto na tym pargaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłej godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba;
Imię z twojem imieniem zawsze było w parze.
Wybacz śmiałości mojej, może się podoba
Sprostować błąd?

RIZZIO.

Królowa nie błądzi gdy każe.

DUGLAS, ze wzgardą.

Niech z samych ust królowy otrzymam odprawę —
Czekam jej odpowiedzi.

MARJA.

Spełń rozkaz.

DUGLAS, zapalając się.

Na Boga!
Wstrzymaj pani! o, wstrzymaj te rozkazy krwawe!
Królowo! chceszże aby krwią zalana droga
Wiodła do twego tronu? do tronu kobiety?
I niezgody pochodnia na królewskim dworze!
Nie wiem kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty,
Albo ją wiatr francuski roznieca przez morze.
Słowa wyroku wzięte z Weneckiego śpiewu,
Z barkarolli harfiarza, lub z hymnów Papieża?
Więc aż w Szkocji je słychać — pragną krwi rozlewu!
Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza —
Może zostanie —

MARJA.

Dosyć! pamiętaj Duglasie!
Mnie twoje płoche słowa obrazić nie mogą;
Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą —
Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie.
A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
Jestem królową. —

DUGLAS.

Przebóg! ja stracę ostrogi?
Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie!
Ani je podstępnemi zdobywałem drogi;
Nie dała mi ich harfa — nie dało śpiewanie,
Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu —
Gdziem je zyskał powiedzą pola Albijonu:
Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
Szczycę się długim przodków szlachetnym poczetem —
A wszyscy! — wszyscy mieczem służyli Stuartom!

RIZZIO.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem —

DUGLAS.

O nędzny! coś wymówił? co słyszałem? Boże!
Ha! więc znasz jak Duglasy mścili swej zniewagi,
Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze!
Na kimże ja się zemszczę? — Lalka — bez odwagi —

Oto trefione włosy i różane lice:
Przystąp tu małe dziecko — rzucam rękawicę!
(Rzuca rękawicę.)
Podnieś — jeśli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

RIZZIO.

Podnoszę. — Z mojej strony oto masz wyzwanie.
(Bierze kwiaty leżące na stoliku przed królową i rzuca je pod nogi Duglasowi.)
Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi,
Tu, w obliczu królowy. —

MARJA, do Rizzia.

Z mojego roskazu
Odrzuć tę rękawicę. —

RIZZIO.

Rzucam, nie mam zbroi,
I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu —
Daj mi wachlarz królowo! —

DUGLAS, z wściekłością.

Jeszcze raz znieważył,
Odrzucił rękawicę! — Królowo! królowo!
Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,
Już nie zaśnie pod dachem gdzie pożar rozżarzył;
Przysięgam, ścigać będę. — Nie zechce się bronić,
Zostanę podłym zbójcą — pójdę za nim w ślady;
Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.
Znajdzie mię tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,
Znajdzie mię u podwoi — w ogrodach — w kościele,
Znajdzie na dworze Francji — przed tronem Papieża,
Choćby mu się słał u nóg, jak się teraz ściele,
Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza. —
(Zimno ze wzgardą.)
Kiedyś królowo — kiedy dworem okolona,
Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty;
Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,
A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,
Podam ci ten kwiat — we krwi! —

MARJA.

Rizzio! chodź z tej sali.

Widzisz Duglasie? jestem ze Stuartów rodu,
Umię pogardzać. —

(Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potem wraca.)

RIZZIO.

Jutro — w chłodnikach ogrodu,
Czekam ciebie Duglasie, i na ostrza stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

(Odchodzi spiesznie za królową.)

SCENA III.

DUGLAS, sam.

Jutro — dzięki tobie!
Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi —
Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie —
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał? — nawet drżącą dłonią
Rzucał pod nogi kwiaty — gardził? być nie może
Iżby Duglasem gardził! on wie — śmiercią grożę —

(Zamyślony, spokojniej.)

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią? —
Czuję, nie mógłbym w piersi odkryte uderzyć —
Dam Włochowi miecz dłuższy, doświadczonej mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć.
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila —
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

DUGLAS, MORTON wchodzi.

DUGLAS.

Witam wielki kanclerzu — właśnie szukam ciebie:
Obacz jako małżeńska miłość się przesila,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.

(Daje rozkaz królowy.)

Przyłóż pieczęć.

MORTON, przeglądając pismo,

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?
Ja mam przyłożyć pieczęć — jeśli nie przyłożę,
Królowa powie na to —

DUGLAS.

Mówiła królowa:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka co o struny trąca.

MORTON.

Tak mówiła? słyszałeś? —

DUGLAS.

Słyszałem.

MORTON.

Mówiła!? —

DUGLAS.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!
Trzeba pieczęć przyłożyć. —

MORTON.

Lecz gdy król się dowie,
Co powie na to?

DUGLAS.

Łatwo zgadnąć co król powie:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Weźmie ją ręka dotąd dzwonkami brzęcząca.

(Śmiejąc się odchodzi.)

MORTON.

Czekaj! czekaj Duglasie — bojaźń mię przenika,
Pójść do królowy? — Nie, nie, pójdę do Henryka.

(Odchodzi.)

SCENA V.

(Scena w pokojach Henryka Darnleja.)

HENRYK DARNLEJ, NICK

NICK.

Nagródź mi królu. —

HENRYK.

Za co? —

NICK.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki — bez dzwonków.

HENRYK, śmiejąc się.

O! szkoda! —

NICK, smutno.

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię tajemnicę chowałem Midasa:
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!

(Po chwili myślenia.)

Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnej nie będzie różnicy —
Takiej żądam nagrody. —

HENRYK.

Cha! co ci się roi?
Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Prócz ubioru cóż jeszcze biedny Nick dostanie?

HENRYK.

Żądaj więc —

NICK, myśląc.

Królu daj mi — daj —

(Wesoło.)

Portret królowy.

HENRYK.

Dam ci swój. —

NICK.

Twego nie chcę — daj mi szyling panie,
Na nim jest wizerunek królowy w koronie;
A ciebie na szylingu nie ma. —

HENRYK.

O! straszliwie!
Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie —
Jestem królem — nie jestem królem — sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę. —

Dosyć już poniżenia! jam na wszystko gotów,
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mię małe —
Oto jest mąż królowy! Czemuż nie Król Szkotów?
Mąż królowy — to wielka dla Darnleja sława! —

(Zamyśla się.)

NICK, niby do siebie, mówiąc głośno.

Nie dał szylinga — pójdę — nie wytrzymam dłużej,
Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
Ja służę Henrykowi — Rizzio Marji służy
I któż z nas lepiej wyszedł? — Gdym przybył do dworu
Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczem,
Zaraz mi dano szatę różnego koloru —
I kij, na którym głowa z podwójnym obliczem,
I czapeczkę z dzwonkami — i pas — a przy pasie
Były dwa worki próżne, i dziś jeszcze próżne,
I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
Opatrzony podwójną twarzą — i okryty
Łataną szatą — w workach żadnego cekina.
Dziś patrz! Włoch już drogiemi błyszczy aksamity,
Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
Z pełnych worków twarz Marji wygląda przyjazna!
Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
I gdyby miał takiego jak ja jestem błazna,
Możeby był podobny do takiego króla,
Jakim jest

(Pokazując ze złośliwym uśmiechem na Henryka.)

Zasnął w myślach — zaraz go obudzę —
Królu, słyszysz głos harfy?

HENRYK.

Gdzie?

NICK.

W tronowej sali —

HENRYK, z mocną boleścią.

Szatanem jesteś Nicku, ja się dręczę — trudzę —
Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
Niech zagrzebie tron, harfę. — Gdzież znajdę zacisze?
Coraz bliżej strasznemi nabawia mię snami!

Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę! —
Jak jej nie słyszeć?

NICK.

Królu wdziej czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

HENRYK.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

HENRYK, NICK, MORTON.

MORTON.

Królu! racz słuchać królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią — — Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

HENRYK.

Któż o tem wątpi?

MORTON.

Racz więc posłuchać mię książe!

HENRYK, z oburzeniem.

Książe?

MORTON.

Królu, racz słuchać! — Nie znajdę wyrazów —
Oto jest pismo — pieczęć przyłożyć kazano.

HENRYK, przegląda pismo

Cóż to? gdzież moje imię, z jakich to roskazów?
Nie! to pomyłka. —

MORTON, z uśmiechem.

Tak jest, króla nie wpisano,
Przez pomyłkę zapewne?

HENRYK.

Wątpisz o tem starcze?
Wnet pójdę do królowy, a wszystko przemieni!
Pójdę, i wymówkami niewierną obarczę —
Nie, prosić będę. — Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie jak dawniejśmy czuli.
To prawie moja wina — jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas — zdradę podstępni uknuli,

Lecz królowa kochała i teraz mię kocha.
Gdzież jest Marja?

MORTON.

U siebie — Rizzio u niej bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi — —

HENRYK, gwałtownie.

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę —
Któż mię uwolni?

MORTON.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się — Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarżenie, ja przyjmę obronę —
Zginie. —

HENRYK.

O nędzny stareze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowy być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, ze krwi obmyć dłonie?
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie,
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłej sprawie?
Ten Włoch nikczemny może, w sądzie uwolniony,
Znów mi będzie urągał? — Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony;
Powróci pokój w domu. — Tak — ja się namyślę —
Po co myśleć — myślałem — wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo — zimno — dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie —
Grabarze na smętarzach już dlań kopią doły.

NICK, widząc że Morton nie może wesołości utaić.

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś Mortonie?
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły!
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ.

LINDSAJ,

Królu! dostałem sokoła — król ptaków!

Norwegski, cały srebrnem osłoniony pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

HENRYK.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

LINDSAJ.

Cha! cha! bez porównania, lekszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiet, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosiła go na dłoni nad Klydu rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

MORTON.

Dziś król ma zajęcie.

HENRYK.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy —
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj Lindsaju! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiet, celem pośmiewiska;
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz Lindsaju?

LINDSAJ.

Powinieneś się zemścić srogo — to tak właśnie
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiej.

HENRYK.

Nim słońce zagaśnie,
Lindsaju, dziś pomożesz zastawić mi sieci.
Wiesz kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!
Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświeci —
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

LINDSAJ.

Najchętniej w twe zamiary wchodzę.
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

HENRYK.

Ja cię za to sowicie nagrodzę,
Będziesz w jego zwierzyńcu płoche sarny gonił.

SCENA VIII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS.

LINDSAJ, do wchodzącego Duglasa.

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?
Odgłos o waszej zwadzie rozszedł się daleki —
Słyszałem. —

DUGLAS.

Dobrześ słyszał, lecz gdy chcesz rozgłosić,
Pamiętaj że dzwon może zamilknąć na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

LINDSAJ.

Słuchaj! złącz się z nami!
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża,
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

DLGLAS.

Któż cudzej dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was, ja pragnę, Rizzio niechaj żyje.
Jutro go oddam waszej zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję —
Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się, że boju nie zechcesz Mortonie?
Lindsaju! jam nie jeleń co w borach popasa?
Henryku! pomnić zechcesz, że w twojej koronie
Słabszy daleko kruszec, niż w mieczu Duglasa.
Na jutro złóżcie zemstę — kto pójdzie inaczej,
Jest moim wrogiem.

(Odchodzi.)

SCENA IX.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ.

DINDSAJ.

Cóż to? oszalał z rozpaczy?

MORTON.

Królu, czyliż cię grośba Duglasa zachwieje?

HENRYK.

—Nie lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.

Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje — —
Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
Rycerze, niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
Trzymamy w ręku życie nieszczęsnej ofiary.
A ty mały trefnisiu śpiesz do Astrologa,
Niech powie jaki skutek odniosą zamiary.

AKT II.

SCENA I.

(Teatr wystawia mieszkanie Astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami. Teleskopy w oknach obrócone na niebo.)

ASTROLOG, sam.

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia —
Myśleć — zgłębiać — i potem wszystkiemu nie wierzyć!
Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć —
Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia? —
Przeznaczenie! — szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
Ty coś ręce zakrwawił? podnieś czoło blade,
Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem!
Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę.
W kolebce byłeś takim jak dzisiaj zbrodniarzem,
Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!
Ty, co posiadałeś cnoty, umierasz nędzarzem,
Przestań się dręczyć, twoja cnota nie jest cnotą!
O! gdybyś w późnej chwili, na śmiertelnem łożu,
Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi —
Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
Szedłeś, samotny nędzarz! — Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

ASTROLOG, NICK.

NICK.

Jak się masz ojcze? — . . . . . .

ASTROLOG.

Ojcze! skąd to pokrewieństwo?

NICK.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

ASTROLOG.

O, nędzny! nie znasz nauk i badań potęgi!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą —

NICK.

Więc mi pokaż kres dalszy. — Ojcze proszę ciebie.

(Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.)

Cha! cha! cha!

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK, śmiejąc się.

Niebo!

ASTROLOG.

A na niebie?

NICK, spokojnie.

Nic. —

ASTROLOG.

Zasiane jest ono światy rozlicznemi.

NICK, patrzy drugim końcem teleskopu, zmniejszającym przedmioty.

Widziałem! —

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK.

Ziemię!

ASTROLOG.

A na ziemi?

NICK.

Nic. —

ASTROLOG.

Mnie musiałeś widzieć!

NICK.

Byłeś oddalony —
Byłeś mały jak proszek, mądry Astronomie!

Nie patrz na niebo, znikniesz w tych światów ogromnie —
Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtej strony.
Jak małą ci się wyda nauka i sława! —
Tem lepszy jest teleskop, im bardziej oddala.
Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
A mędrzec króla —

ASTROLOG.

Błaznom rozprawiać dozwala.
Lecz z czemże tu przyszedłeś?

NICK.

Pyta mąż królowy,
Jaki los czeka Rizzia? — Nie łam sobie głowy,
Przy mojej się pomocy rzecz łatwo wysłowi:
Powiadam ci że zginie — ty powiesz królowi
Że zginie.

ASTROLOG.

Precz mi z oczu! Nie żądam pomocy.
Nieś to pismo królowi, w niem jest tajemnica —
Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem tej nocy,
Wszystkie pobladły, srebrne zachmurzyły lica.
Precz mi z oczu!

NICK.

Lecz powiedz jeszcze, co mnie czeka?

ASTROLOG.

Śmierć prędka.

NICK.

A po śmierci?

ASTROLOG.

Nie wiem.

NICK.

Do widzenia!
Równośmy mądrzy.

(Odchodzi)

ASTROLOG.

Podłe jestestwo człowieka,
Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

ASTROLOG, PAŻ.

PAŻ.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawiam się, mądry mistrzu!

ASTROLOG.

Słuchaj, paziu młody?
Czy ty kochasz królowę?

PAŻ.

Skądże to pytanie?
Czy ja kocham królowę? Jakież tam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! — Dzień cały od rana
Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża na pół uwiędła z jej czoła;
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnemi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonej koronie przed boskim ołtarzem,
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!

ASTROLOG.

Paziu! nim chwila przeminie,
Masz stanąć u królowy i donieść jej skrycie,
Że człowiek milszy dla niej nad tron i nad życie,
Zginie dzisiaj.

PAŻ.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

ASTROLOG, z zadziwieniem.

Botwel? Innego miałem w przestrodze na celu!
Paziu! ja nie myślałem wcale o Botwelu

PAŻ, z rozpaczą.

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem!
Nie wierz mi! Ona tego sobie nie wyznała,
I mnie się nie zwierzyła, z rumieńca odgadłem —
Jam zbłądził. — Nie — Botwela nigdy nie kochała.
Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,
Zatrzymaj wszystko w sobie, czcij honor królowy!

Nie dziw się — całą duszą słuchałem twej mowy,
Cóż dziwnego że słowo wyrwało się z duszy?
O nieszczęśliwy paziu! — Z serca mi wyrwałeś
Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!

(Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.)

Weź tę sprzączkę — zapomnij! — Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
A ty byś nie zapomniał?

ASTROLOG.

Chodź tu, moje dziecię!
Czy myślisz że nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie —
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam żeś dawał,
Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?
Patrz na komnatę, oto są królowy dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
Kiedy wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
Patrz na te czarnym płynem nalane puhary:
W nich złoto rodzą mojej sztuki tajemnice;
Takiego kruszcu z Peru Hiszpanja dostaje! —
Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

PAŹ.

Lecz któż ma zginąć?

ASTROLOG.

Rizzio, Rizzio! W jego serce
Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
Jutro płakać będziecie — silni są mordercc.
Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

PAŹ.

Ojcze! więc spieszę.

(Wybiega.)

SCENA IV.

ASTROLOG, sam, bierze jeden z puharów.

Tutaj są moje nadzieje —

Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę?
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?
(Patrzy w puhar.)
Nie, jeszcze nie ma — dzisiaj wcześnie — jutro może? —
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co, na co sława?
Pierwszeństwo wynalasku — wytrwałość jest cnotą —
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem — miałżebym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem,
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! Skądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela! Dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa, Saturna znamiona,
To znaczy — Otóż Botwel — Zdziwi się gwiazd mową!

SCENA V.

ASTROLOG, BOTWEL.

BOTWEL, zamyślony.

Czemuż wszedłem w te progi? Muszę być szalony!
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie nie kryją nadziei zasłony;
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemna, cicha —
Śmierć we mnie uśmiech budzi — zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech? — I czegoż żądałem?
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? Przepaść mi odkryje —
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzucę.
Zgłębić przyszłość? Niech tylko obecność przeżyję!
I czegoż tu przyszedłem? — Tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się — zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

ASTROLOG.

Gwiazdami pisane
Zgłębiłem tajemnice.

BOTWEL.

Powiedz mi więc szczerze,
Czy wierzysz w twe wyroki?

ASTROLOG.

Wierzę — jak w śmierć wierzę.

BOTWEL.

Nigdy nie mylą?

ASTROLOG.

Nigdy.

BOTWEL.

Marność nauk świata!
Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.
Czy długo żyć będę?

ASTROLOG.

Trzy lata.

BOTWEL, ze wzgardą.

Trzy lata?
Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.
Trzy dni dla mnie za wiele — trzy lata? — daremnie.
Widzisz mię, astrologu — na wybladłej twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda — nie patrz co jest we mnie.
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mię zbrodnie — jest to sytość życia.
Gorące serce wrzało we mnie od powicia.
Teraz jestem znużony — zimny — umrzeć muszę.
(Pokazuje truciznę w kryształowem naczyniu.)
Patrz! oto jest trucizna, a przeszkody — żadne.
Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę!
Cóż jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?
Od długich bólów krótkim uwolnię się bólem.
Umieram. —

ASTROLOG, bierze ga za rękę i prowadzi do stołu, gdzie leżą horoskopy.

Nie — żyć będziesz trzy lata, Botwelu.
Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem.

BOTWEL.

Królem?
Co mówisz? Będę królem! Do takiego celu
Dążyć z nad brzegu grobu? Miałem zasnąć w grobie.

Będę królem. — Klnąć ciebie? czy dziękować tobie?
Nie wiem. Powiedz mi starcze, powiedz, czy na tronie
Spokojniej jest niż w grobie? Ten wszystko pochłonie.
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I po cóż, po co ścigać tak znikomą marę?
Wypiję tę truciznę — nie, rozbiję czarę —
Ale po co rozbijać — może mi się przyda? —
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem —
Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem!
Wygrałeś astrologu! Żyć będę — —

ASTROLOG.

Wygrałem.

BOTWEL.

Idę do celu — nie chcę umierać przed czasem.
Prowadź mię Astrologu w wysokie komnaty,
I pokaż mi władnące moim losem światy. —

(Wychodzą.)

SCENA VI.

(Pokój królowy, w głębi okno gotyckie.)

MARJA, PAŹ.

PAŹ.

Zaraz przybędzie Rizzio.

MARJA.

Czemu nie przybywa?
On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu,
I wkrótce zginie.

PAŹ.

Pani — tyś niesprawiedliwa!
Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu;
Paź nie śmie się przypomnieć — może nie ma prawa.

MARJA.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
Wachlarz na miecz zamienisz — powoła cię sława.
Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?
Botwel? - Lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
Ty płaczesz? Paziu! paziu!

PAŹ.

Dziecinne łzy ronię —
Daruj mi — ja myślałem że w twojej obronie
Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
Teraz pierwszy raz czuję że nastąpić może —
Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
Lecz wszak Botwel rycerzem? Przecież jest na dworze,
I mógłby jeszcze bliżej, bliżej być królowy.

MARJA, zamyślona jak echo.

Botwel — tak — mógłby bliżej, bliżej być królowy.

PAŹ.

Był jednak blisko wczoraj, kiedy w dworzan kole
Towarzyszył ci pani na królewskie łowy;
Tajemniczy miał smutek wyryty na czole.
Potem gdy cały orszak siadł na strojne łodzie,
Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
Patrzał w głębiny wody, jak gdyby w tej wodzie
Widział jakie straszliwe, dręczące widziadła.
I coraz się nachylał — drżałem — nigdy w świecie
Takiej myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
I pojąć jej nie mogę — dotąd mi się marzy,
Jak sen jaki okropny —

MARJA.

O! niewinne dziecię!
Ja łatwo ją pojmuję — dzika myśl szaleńca.

PAŹ.

Królowo! Wiatr, co sprzyjał tej wodnej podróży;
Silniej w żaglach zaszumiał, i z twojego wieńca
Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął —
Zbudził się Botwel — zadrżał — i na sługi skinął:
Łódź mu podano — usiadł samotny do łodzi
I ścigał kwiat zerwany. Śledziłem go długo,
Aż zniknął we mgle —

MARJA, niecierpliwie.

Odejdź! odejdź, wierny sługo!

Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi —
Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

(Paź odchodzi.)

SCENA VII.

MARJA, sama.

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.
Długo ją usypiałam, już uśpić nie mogę,
Będę widzieć Botwela — oddalę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie —
Co? — Ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mię obarcza czarne podejrzenie:
Myślą że kocham Rizzia. — O bojaźń dziecinna!
Któż ma prawo mię sądzić? Ja osądzę siebie!
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie.
Wczoraj tak było. — Dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mię sądzić może.
Ciężko mi w tej koronie — francuska korona
Z lekszego była kruszcu, na chwilę ją złożę —

(Zdejmuje koronę.)

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstręczał wielu.
Teraz wolna. — Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

(Zdejmuje pierścień.)

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia —
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twej posępnej twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia!
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole —
Niech tę chmurę rozproszy uśmiech szczery, tkliwy!
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Wezwałaś mię, królowo?

MARJA.

Bojaźnią dręczona,
Przyzwałam ciebie Rizzio w te skryte komnaty.
Jesteś w niebespieczeństwie, bo rzucone kwiaty
W roli Duglasa, śmierci wydały nasiona.
Posłuchaj więc cierpliwie, mój błędny rycerzu,
Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga
Łatwo znaleść obronę w mieczu i pancerzu —
Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.
Wierzaj mi — źle, kto wrogom ukrytym zawierza;
Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.
Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,
Okręt gotowy — żaglów rozpięte zasłony.
Bądź zdrów!

RIZZIO.

Królowo moja! powtórz te roskazy!
O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani
Nie posłucham — choć ściągnę twój gniew, twe urazy —
Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? Pani!
Marjo! o, ja zostanę — przysięgam, zostanę!
Postanowienia żadna nie naruszy siła!
Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane —
Żeby choć głos był zadrżał, gdyś ją wymówiła —
Marjo! posłuchaj! —

MARJA.

Rizzio, chciej mówić z królową!
Rozmawiałeś z kim innym.

RIZZIO.

I gdzież twa korona?
Nie widzę jej na czole — kwiatem uwieńczona
Jesteś mi równa — śmielszą przemówiłem mową.
Daruj mi! ja myślałem! — myślałem, szalony!
Że ją umyślnie zdjęłaś dla mnie — —

MARJA.

Źleś osądził.
Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony —
I teraz się modliłam.

RIZZIO.

Przebacz mi, jam zbłądził.
Lecz nie kładź jej na czoło — czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żałobą.

MARJA.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —
(Ciszej, kładąc koronę.)
Z sobą.

RIZZIO.

Śmiałość mi odebrała — więc dobrze — odjadę.
(Staje w gotyckim oknie i z udaną obojętnością mówi.)
Dziś dzień taki pogodny — dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade —
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.
Obacz proszę, królowo, jak cicho na dworze,
Kwiaty w twoim ogrodzie odświeżone kwitną —
Tam góry Szkocji, barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia — — Jak tam szumi morze —
Białą mgłą osłonione chwieją się okręty. —

MARJA.

Rizzio! czemu tak zbladłeś? —

RIZZIO, odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.

Tam żagiel rozpięty —
Patrzeć nie mogę.

MARJA.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

RIZZIO.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie,
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby!
Wkrótce ten zamek w mgły się rostopi błękicie —
Będę stał na pokładzie — a morze podemną.
Ha! kto wie gdzie zapłynę! W tłum świata się rzucę,
Zapomnienie już szatą okrywa mię ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! Wszak nigdy nie wrócę? —

Już mię boleść głęboka strawiła i zmogła.
Po cż mam wracać? Po co? Łzy, westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mię mogła!
I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć! —
Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

MARJA, wzruszona.

Rizzio!

RIZZIO.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
Z dźwiękiem mowy głos duszy twojej się wyrywa.

MARJA, zimno.

Rizzio! chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
Proś odemnie Papieża, niech zamknięty w złoto
Przyśle mi chleb ze stołu Pańskiego.

RIZZIO, z oburzeniem.

Pobożna!
Gardzić, poniżać serca, zabijać, jest cnotą —
Potem można się modlić? Wszystko zgładzić można.
Żegnam cię — —

MARJA.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!
Bądź zdrów! Marja ci wiecznie pamięci dochowa.

RIZZIO.

Mam że odjechać?

MARJA.

Cóż to znaczy?

RIZZIO.

Przebacz pani!
Ale twój głos był tkliwszym — smutniejszym niż słowa,
Pozwól mi dziś pozostać — jutro się oddalę.

MARJA, z ironją.

Zostań! zostań! Dziś możesz pozostać bez grzechu!
Dziś bal na dworze, maski napełnią te sale,
Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu.
Przyjdź więc — tam nowe z nami będzie pożegnanie —
Przyjmiesz je choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowy.

RIZZIO.

Pani! żegnam na wieki!

(Odchodzi.)

MARJA.

Raniłam go słowy,
Lęka się mego uśmiechu — dłużej nie zostanie.
Jedno słowo od pewnej śmierci go wybawia —
Zawsze gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia

AKT III.

SCENA I.

(Ogród — Noc — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę świętego Krzyża. Okna pałacu oświecone wewnątrz. Księżyc świeci.)

BOTWEL, sam.

Zatrzymał mię ten starzec nad przepaścią zgonu,
On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
Nie żyć — albo żyć królem — dotąd jużbym nie żył!
Czyliż się na krok jeden zbliżyłbym do tronu?
Jestem czem byłem — marnym łudzę się pozorem.
Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem.
Dziś, wcześnie — jutro będziesz na tronie, Botwelu!
Gwiazdo! z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo mej drodze przyświeca!
Może krew na tej drodze — świeć — krwi się nie boję —
Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
I kiedyż się w niej będą modlić za mnie? Może
Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
Tłum zalotników pełen nadziei, zapału —
Ja — jak nędzarz u progu — okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu —
Tak — to ona — królowa! Poznałem koronę —
Bliżej! bliżej — o nieba! już mi sił nie stanie,

W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
Gdyby mię jaki człowiek obaczył w tym stanie,
Rzekłby z gorzką litością: Botwelu! tyś chory!
Idź do szpitala — słuchaj, ty jesteś szalony!

SCENA II.

BOTWEL, PAŻ.

PAŻ.

Szukam ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
A ty w murach zamkowych, w królowy ogrodzie?

BOTWEL.

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie.

PAŻ.

O! prawda, jak tu miło! W tym lesie topoli
Kwiaty milszą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta —
Chcesz ją widzieć?

BOTWEL.

Co mówisz! królowa zezwoli?

PAŻ.

Zezwoliła.

BOTWEL.

Widzieć ją! Kiedy?

PAŻ.

Za godzinę.

BOTWEL.

Sama ci to mówiła?

PAŻ.

Spełniam jej rozkazy.

BOTWEL.

O gwiazdo! świeć mi gwiazdo! Na morze wypłynę —
Niech łódź moją strzaskają wydobyte głazy —
Nie dbam o nic — zaczęły sprawdzać się wyroki!

PAŻ.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki —
Strwożyć możesz królowę tych nieszczęść widziadłem,
A cień twojego czoła na jej czoło spadnie.

BOTWEL, z ironją.

Co? rozpogodzić czoło? Paziu, to tak snadnie!
Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem —
To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorzki twarzy
Nie jest owocem cierpień? Igraszka dziecinna.
Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna —
Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy.
O paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy!
Tak jak na pargaminie zaloty pisane
Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
Bywaj zdrów!

(Odchodzi.)

PAŻ.

Jak gorzkiemi przeraził mię słowy!
Spieszę teraz do Rizzia, z rozkazem królowy.

(Wybiega.)

SCENA III.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, wchodzą spiesznie.

HENRYK.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

MORTON.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi,
I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.
Trzeba spieszyć — nie wiemy jakie ma zamiary?
Pod lilijami Francji bespiecznie odpłynie.

HENRYK.

Co? miałżeby uniknąć zasłużonej kary?
Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

LINDSAJ.

Śpieszmy więc!

HENRYK.

Czekaj, czekaj! niech dobrze rozważę —
Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?

Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły,
Będzie wskazywał palcem — jaka myśl straszliwa!
Będzie wskazywał, będzie urągał mej twarzy,
Jeżeli twarz poblednie. Kto wie co się zdarzy?
Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
Jego trup zakopany — tu — blisko królowy,
Więcej mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
Skoro się stąd oddali.

LINDSAJ.

Panie! skończmy łowy,
Już prawie wpół dognany ów jeleń pierzchliwy.

HENRYK.

Nie — nie, niechaj odjeżdża.

MORTON.

Tak, niech z Bogiem płynie,
Niech po krajach rozszerza twoją sławę, panie!
Jeszcześ nie był dość znany francuskiej krainie.
Harfiarz, na dobrowolne skazany wygnanie,
Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
On trzyma serce Marji, trzyma rządu szale —
A Henryk?

HENRYK.

Co chcesz mówić?

MORTON.

Że Henryk — w tym kraju
Jest królem.

HENRYK.

Jestem królem! Czy słyszysz Lindsaju,
Co on śmie mówić?

MORTON.

Lindsaj tym słowom zawierza,
Napiwszy się do woli płochych kadzideł dymu,
Uda się może Rizzio do dworu Papieża.
Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,
I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.

Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnlej powie,
Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

HENRYK.

Przestań! już idę! —

(Chcą wychodzić — w progu spotykają Duglasa.)

SCENA IV.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS.

DUGLAS.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

HENRYK.

Nieba! Więc moja zemsta spełnić się nie może?
Jużbym się był nie wahał! — pójdę ponad morze,
Każę okręt zatrzymać.

DUGLAS.

Już żagle rozwinął.

Jam winien — teraz na mnie mścijcie się rycerze!
Oto piersi odkryte i miecz obnażony;
Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
Że ludziom już nie wierzę i sobie nie wierzę.
Sam chciałem przeciąć żywot tak podłej osnowy —
Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowy,
Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
Życie Włocha zostało na mojem sumieniu.
Myślałem że ten harfiarz, wierny przyrzeczeniu,
Jutro, jak rycerz, bronią ze mną się rozprawi.
Ufajcie teraz ludziom! Znoszę brzemię sromu.
Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział.
Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
Przynajmniej uciekając, gdyby był powiedział:
Że nie waszych sztyletów, mojej zląkł się broni —
Możebym żyć mógł jeszcze —!

SCENA V.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS, PAŹ.

DUGLAS, chwyta za piersi wbiegającego Pazia.

Paziu! — Paź ten zginie!
Ja go zabiję — pazia tak kocha królowa
Jak Rizzia.

(Spostrzegając pismo w rękach pazia, wyrywa je.)

Cóż to znaczy? na tym pargaminie,
Widzę kreślone jakieś niewyraźne słowa —
Czytajcie —

PAŹ.

List krolowej oddać mi kazano,
Nie czytajcie! nie macie prawa!

LINDSAJ, biorąc z rąk Duglasa pismo.

Prawem siła.

(Czyta.)

«Dzięki tobie królowo, żeś mi pozwoliła,
Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj» podpisano:
Rizzio.

DUGLAS.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

LINDSAJ.

W klasztorze
Czytać mię nauczono, pojąłem nauki.

HENRYK.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?
To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?
Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.
Lindsaju, zamknij pazia do mojej komnaty,
Żeby nie zdradził, żeby nie mogł nam przeszkadzać.

PAŹ.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać —
Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czole!
Daj mi miecz równej miary, jak miecz przy twym boku,
A czarną zdradę w krwi twej obmyję potoku.

LINDSAJ.

Paziu mój, jesteś dziecko! — O! młody sokole,

Ty pierwsze pióra jeszcze utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

PAŻ.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

(Lindsaj wyprowadza Pazia.)

DUGLAS.

Więc Rizzio zginąć musi!

HENRYK.

Kiedy?

DUGLAS.

Dzisiaj zginie!

HENRYK

Gdzie?

DUGLAS.

Ty się wahasz jeszcze? Gdzie? W tronowej sali,
U nóg królowy — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojej stali.

HENRYK.

Lecz w obliczu królowy spełnić czyn tak krwawy,
To mię od niej na wieki, na wieki oddzieli!

DUGLAS.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy –
Wzgarda nie ośmieliła, nic cię nie ośmieli.
Idź pełzać przed królową w udanej pokorze:
Lecz wiedz — kobieta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

HENRYK.

Gardzić? Nigdy w świecie!
Dziś będę śmiałym — dzisiaj męstwa dam dowody.
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,
Potem potajemnemi wprowadzę was wchody.

(Odchodzi z Duglasem.)

MORTON.

Poszli — nie pójdę z nimi. Marja się nie dowie
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zmowie.

(Odchodzi w stronę przeciwną.)

SCENA VI.

(Pokój Marji, jak w scenie VI aktu II.)

MARJA sama, siedzi nad krosnami.

Sama jestem. Gdzież paź mój? dotąd nie powraca.
Czemże sobie czas skrócę? tak pomału płynie!
Najmilsza to godzina gdy mię zajmie praca,
Kiedy się kwiat na płótnie pod igłą rozwinie,
Gdy jak wiejska dziewica siądę za krosnami.
Lecz jak mało tych godzin! wiecznie, wiecznie w tłumie
Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
Uśmiech nie jest uśmiechem — nikt mię nie rozumie! —
Gdybym, tak oświecona blaskami klejnotów,
Zeszła do niskiej chaty gdzie lud mój przebywa,
I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
Jest szczęśliwa? Odpowie: musi być szczęśliwa!
Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
Widziałem oświecone okna jej komnaty;
A ja nędzny, do grobu skazany na pracę —
Mchem i zielem porasta strzecha mojej chaty,
W pocie czoła uprawiam te skaliste góry!
Widziałem groby królów, na grobach marmury,
A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa!
Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa.

SCENA VII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię królowo!
U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę —
Każdą chwilę bym życia okupił połową.
Marjo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
O pani! Marjo moja! tak się szczęściem łudzę,
Jak gdyby wieczór szczęścia miał trwać długie wieki.
O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

MARJA.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

RIZZIO.

Królowo! co ja powiem niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutro, do rana,
Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie
Że się z nim widzieć będę — dotrzymałbym słowa.

MARJA.

Rizzio — to być nie może!

RIZZIO.

Zamiaru nie zmienię.
Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły —
O mojem oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem,
Zda mi się że już płynę na łonie gondoli,
Czarnym wybitej kirem, jak na łonie trumny! —
Okna pałaców długim świecą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem:
A nademną daleko na błękicie ciemnym,
Posępnem światłem księżyc roztacza się złoty —
I w duszy czuję dzikie uczucie tęskoty.
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym,
Potrzeba takich cierpień — niech się karmi łzami!

MARJA.

O! Rizzio, serce twoje nie wesoło marzy —
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

RIZZIO.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojej twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie? prędko, prędko skona!
Można za szkłami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona!
Ale po co się smucę! wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś, wrócę! czemużbym nie wrócił?
Czemu? — Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił
Może nigdy nie wrócić. — Nie, to niepodobna!

Ja będę kiedyś w Szkocji, w tych samych komnatach,
Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,
Zabrzmi znów wesołością, rozjaśnią się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach —

MARJA.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie —
Szemrać będą dworzanie —

RIZZIO, z wzrastającą wesołością.

Szmer zgłuszą oklaski.
Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta «znasz mię?» każdy mu odpowie:
«Nie znam cię masko» ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy! —

(Słychać szczęk broni.)

MARJA.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

RIZZIO.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutnem jękła brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie,
Ty mię jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

MARJA, z niespokojnością.

Lecz gdzież się paź mój bawi?

RIZZIO.

Pani, rozjaśń czoło!
Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.

(Siada na małym stołku pazia, u stóp Marji.)

Siądę przy twoich stopach. — Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć — —

MARJA.

O! co ci się marzy?
Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełnem nadziei!

RIZZIO.

Nadziei? chciałem na twej wyczytać ją twarzy,
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei;

Nadziei tam nie było. — Pani! nie chmurz lica,
Niech paź z twarzy królowy gniewu nie wyczyta;
Paź dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżyca —
Pani, piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
Daj mi róż kilka.

MARJA.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

RIZZIO.

We Włoszech, na ołtarzów święconym mamurze
Zawieszę ten dar drogi, nad złoto bogaty —
Pokazywać je będą: patrzcie, oto róże
Maryi Stuart Szkockiej, anioła w koronie.

MARJA, dając mu kwiaty.

Nie odmówię twej prośbie, lecz zamiaru bronię!—
Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

(Henryk wchodzi tajemnemi wschodami i staje za krzesłem Marji niepostrzeżony.)

RIZZIO.

Pani! jestem twym paziem — paź ciebie zaklina —
Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
Ma jakąś woń czarowną — woń — co przypomina
To gór Szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki,
Przyniesie zapach róży co ciebie otacza;
Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
Marzyć będę —

MARJA, z uśmiechem.

Królowa paziowi przebacza;
Rizzio nie śmiałby do niej użyć takiej mowy.
Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
Dobrze żeś nie zapragnął purpurowej szaty?
Dobrze żeś na wachlarzu przestał.

(Daje mu wachlarz.)

RIZZIO.

Dzięki tobie!

SCENA III.

MARJA, RIZZIO, HENRYK, stojący zawsze za krzesłem Marji. DUGLAS LINDSAJ.

DUGLAS, uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.

Właśnie dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty —
Z kwiatami i z wachlarzem teraz legnie w grobie.

RIZZIO.

Królowo! --

MARJA. powstając.

Stój Duglasie! skądże ta odwaga?
Ty w komnacie królowy! czy gardzisz królową?
Stój! stój! Duglasie odejdź! królowa cię błaga.
Nie mogę rozkazywać — precz! odpowiesz głową!
Rizzio! chodź do mnie.

DUGLAS.

Próżno wołasz go do siebie,
Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.
(Do Rizzia.)
Módl się, za chwilę będziesz lub w piekle, lub w niebie.

MARJA.

Duglasie! precz stąd! precz stąd! splamisz stopnie tronu.
Pomyśl! próżno mię będziesz błagał przy skonaniu,
Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłonią;
W obliczu ludu zeży kat na rusztowaniu.

DUGLAS.

Próżno grozisz królowo! wiesz że władam bronią
Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,
Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wasali.
Mam się lękać kobiety? Po co wszczynać boje?
Na tym samym okręcie na którym miał płynąć,
Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję.
Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinąć,
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty,
Podłego Włocha dobrze wyuczę się roli;
Wnet mię zgraja francuskich trefnisiów okoli,
Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;
Będę pierwszym przy, ucztą zastawionym, stole —
Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę —

Chyba mię zdradzi kropla krwi na mojem czole,
Lub te szaty splamione, pióra połamane.
Giń Włochu! — Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

(Odrzuca sztylet.)

MARJA.

O Boże!
Duglasie, ach Duglasie! — Nie, nie mogę wierzyć
Żebyś ty go śmiał zabić —

DUGLAS.

Przekonam cię może.
Duglas słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

MARJA.

Duglasie! nieszczęśliwa, zniżę się do prośny —
Nigdy krwi nie widziałam! — widok mi nieznany —
Oddal — oddal odemnie te krwawe obrazy.

DUGLAS.

Chciałbym żeby tu były źwierciadlane ściany,
Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
Chciałbym żeby jęk Rizzia, echem powtarzany,
Zabrzmiał, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy!
Niechaj krew jego wsiąknie głęboko w te głazy,
Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

(Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.)

RIZZIO.

Marjo! oh! Marjo! — Boże, zmiłuj się nademną —
Oh! oh! oh! —

(Kona.)

MARJA.

Rizzio! — Boże, zmiłuj się nademną.
Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
O! gdyby tu był Henryk! — Tak cicho jak w grobie,
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

HENRYK, nachylając się, cicho.

Jestem tu, przy tobie.

MARJA, odwracając się zwolna.

Był przy mnie? Henryk, mąż mój? Boże mój!

(Pada na poręcze krzesła.)

HENRYK.

Omdlała.

Wynieście jego zwłoki —

DUGLAS, ponuro.

Przyszedłem zabijać,
Lecz nie wynosić zwłoków — wołajcie grabarzy.

(Lindsaj wyciąga trupa z sali i wraca.)

HENRYK, do Duglasa.

Duglasie! straszna teraz bladość twojej twarzy.
Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?
Miałeś wdziać jego szaty?

DUGLAS.

Krwią czarną skalane.

HENRYK.

Ciebie dręczy zabójstwo?

DUGLAS, zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.

Henryku! a ciebie?
Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane —
Ty zabiłeś człowieka i wejdź teraz w siebie! —
Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?
A jesteś tak spokojny! — Patrz, jaka różnica:
Ja pomściłem się czarnej na honorze skazy,
A jestem tak wzburzony! — rozpogódź więc lica —
My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,
Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,
Życzę, aby na niebie powstająca zorza,
Ujrzała twarz Darnleja, jak dzisiaj rumianą —
Królowo, przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni!

(Odchodzi.)

LINDSAJ.

Ci rycerze, imienia rycerzów nie godni.

HENRYK.

Słuchaj! — Królowa wkrótce otworzy powieki,
Uciekajmy z tej sali.

LINDSAJ.

Chódź! jedźmy na łowy.

HENRYK.

Lindsaju, ty znasz może uczucia królowy?
Będzie mię nienawidzieć?

LINDSAJ.

Zbądź niewczesnej trwogi.
Chodź! chodź królu — chodź ze mną — słyszę czyjeś kroki!

(Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.)

SCENA IX.

MARJA, omdlona. BOTWEL.

BOTWEL.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Skąd ta krew? po raz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska —
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze! sztylety? — któż skonał?
Może król! —

MARJA.

Oh! —

BOTWEL.

Królowa budzi się. —

MARJA, z pomięszaniem.

Duglasie! —
Ach, miej litość! — gdzież jestem? Boże, jak tu ciemno!
Zapóźno się zbudziłam! tak jest! już po czasie —
Jestem przy tobie. — Boże zmiłuj się nademną! —
On był przy mnie — mąż, Henryk, był przy mnie — zabijał.

BOTWEL, z zadziwieniem.

Henryk zabijał? —

MARJA.

Może krew plami te szaty?
Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał —
Precz! precz! o łzo natrętna. — Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — Drżyjcie! — Czyż krew płacić łzami?
Krew za krew — drżyjcie, zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe — —

BOTWEL.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

MARJA, z pomięszaniem.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

BOTWEL.

O nie! chyba własną —

MARJA.

Tyżeś to w tej godzinie! słuchaj, w jakim celu?
O! niech teraz te światła! te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły. — Kocham cię Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

BOTWEL.

O Marjo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiedz! zabójstwa? otrucia?

MARJA.

Nie, nic nie żądam — słuchaj! chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze! — Boże! cóżem wymówiła!

(Wyrywa się z rąk Botwela i ucieka.)

SCENA X.

BOTWEL, sam.

On żyje jeszcze? — w dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzeba by czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły: rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty w niej ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza!
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula —
Chce żebym myśl jej odgadł? nie — ja nie rozumię!
Aż mi powie: Botwelu! zabij, zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać, nie umię.

AKT VI.

SCENA I.

(Pokoje królowy.)

MARJA, BOTWEL.

MARJA.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza —
Usypia wszystkie troski i uśmierza bole;
Czas, cierpliwość, najsroższe rany ułagadza.
Wszystko znieść można —

BOTWEL.

Wszystko?

MARJA.

Troski i niedolę.

BOTWEL.

I wzgardę?

MARJA.

Dosyć, dosyć zniosłam na kobietę?
Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawionem.

BOTWEL.

O Marjo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem —
Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
Już zeń zdjęto szkarłaty; zasłano całuny —
Obejrzyj się, na tronie nie dostaje truny.
Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki skona,
Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
Przykryją szkarłatami, na mary położą;
Dziwnie od martwej twarzy odbija korona!
Przeraża ludzi wstrętem ta postać woskowa,
Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie —
Nie obrażaj się Marjo, lecz Szkotów królowa,
Podobna do tej maski leżącej na grobie.

MARJA.

Cóż uczynię?

BOTWEL.

Ha! módl się! przebaczaj!

MARJA.

Przebaczyć!
Komu przebaczyć?

BOTWEL.

Wszystkim.

MARJA.

Chciej mi wytłumaczyć!

(Botwel się żegna.)

Czego się żegnasz?

BOTWEL.

Pani! odmawiam pacierze —
Słyszę dzwon po umarłym.

MARJA.

Co? dzwon? po kim dzwony?

BOTWEL.

Po śmierci Rizzia.

MARJA.

Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersich tłumiony! —
Szatan budzi mię ze snu —

BOTWEL., patrząc przez okno.

Patrz Pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi;
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala,
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi —
Ale ten najwierniejszy który w trumnie zaśnie.
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną —
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;
Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą —
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą —
Śpij Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie!

MARJA.

Słuchaj! słuchaj! kobieta na cóż się ośmieli?

Patrz Botwelu! ten obraz wiszący na ścianie —
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka —
Ściga za mną oczyma. — Nie zniosę tej twarzy!
Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika —
O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy!
Na obraz szatan przeniósł — myśl moją — sumienie
I serce moje dręczy boleścią okrutną.

BOTWEL.

Cha! cha! więc ci nie miłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić!

MARJA.

Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
Ja go mam w sercu.

BOTWEL.

Pani! spełnię twe rozkazy —
Czy będziesz spokojniejsza?

MARJA, niecierpliwie.

Spełnisz moje chęci?
Co wyrzekłeś? —

BOTWEL.

Tak, zniszczę ten obraz Darnleja.

MARJA, z przytłumionym westchnieniem.

Obraz! —

BOTWEL.

Tak chciałaś?

MARJA.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
Chciałam zgonu obrazu —

(Na stronie.)

Zniknęła nadzieja!
On mię nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

BOTWEL.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem się pożegnać.

MARJA, z rozpaczą.

Co mówisz? mój drogi!
Dla nieszczęśliwej cios to nazbyt, nazbyt srogi!
Nie wytrzymam!

BOTWEL.

O pani! mam zostać przy tobie?
Każesz mi zostać? jesteś królowa, masz władzę.
Dziś więc grób mój, przy Rizzia każę kopać grobie —
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze!

MARJA.

Ty mi serce rozdzierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

BOTWEL.

Nad Duglasem mścić się? to daremnie,
Duglas z Lindsajem, oba uszli w obce kraje.

MARJA.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu, miej litość!
Chciej mię zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiem że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie —
Powinien zginąć!

BOTWEL.

Kto?

MARJA, długo pasując się z sobą.

On!!!

BOTWEL.

Kto?

MARJA.

Król!

BOTWEL.

Zginie!

MARJA.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa —
Ja chciałabym ażeby bez echa skonały! —
Lecz tak, już przeważyłam jedną stronę szali —
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały.
Dalej — dalej iść trzeba — idę dalej — dalej;
Nie wiem gdzie zajdę — — Słuchaj! jesteś taki blady,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

BOTWEL.

Królowo! ja zbladłem?
To może dawnych cierpień pozostały ślady.

MARJA.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie źwierciadłem,
W którem czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem?
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie!
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu! —

BOTWEL.

Królowo! on dziś zginie.

MARJA, z przerażeniem.

Dziś? to nadto wcześnie!

BOTWEL.

Gdzie Henryk?

MARJA.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.
Mówią że chory.

BOTWEL.

Chory? — Chory umrzeć może.
Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddalę podejrzenie, chorobą się złożę.
Lecz dopomódz mi trzeba. — Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora —
Dasz mu w lekarstwie napój co go uśpi w nocy.

MARJA.

O! to, czego ty żądasz nie jest w mojej mocy!
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś? nie mogę?

BOTWEL.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, trwogę —
Bez tego spać nie będzie — uchroni się zgonu —

MARJA.

Daj więc! daj mi ten napój — zejdę z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą, żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występnym. —

BOTWEL, wyjmuje truciznę którą pokazywał u Astrologa.

Pani!
Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani —
Sen dla chorego, w bólach wielką jest przysługą.

MARJA.

Więc Henryk gdy wypije?

BOTWEL.

Zaśnie —

MARJA.

Na jak długo?

BOTWEL.

Nie wiem —

(Odwracając się.)

Skoro napoju użyje królowa,
Mój sztylet niepotrzebny

(Do Marji.)

Królowo! bądź zdrowa!

(Odchodzi.)

MARJA, sama.

Uważałam go pilnie — przez rysy oblicza
Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.
Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza —
Blady był? wszak on zawsze posępny i blady.
Nie, to nie jest trucizna, i któż się nie wzruszy
Powierzając kochance narzędzie otrucia?
Chybaby nie miał w sercu żadnej iskry czucia!
Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

(Odchodzi.)

SCENA II.

(Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkanie Henryka.)

HENRYK, NICK.

HENRYK.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara Boża —
Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi —
Zgryzoty przy wezgłowiach stoją mego łoża.

NICK.

O nie! przypatrz się królu, tylko błazen stoi.

HENRYK.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.
Oświecam widma bladą umysłu pochodnią,
Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią;

Ich ciężar głowę moją do grobu nachyli —
Przeraża mię korona.

NICK.

I ja równie błądzę.
Oto czapka w królewskich pokojach wytarta —
Dotąd na niej zdobyte wieszałem pieniądze:
Wkrótce czapka od błazna będzie więcej warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie —
Dość rozumu i głupstwa.

HENRYK.

Nicku! w twojej mowie
Więcej widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.
Ale gdy mię widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy!
Jak ich nie widzieć Nicku?

NICK.

Panie! zamknij oczy.

HENRYK.

One nie przed oczyma — one w mojej duszy:
Widzę je, tak jak ciebie, jak me własne cienie —
Ścigają za mną —

NICK.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą. — Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą. —

HENRYK.

To nie w mojej mocy!
Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świecę?
(Wpatrując się w głąb pokoju.)
Patrz! tam stoi, w posępnej ubrany żałobie,
Jag gdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący — krwawy — blady — woła mię ku sobie.
Wszak mu sztylety ciało rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu, świeży, jak z kołyski dziecię —

NICK.

O Panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?

Dziwię się że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie królu podobnym w tej chwili.

HENRYK, nie słuchając słów Nicka.

Precz! precz Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia
Wszystko bym oddał, byle ci życie wrócili!
Nie obwiniaj mię, odejdź — niech spokojny zasnę.
Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie?
Więc i tam spać nie można? — Życie oddam tobie,
Lecz wróć mi sen —! Nie wracaj! życie oddam własne.
Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty —

(Śmieje się dziko z obłąkaniem.)

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomięsza.

NICK.

Ten cień lepiej cię królu odemnie rozśmiesza,
Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty
Z ust twoich nie wyrwały tak szczerego śmiechu.

HENRYK.

Czego chcesz Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?
Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?
Powiedz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!
Dam na msze! powiedz tylko ile mszy potrzeba?
Zakupię mszę na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały! —
Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,
Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spruchniały.
Ha! jeszcze słychać harfę!

NICK.

Uspokój się panie!
To przywidzenie strachu. — Królowa tu zmierza. —

HENRYK.

Królowa? — Jakież będzie nasze powitanie!
Zabije wzgardą — wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

MARJA, HENRYK, NICK.

MARJA.

Henryku! ja sądziłam że cię tu zastanę
Wśród zgrai twoich dworzan! — Tyś samotny, blady,

Powiedz czyś ty nie chory? oczy obłąkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

HENRYK, z rozpaczą.

O Marjo!

MARJA, przerywając.

Uspokój się! tyś chory mój luby!
Połóż się, zaśnij — widać, bezsenność ci szkodzi.

HENRYK.

O Marjo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

MARJA, z udaną obojętnością.

Ja nie wiedziałam o tem, cóż mię to obchodzi?

HENRYK.

Ty mi przebaczasz? powiedz!

MARJA.

I cóż mam przebaczyć!

HENRYK.

Śmierć jego.

MARJA.

Czyją?

HENRYK, z przymuszeniem.

Rizzia —

MARJA.

Jużem zapomniała.

HENRYK.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłómaczyć,
Lecz ten Włoch nie wart, abyś o nim pamiętała.

NICK, do Henryka.

Włoch nie wart, abyś o nim pamiętał Henryku!
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

HENRYK, do Nicka.

Precz! precz nędzny Nicku! —

(Do Marji.)

Przebaczyłaś mi! teraz już spokojny zasnę.

MARJA.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni —
Przyniosłam napój senny, poznasz jego siłę.
Sen cię po nim skrzydłami lekkiemi osłoni;

Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmięszam go do lekarstwa —

HENRYK, do Marji, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.

Dzięki ci królowo!

NICK, na stronie.

Zadrżała! Przed mem okiem nic się nie ukryje.

(Do Marji cicho.)

Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda!

MARJA, spojrzała na Nicka i odwraca się ze wzgardą.

O jakże trudna rola! — Lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzej, prędzej wyrwać z tej komnaty!

HENRYK.

O Marjo! czemu nosisz te żałobne szaty.

MARJA.

Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK, na stronie.

Więc na to szat potrzeba!

HENRYK, z czułością do Marji.

Ja cierpię tak mało! —
Zwiększono wielkość cierpień, chciano cię przerazić —
Teraz z mojej słabości nic już nie zostało,
Skoroś mi przebaczyła.

MARJA.

Bądź zdrów!

HENRYK.

Jeszcze wcześnie!
Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczerze — nieraz dręczę się boleśnie —
Nieraz cię obraziłem, przebacz mi królowo!

(Klęka przed nią.)

Przebiegnij wszystkie chwile któreśmy przeżyli —
Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli,
Błagam cię! o putrwamięć tej nieszczęsnej chwili!

MARJA, odwracając się ze drżeniem.

Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnej pościeli.
Człowiek co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia!
Gdy jemu nie przebaczę, czy mi Bóg przebaczy? —
Wstań Henryku! o przebacz! przebacz mi wzajemnie.

HENRYK.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go odemnie?
Powiedz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

MARJA.

Bądź zdrów — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

HENRYK, z czułością.

Kiedyż się zobaczemy?

MARJA, drżącym głosem.

Nie wiem — jutro może?

HENRYK.

Ty mię tak zimno żegnasz? Czyliż świeże śluby,
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

MARJA. całuje go w czoło.

Bądź zdrów! —

HENRYK, z przerażeniem.

Tak mię zimnemi dotknęłaś ustami!
Dreszcz mię przebiegł —

MARJA, z gorzkim uśmiechem.

Ty jesteś w gorączce mój luby.
(Odchodzi.)

SCENA IV.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

O Marjo! mój aniele! Boże dzięki tobie!
Nawróciłeś jej serce, kocha mię tak szczerze - -

NICK.

Ty wierzysz temu królu?

HENRYK.

Tak jest, wierzę! wierzę!

Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz w grobie —
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy!
Czy widziałeś jej uśmiech tak szczery i tkliwy?
Z pogodnem czołem przy niej zasiędę na tronie.
Ciesz się! ciesz się Duglasie! zyskasz przebaczenie —
Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
Ciesz się mój wierny Nicku! zgasiłeś sumienie,
Już nie o bladych widmach, lecz o szczęściu marzę!
Ciebie Nicku darami sowicie obdarzę,
Czapkę złotem napełnię, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Spraw mi żałobę.

HENRYK.

Po kim masz chodzić w żałobie?

NICK.

Spełń ten puhar, w nim znajdziesz lekarstwo królowy,
A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

HENRYK.

Precz! precz! — Jesteś podobny do piekielnej jędzy!
Podły i podejrzliwy, kąsasz, trujesz jadem.
Precz! idź się błąkać, żebrać i umierać w nędzy!
Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
Obieraj rodzaj śmierci —

NICK.

Trudno mi obierać,
Głupstwo jest wieczne — głupstwo nie może umierać,
Od wieków z nieprzerwanej wypływa osnowy.
Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
Nicku! gdzie twoja głowa? wszak ty nie masz głowy!
Cha! cha! nieprawdaż królu że to myśl wesoła,
Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
Lecz ja jestem tak lekki! sam wiatr mię utrzyma;
Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci nie ma,
Chyba — to śmierć najlepsza, ten puhar wypiję.
Żądasz więc mojej śmierci?

HENRYK.

Precz straszna poczwaro!
Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?

Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.
Wyganiam cię ze dworu.

NICK.

Ja sam się ukarzę.

(Wypija prędko puhar, nalany przez królowę.)

HENRYK.

Co czynisz?

NICK.

Nic. Wypiłem królowy napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe,

HENRYK.

Zadrżałem mimowolnie — lecz czegóż się boję?
On tylko zaśnie.

NICK.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I tej może odmówią.

(Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.)

Przed daleką drogą,
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.
Widzę tam — w końcu sioła tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie,
A przy obrazie lampa; pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spruchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę — widzę — tam mój ojciec stary,
Na progu pług naprawia i mówi pacierze!
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy —
Śpiewa pieśń jak przy mojej kołysce śpiewała —
O! któżby, któżby sądził że pod dachem nędzy,
Urodzi się istota co się będzie śmiała!

HENRYK.

Pierwszy raz wpadasz Nicku w tak czarną tęsknotę;
Ty byłeś tak wesoły?

NICK.

Tak — byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę!
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzarz śmiać się potrafi, potrzebuje chleba.

HENRYK.

Powiedz! co ci jest Nicku! ten napój? o Boże!
Może jaki ratunek?

NICK.

Już mi nic nie trzeba —
Słuchaj królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu. — Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies, do ciebie się przywiązałem panie.
Wiedząc jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem ażeby zawsze towarzyszył tobie!
Teraz już król mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną, dzwony na pogrzebie.

HENRYK.

On umiera! Królowo okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

NICK.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. — Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiej chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna! —
Niech matka, przędąc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce spiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno! —

HENRYK.

Nicku! ty mię rozczulasz! — Patrz, łzy moje płyną.

NICK.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną —
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

HENRYK.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera —
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

NICK, wesoło.

Nagrodź mi. Wybierz czterech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą:
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą
Że Nick umarły, więcej waży niż Nick żywy! —
Tyś się uśmiechnął panie! o jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
Przebacz mi panie wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie bydę — tak mi się coś marzy —
Tak słabo —

HENRYK.

Nicku!

NICK.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

HENRYK.

Przyjacielu mój! synu!

NICK, podnosząc głowę, z obłąkaniem.

Synu! któż mię woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno do koła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Ach! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpocznę — — Ja myślałem zawsze do was wrócić —
O! matko! matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie! — Oh! —

(Pada u nóg króla i kona.)

HENRYK.

Skonał!
To przyjaciel ostatni! Żono tkliwa, czuła —
Patrz! to twój senny napój tej zbrodni dokonał —
Tyś go otruła — myślisz żeś męża otruła?
Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,
Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
Gdyś mię pocałowała, piekło było w tobie!
Dla tego całowałaś ustami zimnemi. —

(Bierze lampę i oświeca nią twarz Nicka.)

Zobaczę go raz jeszcze. — Jak twarz jego zbladła!
Zsiniałe usta — twarde usłał sobie łoże. —

O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła! —
Szalony! ja ją gaszę — on jej czuć nie może,
Nie, już nie czuje. — Skończył. — Tu rozpacz daremna!
Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiety —
Ujść przed nią — gdzież uchodzić? w około noc ciemna;
Może tu około domu ukryte sztylety?
Czegoż się nie dopuszczą — na co nie odważą?
Nie ma większej poczwary na ziemskiem przestworzu!

(Po chwili.)

Zasnę tu! i obaczę z jaką jutro twarzą,
Przyjdzie szukać zmarłego męża na tem łożu.
A twarz jej uda bladość — może ubielona?
Może jęk jej usłyszę za drzwiami komnaty —
Pewna jest mojej śmierci, wprzód nim się przekona
Czy ja umarłem, będzie płakać mojej straty! —
Wtenczas ją jednem, jednem spojrzeniem zabiję! —

(Stawia lampę u głów Nicka.)

Więc Bóg czuwa nademną i od śmierci strzeże —
Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
Będę nad zmarłym w nocy odmawiał pacierze. —
Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
Sam jeden — — Boże! Boże! zmiłuj się nademną! —

AKT V.

(Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfix, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.)

SCENA I.

MARJA, PAŻ.

MARJA.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?
Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
Nikt wiedzieć nie powinien że ja czuwam w nocy.

PAŹ, gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfixem.

Czy i tę lampę zgasić?

MARJA.

Lampa niech się pali. —
Jej blask mię przed obcymi zdradzić nie powinien;
Chyba przed Bogiem zdradzi — ale Boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

PAŹ.

Któż winien.

MARJA.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

PAŹ.

Widziałem Botwela;
Błąkał się w zacienionej drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu gdzie Henryk przebywa.

MARJA.

Widziałeś! miałże sztylet?

PAŹ.

Żadnej nie miał broni,
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

MARJA.

Jakże nagle czas płynie! jak straszna odmiana!
Teraźniejszość zatruła! przyszłość zatruć może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie —
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie. —
A dziś —!

PAŹ, przynosząc zwierciadło.

Dzisiaj królowo spojrzyj w to zwierciadło,
Czy mogłaś być piękniejszą?

MARJA.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciadle moją twarz wybladłą!

PAŹ.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie. —
Czy ci przykre to światło? ja lampę zasłonię —
Pani! ty mię przerażasz! coraz bardziej blada;
Czemże ten czarny smutek serca rozweselę?
Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
Dotąd krąży, śpiewana między szkockim gminem.
Pozwól królowo! milczysz? a więc się ośmielę. —
Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem.
(Królowa siedzi zamyślona. Paź dziecinnym głosem mówi następującą balladę.)

— «Synu mój, synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?» —
— «O Matko! syn twój zabił sokoła,
Dla tego dzisiaj twarz nie wesoła,
Dla tego we krwi żelazo.» —

— «Synu mój! synu! po twym sokole,
Nie miałbyś takich zgryzot na czole?
I miecz nie taki czerwony?» —
— «O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.» —

— «Synu mój! synu! źleś się obronił —
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?» —
— «O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot, czoło splamiłem,
I we krwi ojca, miecz syna.» —

— «Synu mój! synu! po takim czynie
Gdziesz się obrócisz? w jakiej krainie
Schronisz się synu mój miły?» —
— «O matko! matko! na świata kraniec,
Pójdę wzgardzony, tułacz wygnaniec,
Spokojny szukać mogiły.» —

— «Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci? żony?
Pod obce uchodząc nieba?» —
«O matko! matko! niech na nich spada
W dzieciństwie nędza — pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba.» —

— «Synu mój! synu! w czarnej żałobie
Została matka, i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?» —
— «O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś namówiła
Żem zabił ojca!» —

MARJA, obudzona nagle z zamyślenia.

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabije mię! —

PAŹ.

Ballada smutna mię rozczula,
A ciebie przeraziła? — Dziś cierpi królowa.

MARJA.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mię przeklinasz! Kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać!
Przekleństwo! tak, przekleństwo mi, żem namówiła
Na zabicie — to Botwel mówi do mnie! Boże!
To Botwel mówi!

PAŹ.

Pojąć nie mogę przyczyny,
Czem ją mogłem obrazić?

MARJA.

On pojąć nie może?
A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy! —
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa!

PAŹ.

Królowo! oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

MARJA, PAŹ, BOTWEL.

MARJA, wpatrując się w Botwela.

Botwelu! — Cóż to? milczysz —

BOTWEL.

Czas wszystko odkryje,
Czas złym jest powiernikiem. —

MARJA.

Botwelu! — On — żyje? —

BOTWEL.

Żyje? nie wiem królowo — dotąd już mógł skonać. —

MARJA.

Co? więc zaczętej zbrodni nie mogłeś dokonać?

BOTWEL.

Nie widziałem dziś króla. —

MARJA.

Więc żyć będzie? —

BOTWEL.

Zginie. —
Może już zginął? —

MARJA.

Jak to? ty go nie widziałeś? —

BOTWEL.

Aleś ty go widziała. —

MARJA.

Czyż wzrokiem jedynie
Mogłam go zabić? —

BOTWEL.

Możeś chciała?

MARJA.

Nie, ty chciałeś!
Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem. — O, Botwelu!
Jeżeliś na mnie liczył? uchybiłeś celu —
Tak, jedynie obłudy zmazałam się grzechem. —
Ja się do niego śmiałam —

BOTWEL, szyderczo.

Zabiłaś uśmiechem;

Dosyć żeś go zabiła. — Nie badaj królowo,
Teraz potrzeba zgładzić naszej zbrodni ślady;
Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
Siarka z saletrą zdradne usłały posady.
Daj mi pochodnię —

MARJA.

Luby! dziś miesiąc na niebie.
Na co ci światło?

BOTWEL.

Umarł — pogrzebać go trzeba —
W gruzach własnego domu Henryka pogrzebię —

MARJA.

Lecz on żyje? —

BOTWEL.

Więc żywy uleci do nieba —
Pod jego domem mina burząca spoczywa,
I czeka iskry. — Ognia! ognia!

MARJA.

Nieszczęśliwa!
Cóż uczynię?

BOTWEL, z wzrastającą gwałtownością.

Daj ognia! —

MARJA.

Ciebie gruz przywali!

BOTWEL.

Ognia! —

MARJA.

Zgasły pochodnie. —

BOTWEL, pokazując na lampę.

Ta lampa się pali,
Posłuży mi. —

MARJA.

Tam moja domowa kaplica. —

BOTWEL.

Paziu! daj mi tę lampę. —

MARJA.

To lampa z ołtarza!

BOTWEL.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświeca,
Wszakże idę na smętarz, grzebać wśród smętarza. —

MARJA.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz, przy świetle tej lampy błyszczy krzyż ze spiżu,
Zdaje mi się że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo —
Boże! —

(Klęka przed ołtarzem.)

BOTWEL.

O śmierć Henryka modlisz się królowo?
Wysłuchane modlitwy. — Może w tej godzinie
Henryk kona. —

MARJA, zrywając się z przed ołtarza.

Co mówisz? Henryk teraz kona?
A ja się modlę? —

BOTWEL, zdejmując lampę.

Śpieszę! niech ślad zbrodni zginie.

MARJA.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona. —

BOTWEL.

Wróci, wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

MARJA.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

BOTWEL.

Marna trwoga,
Jeśli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem —
Lampa — to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniej Boga rozgniewa, bo mniej winną będzie.

MARJA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiem?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARJA.

Tak ciemno w tej sali! — —

BOTWEL, z szyderstwem.

Więc udawaj że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Nie jeden powie: patrzcie! ma świętość anioła —
Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie,
Promień światłości wkrótce wystrzeli z jej czoła;
Patrzcie! ona się modli za męża skonanie — —
O Marjo! porzuć trwogę i płoche przesądy,
Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy!
Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy,
Przeważonej już szali dalej nie przeważy.
Żegnam cię! —

MARJA.

Stój Botwelu!

BOTWEL.

Bądź zdrowa!

MARJA.

Zaklinam!
Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

BOTWEL.

Lecz wahać się nie możesz.

(Odchodzi.)

SCENA III.

MARJA, PAŹ.

MARJA.

Poszedł. — Nie wstrzymałam. —
Czuję że mogłam wstrzymać. — Czarne moje serce!
Mogłam go jedem słowem wstrzymać — i nie chciałam.
Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce. —
O nie! nie dla mnie szczęście! — Paziu, powiedz szczerze,
Ja okropną być muszę? —

PAŹ.

Pani! jesteś blada!

MARJA.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze. —
(Paź odchodzi pod ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królowę.)
Na moje oczy jakiś sen trudzący spada —
Marzę i czuwam — barwę przybrały marzenia —
Tron i świateł tysiące — ja siedzę na tronie —
Teraz, wszystko ciemnieje — w purpurze, w koronie,
Idę — O Boże! Boże! to mury więzienia —
Któż mię wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie?
W około jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dla czegóż płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina
Jakież grzechy? — dzisiejszą noc — dzisiejsze zbrodnie! —
Teraz — wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiejś sali? to tronowa sala!
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,
Na moim tronie obca zasiadła kobieta. —
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy —
Klękać mi każą — po co? — modlić się do Boga?
Ach!!!

PAŹ, przybliżając się.

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy,
Przepowiedzeń dziwacznych twego Astrologa.

MARJA.

Lecz czemuż w tej godzinie stają mi na myśli?
Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory,
Postacie ich odbija, wszystkie twarze kreśli. —

PAŹ.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

MARJA.

Czy nic nie słyszysz Paziu?

PAŹ.

W koło głuche cisze,
Tylko echo pałacu słowom odpowiada,
Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,
I przez gotyckie okna blady księżyc wpada.

MARJA.

Co? księżyc świeci? jaka blada przy księżycu
Musi być twarz Botwela? Na ponurem licu
Głęboki zamysł zbrodni uśpiony spoczywa;
Za nim księżyc na trawie długie kładnie cienie;
Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
Aby jej nie zgasiło silne wiatru tchnienie. —
O, tak! bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
Lecz przynajmniej nie ujrzę zbrodni na tej twarzy.
Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
Henryk zginie! — O Boże: zmiłuj się nademną!

(Po chwili, z wzrastającem przerażeniem.)

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła? —
Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula. —
Nigdy krwi nie widziałam! — szat mi nie splamiła —
Stój Duglasie! patrz paziu! patrz tam za mnie, w cieniu,
Czy tam kto stoi za mną? —

PAŻ.

Kto? —

MARJA.

Nie ma tam króla?

PAŻ.

To mara utworzona w twojem przywidzeniu. —

MARJA.

Słyszysz? powtarza: — jestem! jestem tu, przy tobie! —
Jest przy mnie? tu w tej sali, jeszcze w takiej porze?
Lękam się spojrzeć za mnie — powinien spać w grobie,
A on jest teraz przy mnie! nie, to być nie może!
Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!!
Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz mój paziu drogi!
O paziu! ty zadrżałeś? z radości, czy z trwogi?
Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije. —
Na miłość Boga śpiesz się. —

PAŻ.

Botwel nie posłucha.

MARJA.

Prawda. — Nicś mu odemnie, nieś ten pierścień złoty —

Wszak jeszcze czas! czas jeszcze! Wszędy cichość głucha —
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

PAŹ.

Śpieszę — —

(Bieguie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.)

MARJA.

O Boże! Boże! śpiesz mój paziu miły
Czegóż czekasz? —

PAŹ.

Królowo noja! nie mam siły,
Tak mi słabo. —

MARJA.

Śpiesz paziu! —

PAŹ.

Już idę królowo!
Już idę! idę! — Oh! oh! —

(Pada.)

MARJA.

Paziu! drogie dziecię!
Paziu! przemów mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie — on umrzeć nie może. —

PAŹ, słabym głosem.

Te bole przeminą —
Senny jestem. — Królowo kochasz mię?

MARJA.

Jak syna!
Paziu! obudź się drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

PAŹ, drżącym głosem.

Już piłem dziś wino —
Marjo! — oh! oh! oh! —

(Kona.)

MARJA.

Paziu, moje życie!
Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?
Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziecię!
Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,
A mnie zabić nie może, jak niegodną kary! —

(Klęka na stopniach przed krucyfixem.)

Boże! błagam cię! przyjmij mię na twoje łono,
Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
Na cóż mię szata ziemskiej wielkości okryła?
Blask marzenia już zniknął gdym tę noc przeżyła!

(Słychać wybuch miny.)

Ach!!

(Po chwili zrywa się i biegnie do okna.)

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni,
A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy,
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy! —

(Odwraca się od okna, i znów cofa się z przestrachem.)

I tu znów Henryk! Henryk przedemną w tej sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali —
Precz odemnie! ty szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! już odejdź — nie jestem twą żoną.
Ach, Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
Dręczyć tak duszę, tylu mękami dręczoną! —
Ach zlituj się nademną — jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędzę,
Patrz na twarz moją — z oczu strumień łez nie spływa;
Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną!

SCENA IV.

MARJA, BOTWEL.

BOTWEL, wchodzi ze zgaszoną lampą.

O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA.

Patrz! patrz! tam — przedemną.

BOTWEL.

Tak, widzę, na podłodze krwi strmienie płyną. —
Krew Rizzia.

MARJA.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno!
Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą!
Zdradę króla, czarniejszą zmazaliśmy zdradą!
Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy? —
Patrz — tam!

BOTWEL.

To paź nieżywy.

MARJA.

Boże! paź nieżywy! —
Botwelu co to znaczy? —

BOTWEL, z dzikim śmiechem.

Ha! ha! co to znaczy!
Wiedział o naszej zbrodni — umarł —

MARJA.

Nieszczęśliwy
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojem sercu —
Precz! precz odemnie zbójco z tem wybladłem czołem!

BOTWEL.

Chodź ze mną!

MARJA,

Gdzie?

BOTWEL.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu —
Teraz idźmy się błąkać — słyszysz te okrzyki?
To nas lud ściga, mściwy — wkrótce motłoch dziki,
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA, odstępując od niego z przerażeniem.

Ja się ciebie boję!

BOTWEL.

Serca zbrodnią skalane, zbrodni się nie boją,
Słuchaj! otrułaś króla, jesteś moją —

MARJA.

Twoją? —
O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

BOTWEL.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną!

MARJA.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

BOTWEL.

Przekleństwa!

Chodź Marjo! uciekajmy! chodź ze mną! chodź ze mną!

Przed rokiem ogłoszeni[illegible] tomy moich poezji: [illegible] krytyką, rzucam tom trzeci[illegible] połknęła. Minął ów czas [illegible] ratury naszej, kiedy [illegible] duma, lub ballada, [illegible] meratorów dziennika[illegible] nowe na woskowane [illegible] brał chrzest, znajome [illegible] dzienne, zamglonemi [illegible] sfinxowych zagadkę sławy [illegible] miał, szczęśliwszy kto w [illegible] Dziś dziennikarze owi, [illegible] Gazeta Warszawska umieściła [illegible] całego prawie Żmiję, nie czytając [illegible] tym Kozaków wodzem.

find.

Nie spodziewam się aby Lambro [illegible] ukazać na szarej bibule dzienników, bo Lambro [illegible] będący obrazem naszego wieku, bezkarnie [illegible] jest to wcielone szyderstwo losu, a życie tego jest [illegible] życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele [illegible] być mogli, o których nieznajomi mówią że nie [illegible]

Lambro stanął niegdyś na czele Greków, namówionych przez Katarzynę do powstania, i zdradzony przez północną [illegible] po wielu bezskutecznych usiłowaniach, morskim został korsarzem. Ryga, drugi bohater powieści, autor sławnego hymnu powstańców, wydany przez Austrję w ręce Turków, niesławną śmierć znalazł, powieszony na maszcie fregaty.

Pisząc niniejszą przemowę, postanowiłem zamknąć się w jaknajściślejszych obrębach potrzeby; dla tego nie będę tu bronił układu, ani żywotnej myśli poematu. Świat myśli tak jest obszerny, że można w nim wyciągać nieodparte granicami ra-

miona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchniętą słowami Fryderyka Szlegla, który w katolickiej religji źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezja była obrazem wieku. Dant pisał o piekle kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materjalizmu, Byron rozpaczający o wątpliwą przyszłość poety, zaczął wiek dziewiętnasty. Ci trzej ludzie wyobrażają epoki w których żyli. Oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy; gdyby z myśli większej liczby ludzi, w owych czasach żyjących, utworzyć można było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie, niezależne od epoki przesądów, malował i stwarzał władzą do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obrębami, jak Gete, Kalderon, Walter Scot; stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy kto o ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata.

Znajdziemy poezję narodową, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów, ani każą im sztucznie pod szkłami pałacowemi rozkwitać. Dziś poeci są minstrelami narodów, i podobni dawnym minstrelom, śpiewają miljonowo-głowemu panu gdy usypia; cucą go pieśnią, i przy śmiertelnem łożu narodów przepowiadają zmartwychwstanie. Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnej epoki, to kiedyś o tem będą rozpowiadać ze łzami wnuki nasze, i płynącego teraz czasu, nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, lecz wiekiem nieszczęścia narodu. Więc przebaczcie mi Polacy, że się dobijam o jedno z niższych miejsc, we wspomnieniach szczęśliwej kiedyś przyszłości.

Pisałem w Genewie, dnia 17. Kwietnia 1833 roku.

LAMBRO,
POWSTANIEC GRECKI.
POWIEŚĆ POETYCZNA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

.....Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find.
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd.....

MILTON.

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po tej drodze puści żaglów loty.
Kołysz go falo i łódkę Majnoty
W samotną morza obłąkaj krainę,
I tam mu powiedz: ja nosiłam floty
Na moich skrzydłach, aż pod Salaminę;
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad niemi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,

I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
A ludzie — cierpią że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.
Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy,
Gdyby ci ludzie jak są skamienieli,
Leżby nowych posągów przybyło,
Łamanych wiecznym bolem Laokona!
Tu nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,
Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął;
Blady — jak starzec co na ziemi przeżył
Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie;
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Że się nie chmurzy żalem, ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy,
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy tak dziś te ostrowy,
Przed tureckiemi uciekając gwałty,
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne w liść lauru porosła,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami. —
Ipsara błyszczy, stroma skalnym brzegiem,
Podobna córce głazowej Tantala;
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
Wiecznie od czołą wieńczonego śniegiem,
Kryształowemi upłakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,

Barwy ma szare od tła nieodbite,
I lasem masztów w połowie schowane.
Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża,
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien, od łuny zachodu
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
Co chwila bledsze, co chwila gasnące,
Już zaszły mrokiem — ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło —
Chociaż to miasto na pół obumarło,
Gwar słychać w mieście — bo bezludne gmachy
Głośniejszem odgłos odbijają echem;
Gwar smutny — rzadko pomięszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniące perłą rosy,
Palą sie róże — smutno słowik śpiewa;
Przez szczyty murów na ciche ulice,
Wonnych akacji zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błyśnie z poza kraty,
Księżyc turbanu olśni bawełnicę.
To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem;
Gdzie wielkie kotły wrącą źródeł wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omroczy,
Wprzód nim zezwoli iść do wspólnej wanny.
Tam woń arabskich napojony duchem,
Przechodzi Turek w marmurowe sale;
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
Kłamane dalej w zwierciadeł kryształe.
Tam Grek usłużny obiega w około,
Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu,
Do ziemi chyląc osiwiałe czoło,

Nalewa mokkę w łono z róż Japonu;
Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowej tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza — jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu Stambulskiego chmurze —
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu,
Widać w połowie wychyloną różę;
Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów głowice — —
Tam nieruchome wyznańców turbany,
Porosły kołem jak łąk tulipany:
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsarjota —
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna
Nie gęsto nićmi przetykaną złota.
Widać z gitary — znać po blasku oka,
Że z pieśnią sioła i grody przebiega —
Wnet go tłum Greków do koła oblega;
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Al-Raszyda?
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jak gdyby liczył tureckie turbany;
A potem spojrzał w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzał — znalazł dźwięk w gitarze.

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
Miłość ją kraju i rozpacz uprzędły.
Tu zżółkłe twarze — może serca zwiędły?
Miałem tu znaleźć ludzi — widzę trupy.
Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni — napojem otrucia,
Wyście przywykli zabijać pół czucia,
I zmartwychwstawać lecz półmartwychwstaniem,
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z Aloesu,
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tem liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie. — Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
Jest jako fala umarłego morza;
Co jej powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
Lecz barwą ziemnych głębi przyodzieje,
Da nieśmiertelność kamiennego łoża —
Kwiat w niej, nie tracąc barwy, kamienieje.
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
Często podobny sam do zimnych głazów,
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga;

Często go słuchacz odbiegnie wesoły —
A pieśń co ledwo dopłynie połowy,
Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie,
A potem chytra, bezsilnych odbiegła.
Widziałem walkę — widziałem to błonie
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty —
Powietrze chmura proporców krajała,
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa.
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,
I grad pocisków wyrzucały spiże;
A stąd, zachodnim złocone promieniem
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,
Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.
Potem je dymy spiżowe pożarły —
Mignęły w ogniu złote — i pobladły,
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale —
Lambra tureckie ominęły gromy.
Wdarł się na skałę — całą noc na skale,
Patrzał na groby, na groby bez końca!
I tak nazajutrz jeszcze, nieruchomy
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca —
A stamtąd poszedł błąkać się po świecie.
Lecz nie samotny — znalazł się ktoś drugi,
Co przy nim giermka podjął się usługi,
Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania:
Pieśń grzmiała w dzwonach — była to pieśń Rygi.
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy,
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony —
Gdzieniegdzie snuł się Kleft — lecz zakrwawiony,
I z krwią miał rozpacz przyschniętą do twarzy.
Płacz, narzekanie, wstrząsa Greków chaty.
Echami skał się rozpłakały łona!
Jutro! wołają na maszcie fregaty,
Haniebną śmiercią młody Ryga skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
Ostatnie słońcem złocą się filary.
Koło klasztoru bez czoła kolumny
Stoją, jak palmy pozbawione liści.
Tam mnich pracuje koło własnej trumny,
Tam od tureckiej uciekł nienawiści —
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
Nieraz do broni powoła majnotę,
Nieraz od Turków okrążone wieże,
Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem —
Z tych okien błyszczą spiżu paszcze złote,
I mnich pokorny staje się olbrzymem.
Nieraz rozpaczy naglony potrzebą,
Rozwala miną poświęcone ściany;
Rzekłbyś iż mnich ten chce zdobywać niebo
Skał odłamami, jak dawne Tytany!

Na niższych skałach smętarz muzułmanów,
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,
I dłutowanych w marmurze turbanów,

Jak odłam z rajskich oderwany światów
I przesadzony na skalne urwiska.
Tam byłem wczoraj — Słońce zachodziło —
Za marmurowe skryty grobowiska.
Widziałem dwojga ludzi nad mogiłą:
Widziałem klefta i Greczynkę młodą.
Ona — do Peri podobna urodą,
Jak była piękną, wyraz nie określi!
Gdy długo, długo, patrzałem w jej lica,
Kiedy się potem obudziłem z myśli,
Tak byłem tęskny — rozmarzony — smutny,
Jak gdybym długo patrzał w twarz księżyca.
Snać że jej życie był to czas pokutny,
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
Miała na twarzy smutek — lecz nie żałość,
Barwę koralu łzą nie opłukaną;
Rumieniec tonął w bezpromienną białość —
I w białych szatach stała między drzewa:
W pół-oświecona blaskami zachodu,
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,
Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
I wierne rysom członków nosił szaty:
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
Co się od słońca w różne barwy łamie,
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
I miał kapotę rzuconą na ramię,
Białą jak śniegi — i pas złotolity;
Nogę złoconym wiązaną rzemieniem;
Małą misiurkę, której aksamity
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem —
Na niej z misternie ułożonej zwici,
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionemi przemawiali słowy,
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

VIII.

«Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę —
Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam;
Na twojem czole z przerażeniem czytam,
Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
W każdym odłamie iskra się zawiesza,
A każda czystem lśni tęczy promieniem:
Lecz na twem czole jakiś szatan mięsza
Rozpacz ze śmiechem, śmiech blady z cierpieniem — —
Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
Łzami — i gorzką trucizną laurową.
O! bo też prawda że my nieszczęśliwi —
I czasem czuję że pociechy słowo
Ma dźwięk szyderczy i na serce spada!
Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
Widzę jak przy nas stojąc, rozpacz blada
Czekała szczęściem niepełnej godziny,
Aby się poznać z nami — i być z nami —
Czekała długo — przyszła choć nieskora;
Ze wspólnych myśli, jednego wieczora,
Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,
Milczysz — —?»

— «Dziś nie chcę zabijać słowami.
Bo każde słowo do serca utonie,
I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;
A potem — długiem rozpamiętywaniem,
Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
I potem, potem — cała przyszłość twoja
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.
O! patrzaj na mnie — ta złocista zbroja
Dzikiego klefta nigdy nie stroiła,
Zmieniłem szaty — tyś serce zmieniła.

Winnaś wyczytać na pobladłem czole
Myśli ukryte i obecne bole,
I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
Tak jak wędrowiec wśród grobowych głazów,
Nie umiesz czytać napisów smętarza?
Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali:
Jam dzisiaj królem błękitnawej fali —
Mszczę się. — Dziś czarna bandera korsarza
Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa.
I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
Cienia, co dzisiaj rzuciła nań rano;
Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
Kłócę niebaczny spokojność anioła —
Na pół przeklęty, na pół zapomniany,
Rozpalam ogień miłosnej pochodni,
I wiążę serca dwoma talizmany:
Wielkością nieszczęść — i wielkością zbrodni.
Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
W głębi twej duszy — jak anioł upadły,
We krwi skalany — w dział omglony dymie,
W blasku brylantów i złota wybladły.
O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
Kędy pod stopą zżółkłe liście kruszę,
I gardzę liściem co ścieżki pozłaca
Barwą uwiędłą — lecz szum ich zasmuca!
Wolę niech moją łodzią fala rzuca,
Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
Morze — to wielka mogiła stworzenia:
Dumającemu na niej, myśli płyną —
Nieraz na fali umieram z pragnienia,
Jak obciążony Tantalową winą,
I mogę niebo przeklinać — i morze!
Usłałem sobie rozwahane łoże,
Co mi piastunki daje kołysanie;
Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz
Często mię zorza śpiącego zastanie,

I nie obudzi skrawem światłem — — Nieraz
Działo mi daje ranne powitanie,
Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
Aby w tem życiu żyć jak najmniej — nie snem.
Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
Lina zerwana ujęciem niewczesnem!
Mam jeszcze czucie — bo dziś mię rozczula,
I łzy mam w oku, gdy rozryje kula
Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
Wycięty z rosłej Epiru topoli;
Co mi rodzinne wspominał rozłogi:
Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,
Jak gdybym szydził, że niezręczni byli
Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli
Ze mną, przez długie trosk lata, cierpienia:
Jak krwi tygrysy — druhy — niewolniki —
Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
Skamieniałego serca nie poruszy.
Ze złotem stawię człowieka na szale,
A potem złoto rzucam w morskie fale,
Jakby w tem była jaka wielkość duszy.» —

XI.

Słucha dziewica — jej rumieniec mgławy
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał —
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
Twarz jej oświecił — we łzy się rozpływał,
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
Że słów kochanka wydawał się echem:
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
Gdy obumierał zadumaniem senny,
Podobną była do niewiasty Lota
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem,
W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona.

I tak posągów brała kształt nieżywy,
Tak opuściła bezwładnie ramiona;
Że z ramion szata płynąca do ziemi,
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usty drżącemi
Mówił: «O luba wybacz, że te słowa
Za nadto czarną malowały duszę;
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
Patrzeć jak cierpią i śmiać się szalenie.
Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
To już nad moje siły, nad sumienie!
Czy wierzysz luba! ja się wyznać wstydzę,
Ja, korsarz krwawy! ja, ludzi morderca!
Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,
Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.
O luba! teraz niech się ludzie boją,
Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
Znajdę ich — zbudzę — jeśli nagłym zgonem
Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.
Na mojem czole widzisz dumy znamię —
To jest przeczucie sławy — tam — tam w dali
Widzę okropną przyszłość — sławną:
Precz te obrazy. — — Luba! jakże dawno
Z tobą po obcych błądziliśmy światach?
Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,
I w oberwanych po liściu róż kwiatach
Naszej przyszłości? Z tobą moje losy
I z tobą dotąd wiąże myśli moje.
Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,
Szaty poprawiam — brylantami stroję,
Bo widzę jasno — widzę w twych marzeniach,
Mój własny obraz wyraźnie odbity —
Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
Aż póki czyste wróci mi zwierciadło

Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladłą
I mniej posępny i smutny i młody.»

«O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych co płaczą czy to krwią czy łzami.
Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
I nie przebacza tym co toną w błędzie.
Patrz jak ten klasztór czoło w chmurach trzyma —
Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
Zamknij się w cichej celi i ze skały
Patrzaj nocami na rozległe morze,
I błękitnemi po fali oczyma
Mojego statku ścigaj żagiel biały.
A gdy zagrożą fali niepokoje,
Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
Razem popłyną w niebo, jedną drogą:
Twoje modlitwy i przekleństa moje.

«Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek:
Jutro, nim zorza świtem się rozpali,
Przyjdź do mnie sama — tam — nad brzegi fali,
Odziana płaszczem bogatych Turczynek.
I miej kalemkiar ciemny z musselinu;
Lub czewrę, gęsto haftowaną złotem.
Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.
Jutro — pamiętaj! — tam łódź moja czeka,
Gdzie się przy skale załamało morze.
Ja sam przebrany w tureckim ubiorze,
Płynę na pogrzeb ostatniego Greka.» —

Skończył — a kiedy z ostatniemi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło. —
Nie wiem — to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem czy płakał — czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
Potem, portową groblą odłamane,
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;
A brzeg wysoko szarzeje granitem —
Wyżej palm błyszczy zieloność wesoła.
Te palmy, w niebo sięgające szczytem,
Jako nam istność malują anioła:
W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
Co się z cichego morza wydobywa!
I ten las masztów, jako las jesienny,
Z którego burza północy gniewliwa
Połowę jasnych liści poobrywa,
A pozostałym da rozliczne szaty —!
Liść Sztatudera złotem się pokrywa,
Róż Albionu płonią się szkarłaty,
Szronem się Franków ośrebrzyły kwiaty.

Słysząc szum żagli — słyszysz jakby we śnie
Gwarzące różnym językiem narody —
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
Jakby mówiły doznane przygody,
I prześcignięte z wiatrami zawody.
A fala milczy — choć może w niej tonie
W tej chwili okręt nadziejami młody;
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie —
Uczuła fala — lecz zamknęła w łonie.

XI.

Okręt, troistą opasany spiżą,
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,

Omglił się dymem — dział rozesłał huki:
I wtenczas niby szatana był tronem,
Gdy wiatr poddany dym unosił hyżo.
Wszystkie go maszty witały pòkłonem:
A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
Nie ma wyrazów, język niezaskarbny
Malować słońcem ukazane czary.
Jako rozkwitłe Nilu nenufary,
Z kwiatów kobierzec wiążą różnofarbny;
Jak odświeżone muszle i kamyki
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
Spłynęły żaglem oskrzydlone łodzie.
Tam turban kitą ozłocony świetną,
Tam srebrna dziewic zasłona powiała:
Od łodzi fala różny połysk brała,
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru —
Cała ta przestrzeń, była łąką kwietną,
Była doliną, szalem kaszemiru.
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,
Pod maszt fregaty gdzie ma skonać Ryga.
I tak jak chciwe sępy, albo kruki,
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
W bogatych łodziach, po morskiej topieli,
Z męczarni Greka różne brać nauki.
Wielu jest w tłumie co się śmiać nauczą,
Śmiech taki wrzkomo wielkość serca kłamie!
Wielu stąd wróci i miecze rozłamie!
Co jutro w królów miały tonąć łona —
Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą,
Nieliczny może z męczarni wyłamie
Prawdę: że skonać nietrudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród Janczarów.
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali;
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry,
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów,
W szmer się zamienił gasnący — ponury —
I była cisza. — Z ciszy wybłąkana
Pieśń, między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem:
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła,
Powstańcie Grecy! ale Grek nie słyszy,
Powstańcie Grecy! brzmiało — ale ciszej —
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
Jak gdyby przeczuł nieśmiertelność duszy —
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy?

XIII.

Widziałem, ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
Widziałem wszystko — i tłumiłem łkanie —
On był tak młody — nie zmrużył powieki
Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa
Jeszcze go widzę jak zasłonę zrywa,
Jeszcze go widzę — jak pod nieba s'ropy
Na rusztowaniu stanął — i smutnemi
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości — marzeniom młodości.
Wtem szczeble pękły wymknięte z pod stopy —
Nie mam wyrazów. — Któż mu nie zazdrości

Śmierci, teutońską sprowadzonej zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?

I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannej otrząśniony rosy,
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą,
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia,
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów, jedna łódź ożyła;
Jak po jeziorze trzcinami zarosłem,
Wężową ścieszką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy
Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy.
A łódź jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmęt lazurowy
Równa powierzchni morza tak, że piana
Żagiel srebrzyła; czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasiemi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Nie bacząc, że tu pod srogiemi kary
Wzbronione ludziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące Janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w tej złocisto malowanej łodzi,
Ujrzeli postać dziewicy — i głośno.
Śmiejąc się wszyscy — wszyscy przeklinali,
Szatę turecką — zamkniętą — zazdrosną,
I ów kalemkiar z musselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem;

Że go powiewy wiatru nie odwiały,
Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.
Ta pod zasłoną róża niewidoma,
Snać z ciekawością dziecinną haremu,
Może przejęta zgrozą — nieruchoma
Chciała się bliżej przypatrzyć zmarłemu?
Może się pod tą zasłoną ukrywa
Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,
Z takim uśmiechem te ziemskie anioły
Widzą zgon róży — serca — lub człowieka.

A wtem — okrętu piersi niedaleka
Łódka, uczuła silny popęd wiosła,
Biegła po fali — z fregatą się zrosła:
I wnet z jej łona dym się wybił szary,
A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzał na pożary;
A gdy mu płomień ramiona otoczył,
Odrzucił turban i do fali skoczył.
Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,
Przed kulą w morzu zanurzony zginął —
Po chwili błękit pianą się zakłócił,
Majtek na fali powierzchnie wypłynął,
Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił —
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła:
Śmiech ten poznałem — był to śmiech korsarza,
I twarz poznałem — to twarz Lambra była.

XV.

Spłonęła łódka — a w dymie z lazuru
Błękitna siarka błyska — zrazu blada,
Całuje okręt jak czarę z marmuru,
Jąć się nie może, ślizga się i spada —
Wgląda na pokład — potem z trzaskiem nagle

Czerwono dębu zajęła się ściana,
I w dymu kłębie iskra zabłąkana,
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
Spodem okrętu roztwiera szczeliny —
Pękały szyby i rwały się liny,
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,
A tysiąc jęków było jednym jękiem.
Ucichły razem — huk płomieni głuchnął;
Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
Nagle — w płomieniach nowy blask wybuchnął.
Jak tknięty różczką czarowną aniołów,
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął —
Zostawił przepaść — i w niej wrącą pianę
I wszystkie łodzie burzą kołysane —
A na nie chmura upadła popiołów!

XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem.
Nie poszedł pruchnieć w marmurowe lochy,
Stos miał wzniesiony pod błękitnym niebem,
Z dębów i trupów — jako do ławicy,
Do czary morza spadły jego prochy. —
Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!
Anielskim niby ożywiona duchem,
Kiedy ją ogień do koła obchodzi,
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII.

A Lambro w morzu przechował się cały,
Do korsarskiego dopłynął okrętu;
Przywołał pazia — i na pół omdlały
Padł na kobierce — mówił — a z odmętu

Myśli zburzonych płynie mowa skora,
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita —
Mówił do pazia «Już pora! już pora!
Zmienić banderę. — Ale czy powstaną?
Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta
Może powiedzą — szalony! za rano!
Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
Paziu! idź w góry gdzie się klefty kryją,
Do marmurowych zazieraj kawiarni,
I pieśń im śpiewaj — i zobacz czy żyją?
Zobacz — na grobach czy płaczą mściciele?
Lecz wróć jak zwykle lać napój makowy,
O każdą kroplę napoju się spierać;
Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
I ciężar myśli — wypiłbym za wiele —
Dzisiaj chcę marzyć dłużej i spać dłużej —
Ale żyć muszę — z Grekami umierać —
Idź — dobre wieści przynieś mi z podróży —»
— «Poszedłem» —
Śpiewak cały się zapłonił —
Czuł że się słowem nieroztropnem zdradził:
Kryjąc zmięszanie — silnie w lutnię dzwonił,
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
Obejrzał koło Greków — myśli czyta —
Zaśmiał się gorzko rzucił wzgardy okiem,
I wyszedł. — Za nim śpiesznym wyszła krokiem,
Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
Może ciekawa pieśni tajemnicy
Za odchodzącym paziem zawołała?
Potem z nim długo — długo rozmawiała,
Na ośrebrzonej księżycem ulicy.
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
Snać gorącemi prosiła go słowy —
Musiał zezwolić — bo na jego ręku
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa.
Piekło to było — i te same słowa
Co na piekielnej wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją;
Bo kto tu wejdzie, żegna się nadzieja.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny:
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenie powiązał łańcuchem,
To się rozprysną — ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.
Jest ktoś w kabinie — bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy?
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty;
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł — postawił ma stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrżał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
Malowana naprzemian śmiechem, bólem, wzgardą,
A potem się w bezwładną spokojność przybrała:
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
I spoczywał bezwładnie na stole oparty —
Przed nim rozwite świata znajomego karty,
Cała ziemia, ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.

A te ściany są krwawą powieścią korsarza.
Lampa co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
Tam dalej blask księżyca rzucony na progu,
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony z obcej wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam — lampa oświeca pargaminu kartę,
Firman — złotem w sułtańskie ustrojony słowa:
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
Od sułtana samego głowy mało mniejsza:
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże,
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców ojczyzny,
A sumieniem kajuty są ścienne zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci pobladła —
I co dnia zasłonami grubszemi ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją. —

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha —
Jego myślom w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,
Co ze szczelin sączone, dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegóż paź czeka — powinien co nocy
Podawać czarę, w niej napój makowy.
Bo Lambro co dnia bladszy o północy,
Szaleje trucizn namiętnem piciem,
I życie mieni na sen gorączkowy;
Sen tak jasnemi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara o kroplę pełniejsza,
Te same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła — źrenica świetniejsza
W ciemność wlepiona, krwawa — potem biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli — wtenczas cierpiał — szalał —
Żebrał u pazia trucizny nad miarę.
Lecz paź jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,
Paź jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy — choć mu twarz pobladła?
Śnać że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem — gorączkowej mary,
Owego widma płonącej fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęku, wrzasku

Przeraźliwego — wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcem anioła zatraty.
Więc nie choć trucizn — ale czy wytrzyma
Przez noc, zwyczaju przełamać narowy?
Obłąkanemi spogląda oczyma,
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy,
Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoty —
Powietrze szkliste pełne tajemnicy,
Księżycowego blasku i tęsknoty.
I tak się błękit ochylił do koła,
Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła,
Pod kryształowem sklepieniem błękitu.
A w drżącej fali jak srebrne delfiny,
Igrały w koło blaski księżycowe —
A dalej mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe.
Na widnokręgu nieraz czarna skała,
Albo w lodowej, albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie.
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napełnia ogrody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie — zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo ciekawie śledzi rysów lica —
Twarz jego straszną bladością przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżyca —
Odeszli. — Lambro, osłoniony w żagle.

Patrzał na morze, na odległe skały,
I patrzał długo — dumał — potem nagle
Zachwiał się — chylił, i upadł — omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków do koła otoczy —
Blady był strasznie — na poły nieżywy.
I paź krzyk wydał z piersi przeraźliwy
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbielałe na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu roztlała, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
«Kto tutaj jęczał — kto tu płakał po mnie,
W płaczu z miłosnym pomięszanym dźwiękiem?
Paziu — płakałeś łzami nie twojemi:
Ty mię zabijesz takim drugim jękiem!
Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie,
Dziwnym połamał myśli moje kształtem.
— I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
Z letargu wstałem — gdzież ona? — tu była —
Nie — tu paź tylko — — Jakże mię boleśnie
Noc ta urokiem ciszy przeraziła?
Noc księżycowa — czemu nie ciemniejsza?
I noc przekląłem i morza zwierciadło —
Morze tak ciche, czemu burz nie miało
Gdy w nie patrzałem — moje czucie mdlało,
Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,
I mgły na serce spadały jak śniegi.
Lecz to minęło — niechaj noc przemarzę.
Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
Niech wiem przynajmniej że w obfitej czarze,
Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami;
Nie spełnię całej — chociaż drżącej ręki
Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
Lecz nie chcę skonać póki ziomków jęki,
Będą pacierzem i grobu hymnami.» —

Wnet paź, posłuszny rozkazowi pana,
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kszaltnie dłutowana,
Niepełna, z roślin wytłoczonej śliny;
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem.
Blady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita:
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień obłąkania świta —
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
Że można było przejrzeć w nie daleko.
Straciły barwę — stały się iskrami
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowemi pokryły się łzami.
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni —
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne;
I wszystkie żyły wybłysły na skroni;
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy, jak liście jesienne
Drżały na czole, wiatrem nierozwiane;
I w marmurowej na pozór postawie,
Rozkołysanie widać zmysłów pjane.
A o czem inni śnią — widział na jawie —
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały,
Rozcięte widma jednem życiem drgały.

Ciszej, bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękicie —
Dzikiej roskoszy urok niewymowny,
W naglonem tchnieniu zamknął zmysły — życie —
Słowo poczęty śmiech porywa — łamie —
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię,
W lekkiej powietrza pławiło go fali;

Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął — i nagle tysiące błyskawic
Wieńcem ognistym mignęły do koła.
Rzekłbyś że tysiąc zamachniętych prawic,
Wiało tysiącznym miecczem archanioła!
Pogasły — w błękit stopiły się ciemny,
Tak przeźroczysty, głęboki, tajemny,
Jak nieskończoność — i słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza,
Wykwitnął mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony —
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całem niebie. A jedna połowa.
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i blada jak noc księżycowa,
Cała w przeźroczu błękitnawo-szklista:
A druga strona posępna, ognista,
Jak piekło. Wielkie zwierciadło Egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niem schylone duchów karjatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z bliska ogromne jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze — i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani. —

A Lambro nie śmiał tchnąć — bo choć wyniosła
Była, duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala.
W otchłań człowieka tchnieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał — i tchnienie połykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwrieciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Kleftów oddawna pomarłych widziadła.

A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bladzi — posępno-srebrni lub ogniści,
Lekcy i liczni, jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.
Ale dotknięci żywego oczyma,
W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
Widać że znaczni rysami Kaima
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów,
I przed oczyma Lambra, na pół sini,
Na poły lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemskiemi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na szebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Milionowe patrzały nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Palące uczuł znamię duchów wzroku,
I drżał — gdy szmerem rosnącym potoku,
W ciszy setnemi głosy zawołali:
«Czemuś nie skonał gdy wszyscy konali?»

VIII.

Straszna twarz Lambra, łamana cierpieniem.
Otworzył usta, chciał mówić — i nie mógł —
A potem słowo złamane westchnieniem.
To słowo «żyję» rzucił z głębi łona —
I wstał z dywanu — wyciągnął ramiona,
Widać że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał w około. — «Paziu! daj mi czarę;
Za mało trucizn zapalonych piłem,
Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem —
Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie —
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,

Co razi serce tonące w zachwycie!
Być jako wieko przysypanej trumny,
Co zrazu każdej garści zapomnienia,
Posępnym, głuchym jękiem odpowiada;
A potem milczy — — Paziu, chcę marzenia!
Lej mi trucizny — pić będę, pić będę,
Póki się wszystkich myśli nie pozbędę.
I tej ostaniej co serce przejada.
Paziu, daj czarę — »

«— Próżno błagasz panie;
Tej czary żadna nie zdobędzie siła;
Bo dziś jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał:) do morza wrzuci — —»

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem;
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochylony naprzód, stąpił krokiem,
Patrzał w twarz pazia i krzyknął: «to ona —
O nie, to widmo z piekielnej otchłani!
To mi upiora przysłali szatani,
Aby tak za mną wiecznie szedł po świecie —
Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie
Że ona żyje — i tylko dziś rano,
W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;
I tym podstępem omyliłem straże.
Palnego statku Turcy nie poznali —
O! gdyby ona spłonęła w pożarze;
Chciałżebym z morskiej wynurzyć się fali? —
Po cóż to widmo? — we mnie — lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jej twarz się mienią? Paziu! chodź tu do mnie
Chodź! niech przy lampie — «

Lecz paź nieprzytomnie
Nalewał napój w pozłacaną czarę,
I z drżącej ręki nieliczonych wiele
Kropel trucizny, upadło nad miarę.

I szedł zachwiany i stąpał nieśmiele,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął — że ją cieniem
Swojej postaci nachylonej mroczy —
Lambro miał usta spalone pragnieniem,
Oczy sennemi tłoczone ciężary —
Z oblicza pazia — upadły w głąb czary.

IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
W tym blasku w oka obłąkanym rzucie,
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby się senne ukazały barwy,
Ciemno-ognista i miesięcznej bieli:
I znów te same widział kleftów larwy.
Stanął w ich kole, słuchał — lecz milczeli.
A przed kleftami stali dwaj anieli;
Jeden ognisty jak piorunu strzała,
Brezkanie wzrokiem człowieka nietknięty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istność księżycowa — biała —
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
Widać że kiedyś był Boga aniołem:
Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły —
Musiał je zrosić, ów anioł upadły,
We łzach człowieka nad świata padołem.
Ma w ręku czarę z której błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli —
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA ZEMSTY.

«Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pienisz, mętna
Bez wiatru usypiasz — któż ciebie obudzi?
Czy sława paląca — czy miłość namiętna!
Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga —
Gdy chciałaś się modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie — jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu,
Na ustach zmarłego — — Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mię więcej i więcej — niż Boga.

Płynęła od wschodu,
Szarańcza złowroga.
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła,
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybiło się wież tysiące,
I rzełbyś że wielkie olbrzymy milczące,
Szarańczę rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady,
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła —
Myśl zemsty mrącego narodu.

A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;

Gdy lud będzie milczał, do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,
Gdy głośne łez będą rospacze —
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać spłakana,
Że z nimi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera;
Mnie światło dnia plami,
Mnie księżyc otwiera
Jak kwiaty, co kwitną nocami.
Ja czekam aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte —
Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła,
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.» —

HYMN ANIOŁA ZARAZY.

«Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży, przebiegane falą żółtawą płomyków,
Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
Tam, jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wyśrebrzy dwa razy,
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja mszczę się umarłych — jam Anioł zarazy —
I lecę ich żony zabijać i dzieci,
Ażeby nie długo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci —
Ani ich morza opłuczą kryształy.
I lecę miasta zamieniać w pustynie;
A w miastach ludzie czują że ja lecę,
W srebrno-błękitnej, w nadpowietrznej rzece,
Co nad krętemi ulicami płynie.

Z Sułtana powracam ja grodu,
Sto głów sułtański ściął miecznik:
A każda na postrach narodu,
Z bram miasta jak żółty słonecznik,
Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą;
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwią płaczą, gdy im łez nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem —
«Mścijcie się» rzekłem, dam broni —
Czarnym zarazy łańcuchem,
Sułtańskie grody związały,
W meczetów kradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza:
Lud martwe dał jej pokłony.
Głowy — jak królów korony,
Świecą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Z syryjskiemi łupy,
Ja okręt, przez wały,
Po morza błękicie,
Do portu zawiałem.
I stał oniemiały,
Nie spuścił szalupy,
A na żaglu szczycie,
Nad cichemi trupy,
Ja anioł siedziałem.

Lud widzę bitny,
W grobów popiele,
Chciałem by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów płomyk błękitny,
I mścij się za nas. — Duch grobów wziąłem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mię zemsty aniołem.» —

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia
Lambro je we snach gorączkowych składał.
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jak gdyby w piersi marzeń brakło tchnienia.
Wstał — chciał się zbudzić — lecz padł na dywany,
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany,
Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli,
Nawet szatani marzeń się przelękną.
I rzekł: «O, duchy! — o, ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich odalisk,
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną — ona będzie żyła!
Dla niej utworzę — pośród myśli zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden. —
I nie sam będę — choć klasztorna krata,
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą —
Szalona zemsta! — burzę świat sam jeden,
Mamże być znowu piekieł Danaidą
I krew lać wiecznie do tej czary świata,
Co się krwią nigdy napełnić nie może? —
Czyż się bezemnie sam nie zemścisz Boże!
To są anieli twoi — ci — przedemną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną,
Całą na czołach ogniem wypisaną;

Ale nie mogę wyłamać z niej słowa — —
Słuchajcie ludy — mścić się nie za rano!
Nie — dziś nie mogę — dziś mi cięży głowa —
Jutro — dziś w marzeń upływam potopie —
Jutro. — Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką — potem tę myśl zmartwychstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu i dam czarę ludom —
A one może w chwili obłąkania,
Odepchną czarę — wieczna im mogiła!
Jeżeli czarę od siebie odrzucą,
Jażeli usta dla tego odwrócą,
Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojmę, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów,
Zemsta człowieka i zemsta narodów —
Jest w sercu — w myślach — moje myśli gasną —
Znów mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętem.
Powietrze zda się wielkim diamentem,
W którym kolory grają i płomienie.
Szatani! o ciemni szatani!
Jak płyną wirem obrazy!
To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawej strony anioł zarazy,
A z lewej anioł ognisty!
Liny z promieni —
I morza obrus błękitno-szklisty
Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białemi nie szumi żaglami — —
I tylko czuję że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Posępny, okryty mgłami.
I mgła błękitna pobiela —
Uciekające wstecz brzegi,

Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widne — tam palma drżąca
Jako kapłan Izraela,
Do cichej twarzy miesiąca
Wznosi dłonie — twarz odwraca,
I mówi modlitwy szmerem.
Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem —
Tylko czarne cyprysy niedotknięte gromem,
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny.

A tam — Kolonny wybrzeże,
Białe posągów narody.
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak Babilońskie ogrody —
I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa!
Wybłyska jedna — druga i czwarta kolumna —
Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.
Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzymsy marmurowe
Zaniosła gniazdo? — Skonała
W tych gmachach wiara i chwała,
A ta jaskółka nie skona?
O nie — to chata Santona
Na gzymsów zawisła szczycie.
Posępna w około cisza —
Przed chatą postać derwisza,
W nieba skreślona błękicie,
Jako posąg nieruchoma —
Modli się — depcąc świątynię. —
Lambro marzył — a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się i łza wstydu po licach mu płynie.
Patrzał w anioła zemsty, w anioła zarazy.

I oba stali cicho — posępnie — jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie
«Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie.»
Rzekli — i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami,
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów — meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotemi głoskami
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękicie.
Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu —
Anioł zarazy siada na zofijskim szczycie.
I patrzy na stolicę — «Gdzież sen mój — ciemnieje —
Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
W którem czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś — bo wszystko tak mgleje,
Czerni się — pierzcha — rozbija — pobladło —
I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,
Tak, że nie widzę nic, prócz myśli własnych
O męka, męka! z tych obrazów jasnych
W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma!
O jak głęboko pośród myśli tłumu,
Wzrok mój zabiega — jeszcze dna nie trzyma —
To wzrok ocknienia — to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty —»
Tu korsarz zamilkł — sam w sobie zamknięty,
Długo na łożu leżał rozciągnięty.
Potem się zerwał, krzyknął: «jam otruty.»

X.

Zrazu się wahał i myśli przędziwa,
Żadnemi na jaw nie śmiał wydać słowy;
Jakby się lękał aby śmierć skwapliwa,
Nie rozwiązała wpół zaczętej mowy;

I widać było jak na jego czole,
Ze snu chmurami łamały się bole.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący że go ledwo dźwignął:
I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany.
Nad bladym paziem dłoń wzniesioną trzyma.
Palił się cały — potem cały stygnął.
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
«Paź błękitnemi ściga mię oczyma
On ma twarz Idy — zabić go nie mogę!
Idź w świat — tam ludzie wszyscy ciebie godni,
Obłudą w serca wkradaj się tajemnie;
Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga! szczęścia nie ucz się odemnie.
Idź — weź to złoto — może nim zapłacisz,
Za snu godzinę — za czarę trucizny.
Weź i tę czarę — wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
Niech do tej czary twoje dzieci własne,
Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zaśniesz jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny — bezsławna i marna,
I nadto wczesna. — Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl — ta wykarmiona
Rosła jak bujne, głuszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy — rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwej godziny,
A wtenczas, dusza rozwiązana z ciała,
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń,
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
Wtenczas koło mnie stałyby w około,
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niech by widzieli że śmierć była w czarze!
Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem,
Śledzili we mnie męstwa — nie dostrzegli —

I dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli!
Widzę ją — widzę tam — z błękitnem okiem,
O nie — to szatan ubiera w mgłę ciemną,
Takie obrazy. Wściekłość mię porywa!
To paź — to ona martwa — jeśli żywa?
Ja konam! konam! — chodź ze mną! chodź ze mną!»
Paź upadł we krwi. Lambro drżący, blady,
Przebił sztyletem — szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady —
Pot miał na czole — usta w pół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przeklęci.
Na czole myśli biegające tłumem,
Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci.
Niepomny zbrodni którą był wykonał,
Sennemi słowy trzykroć pazia woła;
Paź jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głęboko — chciał mówić i skonał.
Lambro spalony truciznami, bladnie,
Potem się drżący przyczołgał do stołu,
Chwycił za czarę — w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,
Śmierci przyśpieszył — lecz marzeń przysporzył
Jak lampa, blaskiem ostatnim się palił.

XII.

«Oto mój żywioł — ta ciemność ponura —
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność jako ciemna chmura,
Świat opłynęła — myśl, gdy w nią pobieży,
Wraca zbłąkana i znów się zamyka!

W sennych marzeniach — moja nie wróciła —
Już nie mam myśli — odbiega mię — znika.
Raz nad świat wzbita nie jest częścią świata,
Zna nieskończoność, znała piekło — żyła.
Niech jak zabójca pierworodny brata,
Leci płomienną naznaczona blizną —
W małej z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną —
— — — — — — — — — — — —
O jak tu ciężko — po co pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? — ta woń kwiatów nudzi! —
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! — rozbić szklanne stropy!
Czy mi się zdaje? czyli w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy,
Podobne z siebie do krwi dają wonie?
— — — — — — — — — — —
Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie!
Sławę — i zbrodni przebieżone stopnie
I krew — O sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie —
— — — — — — — — — — —
Wyście mię wpletli w koło Ixiona,
Wyście się po mnie wiele spodziewali:
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumu zanurzony fali,
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum — cierpiałem.
Precz ludzie — dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć — —
Świeć blada lampo kiedy ja się mroczę,
Świeć — i świeć jutro nad korsarza ciałem —
Dotknąłem lampy i całe przeźrocze
Krwią poplamiłem — Tu wrogi być muszą —
Wpadli na pokład i krew się rozlała,
Słyszę nad głową jak się deski kruszą,
Jak pierś okrętu rozbijają działa.

Chodźcie tu wszyscy choć mam twarz pobladła,
To nie od trwogi. — Chodźcie wszyscy razem!
Jeszcze nad głową powieję żelazem —
O jak mi ciemno! — więc wszysto przepadło?
Przekleństwo temu co pomiędzy tłumem,
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął —
Przekleństwo fali co z piekielnym szumem
Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.
I okręt z głębi łona westchnął głucho —
W głąb idę — —» Upadł na dywan i zasnął. —

XIII.

Lampa zagasła. A korsarz otruty,
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki —
A teraz — słychać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni —
«Cicho?» rzekł «cóż to, oboje uśpieni? —
Więc nieco tajnej otworzył latarni,
Rzucając kołem kilka mdłych promieni:
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przeźroczy,
Widać przychodnia — pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem,
I równie bliski postawą jak strojem;
Ale miał czarne, czarne jak noc oczy
I mniej był młody i piękny na twarzy;
Bo na niej uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odciśnięte —
Świadczą, że bolem przed latami dojrzał;
Że miał już serce na czucia zamknięte.
Stał — słuchał chwilę — potem ku drzwiom spojrzał,
Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę —
I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Znów się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniej «pani! pani!

Już ranek świta. — Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną — korzystajmy z cieni —
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
I on się zbudzi — korzystajmy z mroku —
Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni, nie chcę czekać kary!
Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary! —
Pani! odpowiedz — chwil mamy nie wiele —
A korsarz. — Cóż to? podłoga zroszona,
I krew — na martwem potknąłem się ciele.
Lampę odkryję. — O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach — to ona — zabita —»
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota;
Martwy z przestrachu — przerażeniem ożył.
Spojrzał przez okno, krzyknął «świta, świta!»
I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i rygle za sobą założył.

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu,
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy;
Deszczem spadały do morza błękitu —
Inne, blask zorzy płonącej pochłonął.
Lambro otworzył mgliste snami oczy:
Połową czucia jeszcze we śnie tonął,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
Lecz boleść była nicią Aryadny,
Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny co się karmi łzami,
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom okradzionych snami,
Większem cierpieniem i bolem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwem ciałem,

I rzekł! «sztyletu głowicę poznałem.
To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
Umrzeć nie mogę — ale w tłum wmięszany
Konam — i ludzie koło mnie padają,
Jak oberwany z drzewa liść stokrotny! —
O! boleść, boleść umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonej ściany!
Gdzie nawet śmierci otatnie westchienie,
Głośnemi jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie,
Nie na człowieka, lecz na tłum upada —
Wzniosę ten zawój — pióra zakrwawione
Ujrzę twarz pazia — czy mściwa i blada?»

XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało,
Zdjął zawój pazia ze strusiemi pióry —
I uderzony jak gromem, o mało
Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartej źrenicy lazury.
Upuścił zawój — sztyletu się ima —
Potem przypomniał śmierć — sztylet odrzucił —
Bo miał na ustach gorycze napoju.
I z obłąkaniem odszedł — i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącemi
Zdejmował zawój — wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi,
Ze smutnym szmerem, i do koła twarzy,
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew co się warzy,
Co poplamiła jej szat aksamity;
Na twarzy smutek i miękka omdlałość,
I przeźroczysta alabastru białość.
Kilka uwiędłych kwiatów w martwej dłoni

Trzyma na piersiach — a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za wezgłowie skroni —
W takiej postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
On, tak jak ludzie co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy — wstydzi się cierpienia,
A gdy mu własne serce zlitowane,
Niosło jałmużnę łez i użalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie
Boleści ciała brał i nie wydawał.
Ale po chwili — nowych cierpień nawał
Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi — i krwawemi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny!
Skądże ta rozpacz? oto w głębi łona
Uczuł niknące cierpienie trucizny,
I myśl okropna — że siłami ciała
Bole zwycięży — truciznę pokona,
Że się wyłamie śmierci — zabijała.

«Tak» rzekł posępny «pochowam ją święcie,
W grób mój rodzinny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz — aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą,
Nie przeszła stopa ani cień kobiety —
Miałżebym pierwszy łamać dane prawo?
Mogliby ze mnie urągać niegodni!
Przed nimi trzeba kryć wszystko — prócz zbrodni. —

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichemi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno-lazurowe,

Złociste słońcem — osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki
I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzał w odmęt ciemny i głęboki,
To na jej lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze,
Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy,
Wtenczas czuł włosa wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień żalem —
Ani go zmarłej twarz raziła zbladła.
Na płeć jej niegdyś płonącą koralem
Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
Widząc jej kształty, zda się że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lękliwa.
Zda się że szumem morza przerażona,
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra, wiąże się oczyma,
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
Jeśli łzy nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objęć martwych się wyłamać,
Odrzucić z szyi ręce lilijowe,
I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury!
Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył —
Rzucił ją w morze i patrzał ponury,
Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;
Patrzał jak odmęt zrastał się rozbity,
A martwe ciało na poły widome,
Na pół morskiemi przykryte błękity,
Wzruszonej morza fali się broniło,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome —
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro — on był szatanem — czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem,

Śmiech miał na licach wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany bladem,
To były trucizn wracające bole,
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potem głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: «Majtku niech pop okrętowy,
Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
Przy mnogich światłach, w mrocznym kadzidł dymie,
Za tych co mają skonać na okręcie,
I co skonali.» —

— «Panie! jakież imię
Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?»
— «Powiesić pazia na masztowym szczycie,
Za niego modły niech wzniesie do Pana.» —

«Lambro, twój rozkaz spełnić się nie może,
Twój paź gdzieś uszedł i zniknął od rana,
Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
Choćby się w gmachach zamykał Sułtana,
Nakarmię kruki jego ciała ćwiercią.» —

«— To nic — Pop niechaj odmawia pacierze,
Za konających i za zmarłych duszę;
Teraz ty — odejdź — ja sam zostać muszę»
I cicho dodał «sam jeden — ze śmiercią!»

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze,
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.

Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słychać było szeptane pacierze —
Szarawe kadzidł snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknością straszliwy;
Gdy majtki patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice;
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze
Umalowane czerwonemi świty;
Do fal rzucili ciało i zniknęło —
I dział trzydzieści głęboko westchnęło,
Na bez-echowe otchłani błękity. —

PRZYPISY
DO POEMATU LAMBRO.

PIEŚŃ PIEWRSZA.

Podobna córce głazowej Tantala
Gdy, i t. d.

Te cztery wiersze są tłumaczeniem z Antygony Sofoklesa,

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie,
A potem chytrze bezsilnych odbiegła.

Mowa o Katarzynie Carowej, która Greków poburzyła do powstania, i zdradziła oczekujących od niej pomocy.

— — — była to pieśń Rygi.

Sławny hymn powstańców, napisany przez Rygę, zaczyna się od słów: Λεῦτε, παῖδες τῶν Ἑλλήνων,

I miej kalemkiar ciemny z muselinu,
Lub czewrę —

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

PIEŚŃ DRUGA.

W jej szaty lalkę ubrałem słomianą
I tym podstępem omyliłem straże;
Palnego statku Turcy nie poznali.

W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwa-

nemi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. — A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Miltona.

Ja mszczę się umarłych, jam aniół zarazy. —

Zaraza, która w ostatnich czasach mściła się na Europie, opuszczającej naszą sprawę, podała mi myśl połączenia anioła zarazy z zemsty aniołem.

— — to chata Santona,

W Atenach na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę. —

Korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium, usypiają; lecz przed śmiercią budzą się. —

POEZJE

ULOTNE,

W CZASIE REWOLUCJI POLSKIEJ

I PO JEJ UPADKU PISANE.

HYMN.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon;
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos rycerze!
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrzęsną się Moskwy wieże:
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie — i tam mają duszę —

Noc była. — Orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy —
Słuchajcie! zagrzmiały spiże;
Zagrzmiały — i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże.
Spojrzał — i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody —
Szukał cienia — i w ciemność uleciał północy.

Teraz za nami — tak z bukietami,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica
Dam znak, wystrzelę — nie, ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usłyszy —
Przebóg! tu pogrzeb — błyszczy gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna — a koło truny
Syn smutny, w dłoniach ukrywa czoło —
Ha, ha! co robić? tu nie wesoło
Lecz po co długie prawić androny:
Mój panie synu prosimy z sobą.
Daj na pacierze — zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół. — Z czarną żałobą
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał — więc drzwi uchylę —
Zielonym suknem stolik wybity
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do djabła karty —
Dalej to broni! a karty w kąty!
Niech Dej Algierski, Karol dziesiąty
I Delfin — grają — może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną. — Mości Panowie!
Niech w karty sami grają królowie!
A my do koni — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary:
Na hasło mnogi strzał odpowiada;
Zamorskie jakieś widzę maszkary.
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchaj no! słuchaj, mój włoski panie,

Czy Sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? — A ty Hiszpanie
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie — mniejsza o to — Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! i t. d.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna —
Już w oknach wszelkie światło pogasło.
Dam znak; wystrzelę, nie — po co hasło
Tu śpią — nie słyszą — nie nasza wina
Że sen przerwiemy. — Sztukam we wrota —
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
— «O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zbrojnej czeredy —
A teraz cicho — pusto we dworze.
Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?»
Widzicie bracia, mylą pozory;
Takiemu panu błogosław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami — dalej! i dalej! — i t. d.

Jakże noc pyszna jak lecą konie
Lecą i lecą — a z pod kopyta
Pryskają iskry — połyska błonie,
Śmigają sanki — już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca —
Droga skończona — oto granica —
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa —
Oto jest kulik Polaka! —

PIEŚŃ

LEGJONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
Słońce dla niej błyszczy chwałą,
Tyle serc dla Litwy bije,
Tyle serc już bić przestało!
Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią:
Myśmy się za nie mścili żelazem,
I wolną myślą, i wolną pieśnią.
Zadrżały wrogi —
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi:
Jezus Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony
Śpiewać jako nam śpiewali:
Legiony! Legiony!
Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!
Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
Jakże się rozstać z ojców grobami?
Chyba odwiecznym powiemy prochom:
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!
Zemsta na wrogi, i t. d.

Gdy Car groził Olgierdowi
Odrzekł posłom Olgierd stary:
«Nieście pochodnię Carowi,
Nim zgaśnie powitam Cary.»
I za posłami tej samej nocy
Obozem stanął na Moskwy górach;
Panował miastu jak orzeł w chmurach,
Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkanocy.

Zadrżały wrogi —
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi:
Na grom Perkuna! noprzód! hop! hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewicy,
Pomięszany śmiech ze łzami.
A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży
Może się zerwie, do stóp przybieży
I Giedymina wnuków powita.
Dalej na wrogi — i t. d.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
Czy jeszcze żyją Litwini?
Oto pogoń nasza świta!
Lecz nie pytajcie czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcej nas było — lecz z tego drzewa
Burza, nie jeden liść oberwała.
Zemsta na wrogi, i t. d.

Ho! zaszummy proporcami
Co wolności barwą świecą;
My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.
Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy — legjon umiera,
Jak laur zdobiący grób bohatera —
Kto chciwy sławy — rwie lauru liście.
Zemsta na wrogi —
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi:
Jezus Marya! naprzód hop! hop! urra!

DUMA

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem;
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba
Odwiedzał Proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,
I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie —
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stal Damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
«Żyj długo — bądź zdrowa dziewico stepowa,
«Twój sztylet położy mię w grobie.

«Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
«Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję —
«Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
«Twój sztylet mieć muszę przy sobie.»

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku — bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę —! O Lachu! —

I nocą obaczył kraj miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył że wierny druch wyjdzie przed wrota.
Lecz druchów nie było. — Pod zimną mogiłą
Posnęli — gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu;
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu,
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony. — Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamku, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem — gdzie orzeł żył biały,
I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał — z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem, mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia — więc każdy oniemiał,
I był jakby głazem, pod Cara roskazem,
A były roskazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
Połamał opłatek i spożył.

A potem jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
«Żyj Polsko wiek sławy!» Wtem goniec z Warszawy,
Przyleciał — zawołał: «kraj ożył!»

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą «Ho! urra! nasz Emir!»

Do Cara pieśń doszła — wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał że z kraju, z hordami Nogaju,
Czyngishan szedł — Batt — lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się — bić i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem,
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z nigły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskali — straż przednią i Dońce.
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże. —

I cicho. — Wtem bomba śmierciami ciężarna,
Upadła w szeregi, zwichrzona i czarna!
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali — «O Boże!»

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękłe wrącemi ciskały czerepy,
I grzmiały, dopókąd piechoty czworokąt,
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ściskał, żelazne brał skręty.
Przedniemi nogami na bagnet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi — choć bój był rozpaczny —
Wtem wódz od armaty dał roskaz dwuznaczny:
«Konnica na skrzydła!» zwinęli wędzidła
Odbiegli — ostygli w zapale.

I popłoch się wmięszał — ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale.[1]

On może wśród bolów ostatnich zgryzoty
Pamiętał że dzieci zostawiał sieroty;
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła,
Ma łzy a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą — choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczerby nić miecza
Powlekły — jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły — rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stopach czerwony —

[1] Orlikowski, Kapitan artylerji konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył jak powyżej duma opisuje.

«Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz mój koniu
«Gdy w ziemi staniemy tureckiej.»

«O koniu! mój koniu gdzie twoje zalety?
«Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
«Czyś złaman w kul wiatrze? stój koniu — opatrzę
«Czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiej?»

«Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno.»
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony, zalegał na ziemi. —

I zasnął głęboko — bo trud go osłabił —
Śpiącego, od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy, do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś Emirze nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała.
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurchanie.

PARYŻ.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem;
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzieniegdzie ulic przeświecone śladem.

Gmachy skręconym wydają sie gadem,
Co zębem dachów, łuską się najeża.
A tam — czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko — strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie!
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie
Sto dział go poszle. — A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga.

I już nad miastem wisi ta dział chmura!
Dla tego ludu zasępione tłumy,
Dla tego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy!
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągle toczą się rozmowy —
A straż ich przednia, ich północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy:
I po ulicach ciągle brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli?
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli?
Lud cały kona, katy i obrońce —
Dnia im nie stało aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawej zorzy końce,
Jak Jozue wołali: dnia trzeba — stój słońce!

I nie stanęło — pomarli — przedwcześnie,
Lecz zostawili pamiątki po sobie:

Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie.
Krwi trójcę w jednej wcieloną osobie — [1])
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie;
Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma
Sięgnął — tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
Każdemu było dosyć — nadto było —!
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,
I pod kolumną spiżu wszyscy posną; [2])
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną,
Chwasty z liljami nowych Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany,
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
A całej nędzy nie wyjawię światu —
Twarze z marmuru — serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu,
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę —
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

— — — — — — — — — —

Zdala od miasta szukajmy napisów,
Gdzie wielki smętarz zalega na górze. [3])
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże!
A pod stopami — dalej — miasto w chmurze,

[1]) Napoleon. —
[2]) Kolumna.
[3]) Smętarz Père la Chaise.

Topi się we mgłach gasnących opalu —
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu!

Patrz na mgłę miejską — oto wież ostatki,
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana. [1]
Rzekłbyś — że zmarła matka twojej matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Ossyana —
Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali,
Stoją posągi, gdzie płynie Sekwana, [2]
Jakby się w Styxu łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali —

Tam gmachy Luwru gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły — [3]
Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jej ludzie snuli się jak karły;
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią — był to król narodu!
I aksamity krew mu z czoła starły:
Lecz jego dzieci — umierały z głodu.
Zaczął dynastję trupów, był ostatnim z rodu.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata — a ten hymn posępny,
Zbłąkanemi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery,

[1] Kościół katedralny Nôtre-Dame.
[2] Most-zgody, albo Ludwika XVI⁰ z białemi posągami
[3] Po wzięciu Luwru na królewskim tronie lud położył trupa. —

Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta,
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy —
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić!
I przeszłość jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić —
J ścigać okiem światła obrazy i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozajek kamienie.
Tam — pod okiem pamięci — pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny, wąskim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska;
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne — miastu panująca cieniem;
Stary — posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty — chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli,
Na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy;
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;
To potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy — serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia. — A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
I bladem przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród Litewskiego grodu, w ciemnej, szkolnej sali,
Siedziało dwoje dzieci — niezmięszani w tłumie.
Oba we spółzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spadał,
I po nich czarnym gęstym sypał się pierścieniem.
Widać że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz «on umrze» mówili przed matką:
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy,
I przeczyła z uśmiechem — — Lecz w smutku godzinie
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię:
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na niem nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody;
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
Trawił się — jego oczy ciemne i błękitne,
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostemi loty,
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzał w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli — lecz skazy

Żadnej dostrzedz nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha —
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,
Smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy:
Na ciemnych, mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną — wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem:
Tam prędkim po równiach zadyszani biegiem,
Twarze, umalowane zimnemi kolory,
Obracali na stronę skąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem gdy w wiosennego powietrza błękicie,
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna;
Znudzeni wonią kwiatów zmięszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanej wody;
Z cichej fali wstawała każdego wieczora,
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią — dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezja duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie —
I stawały — i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:
Więc przeczuł że marzeniom da kiedyś wyrazy,

Że się zapozna myślą, z myślnym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy,
Budził i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowem zamknięta przeźroczu,
Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci, myślą dwoistą i duszą,
Składali jedne, piękne całością, obrazy.
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej, na kwiatach,
Gdzie nad niemi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wiśnie jak dziewice, w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne,
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenburga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku —
Niebu, Tytanowemi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane —
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy —
I świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita — i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów —
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów.
W człowieku myślą, światłem staje się w aniele,
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,

W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie —
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje,
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie,
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje.
Ziemskiemi sny ścigani — grzeszą myślą dumy.
I co dnia, z łona Boga, dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie kryształi i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzewiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie. —
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli: którzy z łona Boga spadli,
I po schodzących szczeblach szli w otchłań — i bladli.

W duszy dziecinnej, woli czarnoksięska siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,
Niewyjawiona słowy — często w ludzi biła:
Zaczarowanie wolą, nazwali — zaczuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą, z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
I pośród tłumu ludzi, jej wzrok w zadziwieniu,
Nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał;
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: «Słyszysz mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszemi twarzami w przeszłość upłynioną!
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,

Niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,
Słów nie cierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic,
Tłumnemi słowy w piersiach jak szatany wrzasną,
I wołają ażebym je wypuścił z ciemnic;
Abym je wywiódł na świat — słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezję — dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami —
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem —
Jeżeli nie wystarczy? biada! cięgłem gniciem,
Myśl się martwa przekształci, ciemnością i łzami —
Stanę się myśli grobem — lub umrę przedwczesnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie:
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów;
Myśl moja, niewstrzymana, w te krainy goni!
Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni;
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów.»

Gdy tak marzył — to wiśnie i kwiaty ogrodu,
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,
I wkrótce marzeniami ognistemi wschodu,
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
Gdzie długo patrzał w Koran, zwierciadło Kalifów;
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki, miał wziąść kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma,
Poznało miłość — — Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła —
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła,
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała —
Przed nię dusza dziecięcia jako karta biała,

Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną,
Ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
Przeciwko własnej duszy, i czczym chwilom ziemi.
Więk kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że, we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki,
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem —
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. — Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne —
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów:
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani — marzący jak we śnie.
A dziecię bolem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu,
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą — sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą, wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnemi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze
Padało światło lasów — promień słońca złoty,

Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity,
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłumaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z roskoszą się rzucił,
I rzekł: «Odjeżdżam na wschód, w krainę palmową»,
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka! Pobladł — jego oczy
Obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny!
Widać że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,
I wbija go do ziemi. — Jakaś tajemnica
Niedocieczona, spała w rysach martwych lica.
Mało mówił — tylko raz w pośród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: «Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen —
Chcą mię zabić!» — A potem uśmiechnął się blado,
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem wziąwszy uściski matki, druchów, bratnie,
Odjechał i w drugiego dziecka imionniku
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
«Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się pławił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci.»

Wkrótce potem — pamiętam — o księżyca wschodzie,
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy
Siedziało, pochylone przy stopach dziewicy.
Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych —
Kkiężyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki,
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,

Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka,
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi — a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem —
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy.
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie:
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście, ani w Boga.
Ludzie w nim mieli drucha, w myślach świat miał wroga.
On w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny —
Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął —
Wzniósł twarz — już nad nim młodej nie było dziewicy!
Długo dumał — bo księżyc pół nieba przepłynął,
I patrzał drugą stroną dębowej ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnej, klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany, patrzał w księżyc blady —
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią;
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy,
Na nieznajomym liście, podpis nieznajowy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny;

«Twój przyjaciel wysłany w piramid krainy,
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu — trzy dni bawił,
Niewinnej wesołości długie puścił wodze,
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.

Wczoraj miał dalej jechać. — Widzieliśmy rankiem
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy —
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie, strzemienne, podano kielichy —
Żegnał się — za łzy dawał wesołe uściski,
I puharem o nasze puhary uderzył.
Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził bliski —
Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył!
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Ze samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
Ten wypadek dom cały napełnił żałobą.»

Oto jest romans życia nieskłamany w niczem —
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie, z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny! — —

Powieść nieskończona.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

1. **Garczyński.** Poezje.
2—5. **Słowacki.** Poezje. 4 tomy.
6. **Gordon.** Obrazki caryzmu.
7. **Borkowski.** Wyprawa partyzancka 1833 r.
8—12. **Mickiewicz.** Pisma. Tom I — V.
13—20. **Czajkowski.** Pisma. Tom I. Wernyhora. — II. Kirdżali. — III. Powieści Kozackie i Gawędy. — IV. Owruczanin. — V. Stefan Czarniecki. — VI. Hetman Ukrainy. — VII. Koszowata i Ukrainki. — VIII. Anna.
21. **Norwid.** Poezje.
22. **Siemieński.** Poezje.
23—25. **Krasiński.** Poezje. 3 tomy.
26. **Gosławski.** Poezje.
27. **Zienkowicz.** Wieczory Lacha z Lachów.
28—31. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne. 4 tomy.
32. **Czajkowski.** Pisma. Tom IX. Dziwne życia Polaków i Polek.
33. **Gordon.** Sołdat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku.
34. **Gordon.** Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla.
35. **Heltman.** Demokracja polska na emigracji.
36. **Zmorski.** Poezje.
37. **Hoffmannowa.** Jan Kochanowski w Czarnolesie.
38. 39. **Witwicki.** Wieczory pielgrzyma. 2 tomy.
40. 41. **Giller.** Podróż więźnia etapami do Syberji w r. 1854. 2 tomy.
42. 43. **Ujejski.** Poezje. 2 tomy.
44. **Jasieńczyk.** Dziesięć lat niewoli moskiewskiej.
45—47. **Giller.** Opisanie krainy zabajkałskiej. 3 tomy.
48. **Gordon.** Podróż do Nowego Orleanu.
49. **Zacharjasiewicz.** Na Kresach. Powieść.
50. 51. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne literatury polskiej. 2 t.
52. **Gaszyński.** Poezje.
53. **Soplica.** Pamiątki.
54. **Niemcewicz.** Pamiętniki czasów moich.
55—58. **Chojecki.** Alkhadar. 4 tomy.
59. **Mickiewicz.** Pisma. Tom VI. Pisma pośmiertne.
60. 61. **Goszczyński.** Poezye. 2 tomy.
62. **Olizar.** Pamiętniki.
63. **Gordon.** Gdy się było młodym. Wspomnienia.
64. 65. **Czajkowski.** Pisma. Tom X. Bułgarja. — XI. Nemolaka.
66. 67. **Zacharjasiewicz.** Święty Jur i Jarema. Dwie powieści. 2 t.
68. **Bełza.** Poezje.
69. **Gaszyński.** Pisma prozaiczne.
70. **Kozubowski.** Rozgrzeszeni.
71. 72. **Wrotnowski.** Historja powstania w 1831. 2 tomy.
73. **Czyński.** Cesarzewicz Konstanty.
74. 75. **Purk.** Luźne karty pamiętnika zbiega z Sybiru. 2 tomy.
76. 77. **Witwicki.** Zbiór pism pomniejszych. 2 tomy.
78. **Urbański.** Utwory poetyczne.
79. **Czajkowski.** Pisma. Tom XII. Legendy.
81. **Górecki.** Pisma. 2 tomy.

8°. Cena za tom 2 M., opr. w płótno angielskie 3 M.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM III.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM DRUGI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1894.

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM DRUGI.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1894.

S[illegible]7123.2

Harvard College Library
Gift of
Archibald Cary Coolidge, Ph. D.
July 1, 1895.

SPIS RZECZY.

Strona

Kordjan. Część pierwsza trylogii. Spisek koronacyjny .. 3
Anhelli 105
Ojciec zadżumionich w El-Arisch. Z przedmową w prozie. 149
W Szwajcarji 169
Wacław. Z uwagą w prozie 185
Poema Piasta Dantyszka, herbu Leliwa, O piekle .. 219
———Przypisy do poematu o piekle 269
Mazepa. Tragedja w pięciu aktach 274

KORDJAN,

CZĘŚĆ PIERWSZA TRILOGJI.

SPISEK KORONACYJNY.

Więc będę śpiewał i dążył do kresu:
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z Aloesu,
Obwija zwiędłe umarłego serce —
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa:
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie. — Godzina wybije
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie —
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

JULIUSZA SŁOWACKIEGO: Lambro.

PRZYGOTOWANIE,

ROKU 1799 DNIA 31 GRUDNIA W NOCY.

(Chata sławnego niegdyś czarnoksiężnika Twardowskiego w górach Karpat skich — przy chacie obszerny dziedziniec — dalej skały — w dole bezlistne bukowe lasy. Ciemność przerwana błyskawicami. Czarownica czesze włosy i śpiewa.)

CZAROWNICA.

Z gwiazd obłąkanych,
Z włosów czesanych,
Iskry padają,
Jak z polskiej szabli;
Widzą je djabli,
Odpowiadają
Błyskami chmur.
Lecą — świst piór
Buki ugina.

SZATAN.

(Zlatuje w postaci pięknego Anioła.)

Ha, Czarownico! czy biła godzina?

CZAROWNICA.

Która?

SZATAN.

Godzina, której żaden człowiek
Dwa razy w życiu nie słyszy?

CZAROWNICA.

Uderzy

KORDJAN,

CZĘŚĆ PIERWSZA TRILOGJI.

SPISEK KORONACYJNY.

Biada im! jeśli marzeń ziemią nie określą
Kołem widzenia — biada jeśli je przekroczą —

GEHENNA.

Królu! wiek dziewiątnasty uderzył.

SZATAN.

Astaroth
Niech liczy lata — może ten co za obłokiem
Gromy ciska, chcąc wesprzeć jaki ziemski naród —
Może wiek, który ludziom skrócił jednym rokiem,
Może ukradł szatanom dzień jeden, godzinę;
Więc się o nią upomnę u Boga,
Lub buntowną chorągiew rozwinę.
We mnie i w przyrodzeniu zgwałconem ma wroga.

ASTAROTH.

Tysiąc ośmset lat wybiło.

SZATAN.

Więc się koło tortury całe obróciło?
Każdy ząb jej rozdziera, każda śruba ciśnie.
Teraz gdy niebo zabłyśnie,
Błyskawica trwa dłużej niż te wszystkie lata,
Zbiegłe męczarnią dla świata;
A każdy rok, jak ślimak sunął się leniwo,
Dla nędzarzy, dla głupich kochanków nadziei;
A gdy śliną ośrebrzył ślad zbiegłej kolei,
Ślizgał się po niej człowiek pamiątką pierzchliwą.
Obłąkani w przeszłości żeglarze
Brali imię dziejopisów;
Sztuką ich było pisać wielkie kalendarze,
Pełne królewskich imion i dat i napisów.
Inni myślą ścigali treść myśli —
Filozofy — głęboko myśleli,
Aż nad ciemną przepaścią zawiśli,
Obudzili się, w przepaść spojrzeli,
I zawołali: ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla nas szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów:
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.
Wiek co przyjdzie ucieszy szatany.

(Mefistofel wchodzi.)

MEFISTOFEL.

Nasz szatan prorokuje w cudotwornym stroju!
Ma płaszcz cały Woltera dziełami łatany,
I pióro Russa sterczy na zawoju —

SZATAN.

Mefistofelu! przyszła do działania pora:
Wybierz jaką igraszkę wśród ziemskiej czeredy.
Już nie znajdziesz cichego wśród Niemców doktora,
Po szwajcarskich się górach nie snują Manfredy,
I mnichy długim postem po celach nie chudną —
Więc obłąkaj jakiego żołnierza.

MEFISTOFEL.

To trudno!
Żołnierz to ryba, która kruczkom nie dowierza,
I ma rozsądek zdrowy — przy takiej latarni
Obaczy kurzą nogę djabła kusiciela.

SZATAN.

Samiż tylko rycerze ujdą nam bezkarni?
Słuchaj! wśród narodów wiela,
Jednemu się ludowi dzień ogromny zbliża —
Idź tam, jego rycerze noszą krzywe szable,
Jako księżyc dwurożny, jako rogi djable;
I rękojeść tych kordów nie ma kształtu krzyża.
Pomóż im — oni mają walkę rozpoczynać
Taką, jakąśmy niegdyś z panem niebios wiedli.
Oni się będą modlić, zabijać, przeklinać.
Oni na ojców mogiłach usiedli
I myślą o zemsty godzinie.
Ten naród się podniesie, zwycięży, i zginie!
Miecz na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię —
Ona jak powróz, wrogi uwiąże za szyje,
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i plwaniem —

MEFISTOFEL.

Królu, niech poszukam w djabelskim psałterzu
Modlitwy na dzień, co się zowie zmartwychwstaniem —

Zmówię ją za ów naród. — Dzień pierwszy, dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy,
Na całą rzekę stóletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę.
A gdy wzrośnie ich potęga,
Ten naród, jak piękna księga,
W starą oprawiona skórę,
Pargaminowem świecić będzie czołem.

SZATAN.

Dobra rada, stańcie kołem,
Stwarzajmy ludzi do rządu.
Zawołajcie czarownicy —
(Szatan daje rozkazy, djabli pracują.)
Żywioły ziemi i ładu,
W atmosferowej szklanicy
Zamknięte i w jeden zlane,
Przez chemików połamane;
Kwasorody, gaz węglowy,
Zlewam w kocioł platynowy —
Dmijcie duchy! —
(Gromy biją w kocioł.)
W żywioł ziemi,
Dorzucić szpilek kaprala
Z główkami laku, któremi
Kreśli plany, królów zwala:
Szpilek czterdzieści tysięcy
Rzućcie w kocioł —

DJABLI.

I nic więcej?

SZATAN.

Nic. —

DJABLI.

Coś z rozumu kaprala? —

SZATAN.

Nic.

DJABLI.

Skończmy.

SZATAN.

Niechaj leci!

(Gromy biją, duch ulatuje.)

Stary — jakby ojciec dzieci,
Nie do boju, nie do trudu;
Dajmy mu na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko,
Nazwijmy od słowa ludu,
Kmieciów, czyli nędznych chłopów. —
Teraz jak z niebieskich stropów,
Rzućcie wodza ludziom biednym.

DJABLI.

Panie! czy skończysz na jednym?

SZATAN.

Wrzucić do kotła dyament! —
Dyament w ogniu topnieje.
Wylać sekretny atrament
Z Taylleranda kałamarza,
Co w niewidzialność blednieje,
Od okularów rozsądku —
I dąć w kocioł — w kotła wrzątku
Obaczymy co się stwarza.

DJABLI.

Już gotowy! mimo czary,
Wyszedł jakiś człowiek godny!
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

SZATAN.

To nic! to nic! takich trzeba
Biednym ludziom rzucać z nieba;
Będą przed nim giąć kolana —
Jest to stara twarz Rzymiana,
Na pieniądzu wpół zatarta.
Dajmy mu na pośmiewisko
Sprzeczne z naturą nazwisko;
Ochrzcijmy imieniem Czarta —
Teraz puśćcie! niechaj leci!

DJABLI.

Lepszy będzie człowiek trzeci.

SZATAN.

Teraz z konstellacji raka
Odłamać oczy i nogi,
Dodać kogucie ostrogi,
I z trwożliwego ślimaka
Oderwane przednie rogi —
Cóż tam w kotle?

DJABLI.

Ktoś z rycerzy.

SZATAN.

Wódz! chodem raka przewini!
Jak ślimak rogiem uderzy,
Sprobuje — i do skorupy
Schowa rogi, i do skrzyni
Miejskiej zniesie planów trupy,
Czekając aż kur zapieje. —
Rzucić w kocioł Lachów dzieje,
Słownik rymowych końcówek,
Milion drukarskich czcionek,
Sennego maku trzy główek! —
Cóż tam?

DJABLI.

Starzec, jak skowronek
Zastygły pod wspomnień bryłą.
Na pół zastygłą, przegniłą.
Poeta — rycerz — starzec — nic
Dziewięciu Feba Sułtanic —
Eunuch — —

SZATAN.

Przyśpieszmy dzieła,
Bo z tamtej krakowskiej wieży
Słyszę dzwon rannych pacierzy;
W powietrzu się rozpłynęła
Woń kadzideł katedralnych.

CZAROWNICA.

Przeklęte wasze dzieło, wicher djablej mowy,
Rozczesał z mojej chaty włos słomianej głowy!

Ozy mi na nią dachówek dacie z hostji mszalnych?
Zawierucha wierzbowe gałąski obrywa;
Ludzie nie znajdą różczek na kwietnią niedzielę.

SZATAN.

Milcz padalcze! — czas upływa,
Twórzmy razem wielkich wiele.
Co nakażę, rzucać w tygle:
Rdzę pozostałą,
Na Omfalii igle,
Od, krwią wilgotnych, Herkulesa palców;
Ze rdzy się zrodzi nie mało,
Wysmukanych rycerzy — ospalców —

DJABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię
Jak chmura —

SZATAN.

Śpieszmy nowe tworzyć brzemię,
Nim jutrznia błyśnie ponura,
Nim się żywioły ochłodzą —
Rzucić język Balaama oślicy;
A ci, co się z niego wyrodzą,
Narodowej się chwycą mównicy —
Mówców plemię.

DJABLI.

Tłum! tłum! tłum poleciał na ziemię!
Jak zwichrzone szpaków stado.

SZATAN.

Widzicie tę postać bladą,
Z mętów kotła już na pół urodną?
Twarz uwiędła i wzrok w czarnem kole;
Paszcze myśli otwiera wciąż głodna,
Wiecznie dławi księgarnie i mole;
I na krzywych dwóch nogach się chwieje,
Jak niepewne rządowe systema.
Chce mówić — posłuchajmy co na świat posieje?

TWÓR, pokazując z kotła głowę.

Czy lepiej kiedy jest król? czy kiedy go nie ma? —

SZATAN.

Precz z tym sfinksem co prawi zagadki!
Sam jej djabeł rozwiązać nie umie —
Niech w szkolarzów zasiewa ją tłumie,
Oplątaną w dziejowe wypadki!
Niech z ministerjalnej ławy,
Nad rozlewem żyzniącym krwi Nilu,
Ze złamanych kolumien podstawy
Gada — hieroglifem stylu.

ASTAROTH.

Panie! patrz tam z kotła pary,
Znów się jakiś twór wylęga:
Twarz ma okropnej poczwary.
Przez pierś jeneralska wstęga.

SZATAN.

Witajcie go! oto twór
Niszczyciel, jakby horda Nogajca!
On w stolicy owłada dział mur;
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca!
A gdy zabrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci —
Kraj przedany — on wyda pod miecz!

GŁOS W POWIETRZU.

W imię Boga! precz stąd! precz!

(Wszystko znika.)

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia, to plama
Na nieskończoności błękicie;
Ciemna gwiazda w słonecznych gwiazd świcie,
Grób odwieczny potomków Adama.

ARCHANIOŁ.

Onego czasu, jedna z gwiazd wiecznego gmachu
Obłąkała się w drodze, jam ją zgonił lotem
Czułem w dłoni jej serce bijące z przestrachu,
Jak serce ptaka ludzkim dotkniętego grotem;
I drżącą położyłem przed tronem Jehowy.
A Bóg rzekł do mnie, światy tworzącemi słowy:

«Krew ludzka skrzydła twoje rumieni.»
Padłem twarzą na Boskie podnoże,
Na proch gwiazd, na kobierce z promieni —
Boże! Boże! Boże!
Skrzydeł pióra otarłem o ziemię,
Krwawa była — widziałem! widziałem.
Za grzechy ojców w groby kładące się plemię!
Lud konał — gwiazda gasła — za gwiazdą leciałem —
Lud skonał —
Czas, byś go podniósł Boże, lub gromem dokonał.
A jeśli Twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcej niśli łez wylali —
Zmiłuj się nad nimi Panie! —
A Bóg rzekł: «Wola moja się stanie.» —

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie,
A Bóg ją zetrze palcem, lub wleje w nią życie
Jak w posąg gliniany Adama.

PROLOG.

PIERWSZA OSOBA PROLOGU.

Boże! ześlij na lud Twój, wyniszczony bojem,
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy!
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy.
Niech się we łzach nie budzi, przed dniem zmartwychwstania:
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego Anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże!
A komu palec przekleństwa na czoło położę,
Niech nosi znak na czole. — Pozwól Panie tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć —
Z bronzu wzniosę posęgi, gdzie pokruszę gipsy.
A kto ja jestem? jestem duch Apokalipsy. —
Obróćcie ku mnie oczy zamglone i twarze —
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka — szata, w długość szczodra,
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryję włos biały jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów dyamentu pełna,
Nogi mam jak miedź, świeżem ogniskiem czerwona;
Głos huczy jako woda wezbraniem szalona.
W ręku siedm gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny, a twarz moja błyska.

Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam: Jestem pierwszy — i ostatnim będę.

DRUGA OSOBA PROLOGU.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę!
Wy śmiejecie się z zapału mego towarzysza —
Kto on? do tureckiego podobny derwisza —
Owe siedem lichtarzy, jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów —
Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia,
Nie wiek, ale zgryzota. — W oczach blask natchnienia,
W ręku gwiazdy — to myśl, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny, jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich — albo wrogów.

TRZECIA OSOBA PROLOGU.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch, zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły;
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem;
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem,
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami,
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami. —

CZĘŚĆ I.

AKT I.

SCENA I.

(Kordjan, młody piętnasto-letni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu; Grzegoż, stary sługa, nieco opodal czyści broń myśliwską. Z jednej strony widać dom wiejski, z drugiej ogród — za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe.)

KORDJAN, zadumany.

Zabił się — młody. — Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu;
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone.
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę —
Jak kwiat liściami w niebo otwartemi,
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia,
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi,
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje.
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje,
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła —
Ciche wyrzekła słowa do drzew — Gińcie drzewa! —
Zwiędły — opadły — —.

Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa —
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów konanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa.
Cicho! — Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie,
Idą trzody po trawie chrzęszczącej od szronu,
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zakonu?
Cicho, odludnie, zimno — — Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklannym bije;
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnej nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje —
Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści!
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć zwiędnienie — głosem uczuć szumy
Bez harmonji wyrazów. — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali — —
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokój —
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem;
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

(Po chwili)

Jam się w miłość nieszczęsną całem sercem wsączył — —

(Myśli — potem nagle się obraca do Grzegorza)

Grzegorzu, przestań strzelbę czyścić —

GRZEGORZ.

Jużem skończył.

Co mi panicz rozkaże?

KORDJAN.

Chodź tutaj mój stary —

Nudzę się. —

GRZEGORZ.

Nie nowina; cóż ja poczne na to?
Chcesz panicz, powiem bajkę, szlachetnie bogatą —

Mam ja w szkatule mózgu dykteryjki, czary,
Po babce mojej starej, co w Bogu spoczywa —
Chcesz pan tej co się gada? czy tej, co się śpiewa? —
(Kordjan milczy; Grzegorz mówi następującą bajkę.)

Było sobie niegdyś w szkole,
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu Bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Co dzień stary Bakalarus
Łamał wierzby na biedaku,
I po setnej, setnej próbie
Rzekł do matki: Oj kobieto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie! —
Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo,
A księżulo słuchał skargi,
I poważnie nadął wargi;
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
«Patrz mi w oczy!» rzekł do żaka,
«Nic dobrego! nic dobrego!»
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piątaka,
I do szewca oddać radził.

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło. — Szewc był blisko —
Lecz Jankowi nie do smaku,
Przy szewieckiej ślipiać igle.
Djabeł mięszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: W świat pójdę o piątaku!
A więc tak jak był — hołota,

Przed terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął
Jak do wody wpadł i zginął.

Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie.
W końcu dodał: — «Bogobojna
Trzódko moja, bądź spokojna —
Co ma wisieć, nie utonie.»

Mały Janek, gdzie się chował
Przez rok cały zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy, wylądował.
Owdzie król przechodził drogą.
Jaś pokłonił się królowi,
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy.
Owoż król ten posiadł sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewem władał,
Że człowieka zaraz zbadał,
Na co mierzy, na co zdatny:
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny.
Lecz tą razą wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza —
Czy żak Janek na tancerza?

Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: «Mój kochanku,
Jak masz imię?»
«Janek.»
«Janku!
Cóż ty umiesz?»
«Psom szyć buty.»
«A czy dobrze?»
«Oj tatulu!
Czyli raczej panie królu!
Jak szacuję, ręczyć mogę,
Że but każdy ostro kuty,
I na jedną zrobię nogę,
Czyli raczej na łap dwoje —
To na zimę. — Z letnich czasów
But o jednym szwie wystroję,
Na opłatku, bez obcasów;
A robota takiej wiary,
Że psy puszczaj na moczary —
Suchą nogą przejdą stawy.»
«Masz więc służbę, złotem płacę,»
Rzekł do Janka pan łaskawy,
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty.
A szewc chartów w aksamicie,
Przy królewskiej jechał świcie;
Złoty order miał na szyi.
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincyi —
W dni dwanaście został panem.
Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował
W Biskupy. —

KORDJAN.

Cha! cha! cha! przednia powieść.

GRZEGORZ.

A widzi pan, widzi,
Jak zabawiłem gadką — niech się pan nie wstydzi —
W tej powieści moralna kryje się nauka.

KORDJAN.

Jaka? Powiedz mi stary.

GRZEGORZ.

A któż jej wyszuka?
Dość że jest sens, powiadam.

KORDJAN.

Wierzę.

GRZEGORZ.

Trzeba wiary.
Bo widzi panicz, kiedy gada sługa stary,
To w słowach dziecku nie dawać trucizny.
Błąkałem się ja długo zdala od ojczyzny,
I tak mi było ciężko od tęsknego żalu,
Że żołnierze ciosali kołki na wąsalu.
Odcinając się szablą, nie brałem pociechy,
Bo żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy —
A smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy, i człowiek nie gnije
Jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi. — Byłem ja w Egipcie!
Ponoś no o tej walce nie mówiłem panu!
Czy wolno?

KORDJAN.

Mów! mów, stary!

GRZEGORZ, kręcąc wąsa.

Daj go tam szatanu
Kaprala — tęgi człowiek! Wywiódł wojsko w pole,
Nie w pole, w piaski raczej; równo jak po stole,
Otwarto na wsze strony, kędyś wzrok obrócił,
Oko biegnąc po piaskach, Boga szuka w niebie.
Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie,
I niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił.
Mnie świecącemu w jednej, widać było cztery.
Przed walką, przypominam, śmiech nas ruszył szczery —

Bo trzeba panu wiedzieć, na wojska ogonie
Snuły się z bagażami osły — przy bagażach
Przywlekli się z Francji w bagnetów zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą w kalendarzach.
Gardziliśmy jak Niemcem tą chmurą komorów,
Tą psiarnią, co jak truflów wietrzyła kamieni.
Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: Osły i uczeni!
Chowajcie się w kwadraty! dalej za pas nogi! —
Dalibóg, korzystali z łagodnej przestrogi.
Przyznam się jednak panu, że choć żołnierz bitny,
Przed walką byłem nieco nadzwyczaj ponury. —
Jak dziś pamiętam: zdala lał się Nil błękitny,
Dalej jakiegoś miasta widać było mury;
I nad głowami niebo czyste bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku,
Nad katafalkiem niby od gromnic płomyki —
Lecz co najbardziej ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie murowane góry.
Stąd by je było widzieć, gdyby nie Karpaty.
I gdyby z nieba można zetrzeć wszystkie chmury.
Wtem wódz przyjechał konno — zagrzmiały wiwaty,
Acz bez winnych kielichów. Wódz wskazał na wieże
I rzekł: S o l d a t s! — co znaczy, powiedział: Żołnierze!
Słyszałem wszystko — wódz rzekł: Patrzcie, wojownicy!
Ze szczytu piramidy — co znaczy: z dzwonicy,
Ze szczytu tych piramid sto wieków nas widzi!
Więc spojrzałem gdzie wskazał, po nieba błękicie;
Aż tu patrz — niech kto ze mnie jak z prostaka szydzi,
Opowiem. — Klnę się panu, na piramid szczycie.
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz, w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku —
Sto dział zagrzmiało, oczy zgubiłem od blasku.
A kiedym wzrok odzyskał, aż tu Mameluki
Krzywemi nas szablami dziobią gdyby kruki —

To końmi do ucieczki obróceni wrzkomo,
Siadają na bagnetach jak małpy —

KORDJAN.

Cóż dalej? —

GRZEGORZ.

A wstydźże się pan pytać! Każdemu wiadomo,
Żeśmy zawsze łamane parole wygrali,
I gdyby nie ta dżuma — — Ale pan nie słucha!

KORDJAN, zamyślony, mówi sam do siebie.

Wstyd mi! Starzec zapala we mnie iskrę ducha.
Nieraz z myślą zburzoną w ciemne idę lasy,
Szczęk broni rzucam w sosem rozchwianych hałasy.
Widzę siebie wśród świateł czarodziejskich sławy,
Wśród płomienistych szyków; szyki wstają z ziemi,
Ziemia wstaje jak miasto odgrzebane z lawy —
Głupstwo — dzieciństwo marzeń — — Z myślami takiemi
Nie śmiałbym się wynurzyć przed starców rozsądkiem!
Więc szukam — kogo? Sługi, co rozwlekłym wątkiem
Snuje głupie powieści.

(Myśli — potem nagle do Grzegorza.)

Idź sobie, Grzegorzu!
Jak się panna na konną przechadzkę wybierze,
Dasz mi znać.

GRZEGORZ.

Panicz może dziś nie dospał w łożu?
Bo starego odpędza jak natrętne zwierzę!
Bywszy niegdyś w niewoli, znałem ja młodziana,
Co miał wiele nauki, nie gardził mną przecie,
I dziękował za powieść, gdy dobrze dobrana.
Było to wcale piękne i szlachetne dziecię!
Smutno skończył!

KORDJAN.

Cóż, umarł?

GRZEGORZ.

A gdzie tam, mój panie!

KORDJAN.

Więc żyje!

GRZEGORZ.

On nie żyje! Gdy nas Rosyanie

Wzięli w dwunastym roku; spędzili jak trzodę
I na Sybir zawiedli. — Dwóchset naszych było:
Wiarusy kęs nadpsute, oficerstwo młode;
A jak wzajem sprzyjali, wspomnieć starcu miło!
Jeden drugiemu nigdy nie powie jak: bracie!
Chleb łamią jak opłatki, w jednej chodzą szacie.
Ten, o którym rzecz wiodę, zwał się Kazimierzem —
Otóż kiedy się Moskal pastwił nad żołnierzem,
Pan Kazimierz za wszystkich cierpiał, potem z głowy
Dobył myśli — zawołał na tajemne zmowy,
I odkrył zamiar wcale dostojny, bo śmiały.
Nie szydź panie, kto kupi niewolą włos biały,
Ten rozpaczy szalonej w ludziach nie potępi.
Więc on myślał, że straże kozackie wytępi,
Zmarłym wydrze żelazo, i polskie wiarusy
Do Polski odprowadzi. — Poznali się Rusy
Na malowanych lisach — wywiedli na pole;
Cały nasz pułk Baszkirów ostąpił w półkole;
Wołga stała za nami. Pułkownik tatarski
Przeczytał głośno jakiś niby dekret carski:
A w tym dekrecie stało, aby polskie jeńce,
Rozdzielać na dziesiątki i w pułki powcielać.
Wtenczas nasze wiarusy wziąwszy się za ręce,
Krzyknęli: «Nie pójdziemy!» — Zamiast nas wystrzelać,
Czy wierzysz pan, że owe tatarskie szatany
Rzucali nam na szyje rzemienne arkany,
Właśnie jakby na koni zdziczałych tabuny?
Oh! co czułem, to z sobą poniosę do truny!
Związaliśmy się wszyscy rękoma co siły —
Pamiętam, z prawej strony — nie, z lewej od serca —
Stał przy mnie żołnierz, wiekiem, ranami pochyły;
Ku niemu zwinął koniem baszkirski morderca.
Więc biedak rękę moją na kształt szabli ścisnął,
Potem ociężał na niej, bezwładny obwisnął —
Patrzę mu w twarz, posiniał cały na kształt trupa:
Oczy wybiegły, szyja związana powrozem.
Tu Baszkir zaciął konia, koń spięty dał słupa,
Skoczył — a starzec jak koń uwiązany lozem,

Pociągnął się po piasku, po krzemiennej warście.
Widziałem na krzemieniach włosów siwych garście,
Z krwi wyrwane kroplami. — Koń leciał jak strzała,
Już trup zniknął — a jeszcze widać było konia,
I myśl przy koniu starca krwawego widziała!
Staliśmy jak garść kłosów pożółkłych śród błonia;
Głuche było milczenie, zgroza, obłąkanie.
Piszcząc, kołem jak krucy krążyli poganie —
Wybierali oczyma, gdzie powrozem skiną,
Śmierć dając, chcieli zabić przedśmiertną godziną.
Wtem, panie! nasz Kazimierz! ów Kazimierz młody!
Skoczył w tłumy Baszkirów — i z tłumu wyskoczył,
Z pułkownikiem tatarskim rzucił się do wody;
Tak ujętego wroga między dwie kry wtłoczył,
A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła
Jak mieczem odrąbana i na krze usiadła
Z otwartemi oczyma — —

KORDJAN.

A Kazimierz?

GRZEGORZ.

Zginął.

KORDJAN.

Grzegorzu, czy nie pomnisz zmarłego nazwiska?

GRZEGORZ.

Nie wiem. On pod imieniem Kazimierza słynął —
Co mu tam dziś nazwisko po śmierci? Pan ściska
Rękę starego sługi? —

KORDJAN.

Boże! jaki ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma. Lecz ja nie mam wiary;
Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich, niedowiarka okiem,
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.
Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.
Teraz czas, świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć albo li nie żyć?
Jam bezsilny! nie mogę jak Edyp zabójca
Rozwiązać wszystkich sfinksów zagadki na świecie!

Rozmnożyły się sfinksy — dziś tajemnic trójca
Liczna jak ziarna piasku, jak łąkowe kwiecie;
Wszędzie pełno tajemnic, świat się nie rozszerzył,
Ale zyskał na głębi! — Wierzchem człowiek płynie,
Lecz jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu ginie —
Chyba że w owej drodze jak milowe słupy,
Mija stare przesądy, zbladłe wieków trupy —
Nie, są to raczej krzyże przy ubitej drodze.
Prostak przy nim koniowi zatrzymuje wodze,
I żegna się, i pokłon oddaje — gdy mija —
Potem mędrkowie prostsze wytkną ludziom szlaki;
Zwolna na drogę nową zjeżdżają prostaki.
Na zapomnianym krzyżu bocian gniazdo zwija,
Mech rośnie, pod nim dzieci w piasku sadrą kwiaty.
Nieraz krzyż u stóp samych podgryziony laty,
Pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża,
A lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.
Więc idę na świat rąbać nadpruchniałe drewna — —
Miłość? Zapomnę o niej — wśród światowej burzy
Pozostanie głos wspomnień — jak pieśń dzika, rzewna,
Jak pieśń żurawia, co się opóźnił w podróży,
I samotny szybuje po błękicie nieba —
Ostatni, z licznych, szczęsnych tłumów obłąkany!
Trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba —
Jak Kolumb na nieznane wpływam Oceany,
Z myślą smutną, i z sercem rozbitem — —

LAURA, wołając z ganku.

Kordjanie! —

KORDJAN.

Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie.
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczem,
Nie wyjdę z niego. Mogłem być czemś — będę niczem —

SCENA II.

(Ogród. — Lipowe aleje krzyżują się w różne strony — wśród drzew widać dom opuszczony z wybitemi oknami. — Jesień — liście opadają — wietrzno. Kordjan i Laura zsiadają z koni, przy których Grzegorz zostaje, i wchodzą do alei — długo nic do siebie nie mówią.)

LAURA, z uśmiechem na pół szyderczym.

Czemu Kordjan tak smutny?

(Kordjan patrzy na nią oczyma zamglonemi — i milczy.)

Znalazłam dziś rano
W imionniku wierszami kartę zapisaną —
Poznałam rękę, pióro — o, nie! raczej duszę —

(Kordjan zarumieniony schyla się ku ziemi.)

Czemu się pan mój schyla?

KORDJAN.

Odmiatam i kruszę
Gałąski, ciernie, chwasty z pod stóp twoich pani —
Cierń, co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!

LAURA.

Kordjan zapomniał że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordjan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni?

KORDJAN.

Zapytaj się drzew, pani, dla czego w jesieni
Szronem dotknięte, noszą liście purpurowe?
To tajemnica szronu.

LAURA.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną? —

KORJAN.

Nie ujrzę jej, jeżeli to gwiazda nadziei! —

LAURA.

A jeżeli gwiazda wspomnień?

KORDJAN.

O! dla mnie za rano
Na bladą gwiazdę wspomnień!

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordjana?

(Kordjan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.)

się nazywa?

KORDJAN.

Przyszłość.

LAURA, z uśmiechem.

W której stronie nieba?

KORDJAN.

O! nie wiem! nie wiem! Jest to gwiazda obłąkana.
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba —

LAURA.

Kordjan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności —

KORDJAN.

Tak, gdy mię spalą męczarnię,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.
Talenta, są to w ręku szalonych latarnie:
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki.
Lepiej światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku zimnych wyobrażeń —
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

LAURA.

Jaki dziś Kordjan gorzki!

(Usiada na ławce darniowej — Kordjan u nóg jej się kładzie i mówi, patrząc na niebo.)

KORDJAN,

Czarowna natura!
Jak koń Apokalipsy szara leci chmura,
Jesiennym gnana wiatrem — a w chmurze myśl gromu
Omdlała zimnem, iskry wydobyć nie może.
Więc co ma w łonie gniewu, nie powie nikomu —
I przepłynie nad światem. — Z gromem myśli złożę —
Niechaj płyną nad światem zimne i bez głosu — —
(Zrywa kwiat i obraca się z uśmiechem do Laury.)
Pani, weź te gałąskę purpurową wrzosu,
Ale jej nie otrząsaj ze szronu brylanta —
(Zamyślony patrzy na niebo)
Pani, patrz tam na niebo — oto duchy Danta.
Tam się na starem drzewie wichrzy szpaków stado —
Zaleciały przelotem i do snu się kładą.
Wiatr przez noc będzie liście zbijał — one prześnią
Noc całą, drzew ginących kołysane pieśnią.
Anioł przeczucia śpiącym wskaże lotu szlaki,

A gdy się zbudzą, drzewo powie: lećcie ptaki —
Nie mam już dla was liści, jam się zestarzało
Przez noc, kiedyście spały —

LAURA.

Cóż stąd za nauka?

KORDJAN.

Cha! cha! Nauka smutku, że drzewo nie spało,
A ptaki nie spały —

LAURA.

Kordjan, co przyszłości szuka,
Powinien spać jak ptaki —

KORDJAN,

Gdzież anioł przeczucia?
Czy przyjdzie? poprowadzi? Więc myśli i czucia
Trzeba skąpca przykładem, na lata rozłożyć,
I nigdy zmysłów w jednej nie utracić burzy.
Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć.
Dziwna ciekawość życia prowadzi w podróży,
A za ciekawość trzeba nieszczęściami płacić,
I nigdy zmysłów w jednej burzy nie utracić —

(Gwałtownie.)

Jam je utracił! Boże! zmiłuj się nademną!

LAURA.

Kordjanie! —

(Kordjan milczy.)

Czas powracać, już wietrzno i ciemno —

KORDJAN,

O, pani! zostań jeszcze —

LAURA.

Więc pan mi przyrzeka
Że będzie spokojniejszy?

KORDJAN, z obłąkaniem.

Tak —

LAURA.

Przyszłość daleka —
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

KORDJAN, zamyślony, patrząc na niebo.

Ciemny się błękit nieba wyświeca za mgłami —

Ach księżyc! patrz tam pani! księżyc srebrny, pełny,
Stanął i patrzy na nas, chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go na pół gałąź rozcina spruchniała,
Teraz śród czarnych liści krąg chowa ponury — —
Pani! gdy kiedyś — kiedyś! twarz księżyca biała,
Błyśnie wśród chmur lecących na jesiennem niebie,
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od siebie.

(Po chwili.)

Bóg, promień duszy wcielił w nieskończone twory —
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,
Z których pięć, wzięła zmysły cielesne za sługi;
Inne zagasły w nicość — ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni; ale jasny, cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży;
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w ciemną wspomnień trumnę.
Bóg mu pod nogi światła wywróci kolumnę —
Po niej gwiazd miriady zapali i słońca;
Anioł je przejrzy wzrokiem nadziei do końca,
I do gwiazdy podobny, będzie w przyszłość płynął.
O! duch mój chce się wyrwać! już pióra rozwinął!
Dusza z ust zapalonych leci w błękit nieba —

(Opuszcza ręce i z rozpaczą.)

Na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba!

LAURA.

Źle, jeśli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję co mu jest? —

KORDJAN, ze wzgardą.

Oszalał —

(Laura odchodzi ku drzwiom ogrodu, siada na koń i odjeżdża z Grzegorzem Kordjan zostaje sam w ogrodzie nieruchomy.)

Światła nocy błyskają na nieba szafirze,
Myśl zbłąkana w błękity niebieskie upadła,

Oto ją gwiazdy w kręgi porywają chyże
I kręcą, aż zmęczona, posępna, pobladła,
Powróci z tańca niebios w nudne serce moje — —
Czekam — nad otchłaniami niebieskiemi stoję,
Zalękniony o myśli tonące w gwiazd wirze.
Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żórawi stada!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze!
(Dobywa pistoletu.)
Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada —
Ból, chwila jedna, ciemno — potem jasność błyśnie.
Lecz jeśli nie zaświeci nic? — i ból przeminie?
Jeśli się wszystko z chwilą boleści rozpryśnie?
A potem ciemność — potem nawet ciemność ginie,
Nic — nic — i sobie nawet nie powiem samemu
Że nic nie ma — i Boga nie zapytam czemu
Nic nie ma? Ha? więc będę zwyciężony niczem? —
Śmierć patrzy w oczy moje dwustronnem obliczem,
Jak niebo nad głowami i odbite w wodzie —
Prawda, lub omamienie — lecz wybierać trudno
Gdzie nie można zrozumieć —
(Przykłada broń do czoła.)
Nie — nie w tym ogrodzie.
Znajdę śród lasów łąkę kwietną i odludną.
(Wychodzi z ogrodu.)

SCENA III.

(Noc. Laura sama w pokoju przy lampie.)

LAURA.

Dotąd Kordjan nie wrócił, jedynasta biła.
Natrętna niespokojność w serce się zakrada,
Gdybym to dziecię płochem szyderstwem zabiła?
Dmuchem w różę, co słońcem palona opada?
A jeśli jego serce z takich kruszców lane,
Że co na nim napiszę, przetrwa napisane
Na wieki wieków? Boże! jeśli jego oczy
wywykną do ciemności i łez? A co gorsza!

Jeśli miasto łez, w dzieciach zapalonych skorsza
Duma, gorzkie uśmiechy na twarz mu wytłoczy? —

(Zamyśla się, potem bierze sztambuch i przewraca)

Nudnemi grzecznościami zapisane karty.
Ten mię równa do kwiatu, ci do gwiazd — a czwarty
Do Dianny bogini — on sam jak Bóg Apis
Zwierzęcą nosi głowę. — Ten kwiat chce rozkwitać —
Rysunek siostry mojej. — Ach! Kordjana zapis;
Spojrzałam mimowolnie, muszę raz odczytać.

(Czyta wiersz Kordjana.)

«O! przypłynę ja kiedyś we wspomnień łańcuchu,
Zatrzymam się — wspomnienia krokiem się nie ruszą —
Aż powiesz: — Natrętny duchu!
Ciężysz na duszy mojej, twoją cichą duszą,
Jak księżyc, mórz oczyma podnoszący ciemnie.
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie. —
Luba! jam koło ciebie — i z tobą — i w tobie.
Nie przychodzę wyrzucać ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać:
Przyśniło mi się tylko kilka pytań w grobie.
Słuchaj — niegdyś ze szczęściem brałaś zaręczyny,
Pokaż mi ów pierścień złoty?
Ha! sczerniał? sczerniał pierścień? — to nie z mojej winy?
Dla czego na twarz włosów rozpuszczasz uploty? —
Spostrzegłem we włosów chmurze —
Bladość twarzy — i coś błyska!
Może to blask w pereł sznurze?
Może światło brylanta? albo kornaliny?
Może rozgrzane słońcem topazu ogniska?
Może to łzy? — ty płaczesz? — to nie z mojej winy! —
Mój Aniele! mój Aniele!
Kwiat ci wieńczył niegdyś głowę,
A było kwiatów tak wiele —
Że, nim zwiędły, brałaś nowe.
Dla czegoż dzisiaj w stroju zmianę widzę jawną?
Wszak kwiaty przeżyć burze musiały i spieki;
Prócz jednej bladej róży, która dawno! dawno!

Nie pomnę z jakiej przyczyny,
Zwiędła na wieki —
Jeśli tak wszystkie zwiędły? — to nie z mojej winy!»
(Przestaje czytać.)
Słyszę tentent — to Kordjan! — więc okno otworzę —
Nic, możebym za zbytnią troskliwość wydała. —
Co? nikt drzwi nie odmyka?
(Otwiera okno.)
Boże! wielki Boże!
Koń przeleciał bez jeźdzca. — Co to jest? drżę cała!
(Dzwoni, panna pokojowa wchodzi.)
Gdzie Grzegorz?

PANNA.

Nie wiem Pani, nie siadł do wieczerzy —
Widać było, bo dzbankiem z nami się nie dzielił,
Jak Żyd płaszczem Chrystusa.

LAURA.

Szukaj go! niech bieży!

GRZEGORZ, wchodząc.

Nieszczęście! O, nieszczęście! panicz się zastrzelił! —

AKT II.

(ROK. 1828.)

WĘDROWIEC.

(Jame's Park w Londynie — wieczór. — Kordjan siedzi pod drzewem — w około łąki zielone — dalej sadzawka ocieniona drzewami, trzody — do koła parku pałace i dwie wieże Westminsteru.)

KORDJAN.

Wyspę łąk porzucono na pałaców stepy,
Uciekam tu opodal od wrącego gminu;
Lud woli pić dym węgli i zaglądać w sklepy;
A ten ogród, czarowna sielanka Londynu,

Jak ustęp złoty, w nudnym ginie poemacie.
Ludzie! wy się tym drzewom przypatrywać macie,
Jak cudom Boga, obok cudów waszej ręki.
Drzewa nie tknięte, rajskie zachowały wdzięki:
Nieraz mgły nadpłynione w kłęby czarne zwiną,
I liściowym wachlarzem na miasto obwieją.
Po sadzawkach łabędzie rozżaglone płyną —
Ludzie piaskiem paktolu węże ścieszek sieją,
A łąki flamandzkiego aksamitu puchem.
Tam miasto — zegar, ludzkim kręcący się ruchem —
A tu cisza — tu ludźmi nie kwitną ogrody,
Ale się po murawach wyperliły trzody. —
Był wiek, żem ja w dziecinnych marzeniach budował
Wszystkie stolice ziemskie, dziś je widzę różne;
Alem pierwszych obrazów w myśli nie zepsował,
Są dziś porównań celem, jak księgi podróżne.
Rzeczywistości naga wynagródź marzenie!
Obym się sam ocenił, skoro świat ocenię! —
Kto wie? może w szczęśliwych grono mię powoła —
— — — — — — — — — — — — —
Chciałbym bliznę Kaima zmazać z mego czoła —
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada. —

(Zbliża się dozorca ogrodu, biorący opłatę za krzesła.)

DOZORCA.

Panie mój! pens za krzesło! —

(Kordjan daje szyling i nie przyjmuje reszty.)

Pan mój jak lord płaci
A jak Lord siąść nie umie!

KORDJAN.

Jakże więc Lord siada?

DOZORCA.

Na trzech krzesłach zarazem siadają magnaci,
Na jednem Lord się kładzie, a na drugim nogi,
A na trzecim kapelusz, to trzech pensów summa

KORDJAN.

Dziękuję bracie! będę korzystał z przestrogi.

DOZORCA.

Szlachetny to jest zwyczaj, żyzna ludziom duma,
Lękam się by go nowa reforma nie zniosła.

(Ściemnia się.)

KORDJAN.

Tam, gdzie gęstemi drzewy sadzawka zarosła,
Jakiś człowiek samotny jak cień się przesuwa;
Patrzy na księżyc, wzdycha — to miłośnik czuły,
Zapewne wielkie serce smutkami zatruwa;
Może mu się marzenia złotym wątkiem snuły,
I przerwały się nagle — od świata ucieka.
Chciałbym go poznać. — Bracie, znasz tego człowieka?

DOZORCA.

To pewien dłużnik, bankrut, potępion wyrokiem.

KORDJAN.

Dla czegoż nie w więzieniu duma, lecz w ogrodzie?

DOZORCA.

Prawo w domy nie wchodzi po słońca zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik za dnia sypia, a chodzi po nocy.
Myślałem że pan także przy Boga pomocy
Mijasz się z prawem.

KORDJAN.

Nędzny! —

DOZORCA.

Pan jakby Lord płaci.
Mam honor mu polecić siebie, moich braci —
Jeden, jak ja, przedaje krzesła w parlamencie,
Drugi, jak ja, przedaje groby w Westminsterze;
Trzeci robi na przedaż herbowe pieczęcie,
Na każdej ryje łokieć, szalki i dwie wieże,
Podobne kształtem do wież dłużników więzienia.
Czwartego lud nazywa Garrikiem tragicznym;
Prawdziwie małpi talent wziął od urodzenia,
I Punsza bohatera przed tłumem ulicznym
Pokazuje — przez Punsza usta opowiada
Jak zabił żonę, dziecię wyrzucał przez okno,

Obwiesił kata, wreszcie w szpony djabła wpada;
A gdy go djabeł porwie, widze we łzach mokną. —

(Kordjan odchodzi.)

(Dover. Kordjan siedzi na białej kredowej skale nad morzem, czyta Szekspira — wyjątek z tragedji pod tytułem: Król Lear. -)

KORDJAN, czyta.

«Chodź! oto szczyt, stój cicho! — Zakręci się w głowie,
Gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe z pod nogi —
Wrony przelatujące w otchłani połowie
Mało większe od żuków — a tam na pół drogi
Czepia się ktoś — chwast zbiera — z ciężkiej żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy.
A owi, co się snują po brzegu rybacy
Wydają się jak mrówki. — Okręt trój-masztowy
Spoczywający w porcie, widać stąd bez żagli,
Łupinę tylko, mniejszą od węzła kotwicy —
A szum huczącej fali, którą wicher nagli,
I pokłada na brzegów skalistej granicy;
War piany i kamieni, równy głośnej burzy,
Ucha tu nie dochodzi. — O! nie patrzę dłużej,
Bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy.» —

(Przestaje czytać.)

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę,
Większą od góry którą Bóg postawił!
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,
I patrzeć na świat oczyma twojemi.

(Wstaje.)

Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia. Ciężka praca! —

(Odchodzi.)

(Willa włoska — pokój cały zwierciadłami wybity — kobierce — wazony rżnięte z lawy, pełne kwiatów. — Przez okna widać piękną okolicę. — Kordjan i Wioletta, młoda i piękna Włoszka.)

KORDJAN.

Duszo! niechaj ci włosy na czole rozgarnę!
Weź mię w twoje ramiona, roskoszą odkwitnę.
Patrz na mnie! Twoje oczy, jasne, skrzące, czarne,
Białka oczu jak perły śnieżysto błękitne.
Gdy rzucarz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję —
Tak na przesłodkiej róży mrą złote motyle,
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję!
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

WIOLETTA.

Puść mię! omdlewam.

KORDJAN.

Luba! gdy padasz omdlona
Odpychając mię falą kołysaną łona
Wtenczas gdy z rozkwitłego na pół ust koralu,
Płomień z niewysłowionym wybłyska wyrazem,
W którym miłość złączyła wszystkie głosy razem —
Dźwięk strun urwanych, wstydu głos, i skargę żalu,
Jęk, śmiech dziecka, westchnienie — wtenczas moja droga,
Ty mię kochasz — —

WIOLETTA.

Nad życie, Wszak Lorda i Boga
Porzuciłam dla ciebie, czyż wątpisz szalony?

KORDJAN.

Wierzę! na koralowych ustach zawieszony
Jako motyl na róży. Twoja szyja płonie,
A perły takie zimne na płomiennem łonie?
Rozerwij perły — czekaj rozgryzę nić! —

WIOLETTA.

Szkoda! —

KORDJAN.

Perły po twoich piersiach leją się jak woda;
Boisz się łaskotania pereł moja miła?
Drżysz jak liść. — Czy mię kochasz? —

WIOLETTA.

Jam stokroć mówiła
Żeś mi droższy niż życie; wiszę u twej szaty
Jak kropla rosy, strząśniesz? rosprysnę się cała.

KORDJAN, coraz zimniej, i z większem zamyśleniem.

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty —
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jej nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

WIOLETTA.

Wyrzut dla płci naszej srogi!
Niezasłużony wiernem sercem Wioletty. —

KORDJAN.

Luba! gdzieś na północy stał zamek wiekowy —
Herby pradziadów moich świeciły na bramie,
W salach, portrety dziadów w ozłoconej ramie
Patrzały na mnie; dzisiaj wzrok ojców surowy
Aż tu, do włoskiej willi, ściga za mną, goni.
Bo zamek ojców moich stopiłem na złoto,
A z tego złota nosisz przepaskę na skroni.

WIOLETTA.

Luby! zatruwasz serce niewczesną zgryzotą.

KORDJAN.

Droga! gdybym pałace mógł nazad odzyskać
Jedną łzą twoją, nie chcę byś onę wylała.
Luba! tobie przystoi brylantami błyskać —
Jak droga mleczna, światów milionem biała.
Chciałbym w tej pięknej willi przeżyć z tobą wieki,
Wśród laurów, wodospadów, róż, bronzów, zwierciadeł;
A kto wie? jutro może otworzysz powieki
I spojrzysz w lice nędzy, najsroższej z widziadeł. —
Przekleństwo! jam utracił wszystko!

WIOLETTA.

Mio caro
Co się to znaczy?

KORDJAN.

U drzwi stoją wierzyciele!

Lecz bogactwo w miłości znikomą jest marą,
Dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę.

WIOLETTA.

Ach brylanty — gdzie klucze? —

KORDJAN.

Stój! stój moje życie!
Wczoraj, aby opóźnić majątku rozbicie,
Z twojemi brylantami siadłem do gry stoła:
Gra mi wszystko pożarła, — Lecz serce anioła! —

WIOLETTA, ze łzami i gniewem.

Ach! ach! ja nieszczęśliwa! zabrał mi klejnoty!

KORDJAN.

Zabijasz mię kochanko niewczesnemi łzami —
Serce twoje przekładam nad wszelki dar złoty!

WIOLETTA.

Przegrałeś moje serce razem z klejnotami!!
Nędza! nędza mię czeka! —

KORDJAN.

Mnie zaś koń mój czeka.

WIOLETTA.

Jedź z djabłem! —

KORDJAN.

Droga moja nie nazbyt daleka,
Koń ma złote podkowy, tysiąc czątych warte;
Wygrałem je był wczoraj na ostatnią kartę,
Przed wierzycieli okiem w podkowach uniosę.
Przez noc całą galopem popędzę przez błonia,
Złotemi kopytami srebrną bijąc rosę.
Potem, w najbliższem mieście każę rozkuć konia,
I za cztery podkowy, uczt wyprawię cztery;
A potem jako czynią modne bohatery,
W łeb sobie strzelę. — Panią na uczty śmiem prosić.
A jeśli po kochanku chcesz żałobę nosić,
Upewniam, że ci będzie do twarzy z żałobą —
Pani! czy jedziesz ze mną —

WIOLETTA, po chwili.

Luby! jadę z tobą. —

(Wychodzą.)

(Droga publiczna. Kordjan na koniu, za nim Wioletta — przelatują cwałem — koń ślizga się i pada, Kordjan zsadza z konia Wiolettę.)

WIOLETTA.

Cóż to?

KORDJAN.

Nic — koń rozkuty upadł.

WIOLETTA.

Koń rozkuty?

KORDJAN.

To nic. — Kazałem słabo przybić mu podkowy,
Nie przybić, raczej związać spruchniałemi druty,
Zgubił je przy wyjeździe —

WIOLETTA, z gniewem.

Wężu Adamowy!

KORDJAN.

Ewo moja! Adama zastąpią ci drudzy,
A ja cieszę się z serca, że gdzieś moi słudzy,
Wygnani z Willi, z czołem spuszczonem ku ziemi,
Pójdą tą samą drogą, za ślady mojemi,
I będą zbierać złoto, tam gdzie łzy upadną.

WIOLETTA

Niech ludzie z pistoletów kule ci wykradną!
Niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie! —

(Odbiega drogą — Kordjan siada na konia i patrzy na nią z uśmiechem wzgardy.)

KORDJAN.

Prawdziwie ta kobieta kocha mię szalenie,
Poszła, szukając śladów kochanka po drodze —
Dalej mój koniu! leć gdzie zechcesz! puszczam wodze. —

(Odjeżdża.)

(Sala aflamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach; koło niego na złotym trójnogu tiara, a na tiarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar odmykając drzwi dla wchodzącego Kordjana, krzyczy głośno.)

SZWAJCAR.

Graf Kordjan, Polak!

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich,

(Wyciąga nogę — Kordjan przyklęka i całuje.)

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy —
Bo Cesarz jako aniół z gałązką oliwy,
Dla katolickiej wiary chęci chowa szczere.
Powinniśmy hosanna śpiewać —!

PAPUGA, cienko i chrapliwie.

Miserere!!!

KORDJAN.

W darze niosę ci Ojcze relikwię świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto:
Dziatek, starców i niewiast. Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem eucharistji:
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jedną łzę —

PAPUGA.

Lacryma Christi. —

PAPIEŻ, z uśmiechem do papugi machając chustką.

Precz Luterku! precz mówię. — Cóż, synu Polonie
Byłeś że w Piotra gmachu? w Cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w Chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki —
Dej mi go przysłał Fezki. — Jutro z majestatu
Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz jak całe ludy korne, krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą Cara i wierzą. —

KORDJAN.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi.
Cóż powiem? —

PAPUGA.

De profundis, clamavi! clamavi

PAPIEŻ, zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę.

Precz szatanku! Z tiary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie — o mało nie powiem,
Że w niej zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków «ergo, ponieważ, albowiem.»
Raz za firanką skryta, wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem dataryi bióra.
Rozumiał że mu doktor jakiś, tęgo kuty,

Odpowiadał na kwestje — ona trzęsła pióra,
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem;
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe.
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: «Pappè satan! pappè satan! aleppè.» —
Głupie stworzeńko! — Tak to czasem Bóg pozwala,
Że słaby, Goliatów rozumy obala. —
No mój Synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród,
Wygubi w sobie ogniów jakubińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy. —

KORDJAN, rzucając na powietrze garść ziemi.

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanemi usty do kraju powrócę. —

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę!
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja,
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alelluja! —

(Kordjan odchodzi.)

(Kordjan sam, z założonemi na piersiach rękoma, stoi na najwyższej igle góry Mont-Blanc.)

KORDJAN.

Tu szczyt — lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę. — Ach! pod stopami niebo i nad głową
Niebo. — Zamknięty jestem w kulę kryształową!
Gdyby ta igła lodu popłynęła za mną
Wyżej — aż w niebo — nie czułbym ze płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszej! słuchajmy — o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie dalej.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza by tchnieniem rozbity

Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznajomą uciekną krainę;
I znikną jakby ich nigdy nie było —
Sprobuję — westchnę i zginę. —
(Patrzy w dół.)
Ha! przypominasz mi się narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodu wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry,
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniej wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę,
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam koło jednej igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach;
A odemnie błękitna płynie szczelin rzeka —
Każda w jedną otchłań zlata,
I nikną jak w morza wodach —
— — — — — — — —
Jam jest posąg człowieka na posągu świata!
— — — — — — — — —
O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną!
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie módz? w szmaty podrę łono!
Nie módz? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż ruszyć lawiny? potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?
Mogęż jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnej dłoni zamachem,

Rzucać gwiazdy nad świata zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia,
Nie napotkały nigdy kruchej świata gliny,
I nie strzaskały w żegludze? —
Mogę — więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

(Po chwili — z wyrazem zniechęcenia.)

Może lepiej się rzucić w lodowe szczeliny? —

(Po chwili — zrazu spokojnie, potem z zapałem)

Uczucia po światowych opadały drogach —
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem. —
Wiara dziecinna padła na papieskich progach —
Nic — nic — nic — aż w powietrza błękicie
Skąpałem się — i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę,
W błękicie nieba sfer, ciało roztopię tak,
Że jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potem, piękny jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiądz,
Że to na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk, narodów uczucia rozszerzy,
I natchnie lud:
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud. —
— — — — — — —
Nie — myśli wielkiej trzeba z ziemi, lub błękitu.
Spojrzałem ze skały szczytu
Duch rycerza powstał z lodów —
Winkelryd dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył! —
Ludy! Winkelryd ożył!
Polska Winkelrydem narodów!
Poświęci się, choć padnie jak dawniej — jak nieraz! —
Nieście mię chmury! nieście wiatry! nieście ptacy! —

(Chmura znosi go z igły lodu.)

CHMURA.

Siadaj w mgłę — niosęć. — Oto Polska — działaj teraz. —

KORDJAN, rzucając się na rodzinną ziemię, z wyciągniętemi rękoma woła:

Polacy!!!

AKT III.

SPISEK KORONACYJNY.

SCENA I.

Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie; okna dokolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. — Wielkie rusztowanie czerwonem suknem nakryte, zalega większą część placu — na niem siedzą rzędami przystrojone kobiety. — Najbliżej widza kolumna Zygmunta; na podstawie lud zasiadł. — Ludzie różnego stanu stoją do koła i patrząc na zamek i rozmawiają.

PIERWSZY Z LUDU.

No! patrzaj panie kumie co przed zamkiem stoi —
To Car nasz miłościwy kazał stawić w nocy,
Te wielkie rusztowanie — jeśli naród zbroi,
To będą ścinać głowy —

DRUGI Z LUDU.

Waść rzucasz jak z procy
Niepomyślane baje — na te rusztowanie,
Wchodzą wielmożni nasi i wielmożne panie,
Co na tę koronację chcą patrzeć z wysoka. —

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Kwiatem dam się pokrywa estrada szeroka.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Estrada! jakie słowo — ja przyswoić wolę
Wyraz wschodowidownia.

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Zgoda mój purysto.
Lecz patrzaj: pióra, kwiaty, tiule, parasole,

To istna łąka — Chciałbym zostać ziemną glistą,
I chodzić po tych kwiatach.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Wolisz zostać Carem,
I chodzić po tych głowach.

SZEWC.

Uf! jak duszno! tłumnie!
Siła miejsca ubyło z grubym piwowarem,
Odkąd się przy Zygmunta zatoczył kolumnie —

SZLACHCIC.

Toć ten sam, który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
Za jakieś przewinienie z woli księcia pana!
Tak wychudł biedak wówczas i tak się wygłodził,
Że jak mówią, aż własne obaczył kolana,
i łzami się rozpłakał.

SZEWC.

Któż mu tu przyjść radził?
Wstyd mu biją te kotły i wstydem gra trąba!
Chyba żywot kulami i siarką nasadził,
I chce się u nóg Cara rosprysnąć jak bomba.

SZLACHCIC.

Ten szewc pojął honoru i zemsty prawidła.
Prawidła — Mój kalambur upadł — o, lud głupi!
Nie podjął kalamburu! O zgrajo przebrzydła!
Kto twoje berło kupi, kij pastucha kupi —

SZEWC.

Cha! cha! cha! jak się szlachcic czerwony jendyczy! —

PIERWSZY Z LUDU.

Cicho! słuchajcie — oto pierwszy szereg krzyczy,
Cesarz przechodzi — krzyczmy —

KILKU Z LUDU.

Niech żyje! niech żyje!

PIERWSZY Z LUDU,

Nic nie widać. — Chorągiew z wiatrami się bije
I posuwa się zwolna —

DRUGI Z LUDU.

Idzie jakiś starzec.

Siwy cały — oh, siwy jak srebrzysty marzec —
Niesie złotą poduszkę, na niej szabla leży —

ŻOŁNIERZ.

Oj dobrze Cesarzowi, że polskie szablice
Śpią sobie na poduszkach —

PIERWSZY Z LUDU.

Wielki Książę bieży,
I nakazał gardłowej przegrywać muzyce.
(Słychać śpiew na nótę «God save the king.»)

ŻOŁNIERZ.

Ha! ha! dmą sobie ludzie w gardła jak w oboje.

PIERWSZY Z LUDU.

Sypnęły się zielone szambelanów roje,
Pożółciałe haftami, niby pszczoły z ula —
Ha, idzie —

KILKU Z LUDU.

Kto?

PIERWSZY Z LUDU.

Król.

ŻOŁNIERZ, śpiewa,

Boże pochowaj nam króla!

SZEWC.

Nie w takt śpiewasz i nie w sens —

ŻOŁNIERZ.

Ha, nie moja wina —
Pod Maciejowicami ogłuchłem od kuli,
I przyznam się, że nie znam jak w marjaszu króli;
Gdy się z nimi kozerna połączy dziewczyna,
To sobie ze czterdziestu choć na dyszlu walę —

SZEWC.

Ciszej-no! Waść o królach gadasz tak zuchwale,
Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić,
Wierz mi Waść — co masz gadać, to wolałbyś broić,
A kiedy nie masz dratwy, to dziur nie kól szydłem —

KILKU Z LUDU.

Ha! ha! ha:

PIERWSZY Z LUDU.

To go wstrzymał skórzanem wędzidłem!

GARBATY ELEGANT.

Pozwólcie też panowie spojrzeć człowiekowi —

KILKU Z LUDU.

Garbuś! garbuś! ustąpcie miejca garbusiowi —
Wsadzić go na ramiona —

SZEWC.

Zgodziłby się mały!
Wszak o nim historja świat obiega cały — —
Wracając nocą, nie mógł rynsztoka przeskoczyć!
Sajetowego sukna nie chciało się zmoczyć.
Czeka — — Aż tu przechodzi drogą pozytywek,
Więc w prośby, by go ludzie zanieśli do domu,
Zgodzili się, na skrzyni konno usiadł krzywek;
Gdy go tam przywiązali jak garść suchą łomu,
Nuż korbą kręcić, różne muzyki wygrywać,
I do szynków zachodzić — musiał biedak śpiewać,
A nie śpiewać: tu ludziom grać jak z dobrej woli —

KILKU Z LUDU.

Ha! ha! ha!

ŻOŁNIERZ.

Ze starego śmiejcie się żołnierza,
Lecz wara z ułomnego przedrwiwać niedoli.
Gdzie on —

PIERWSZY Z LUDU.

At, w inną stronę poszła sobie wieża —

DRUGI Z LUDU.

Car przeszedł, a my wszyscy patrzali jak głupce
Na garb i nie widzieli Cara —

PIERWSZY Z LUDU.

Wielka szkoda!
Idźmy lepiej po bruku wybijać hołupce —
Mówią że z beczek wino leje się jak woda.

(Lud się rozchodzi.)

SCENA II.

(Wnętrze kościoła katedralnego — ołtarz wielki rzęsisto oświecony. — Prymas z bogato przybraną asystencją odprawia mszę. — Muzyka. — Cesarz stoi pod szkarłatnym baldachimem; na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jenerałowie moskiewscy. — Prymas lud żegna, i przystępując do Cesarza podaje mu koronę; Cesarz kładzie ją na głowę — Kanclerz podaje na wezgłowiu miecz państwa. Cesarz robi znak krzyża na cztery strony świata. Prymas podaje księgę konstytucyjną.)

CESARZ, kładąc rękę na księdze.

Przysięgam! —

(Znów cisza głęboka.— Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm «Te Deum.»)

SCENA III.

(Plac przed zamkiem i lud jak w scenie pierwszej; muzyka gra pieśń «God save the king.» Boże zachowaj nam króla.)

PIERWSZY Z LUDU.

Car się ukoronował — wychodzi z kościoła —
Poprzysiągł konstytucję święcić jak pacierze.

DRUGI Z LUDU.

Wróciwszy, pewnie w zamku zasiądzie do stoła?
Choć królem to jeść musi jak i każde zwierzę.

SZLACHCIC.

A wiecież co jeść będzie?

DRUGI Z LUDU.

A proszę Waszmości?
Toć zapewne nie będzie ogryzał tam kości;
Toż królowi na pokarm dostateczny stawa.

SZLACHCIC.

Będzie zjadał bażanty, a na wety prawa.

SZEWC.

Waćpan musisz zagadki dawać do kurjera.
Co to za krzyk?

PIERWSZY Z LUDU.

Zapewne żandarm tłum przeciera.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

O! nie, to się sam książę wdał z babami w boje.

GŁOS KOBIECY w dali.

Dziecię moje! o! dziecię! dziecię! dziecię moje!

PIERWSZY Z LUDU do stojącego na kolumnie.

Cóż to za krzyk? Waszmości czoło aż pobladło.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Książę uderzył starą kobietę z dziecięciem —
Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.
Zbiegł się tłum — teraz cały ucieka przed księciem —
I tylko widać starą nad dzieckiem kobietę —
Ciałem dziecię zakrywa. — To odwaga rzadka!

GŁOS DALEKI.

Dziecko zabite —

GŁOS BLIŻSZY.

Dziecko zabite —

STOJĄCY NA KOLUMNIE, do dalszych.

Zabite —

LUD.

A matka? —

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Kto wie czy to matka.

LUD.

O! to matka!
Inna by już uciekła! — Co się tam z nią stało? —

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Czekajcie! Dwóch żandarmów niebogę porwało —
Zamietli przed Cesarzem krwią polane bruki —

(Lud częścią się rozchodzi ponury. — Orszak koronacyjny powraca do zamku. — Lud przerzedzony milczy — muzyka gra — ściemnia się. Lud rzuca się na sukno pokrywające estradę.)

LUD.

To dla nas sukno! dla nas! rozerwać je w sztuki —

(Ściemnia się coraz bardziej. — Ludzie rozerwali sukno, i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek czarnym płaszczem okryty mięsza się między nich — i śpiewa.)

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie że tu cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.
Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę zmienił w wino,

Gdyby weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie —
(Głośniej.)
A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino zmienił w krew —
Jutro błyśnie jutrznia wiary!
Pijcie wino! idźcie spać!
My weźniemy win puhary,
By je w szklanny sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię,
W piersi wbije i załamie —
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!
(Pieśń ustaje— nieznajomy odchodzi.

PIERWSZY Z LUDU.

Kto tu śpiewał?

DRUGI Z LUDU.

Śpiew huczał we mnie i podemną —

TRZECI Z LUDU.

Idźmy do domu. — Jest coś strasznego — tak ciemno —

SCENA IV.

Loch podziemny w kościele St. Jana; w koło trumny Królów Polskich; w głębi mały ołtarz. Przed ołtarzem stół okrągły — jedna lampa, i krzesło. Prezes spisku sam jeden siedzi za stołem — w czarnej masce i z siwemi jak śnieg włosami. — Widać wschody prowadzące do korytarzów kościelnych; na wschodach szyldwach widny do połowy.)

PREZES, sam.

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem —
Działali — w dziejach jak na jasnem niebie
Nigdzie czerwone nie padały plamy. —
Gdybyście króle z trumien dziś powstali,
Ludzie by krzyczeli: O znami was! znamy!
Starzec nam o was mówił, żeście biali
Jako Anieli — tak nam starzec prawił.

Jażbym tron nieskalany Polaków zakrwawił?
Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalonej młodzieży sztyletami władam —
Mam sto rąk, sto sztyletów — gdy chcę sto ran zadam;
Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumienie
Ma bystre oczy, widzę że światło zgasło.
Lepiej przy Waszyngtonie było umrzeć. —

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy!

(Schodzi do lochu zamaskowany w ubiorze księdza.)

KSIĄDZ.

Prezes wszystkich nas ubiegłeś.

PREZES.

Nie dziw się że mię w grobach pierwszego spostrzegłeś —
Starość mię prowadziła.

KSIĄDZ.

Powiedz mi prezesie,
Jak się to skończy?

PREZES.

Nie wiem.

KSIĄDZ.

Burza nie rozniesie —
Sztyletów tak jak liści. — Byle się udało!

PREZES.

Pomnij! że nosisz szatę Zbawiciela białą —
Splamisz ją.

KSIĄDZ.

Głos twój drżący —

PREZES.

Zimno mi i ciemno —

KSIĄDZ.

A mnie krew pali —

PREZES.

Boże! zmiłuj się nademną —
Księże! powiedz mi, wiele lat masz?

KSIĄDZ.

Pięćdziesiąty —

PREZES.

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty —
I biłem się za wolność —

KSIĄDZ.

Cóż stąd?

PREZES.

Nic — wspomnienie.

KSIĄDZ.

Zachwiałeś duszę moję, zbudziłeś sumienie —
Cóż rozkażesz? co robić?

PREZES, z zapałem.

Wstrzymaj ich na Boga!
Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi progu,
Niech spisek z czarną twarzą na twarz nie wychodzi,
Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
Bo mogę wezwać prochy królów za obrońce.
Jam niegdyś z piersi moich lał poety pienia —
Dziś bym je chętnie wydarł z kart wiekowej sławy!
I spaliłbym je w ogniu, gdyby z ich płomienia
Myśl wydobyć głośniejszą nad młodzieńcze wrzawy —
Myśl łamiącą sztylety.

KSIĄDZ.

Źle począłeś sobie!
Oni tu miecze jasne wyostrzą na grobie.

PREZES.

Na grobie królów naszych? O hańba! o wstydzie!
Ostrzyć miecz królobójczy? sztylety?

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy droga.

(Schodzi zamaskowany Podchorąży.)

PREZES, do Księdza cicho.

Wesprzyj mię Biskupie.

KSIĄDZ.

Poznany jestem. — Maski zdradzają nas trupie.

PODCHORĄŻY.

Ile się w trumnach królów robactwa wypasło?
Chciałbym podnieść te wieka, zajrzeć w prochy —

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried —

(Schodzi zamaskowany pierwszy z ludu)

PIERWSZY Z LUDU.

Ha, prezesa głowa chociaż stara,
Dobre obrała miejsce. — Bo kościół otwarty
Na czterdziesto-godzinne pacierze za Cara,
A przy bramie kościelnej stoją szpiegów warty,
I spisują pochwały dla człeka, co wchodzi
Pomodlić się za Cara! — Więc to nic nie szkodzi —
Można jednem krzesiwem dwie hupki zapalić.
Będzie nas i kraj kochać, i szpieg carski chwalić.

SZYLDWACH.

Kto idzie? Ludzie, kto wy? Hasło! —

GŁOSY.

Winkelriedy

(Schodzi wielu maskowych różnego stanu.)

PIERWSZY Z LUDU.

Co to znaczy Winkelried —

DRUGI Z LUDU.

Jakieś słowo czarów.

PODCHORĄŻY.

Był to niegdyś dowódzca u wolnych Szwajcarów.
Śród walki, w obie dłonie zgarnął wrogów dzidy,
I wbił we własne serce i drogę rozgrodził,

PIERWSZY Z LUDU.

Toby się dziś ów rycerz z nami zgodził!

PREZES.

Cicho! módlcie się raczej! miejsce nie do gwarów,
Zeszliśmy się w grobowce składać sąd na Carów —
Patrzcie więc w serca wasze! patrzcie w serca wasze!
Aby je wiecznej ludów nie przedać ochydzie.

Niech nas Bóg wieńcem prawdy gwiaździstej opasze,
Niech Anioł cichy zejdzie pośród nas —

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried —

(Tu słychać ciągle głos szyldwacha i odpowiadanie spiskowych. Ludzie różnego ubioru, zamaskowani, schodzą po szczeblach i siadają w milczeniu na ławach. — Głosy szyldwacha coraz rzadsze, ustają zupełnie — cisza głęboka — Zegar na wieży kościelnej bije zwolna godzinę dziesiątą.)

PREZES.

Bracia! w imię Boga sąd otwarty!

(Chwila milczenia.)

PIERWSZY Z LUDU.

W imię Boga sztyletem piszę zemsty słowo —

DRUGI Z SPISKOWYCH.

W imię Boga ja drugi.

INNY.

Ja trzeci.

INNY.

Ja czwarty —

PREZES.

Ludzie! stoję przed wami z osiwiałą głową!
I powiadam: czekajcie! Moje oczy stare
Widziały wielkich mężów, i mówię wam święcie,
Żeście wy nie podobni do nich! Jeśli wiarę
Boga chowacie w sercu? na Boga zaklęcie
Wzywam was ludzie: stójcie! i sztylety wasze
Zamieńcie na święcone w kościołach pałasze —
A kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony
Tak, że odgłosem królów zachwieją się trony,
Jak drzewa podrąbane —

PODCHORĄŻY.

W przeszłość patrzę ciemną —
I widzę cień kobiety w żałobie — kto ona?
Patrzę w przyszłość — i widzę tysiąc gwiazd przedemną,
A cień przeszłości ku nim wyciąga ramiona;
Te gwiazdy to sztylety. — Kraj nasz dawny widzę.
Mądrość rządców na starem zaszczepiła drzewie

Kraj młody — oba kwitły na jednej łodydze,
Jako dwie róże; barwą różne w jednym krzewie.
Jak dwaj równi rycerze w jednakowej zbroi,
Chodzili pierś przy piersi z wrogiem staczać bitwy —
Jako dwie w łonie Boga tonące modlitwy,
Jedną natchnięte myślą — jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jednych ulów ściany. —
Onego czasu! wielkie południa Tytany
Powstali przeciw Bogu — królom i niewoli.
Bóg uśmiechnął się tylko na tronie szafirów,
Lecz króle padli nakształt zrąbanej topoli!
Gilotyna, okryta łachmanami kirów,
Niezmordowaną ręką wahała stalową,
A ilokroć skinęła, tłum umniejszał głową.
I widzieli ją króle, bo ta gilotyna
Była tragedją ludu, a króle widzami.
Więc zemsta! Nierządnica i Car-Katarzyna,
Zabijające oko trzymała nad nami;
Osądziła nas wartych męczeńskiego wieńca —
Wymyśliła męczeństwo. — Wziąwszy czaszkę, spadłą,
Z Burgońskiego tułowu — krwawą i pobladłą,
Wsadziła ją na tułów swego oblubieńca,
I dała nam za króla — króla z trupią głową.
Potem z pod niego kradła dziedzinę grobową;
A on ręką nie ruszył! i nie stało kiru
Na szatę matki naszej, więc w troje pocięto.
A dziś? — Zapytaj Mewy lecącej z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto?
A ilu przedzierzgniono w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupem powiązano —
Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł Carowi;
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa! — Mściciele! spiskowi!
Gdy Car wkładał koronę u stopni ołtarza,
Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić
I pogrzebać w kościele i kościół wykadzić,
Jak od dżumy tureckiej i drzwi zamurować,
I rzec: o Boże racz się nad grzesznym zmiłować!

GŁOS Z TŁUMU.

Car —

STARZEC.

To jedno —

GŁOS.

Carowa żona.

STARZEC.

Drugie —

GŁOS.

I dwóch braci —

STARZEC.

Cztery. — Licz dalej bracie, bo się liczba straci —

GŁOS.

Syn Cara —

STARZEC.

Piąte —

GŁOS.

I już wszyscy.

STARZEC.

Zabijajcie!!!

A krew niech na mnie spada —

PREZES.

Masz włos biały starcze!

STARZEC.

Do ciebie nic nie mówię — — Spiskowi słuchajcie!
Jeśli krwi ciężarowi jeden nie wystarczę,
Syny moje i córki za was się poświęcą.
Krew dziecka i kobiety sam wezmę — książęcą
Syny wezmą. — Dwom córkom nieszczęsnym na głowy,
Na dwie — bo słabe — rzucę lekką krew Cesarza.
A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem, obok jakiego mocarza,
Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi;
I powiem: Boże! Boże! — Patrz! otośmy krwawi! —
Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskim padole —
A teraz się na twoją opuszczamy wolę — —

PODCHORĄŻY.

O! błogosław mi starcze! —

KSIĄDZ.

On Bogu ubliża.
Sprawiedliwości boskiej —

PODCHORĄŻY.

Milcz księże! milcz księże!
Myśli w niebo lecącej twój wzrok nie dosięże —
Więc oto jest ogromna poświęceń nauka!
Mnie samego ten starzec nową natchnął wiarą.
Chyba was po tych słowach sam szatan oszuka,
Chybam ja Boga jakąś obciążony karą.
Jeśli wyrazy sieje jak kwiat bezowocny! —
Wierzcie mi! wierzcie ludzie! jam jest wielki, mocny.
Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem —
Robak smutku mię gryzie — tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami;
Lecz ten smutek — to żałość dziecinna, po niczem —
Może po kraju. — Ludzie! wierzyć powinniście
Człowiekowi co cierpi — nie siadać pod drzewem,
Któremu wiek spruchniałe poobrywał liście —

(Z rozpaczą.)

O gdyby lutni! ja bym was poruszył śpiewem!
Gdyby historji księga! przeczytałbym kartę,
O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa —
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte —
Rzucające mścicieli. — Mnie zapał rozrywa;
Zdaje mi się że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje! —
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden. — A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem —
Ja się w chwili ofiarnej jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spalonem,
Tylko echo — i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne —
Pochwalą, a zapłacą tylko zapomnieniem,
Nic! nic po mnie! Lecz imię ON, i tem imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć.

Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu co zrywa korony — —
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony —
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi w ręce, zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego. — Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce;
Póki długiej wolności nie zaszczepię wieki,
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża!
Lękacie się? Więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus obcięte powieki —
Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący —
Nie zgubi was. — Przysięgam na Ojcowskie cienie!
I na mękę Chrystusa! — Przysięgam, że wiara
Mówi wam: Wy jesteście krainy sumienie —
Zburzcie się — i z dusz waszych odrzućcie grzech Cara.
I przysięgam wam jeszcze, że przysiągłem szczerze!
Ja chcę zbawienia duszy mojej! jak w nią wierzę!
Tak dajcie mi się w ręce —

PREZES.

O! głos mi zastyga
Nie mogę mówić —

(Siada i płaszczem twarz zakrywa.)

PODCHORĄŻY.

Starcze! zapał cię prześciga?
Oto pierwsze zwycięstwo — pokonam! lub zginę! —
Ha! Carze! ty nam polską ukradłeś krainę?
Za to śmierć! bo wiedziałeś, kradnąc, że wart śmierci —
Ha! Carze! tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci —
Potem kawały spadłe z gilotyny ścienic,
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardnie królewscy zbrodniarze!
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O carze!
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapozywam —

(Słychać szmer w tłumie — podnoszą sztylety — wstają z ław.)

PREZES, zrzuca płaszcz z głowy. — Wstaje i robi znak umywania rąk, potem mówi zwolna i poważnie.

Róbcie jak chcecie — lecz ja ręce z krwi umywam.

PODCHORĄŻY, do spiskowych.

A wy? —

(Milczenie długie.)

SZYLDWACH przy wejściu.

Kto idzie? hasło?

(Milczenie.)

SPISKOWI.

Zginęliśmy! zdrada!

PODCHORĄŻY.

Ciszej —

(Słychać odgłos padającego człowieka.)

SZYLDWACH.

Nie wiedział hasła —

PIERWSZY SPISKOWY.

Trup po schodach spada.

PODCHORĄŻY.

Nie drżyj Prezesie! wszakże z krwi umyłeś dłonie?

(Zbliża się z lampą do trupa.)

Dajcie mi lampę — sztylet w zabitego łonie —
Na piersiach jakiś papier pomięty, rozdarty —
Tak — jest to zdanie sprawy ze szpiegowskiej warty.
To szpieg. — Więc go zakopać tam, w kącie ciemnicy

(Dwóch ze spiskowych unoszą w kąt trupa, zapalają dwie latarnie — i grób kopią.)

PREZES.

Rozchodźmy się ze schadzki — drugiej nie naznaczam.

PODCHORĄŻY.

Starcze! umiesz korzystać z losu błyskawicy?
Z marnego przerażenia? Lecz ja nie rospaczam!
Każdy z osobna Cara osądzi zbrodniarza —
Rozłam myśli na głosów pojedyńcze wota,
A zobaczymy — zapał, trwoga li przeważa?

PREZES.

Niech tak będzie — przeważy staropolska cnota
Czemże będziem głosować? —

KSIĄDZ.

Radzi sługa boży,

Kto jest za śmiercią Cara, rzuci na stół kulę,
Kto za uniewinnieniem, niechaj grosz położy —
Ten grosz znajdzie się zawsze w ubogich szkatule —
(Rzuca pieniądz — za nim Prezes pieniądz kładzie, potem spiskowi kolejno rzucają z brzękiem kule lub pieniądze.)

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Za Prezesa przykładem niechaj grosz utracę.

INNY.

Nie mam grosza przy duszy, a więc kulę kładę.
Niech żyje wolność!

INNY.

A ja grosza nie zapłacę
Za Cara życie —

INNY.

Może kupujemy zdradę?
Niech z grosiwa nasz Prezes zda sprawę; czas przyjdzie.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, do ludzi kopiących grób.

Wy, co tam grób kopiecie chodźcie, rzecz tu idzie
O to: czy grosz czy kulę rzucić.

KOPIĄCY GRÓB.

Wiemy! Wiemy!
My dla głuchego człowieka mogiłę kopiemy,
Lecz sami z łaski Boga nie głuszce.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Grosz dali!
Widać że się w grabarzy nie chcą pisać cechu —
Lękają się by Carom grobu nie kopali.
Obaczymyż, z którego wiatr powieje miechu,
I pogra na organach?
(Wszyscy koleją przeszli. — Prezes liczy.)

PREZES.

Świecić mi pochodnią —
Dzięki ci Boże! tylko pięć głosów za zbrodnią.

PODCHORĄŻY.

Więc Car zginie —

PREZES.

Młodzieńcze! pięć kul tylko padło —
Stu pięćdziesięciu przeciw zbrodni głosowało —

PODCHORĄŻY.

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło!
Na jedną kartę przyszłość postawiłem całą,
I nic. — Olbrzymi spadli ze szczudeł — to karły!
Ludzie, wartoby przejrzeć wszystkich trumien wieka,
Czy w każdej leży człowiek przed wiekiem umarły?
Czy z której trumny nie wstał ten szkielet człowieka.

(Do Prezesa.)

Starcze! gdy w twoje myśli zaglądam zgrzybiałe,
Widzę żeś ty się w inne urodził stulecie —
Po co ta maska? Ciebie nikt nie zna na świecie.

PREZES.

Wszak maski nie włożyłem na me włosy białe.

PODCHORĄŻY.

Wiecznie śpiewasz to samo. — hymn starości piejesz;
Jako bakałasz szkolny w duszę dzieci siejesz
Naukę, aby wstali przed zbielałym włosem. —
Pamiętaj, że są ludzie tknięci nieszczęść ciosem,
Ludzie z bijącem sercem, i z duszą płomienną,
Których włosy zbielały w jedną noc bezsenną;
Więc ich uszanuj — wstań przed nimi stare dziecię! —

(Do spiskowych.)

A wam wszystkim śmiem długie przepowiedzieć życie,
Boście umieli wybrać gwiazdę przewodnika.
Idźcie za srebrną głową w noc niewoli czarną —
We mnie wszystka nadzieja upada i znika;
Boście z tłumu wysiani jak największe ziarno.
A tak mali jesteście — — idźcie! gardzę wami!
Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje?
Więc na znak wzgardy, ludziom okrytym maskami
Rzucam pod nogi życie moje — i daruję —

(Zrywa maskę z twarzy.)

SPISKOWI.

To Kordjan! Kordjan! nie znasz nas Kordjanie! —
Nie ma tu zdrajcy! nie ma! Patrzaj w nasze twarze.

(Wszyscy zrywają maski. — Kordjan rzuca wzrok do koła, zamyśla się — i potem wznosząc głowę, mówi zwolna.)

KORDJAN.

Pośród szlachetnych, Kordjan zwycięscą zostanie.

Wy oblicza, on myśli i serca pokaże.
Kordjan ma wartę w zamku tej nocy — słyszycie?
Kordjan ma wartę w zamku — w nocy —

(Zbliża się do stołu; na kawałku papieru pisze słów kilka i rzuca je spiskowym.)

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, czyta.

Narodowi
Zapisuję co mogę. — Krew moją i życie
I tron do rozrządzenia próżny.

KORDJAN, opiera się o ołtarz i patrzy z obłąkaniem na milczących spiskowych — potem macha ręką i mówi; —

Precz spiskowi!

(Rozchodzą się wszyscy w milczeniu. — Kordjan stoi oparty o ołtarz, pogrążony w myślach. — Dwaj grabarze zakopali ciało i zostawiwszy na mogile palące się latarnie, odchodzą. — Prezes sądu sam zostaje i klęka u stopni ołtarza za stojącym Kordjanem.)

PREZES.

Kordjanie!

KORDJAN, obraca się i mówi z obłąkaniem coraz wzrastającem.

Któż mię budzi? czy godzina biła?
Przychodzę do pamięci — latarnie — mogiła —
Jesteś jednym z grabarzy i żądasz zapłaty?
Ha — oto masz z Najświętszą Panną dwa dukaty,
Które mi dała matka, błogosławiąc syna.
Musisz mieć dzieci? słuchaj! niech twoja rodzina
Westchnie za mną do Boga.

PREZES.

Oh! ja nie mam dzieci!

KORDJAN.

Nie masz? a włos twój biały jako srebro świeci!
Ty nic za twoje życie nie odpłacił Bogu.

PREZES.

Kordjanie! oto klęczę na ołtarza progu,
Lecz nie przed Bogiem klęczę, Kordjanie, przed tobą,
Jam cię na śmierć poświęcił, teraz walczę z sobą,
Z sumieniem — jam sąd zmroził sumieniem —

KORDJAN.

Ha! stary!
Kładziesz zbrodnię na zbrodnię: klękłeś przed zbrodniarzem.
Chodź ze mną, zajrzym w księgi i światu wykażem

Że Polska cała żadnej nie godna ofiary,
Że ja będę zbrodniarzem —

PREZES.

Na Boga, Kordjanie!
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie —

KORDJAN.

To nic starcze. — To włos mi siwieje i boli —
Włos każdy cierpi — czuję zgon każdego włosa —
To nic. — Na grobie wsadzisz dwie różczki topoli,
I różę. — Potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. — Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną. —
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie —
Ona — jak w grobie. — Więc nikt po mnie! wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym —

PREZES.

Kordjanie! oto pismo króreś dał spiskowym,
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDJAN.

Raz, dwa, trzy — broń na ramię! warta pałacowa —
Czujność — Głupie wyrazy, stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą;
Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę,
Pluń mi na siwe włosy.

(Zegar na wieży bije jedynastą.)

To z nieba wołanie.

(Wybiega. Prezes za nim wyciąga ręce.)

PREZES.

Kordjanie — stój! Na Boga zaklinam — Kordjanie!

(Wychodzi za nim.)

SCENA II.

(Sala, tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświecona lampą — w około kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami.—Widać przez drzwi otwarte na przestrzał, ciąg długi ciemnych pokoi; w około błyska słabe światło sypialnej komnaty Cara. K o r d j a n, oparty na bagnecie karabinu. Różne widma.)

KORDJAN, idąc naprzód z karabinem.

Puszczajcie mię! puszczajcie! jam Carów morderca!
Idę zabijać — ktoś mię za włos trzyma!

PRZYWIDZENIE.

Słuchaj! ja mówię oczyma.

STRACH.

Słuchaj! mówię biciem serca.

KORDJAN.

Nikogo nie ma —
Ktoś gada —

PRZYWIDZENIE.

Nie patrz na mnie, lecz patrzaj gdzie ja palcem wskażę.

KORDJAN.

Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze —
To arabeski, ścienne malowidła —

STRACH.

Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza — przebrzydła —
Każdy wąż — złota ogniem nalany,
Pierścieniami rozwija się z muru.
Kolumny potrząsają wężów zwitych grzywą;
Sfinksy straszliwe,
Spełzy z marmuru —
Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie — patrzaj — wiją się i błyszczą.

PRZYWIDZENIE.

Jako motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jej lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniej;
U tej szata gwiazdami ozdobna —
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty —
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty —
I twarz anioła —

STRACH.

Lecz patrzaj na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz patrzą za tobą.

PRZYWIDZENIE.

Czy czujesz woń jej warkoczy?

STRACH.

Rozgniotłeś węża pod sobą —
Pękła żmija.

KORDJAN.

Jezus Marya!!!

(Przeciera oczy.)

Sen zniknął. — Naprzód! naprzód z bagnetem — w pierś Cara!

(Wchodzi do następującej sali — zupełnie ciemnej. Na lewo drzwi otwarte do gabinetu konferencyjnego. Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja zupełnie księżycem oświecony. W środku stoi trójnóg sztucznie ze złota urobiony — a na nim leży carska korona.)

OBIE WŁADZE.

Stój —

KORDJAN.

Puśćcie! Boska cięży na mnie kara! —

OBIE WŁADZE.

Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jak gdyby wicher wleciał w komnat szyje.
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachu pałacu — grzmi — a księżyc świeci!

KORDJAN, patrząc do gabinetu konferencyjnego.

Ta komnata srebrnego napiła się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu;
Jest to korona Carów dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu —
Idźmy —! Nie mogę oczu odjąć od korony.

PRZYWIDZENIE.

Patrz dłużej — krew z niej kapie, a pod nią schylony
Człowiek, czarny jak smoła,
Zajęty pracą —

STRACH.

Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek —
Skąd on? i na co?

KORDJAN.

Skąd? i na co ten człowiek?

WIDMO.

Koronę nosił Car:
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niej jak z czar;
Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią carów zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!

KORDJAN.

Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa.

(Po chwili.)

Jeszcze jedną komnatę przejść trzeba.

(Wchodzi do sali tronowej.

Ciemno — i czarne okna — żadnej gwiazdy z nieba —
Tam wiedzie droga — nakształt ognistego słupa,
Lampa strzeże Cesarza, oświeca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste,
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moją, w kręgi ogniste —
Płynę zawrotem głowy — któż poda podnięty?

PRZYWIDZENIE.

Twój bagnet łysnął — płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły —
Jak rybki, gdy w krysztale kruszynę spostrzegły —
Zleciały się i stal szczypią —
I palą.
W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj aż się ul cały płomyków wyroi —

STRACH.

Nie patrz tylko za siebie — bo tam u podwoi —

(Kordjan obraca się.)

PRZYWIDZENIE.

Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną,
Zimą i wiosną.
Patrz — liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz Cesarz rwie nasiona, by drzewa oniemić —
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą,
W grubiejący pień się wlewa —

KORDJAN.

Widzą i słyszą! drzewa —

STRACH.

Nie zaglądaj przez okna, na ciemną ulicę!

(Kordjan patrzy przez okno.)

PRZYWIDZENIE.

Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi;
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów — jeden, drugi,
Setny — nie przeliczysz więcej —
Tysiąc tysięcy —
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie,
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów! — każdy niesie trumnę —
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien —
Trumny się kruszą,
Lecz tylé trumien!
Wejść muszą.

KORDJAN.

Gdzie idą?

PRZYWIDZENIE.

Tu.

KORDJAN.

Czy Cara trumnami uduszą?

PRZYWIDZENIE.

Ciszej! patrz — jakieś staszydło,

Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnej komnaty
Nie słychać kroku jego; choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.

STRACH.

Czuć krew! wyszedł z tamtej komnaty —
Tam śpi Cesarz w łożu białem —
Ten człowiek stamtąd wyszedł —

PRZYWIDZENIE.

Widziałeś?

KORDJAN.

Widziałem?

STRACH.

Co on tam robił?

KORDJAN.

Co on tam robił?

DJABEŁ.

Zdławiłem Cara i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny!

PRZYWIDZENIE.

Słyszysz dzwonów jęk żałobny —
Po całem mieście i na wszystkie strony! —

KORDJAN, z przerażeniem.

Słyszę — dzwony —!

PRZYWIDZENIE.

Błysk w szybach sali —
Po trumnach wszedł trup, i stoi cichy w oknie;
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdem włoknie
Jak nić biała —
Gdzie oczu blask, tam świeci kość spruchniała.
To trupów kat — wykona co uchwalą —
Patrz w okno bije — rozbija —

KORDJAN.

Jezus! Marya!

PRZYWIDZENIE.

Zniknął — trumny się walą
Jak grom.

STRACH.

Wracaj! tu czarta dom —

KORDJAN.

Pójdę mimo djabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził.
Tłum jakiś drogę zagrodził —
Przejść nie można — jak przez kłosy
Trzeba deptać — nie rostrącc.
Widma blade i miczące,
Jak stooki strażnik pawi,
Zaglądają w tamte drzwi
Gdzie śpi Cesarz — czy ciekawi
Jaka barwa carskiej krwi?
Ha — mówcie — czy się nie budzi —
Pożarłbym teraz mowę stu tysięcy ludzi —
Jak w grobie głucho —
(Słychać dzwon na jutrznią.)
Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija —
Jezus Marya!

(Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia krzyżem na bagnecie, u drzwi sypialnego Cara pokoju.)

CAR.

(Car wychodzi z sypialnego pokoju, z lampą nocną w ręku.)

Słyszałem jakiś huk, i czułem we snów burzy,
Jakky mię kto za gardło cisnął szarfą.
Czułem, co niegdyś ojciec mój, lecz czułem dłużej.
Czyż zawsze sen ma być sumienia harfą,
Po której grają wichry strachu? —
Idźmy — — Lecz nie znam dróg, zabłądzę w gmachu.

(Chce iść i potyka się o leżącego Kordjana.)

Cóż to? co to znaczy — tu trup jakiś leży —
Z bagnetem w ręku, mundur polskich ma żołnierzy,
Ze szkoły podchorążych. Pewnie stał na warcie
I szedł do mnie zabijać? — Padł na samym progu —
Wszak brat mi za nich ręczył? Kusicielu! czarcie!
Nie natrącaj mi na myśl brata — w każdym wrogu
Pokazujesz mi brata — — Nie, to być nie może —
O, gdyby wstał ten człowiek i przemówił słowo! —

Ciepły. — Wstań! mów! bo szablą gardło ci otworzę.
Mów, czy to brat ci kazał?

(Szpadą rani w rękę Kordjana, który oczy otwiera.)

KORDJAN. z obłąkaniem.)

Z pochodnią grobową

Trupy w oknie.

CAR.

Przemówił. — Otwórz jeszcze usta,
Wymów brat? — słowo krótkie — brat?

KORDJAN.

Blady jak chusta —
Car śpi — Jezus Marya! — świat zaczął pobielać. —

CAR.

Nic z niego się nie dowiem, ni z ust, ani z twarzy —
O! to brat — brat mój pewnie —

(Woła.)

Straży! moja straży!

(Wbiegają żołnierze. — Car pokazuje na Kordjana.

Jeśli nie zwarjował ten żołnierz — rozstrzelać. —

SCENA I.

SZPITAL WARJATÓW.

(Widać klatki w których siedzą łańcuchami powiązani warjaci; niektórzy chodzą wolno. — Kordjan leży na łóżku w gorączce. Dozorca szpitalu. — Doktor obcy.)

DOZORCA, do doktora.

Waćpan przyszedłeś zwiedzić szpital warjatów?

DOKTOR.

Oto jest pozwolenie.

(Daje dukata.)

DOZORCA.

Z podpisem dukatów —
Wolno Panu gdzie zechcesz zazierać do klatek,
Tu warjaci, a dalej tam sala warjatek —
Cały szpital rozłożę jak zegar po sztuce —
Pan zapewne w medycznej ćwiczysz się nauce?

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Jakież systemata pan doktor zachwala?

DOKTOR.

Macanie głów —

DOZORCA.

Rozumię — to systemat Galla.

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Ciekawość mię bierze czy się pan przekona
Z głów, która tutaj głowa najostrzej szalona?

DOKTOR.

O! ja odgadnę z twarzy sądem Lawatera.
(Wskazując na Kordjana.)
Ot — ta —

DOZORCA.

Wzrok Eskulapa nie dobrze przeziera —
Ten młodzieniec wszedł tutaj, bo Cesarz osądził
Że musi być szalony — lecz Cesarz pobłądził.
Ten młody ma gorączkę, lecz rozsądek zdrowy.
Zdrowszy niż twój doktorze, niż mój nawet —

DOKTOR.

Nawet?

DOZORCA.

Ha! obraziłem ciebie paluszku Gallowy!
Chciałbyś mi ostrem słówkiem odpalić wet za wet;
I abyś dowiódł że ten młody pstro ma w głowie,
Może dowiedziesz żem ja szalony?

DOKTOR.

Któż to wie? —
Pozwól mi Pan zapalić cygaro hawańskie —

DOZORCA.

Nie mam ognia.

(Rzucając dukat.)

Do krocset dukat dłoń mi piecze.

DOKTOR, podejmuje dukat i zapala przy nim cygaro — potem go oddaje dozorcy. —

Dziękuję.

DOZORCA.

O! na Boga to sztuki szatańskie!

DOKTOR.

Tak ci się to wydało rozumny człowiecze —
Patrz, dukat zimny jak lód, pali bo czerwony.

DOZORCA.

Czy mi się zdało? czym ja doprawdy szalony?
Niech mię Najświętsza Panna w swej opiece trzyma!

DOKTOR.

Nie patrz nigdy na dukat rozsądku oczyma;
Dukat jest elementem, żywiołem —

DOZORCA.

Prawdziwie
Odejść muszę — gdy słucham, rozum sobie krzywię.

(Dozorca odchodzi.)

DOKTOR.

Wypędziłem go przecie — jutro oszaleje,
Myśląc o tym dukacie — teraz mam nadzieję,
Że sam na sam z szalonym pogadam młodzieńcem.

(Siada na łóżku Kordjana.)

KORDJAN.

Ktoś ty jest? brat mój? krewny?

DOKTOR.

Jestem zapaleńcem.

KORDJAN.

Musiałeś się więc chyba urodzić dziś rano?
Wszyscy dotąd mówili żem jeden na świecie.

DOKTOR.

Ciebie znali, mnie jeszcze dotąd nie poznano,
Siedziałem sobie cicho zamknięty w sztylecie.

KORDJAN.

Daj mi pić — mam gorączkę — słów twych nie rozumię.

DOKTOR.

Natęż uwagę — jasno tłomaczyć się umię,
Ale natęż uwagę mocno! mocno! mocno!

KORDJAN.

Natężyłem. — Znam ciebie —

DOKTOR.

W godzinę północną
Wychodziłem z sypialnej Cesarza komnaty.

KORDJAN.

Cóż tam robiłeś?

DOKTOR.

Ha! nic, polewałem kwiaty. —

KORDJAN.

Co? owe drzewa pełne uszu, bez języków? —

DOKTOR.

Tak, to klony — a inne rosną w liść krzyżyków
Jak gwoździki maltańskie; inne jako trzciny,
Pełne kolan i puste, a Cesarza syny
Na pustych kolankowych trzcinach grać się uczą.

KORDJAN.

Czemu twoje wyrazy tak brzęczą i huczą?
Gadaj ciszej — czy jakiej nie umiesz modlitwy?

DOKTOR.

Umię jedną, co ludzi popycha do bitwy.

KORDJAN.

Nie chcę — za głośna będzie, a może bezbożna?

DOKTOR.

To modlitwa turecka, jak księżyc dwurożna,
Jednym rogiem zabija wroga, drugim siebie.

KORDJAN.

Wszak potrzeba bić wrogów?

DOKTOR.

Wiem o tej potrzebie —
Naród ginie, dla czego? aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu, a wieszcz rym odlewał;
Aby nieliczną iskrę ognia, pośród lodu,
Z pieśni wygrzebał anioł i w niebie zaśpiewał.
Widzisz jak cenię wieszczów gromowładne plemię.

KORDJAN.

Nie — to nie tak — inaczej idź z nieba na ziemię.

DOKTOR.

Rozumię. Hymn anioła w wieszcza się przelewa,
Zaśpiewał — naród ginie, bo poeta śpiewa.

KORDJAN.

Głupiś! Mów co ze starych testamentów księgi.

DOKTOR.

Kiedy Faraon stanął na szczycie potęgi,
Śniło mu się że siedem wypasionych wołów,
Siedem chudych pożarło.

KORDJAN.

Nie! to nie tak było. —

DOKTOR.

Ale tak jest, zapytaj potomka Mogołów. —

KORDJAN.

Mów o czem innem, pismo święte mię zabiło.
Czy nie jesteś botanik? —

DOKTOR.

Żądam tajemnicy,
A powiem ci, żem wcale nowe odkrył ziele;
Rośnie na mojem oknie, w rycerskiej przyłbicy,
Posiane w stu miast dawnych ostygłym popiele.
Wkrótce jak się spodziewam, wyda pączek liczny,
Jak myśli milionów — a potem kwiat śliczny,
Czerwony, jak krew ludzi, a potem nasienie
W strąkach wielkich zawarte, które pękną z trzaskiem
Jak miliony armat. — Wpadasz w zachwycenie?
Oczy twe poetycznym zapłonęły blaskiem.

KORDJAN.

Czy ta roślina kwitnie? pleni się? —

DOKTOR.

Już wschodzi.

KORDJAN.

Wschodzi dopiero?

DOKTOR.

Tak jest, a że mróz jej szkodzi,
Więc ją do czasu garnkiem przykryłem kuchennym.

KORZAN.

Dręczysz mię — nudzisz — [illegible] —

[illegible] —

Gadaj mi — nie o kwiatach.

[illegible]

Trzy są [illegible]

Które składają rozum. trzy [illegible]
Przez nie wytłómaczona jasna [illegible]
Myślnik jedność, urodził [illegible]
Z nieskończoności starszej [illegible]
A związek między nimi — [illegible]
Jest trzecim elementem — [illegible]
Bez wyobrażeń liczby [illegible]
Bez określności bytu [illegible]
Więc jedna równa drugiej, jak [illegible]
Względność ich dała życie [illegible]
A wszystkie trzy idące [illegible]

[illegible]

Napełniłeś mi uszy Oceanu szumem —
Mam gorączkę — — [illegible]

[illegible]

Wyleczę ciebie. — Teraz [illegible]
Czy o stworzeniu [illegible] Świat [illegible] —
Ziemia, to orzech w [illegible]
Bóg przez sześć dni [illegible]
W pierwszym dniu [illegible]
To była ziemia — [illegible]
W drugim dniu [illegible]
W trzecim, jak drzewa [illegible]
W czwartym dniu [illegible]
W piątym wzleciały [illegible] —
To były ptaki — a [illegible]
Padła noc wieków [illegible]
W szóstym człowieka [illegible] —
Dziś dzień siódmy — [illegible]
Odpoczywa po [illegible]

KORDJAN.

Łżesz podły! Każdy człowiek, który się poświęca
Za wolność, jest człowiekiem, nowym Boga tworem.

DOKTOR.

Ha! ha! wolność garncarskie koło dziś pokręca!
Dobrze mówisz, że koło nowym idzie torem,
Wyda gliniany garnek.

KORDJAN.

Wyda wielkich ludzi! —

DOKTOR.

Widzisz jak ci się płomień gorączkowy studzi,
Gadasz wcale do rzeczy — —

KORDJAN.

Słuchaj! Powiedz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka, anioła,
Co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze,
I gromom spadającym wystawia cel czoła,
I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem —
Za lud cierpiąc?

DOKTOR.

Ten człowiek szedł tu moim śladem.
Zawołam go.

(Woła dwóch warjatów: jeden z nich trzyma rozkrzyżowane ręce, drugi jedną rękę podniesioną ma do góry.)

Dwóch widzisz — za lud cierpią oba —
A jak cierpią, powiedzą, abyś sam ocenił.

(Do warjata z rozkrzyżowanemi rękoma.)

Bracie! powiedz mi, coś ty za wielka osoba?

PIERWSZY WARJAT.

Jam nie osoba, jam się dawno w krzyż zamienił.
Ja byłem krzyżem w Chrystusa męce,
Do mnie zmarłego przybili;
A jam go zamiast ćwieków unosił za ręce,
Jak małe dziecię, gdy kwili,
Jestem krzyżem — — Gdy papież daje krzyża drzewo,

Nie wierzcie! Ja mam nogi, rękę prawą, lewą;
Nic ze mnie nie ubyło, niech kto części liczy.

(Smutnie mówi, odchodząc.)

Boże! odwróć odemnie ten kielich goryczy!

DOKTOR, do Kordjana.

Widzisz, on się poświęcił za lud.

KORDJAN.

I zwarjował! —

DOKTOR, do warjata z podniesioną ręką.

A ty, czemuś tak rękę w niebo wygórował?

DRUGI WARJAT.

Ciszej mów! bo ja nieba sufit lazurowy
Trzymając na tej dłoni, zasłaniam świat cały.
Niebo, słońce, księżyc biały,
Chcą upaść ludziom na głowy;
Lecz ja stoję pod nieba nachylonym stropem,
Znużony, tęskny, bezsenny.
Módlcie się do mnie, jam zbawca codzienny,
Zasłaniam ludy przed nieba potopem —
Śpijcie ludy! dobrej nocy!

(Odchodzi.)

DOKTOR.

A cóż? to wielki człowiek! za lud się poświęcił!

KORDJAN.

Także warjat —

DOKTOR.

Bluźnierstwa rzucasz z ustnej procy!

KORDJAN.

To warjaty są oba! I tyś sam mózg skręcił.

DOKTOR.

A cóż? wiesz że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nic.
O! złota rybko w kryształowej bani,
Tłucz się o twarde brzegi niewidzianych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą,
Jest wszystkiem, a świat cały nicości topielą.

KORDJAN.

Myślę.

DOKTOR.

Więc świat jest myślą twoją.

KORDJAN.

Cierpię.

DOKTOR.

Nie myśl.

KORDJAN.

Nie mogę —

DOKTOR.

Możesz — sposób niemyślenia przemyśl,
Oszalej: będziesz świętym w Stambule.

KORDJAN.

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojej duszę;
Ostatni skarb wydzierasz, własne przekonanie —
Ostatni promień gasisz.

DOKTOR

Glinę boską kruszę —

KORDJAN.

Niechaj Bóg litościwy wyrwie z twej paszczęki.

(Wielki Książę Konstanty wpada z żołnierzami i wskazuje na Kordjana.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wziąść go, prowadzić zaraz na śmierć i na męki!

KORDJAN.

To głos ludzi, o Boże! raczyłeś mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka. —

(Pokazuje na miejsce, z którego doktor zuiknął.)

Gdzież on! gdzież on?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Skoro go w mundur ubierzzecie,
Prowadzić go na plac Saski. —

(Wychodzi.)

KORDJAN.

Gdzież on?

ŻOŁNIERZ.

Książę czeka.

SCENA VII.

PLAC SASKI.

(Wojsko polskie jeszcze nie ustawione — w jednej stronie placu widać grono jenerałów, pośród nich Car. — Wielki Książę Konstanty niecierpliwy, przechadza się. Zdala na około placu lud warszawski.)

CHÓR.

Tysiące żołnierzy, bagnetów tysiące,
Obwisłe sztandary, bagnety nie drżące —
Cicho jak w ostatni sąd.

WIELKI KSIĄŻĘ, komenderując.

Do frontu! równać front!

CHÓR.

W jeden rząd długi, prosty piechota się zwarła.
Gdybyś o cal z szeregu wykazał pierś Cara,
A z drugiej strony szyku miał Tella Szwajcara —
Strzała by się o każdą pierś polską otarła,
I nie raziwszy żadnej, zbiła jabłko carskie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Grać!

CHÓR.

I zagrzmiały muzyki janczarskie,
Ucichły znowu — dają głos carowi.

CAR, do żołnierzy.

Zdrowiście dzieci?

CHÓR ŻOŁNIERZY.

Z łaski Boga zdrowi.

CHÓR.

Co powiedzieli gwarem, Bóg tylko zrozumie,
Jak modlitwę rozbitą w morza głuchym szumie.

(Sześciu żołnierzy przyprowadza bladego Kordjana. Stawiają go przed Carem. — Wielki Książę przybiega z wściekłością.

WIELKI KSIĄŻĘ, do Kordjana, pieniąc się.)

Ha! psie polski! przyszedłeś? Czemuś taki blady?
Przewidziałeś co czeka? Kacie! Roskolniku —
Ty nosisz szlify? Precz! precz! precz! Rozciskam gady.
Rzucę cię pod kopyta trójrzędnego szyku,
Albo tu zwalę w piasek — i moją ostrogą

Napiszę «wor» na czole. Car ciebie darował
Zemście mojej. Car ciebie sam w grobie pochwował!
Z książęcej dłoni djabły wydobyć nie mogą!

CAR, na stronie.

Myśli że mię oszuka!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dać tu cztery konie.
Ha, ty psie! masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,
A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! — Ha! ja się wścieknę — ten pies ciągle milczy!

(Uderza kułakiem w pierś Kordjana.)

Słuchaj, do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.

(Zgrzyta zębami.)

Ha! ha! Carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok. — Znieść karabiny,
Ustawić w piramidę, poczepiać za kruki,
Ostrzem do góry — związać, jak snopy, jak trzciny.

(Żołnierze ustawili piramidę z karabinów.)

Teraz psie! siadaj na koń — i leć z nim do djabła.
Ty milczysz — co? Na widok dusza ci osłabła?
Myślisz że się zlituję? — Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę!
No! ruszaj, ruszaj, ruszaj! Czemuż trąbą słonia
Wziąść ciebie i na kolce zarzucić nie mogę?
Wrzuciłbym.

(Ostygając.)

No, posłuchaj Lachu, wstydem płonę.
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone —
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć.

(Z wściekłością.)

Skacz, bo każę cię w lochy Karmelitów wtłoczyć —
Głodem zamorzę, wsadzę pomiędzy szkielety!

(Proszącym tonem.)

No, Lachu! jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie.

KORDJAN.

Dzięki, Książę! dzięki,

Żeś mi powiedział wszystko — gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u tej ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Boi się hołota!

CAR.

Jeśli o to ci chodzi, ręczę, żeś choć zdrowy,
Jako ptaszek przelecisz nad las bagnetowy,
To kule cię nie miną. — Książę, on się boi!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Widzisz! więc Car zaręczył — Zginiesz! — Martwy stoi! —
Żołnierze! kto z was skoczy, dam krzyż świętej Anny,
Świętego Stanisława — jeśli wyjdzie ranny,
Tysiąc złotych dam pensji — tysiąc — dwa tysiące,
Cztery tysiące — — O wy psy! nie psy — zające!
Polaki!

KORDJAN.

Niech mi konia podadzą.

(Siada na konia i odjeżdża w koniec placu.)

WIELKI KSIĄŻĘ, woła Kurutę.

Kuruta!
A gdyby on przeskoczył!

KURUTA.

Ten człowiek wart knuta.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niechaj przeskoczy! Słuchaj, ja chcę, niech przeskoczy!
Car ujrzy jak mój żołnierz nad Moskale lotny.
Patrz! jedzie — zatrzymał się — tam obraca oczy,
Do ludu — tam lud stoi cichy, czarny, błotny!

(Marszczy się jak tygrys.)

Nie lubię tego ludu — patrz! chustkami wieje,
Kapelusze podrzuca — — Kuruta! masz nadzieję?

KURUTA.

Jak Wasza Książęca Mość — —

WIELKI KSIĄŻĘ, gwałtownie.

Patrz, patrz! piasku chmura!
Nie widzę. — Spinaj konia! Ha! przeskoczył.

WOJSKO, krzyczy.

Urra!

LUD, krzyczy zdala.

Żyje!

(Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordjana. Książę bierze go w swoje objęcia.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Cóż ci, mój druchu? No! no! chwat młodzieniec!
Nieprawda, koń mój żartki? skacze jak szaleniec?
Musiałeś nie czuć skoku? — Wasza Mość Cesarska
Widziałeś. — Oprowadzić konia, niech wyparska.

(Do Kordjana.)

Ręczę za twoje życie — idź! Tyś chory? senny?
Wziąść go — odnieść do łożka.

(Odprowadzają Kordjana.)

CAR, do jenerałów, tak, że Książę nie słyszy

Złożyć sąd wojenny,
Godził na moje życie. — Rozstrzelać.

WIEKI KSIĄŻĘ. wesoło.

Trębacze!
Niech grają Dąbrowskiego — Książe sam poskacze.

(Parada na placu Saskim.)

SCENA VIII.

(Izba klasztorna, obrócona na więzienie; okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordjan skazany na śmierć, mówi z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.)

GRZEGORZ, do siebie.

Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana —
Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: dziecko w więzy okuj?
Nie ma Boga — przystaję do cechu szatana.

KORDJAN.

Grzegorzu, módl się za mnie.

(Grzegorz jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. — Kordjan klęka u stóp księdza — ten błogosławi, i mówi, podnosząc Kordjana.)

KSIĄDZ.

Synu! powstań z prochu
I leć do Roga, ale przebacz światu.
Bóg cię wyrywa z lwiej paszczy i z lochu,
W którym byś uwiądł na kształt mdłego kwiatu —

Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

KORDJAN.

Nic.

KSIĄDZ.

I nikogo na ziemi?

KORDJAN.

Nikogo.

KSIĄDZ.

Nie byliż ludzie przyjaciołmi twemi?

KORDJAN.

Nikt.

KSIĄDZ.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!
Zlituj się nad nim, Boże! Wielki Boże!

KORDJAN.

Nim zimne ciało do grobowca złożę,
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu!
Pamiątek woła —i śladu na świecie.

KSIĄDZ.

I to grzech, synu. Wy młodzieńcy chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić, lub mieczem wykrwawić.
Po cóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy jak pacierze
W ustach przechodnia. — I po cóż te ślady?
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może
Jestem za stary, a ty dziecię wiosen —
Więc nie rozumiem. Słuchaj — przy klasztorze
Jest ciemny ogród, szpalerami sosen
Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie
Zasadzę różę miesięczną i twojem
Nazwę imieniem — by zakwitła w chłodzie,
Posępna, blada —

KORDJAN.

Niech ci pociech zdrojem

Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojem imieniem? I może nie zwiędnie! —

(Ksiądz odchodzi.)

Spłyńcie się teraz w jednej myślnej chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy, bo konam!
Bo tam przed ludźmi choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam;
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem — przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innemi oczyma —
Dłużej, ciekawiej, a może ze łzami —
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje,
A jam nie słyszał. — Czegoś mi nie staje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią, piastunką ludzi! — O, ty ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?

(Po chwili ze wzgardą.)

Niech się rojami podli ludzie plemią
I niechaj plwają na matkę nieżywą,
Nie będę z niemi! — Niechaj z ludzkich stadeł
Rodzą się ludziom przeciwne istoty,
I świat nicują na złą stronę cnoty —
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł,
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. — Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z niemi! — Niech słowo Ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter Cara —
Niechaj w to słowo wsiąknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery —
Nie będę z niemi! — Niech szubienic drzewa
W ogrodach miejskich rosną jak szpalery;
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,

Śmiechem przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy —
Nie będę z niemi! O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono —
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny
Tak wam płacono — —

GRZEGORZ.

Panie! nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze!
Oj, paniczu mój drogi! na cóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam w lesie oko miesiączne świeciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś «Grzegorzu» woła;
Szedłem po lesie — nagle widzę me dzieciątko
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny.

KORDJAN.

Nie wspominaj mi o tem.

GRZEGORZ.

Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owej winy.
Widzi pan, człowiek siebie nad brata miłuje.
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata,
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje — —

(Zatrzymuje się i z rozpaczą.)

Przewidziałem nieszczęście — lecz śmierć z ręki kata!!!
O, o, o! Panie drogi! pociesz mię — mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa.
Każe je dzieciom w grobie położyć, koło mnie,
Blisko — bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.

KORDJAN.

Czy ty masz dzieci?

GRZEGORZ.

Oh! mam syna —

KORDJAN.

Czy żonaty?

(Grzegorz daje znak głową, że tak.)

Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojem, Kordjan —

GRZEGORZ.

Panie!
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordjanie!

KORDJAN.

O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi —
Nie nazywaj Kordjanem.

GRZEGORZ.

Paniczu mój drogi!
Nie wydzieraj coś dawał; jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec, choć nędzarz, ubogi,
Já go będę nazywał Kordjan — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordjanek mały! mój Kordjanek! mój bławatek!
(Śmieje się ze łzami w oczach.)
O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!

KORDJAN.

Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz,
Ani mu stworzysz życie, równe memu życiu!
To dziwnie! że jak człowiek tonący w rozbiciu,
Chwytam się każdej słomki — szukam przeżyć siebie.
(Zamyślony.)
Więc gdy mi wezmą życie — a starzec pogrzebie!
Kiedyś — za błędnem dzieckiem, po łąkach, lub w borze,
Głos matki wołać będzie — Kordjan! Kordjan! długo —
Dziecię śmiechem odpowie , nad kwiecistą strugą —
A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym klasztorze,
Róża moja zakwitnie. Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi. — Więc róża — i dziecię. —

(Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym.)

KSIĄDZ.

Synu! —

KORDJAN.

Na jaką idę śmierć —

OFIECER.

Na rozstrzelanie. —

(Grzegorz pada na kolana. Kordjan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całując, mówi przerywanym głosem.)

KORDJAN.

Bądź zdrów — mój wierny — ojcze! —

(Odchodzi.)

GRZEGORZ, wyciągając ręce.

Panie! panie!

(Pada na ziemię. — Potem zrywa się i wybiega spiesznie za Kordjanem.)

SCENA IX.

(Pokój w zamku królewskim.)

CAR, sam.

Nudno! Szkoda żem puścił tego szambelana,
Co jak mops na dwóch łapach przedemną tańcował.
Skacz! skacz! skacz! Radbym dostać Mahmuda sułtana,
Aby skakał przedemną. — Będę go częstował
Dymami siarki, prochu, aż w dymie uduszę. —
(Patrzy na ściany.)
Cóż to! Na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w końcu, pająk sidła zastawuje musze.
Pył — pył — — ten pył mię bawi, świadczy gmach odludny,
To chwast na grobie wroga. — Polska już ostygła,
Umarła i na wieki jak magnesu igła
Na północ obrócona, w Sybir patrzy mroźny.
Zdala trup tego kraju zdawał mi się groźny,
Marzące o podbojach myśli nieraz zwichnął — —
Przyjechałem — trup zadrżał, nawet się uśmiechnął —
Łez nie widziałem — domy kobiercami kwietne.
Dalej więc. — Europę jak jabłka rozetnę,
A nóż zatruty obie zatruje połowy.
Króle! dajcie mi pokłon koronami z głowy! —
Ha! ha! albom ja wielki? albo świat ten mały?

Albo głupi świat cały? albom ja rozumny?
Część ogromnego kraju Szach mi oddał dumny!
Garść tej ziemi kazałem spłomienić w kryształy,
I kryształowe łoże Szah dostał, i wdzięczny.
O wielki synu słońca! o bracie miesięczny!
Czy ci nie zimno w łożu kryształowem Cara?
Na zachodzie stu-głowna wyrasta poczwara;
Lecz wkrótce w petersburgskiej każę ulać hucie
Łoże drugie z kryształu, dla ludów zachodu;
Miarę na długość wezmę z moskiewskiego rodu,
A który naród dłuższy nad łoża okucie,
Kryształu nie rozciągnę, lud skrócę o głowę.
Ludy! poszlę wam! poszlę łoże kryształowe — —
Któż to? — Brat mój!

(Książę Konstanty wbiega zadyszany.)

Jak się masz, Kostusiu! Co słychać!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza Cesarska Mość — niech — —

CAR.

Nie możesz oddychać?
Widać żeś się tu spieszył? Czemuż ci tak spieszno?
Zapewne mi przynosisz jaką wieść pocieszną?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ha — Wasza Cesarska Mość — kazałeś —

CAR.

Mów śmiało —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Rostrzelać — ha!

CAR.

Tak mi się bracie podobało —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niech Wasza Cesarska Mość odwoła! Niech raczy
Odwołać wyrok śmierci.

CAR.

Książę, co to znaczy?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Proszę Waszej Cesarskiej Mości, niech ten czołowiek

Żyje. Nie traćmy czasu — chwili, mgnienia powiek,
Oto ułaskawienie — pióro — —

CAR.

Pióro moje
Spisałem na wyroku śmierci — przy nim stoję.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza Cesarska Mość niech stawi żyda na papierze,
Byle podpis — do krocset — —

CAR.

Bracie, mówmy szczerze!
Chcesz ocalić Kordjana?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Chcę! chcę! chcę!

CAR.

I właśnie
Dla tego zginie.

WIELKI KSIĄŻĘ, z zadziwieniem.

Co? co?

CAR.

Bracie! skończmy waśnie —
Spać mi się chce.

(Książę chodzi po sali, widać w nim burzę wściekłości — bierze z kominka porcelanę i rozciska w dłoni.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dla czegoż Wasza Mość Cesarska
Nie chce tej małej łaski? — Jam ci tron darował — —

CAR.

Bracie, pohamuj wściekłość, co nozdrzami parska.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Przebacz, Wasza Cesarska Mość, będę hamował,
Lecz proszę, niech ten człowiek żyje.

CAR.

Tyś morderca,
Jeśli on nie morderca. — Odejdź, bracie miły!
Nie chce mi się zaglądać w brudy twego serca;
Wolałbym dwumiesięczne rozrzucać mogiły.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? Nie rozumiem — —

CAR.

No! no! idź i bądź spokojny.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Bracie, bracie! z tygrysem nie zaczynaj wojny!
Jam ci tron dał, na którym siedzisz — ja przy tronie
Leżę jak lew bronzowy — jeśli ja zawyję?
Jeśli usłyszą ludy, że lew ryczy, żyje?
Ludy przypomną, żem ja winien żyć w koronie,
A ty w stajni, w koszarach musztrować szeregi —

CAR.

Książę! widzę że wina przelałeś nad brzegi.
Co? tyś mi tron darował? Było go wziąść bracie,
Boś ty się w purpurowej urodził komnacie —
Sto dział grzmiało nad twoją złocistą kołyską,
I dano ci greckiego cesarza nazwisko.
Lecz potem matka twoja, żona Pawła cara,
Zbrzydziła cię, wyrodku! Tyś miał nos Tatara;
Zamiast ssać łono, tyś je pokąsał jak szczenię —
Wyrosłeś: — Przyszła matka i rzekła: Tyś głupi,
A tobie powiedziało to samo sumienie.
Rzekła ci: Daj tron bratu! — Rzekłeś! Niech brat kupi —
Więc kupiono u ciebie zrzeczenie się tronu.
Było go wziąść — a co by ci zostało z plonu?
Czy śmiałbyś w oczy matki spojrzeć okiem cara?
A uśmiech jej? — a słowo: tyś głupi? — a czara
Nalana zmarszczonemi rękami twej matki? —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! carze! truciznę schowaj na ostatki.
Znałem was dobrze, katów bezczestnych i dumnych!
Was matka nauczyła zabijać słowami.
Dwóch było mądrych, trzeci głupi — rozumnych
Ktoś rzekł: waszego ojca udusim szarfami.
Odpowiedzieli: dobrze. Poszli — udusili —
Pomnisz, Beningsen przyszedł i rzekł: Pawła cara
Udusiliśmy. — Rzekli: Amen. — Więc zabili,
Sami zabili ojca — a na szarfy kara —
Ha! szarfy wyrzucili jak zużyte sprzęty
Za granice moskiewskie, na kraje sąsiadów;

Darowali Europie gniazdo żółtych gadów.
A do lochu rzucili zewłok ojca święty —
Zaledwo ksiądz odszeptał jeden pacierz prędki.
Nie wynieśliście trupa na tron złotolity?
Bo z pod nogi zabójców wyszedł zmięty, zbity,
Podobny do tygrysa z błękitnemi cętki.
Lecz naród krzyczał: syny! wyście nam ukradli
Komedyę pogrzebu, łzy wasze książęce,
I widok miły królów co tak nisko spadli —
Wynieście ciało ojca! całujcie mu ręce!
Bo my chcemy obaczyć jakie to są Cary,
Których można zabijać bez sądu i kary? —
Pamiętasz? jak zduszony kadzideł wyziewy,
Całowałeś tę rękę i całun żałobny —
A potem myłeś usta cała wodą Newy.
O! jak ty jesteś bracie do ojca podobny —!
Patrzeć nie mogę! zmyj twarz! zmyj twarz, podobieństwo!
Bo ja patrzeć nie mogę. — Bo rzucę przekleństwo,
Które aż Bóg usłyszy —

CAR.

To królewska zbrodnia.

WIELKI KSIĄŻE.

A wszakże ci sybircy, których karzesz co dnia,
Mogą krzyczeć z kibitek: Carze! z nami razem.
Jedź z nami! bo zabiłeś ojca; niechaj katy
Pocałują cię w czoło czerwonem żelazem —
Lecz ty lud trzymasz głupi, bez żadnej oświaty.
Kilka kłosów z gwardyjskiej wyrosło równiny;
Więc na Turków! — Michale wiedź ich — on nie umie —
Wiesz, czego chce po tobie? — Michał nie rozumie.
Głupcze! krzyknąłeś, podsadź pod szeregi miny,
I wysadź na powietrze! — Brat Michał dwa palce
Do czoła — pokłon niemy — i odszedł — a w miesiąc
Pod gwardją zatopione saletry padalce,
Wybuchnęły jak piorun — aż grunt musiał przesiąc
Krwią ruską. — Car się uśmiał — i rzekł: to pomyłka!
A wiesz Carze? że za to mało knuty! zsyłka!
Katorhi nawet mało! —

CAR.

Bracie! twego serca
Powstydziłby się może najęty moderca.
Przypomnę ci zdarzenie —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? jakie?

CAR.

Nie skłamię.
Znałeś?

(Mówi kilka słów do ucha Księciu.)

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! milcz! milcz! milcz!

CAR.

Nie! aż cię połamię
Słowami knutowemi — aż czoło wypiekę
Do mózgu myśli twoich.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! ja się wściekę! —
Milcz!

CAR.

Milczeć? — Wszak nie jestem sumieniem książęcia,
Ani pochlebcą płatnym —

WIELKI KSIĄŻĘ.

Na wszystkie zaklęcia! —
Milcz! —

CAR.

Gdzie się owa piękna angielka podziała?
Lat szesnaście, dziecinna, płocha, jak śnieg biała,
Z błękitnemi oczyma, na balach szczęśliwa,
Na pół smutna, wesoła, mdlejąca i żywa!
Tak nieświadoma uczuć i światowej burzy,
Że mogłaby się kochać sercem w białej róży,
I bronić się kotarą zakrytego łoża
Przed róż kwitnących wzrokiem —

(Książe siada — i trzyma oczy wlepione w ścianę.)

Na nią ręka Boża
Wysypała brylanty wszystkie i gwiazd ognie —
Lekki twór kryształowy złamie się, nie pognie —
Tak właśnie ona —

WIELKI KSIĄŻE.

Ona — widzę ją —

CAR.

W dzień pewny
Przed dom angielki dworska zajeżdża kareta,
Zapraszają lokaje na bal do królewny.
W lekkich szatach niemyślna jak motyl kobieta
Przyjeżdża — wiodą w zamek — nieznane komnaty
Pyta gdzie bal? gdzie światła? gdzie muzyka? kwiaty?
Wszędzie cicho — prowadzą — wiesz gdzie prowadzona?
Nie starłeś jeszcze z czoła śliny którą plwała.
Mściwy — wołasz — żołnierzy wściekłych rota cała
Wali się —

WIELKI KSIĄŻE.

Nie kończ Carze! bo ci język skona!

CAR.

Siedź i słuchaj! wiem koniec zabawnej powieści.
Na piękny żart się zdobył lubownik niewieści
Jak ukryć trupa? Lato — nie włożyć do lodu?
A trzeba skryć przed Carem, przed posłem narodu,
Z którego Książe ukradł człowieka — gdzie schować?
Jeden z przyjaciół Księcia podjął się usługi;
Nie zaniedbał wszelako włosów przemalować,
Twarzy przekształcić — potem jak Pylades drugi
Wziąwszy odzież bogatą, krzyże, tytuł Grafa,
Najął w mieście część domu i zapłacił z góry.
Do pokojów z meblami weszła wielka szafa;
Co było w szafie? nie wiem — odźwiernego córy
Myślały że w niej szaty wieszano dziewicze.
Zamknąwszy drzwi na zamek, zniknął Pylad wierny.
Upływa tydzień — drugi — szmery tajemnicze —
Przez szpary do pokojów zagląda odźwierny,
Nikogo — nagle krzyknął: zaraza! zaraza!
Więc drzwi wywalił — z szafy odbija zelaza:
Okropnego coś razem wszystkie zmysły bije!
W szafie szkielet człowieka topi się i gnije —
Na trupie zapomniany brylant ogniem błyska —
Ten pierścień mówił — i dwa powiedział nazwiska —
Jej i twoje — —

WIELKI KSIĄŻE, budzi się z głębokiego osłupienia — i mówi z wyciem stłumionem, zrywając się z krzesła.

Ha! Carze! Carze! znasz mordercę?
Ja ci muszę te słowa nazad w gardło wdławić!
Połknąłeś tajemnicę i nie możesz strawić?
Pomogę mieczem — ona w sercu? wydrę serce!
Ona w mózgu? więc z mózgiem na ściany rozprysnę!
Czy wiesz? że skoro szpadą z okna tego błysnę
Wnet czterdzieści tysięcy bagnetów poruszę!
Na co? ja ci na gardle siądę i uduszę —
Do szaf zamknę królewskich i wyjdę wesoły.
Na ulicach Warszawy tłum ludu natrafię,
Ha! ha! ha! zapytają — gdzie brat? gdzie Car — w szafie!
Ha! ha! Brata zamknąłem jak miecz kata goły
W pochwę zgnilizny. — Ha! ha! niechaj go rdza toczy!
Niech lud czuje w powietrzu! — A co? drżysz mój bracie!
Wiesz żem silny jak tygrys — wiesz że w tej komnacie
Jesteś sam na sam ze mną — a co? patrz mi w oczy? —

(Car spogląda w oczy brata — i patrzą długo na siebie, jeden drugiego chce wzrokiem przełamać. — Konstanty pierwszy spuszcza oczy — i oddala się. — Car chodzi po sali — uważa każde jego poruszenie i mówi do siebie.)

CAR.

Dobrze! wyszedłem cało — ta moskiewska żmija
Buntu dźwignąć nie mogła — myślą się zabija —
Gdyby zamiast słów, szpady dobył, jużbym nie żył —
Zamyślony — w zmarszczone czoło się uderzył;
Muszę tę myśl uprzedzić. — Konstanty! —

WIELKI KSIĄŻE, odpasuje szpadę i podaje bratu.

Niech Wasza
Cesarska Mość tę szpadę weźmie —

CAR.

Brat przeprasza —

(Konstanty stoi milczący, z czołem spuszczonem ku ziemi. Car bierze szpadę jego — potem podpisuje ułaskawienie Kordjana i zatknąwszy je na koniec szpady podaje Księciu, mówiąc.)

Weź je razem ze szpadą.

(Książe schyla głowę — bierze szpadę, potem dzwoni gwałtownie. Adjutant wchodzi — Książe daje mu ułaskawienie.)

WIELKI KSIĄŻE.

Leć na plac Marsowy!
Weź mego konia, zabij w galop — a leć ptakiem —

Zanieś to — Biada! jeśli włos z Kordjana głowy
Spadnie, nim ty dojedziesz. —

(Adjutant wychodzi.)

CAR, ściskając dłoń wściekle.

Mój brat — już Polakiem!

SCENA OSTATNIA.

PLAC MARSOWY.

(Zdala widać Kordjana przed plutonem żołnierzy. Na przodzie sceny lud rozmawia.)

PIERWSZY Z LUDU.

Patrz! teraz kat nad głową łamie lśniącą szpadę.

DRUGI Z LUDU.

Jaki to krzyk? czy krzyknął? —

PIERWSZY Z LUDU.

Nie — usta ma blade
I nic nie mówi ale gdy kat szpadę łamał,
Jakiś starzec padł z jękiem, może stary sługa? —

DRUGI Z LUDU.

Więc mu wzięli szlachetwo.

TRZECI Z LUDU.

Dekret dobrze skłamał!
On jako chłop nie pójdzie do chłopskiego pługa —
Pług po nim orać będzie —

PIERWSZY Z LUDU.

Chcą zawiązać oczy —
Nie pozwolił —

DRUGI Z LUDU.

Oficer wystąpił po przodzie —
Już ma komenderować — coś mi serce tłoczy!
Podnieśli broń do oka —

KRZYK W TŁUMIE.

Stój! Adjutant jedzie!

PIERWSZY Z LUDU.

Oficer go nie widzi — rękę podniósł w górę.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

ANHELLI.

STEFANOWI H...

NA

PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ W ZIEMI ŚWIĘTEJ
I POD GORAMI LIBANU.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej! było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast aby się żenili, albowiem dekret mówił że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć że są wygnańcami i że już nie zobaczą kraju; chyba Bóg zechce —

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny; ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby i tabór i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistemi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy, był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach; na głowie zaś miał wieniec z węży nieżywych, zamiast korony.

Więc mocarz ów przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: «Witajcie!

«Oto ja znałem ojców waszych także nieszczęśliwych i widziałem jak żyli bogobojnie i umierali mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

«Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

«A z ojców waszych już nie żyje żaden oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

«Jeżeli chcecie aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.»

Mówił jeszcze dłużej starzec ów i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: «Zaprawdę nie znalazłem tu czegom szukał; oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

«Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś Boże?

«Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dla czegóż ci ludzie mają ginąć?

«Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar niż mogą unieść inni; aby w nim było odkupienie.

«I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.»

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady rzekł: «Odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się jak znosić głód, nędzę i smutek.

«Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

«A to o czem pomyślicie, wypełni się, i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

«Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spruchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał

waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę — będzieci piękni.

«Tak jak ojcowie wasi którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

«Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci co przyjdą, widzieć was będą.

«Oto powiedziałbym wam tajemnicę: że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

«Powiedziałbym wam dla czego żyjecie i dla czego się rodzą miljony dusz nowych i na jaki cel dane jest ciało: lecz nie pojmiecie mnie!

«Lecz mówię wam: bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień który będzie jutrem śmierci waszej.

«A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci — choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.»

Rzekły więc do Szamana zgraje: «Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? Oto mamy między sobą księży — do nich należy słowo Boskie.»

Na to im odpowiedział Szaman: «Słyszeliście o Mojżeszu i o cudach które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cuda czyniłem straszniejsze, niż tamten co przed wiekami.

«A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedym go wywołał z płomieni? Spytajcie ludu mojego.

«Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce szczerniało jak węgiel, wiele bowiem we mnie jest Boga.

«Lecz nie kuście mnie o cuda; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. O to proście Boga.

«Aby was wskrzesił mówię i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.» —

Tak mówił Szaman; i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą, obudził Szaman Anhellego mówiąc mu: «Nie śpij ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.» —

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zasedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A w środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu Szaman rzekł: «Powiedz! nie przebrał że miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

«Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka, szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

«Powiadając że Car jest głową wiary i że w nim jest Bóg; i że nic nie może rozkazać przeciwko duchowi świętemu; nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest duch święty.

«Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciątek.»

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu, i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się; a potem wzdrygnąwszy się zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owym pruchnie człowieka chodziły skry — jak owe iskierki które są na spalonym papierze: błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom rzekł: «Nie lękajcie się; Bóg z wami.

«Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.» —

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny krzycząc: «Staruszku weź nas z sobą!»

I rzekł Szaman: «Gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci; chcecie abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed panem Bogiem?»

Odpowiedziały mu dzieciątka: «Weź nas i zaprowadź nas szerokiemi gościńcami aż do matek naszych.»

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: «My Polaki! odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych.» — Aż Szaman począł płakać, uśmiechając się —

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustemi drogami Syberji, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni, przez kraty patrzących się na niebo — smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludzi niosących trumny i zatrzymał je Szaman każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli widząc że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: «Szamanie, oto się boję żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

«Obudź którego z nich albowiem masz siłę cudów. Obudź tego starca z siwą brodą i z białemi włosami; bo mi się zdaje żem go znał żywym.»

A Szaman spojrzawszy surowo rzekł: «Cóż więc? Oto go wskrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę i dwa razy go wskrzeszę, i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

«Lecz niech będzie jak żądasz, abyś wiedział że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwemi.»

Tak mówiąc, spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: «Wstań!» A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas Anhelli rzekł: «Witaj człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmędrszych.

«Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczył przed władzą i uczynił owe wyznanie winy, o którem słyszeliśmy?

«Dla czego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojej? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżeś uczynił!

«Zaszkodziłeś nam; albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

«Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.»

A gdy to mówił Anhelli stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: «Zabiłeś go Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którem nie wiedział przed śmiercią.

«Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.»

To powiedziawszy, zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: «Przebacz, bom nie wiedział że mówię obmowę i oszczerstwo.

«Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

«Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyłuszczaliście ziarna praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

«Przebacz mi że was równam ptakom Bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

«O nieszczęśliwi! Oto jeden na smętarzu sybirskim szuka spocznienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie! — i rozłączeni, i umarli!»

Usłyszawszy owe słowa, wskrzeszony krzyknął: «Mój brat!» i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: «Na cożeś mu powiedział o śmierci brata? Oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

«Stało się! Niech zakryją te trumny i zaniosą je na smętarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych którzy śpią i odpoczywają.»

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącemi lasami Syberji, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej rzekł: «Oto widzisz tę płotkę co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

«A teraz opowiada siostrom swoim na dnie że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę między inszemi rybkami.

«Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą przedawane na rynku.

«Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami; a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i przedawani są?

«A chorobą zgubną mówię: jest melancholja i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.

«Dwie są bowiem melancholje: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

«Mówię ci o tem; albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.»

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu mówiąc: «Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

«Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łoże w łodzi.»

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy gdy wstał księżyc i rozciągał swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi:

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: «Oto opuściłeś nas! i nie robisz więcej cudów między nami.

«Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet czy jest w nas jaka dusza.»

Na to Szaman uśmiechnąwszy się rzekł: «Chcecież abym duszę pokazał oczom waszym?»

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: «Chcemy! uczyń to!»

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego rzekł: «Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli abym ciebie uśpił i duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?»

Anhelli odpowiedział mu: «Czyń jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.»

Przywoławszy więc Szaman jedne dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellemu, który się był położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

«Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!»

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym poszedł ów Anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: «Panie! widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

«A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca; i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd które są różowe i sine.

«Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

«A nawet uczuliśmy woń: jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalji.»

Słysząc o tem Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł: «Prawdaż to jest?» A Szaman rzekł: «Prawda — opętanyś jest przez Anioła.»

«Cóż więc» zapytał Anhelli «uczyniła dusza moja będąc wolną? Powiedz, bo nie pamiętam.»

Odpowiedział mu Szaman: «Oto poszła po tym gościńcu złotym co jest na wodzie od księżyca i uciekała w tamtą stronę jak człowiek co się śpieszy.»

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać, mówiąc: «Ona chciała powrócić do ojczyzny.»

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców barskich — ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębich, i śpiewająca od świerszczów, ustronną była i spokojną

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleb i jabłka czerwone, a potem zaczął jak zwykle rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tem, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach które mu się zdarzyły za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek Carowi — był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnej zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbana, dopomniał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i sługę onego zbogacił.

A zabrawszy wszystko celnik wychodził z chaty, mówiąc: «Oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niej wziąść dziesięcinę.»

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

«Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych co trzęsą drzewem, aż się moc Boska pokaże.»

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo nie upadały więcej.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc że już jest godzina ranna i umywszy pióra wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz odjechali.

A Szaman zawoławszy Anhellego rzekł: «Chodźmy stąd! albowiem gospodarz pytać nas będzie jaką władzą to czynimy; a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.»

Tak mówiąc otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: «Oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy Bożej, która w nas jest; płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi którzy nie widzą słońca.

«Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie co je potępił napisano było: Na wieki! —

«Oto są kopalnie Sybiru!

«Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

«Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej którą miłował sercem, i o łanach gdzie mu się zboże kłaniało jak panu swemu; i szczęśliwi są teraz przez sen — lecz się obudzą.

«W innych kopalniach wyją zbrodniarze; lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

«Łańcuch co tu szczęka smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedne echo które mówi: żałuję was.»

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiących do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonemi głowami, oprócz jednego który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przstąpiwszy Anhelli do tych co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: «Kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.»

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant: «Ten o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyznie.

«A gdy przyszła wojna siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosemi nogami; a gdy był ogień, przed szeregami stał, krzycząc: Za ojczyznę! — za ojczyznę!

«I przywołał go biskup i wydał katom w ręce; ale wprzódy zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

«A katy pochwycili człowieka Bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potem go w niej zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

«Więc przywieziono go do kopalni, i udawał że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział że był blady i smutny.

«I poddał się rozpaczy i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego rzekłem: Bój się Boga! dla czego się gryziesz? —

«I rzekł mi z wielką tajemnicą jak człowiek obłąkany: Zapomniałem wyrazów pacierza — i pogroziwszy mi palcem abym był cicho, odszedł.

«I zobaczyłem go raz że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę ową pożywał.

«A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach jak zmoczone płutno namiotu; oczy zaś miał błyszczące.

«A dziś nie wiem jak umarł, bo oto spałem przy nim, a nie słyszałem aby choć westchnął.

«A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam: był człowiek uczciwy.»

Więc Anhelli obróciwszy się do Szamana rzekł: «To samobójca!»

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniosłszy kawałek ołowiu z ziemi rzekł: «Ten ołów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

«Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspakaja.

«A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się! — podobny strzaskanej kolumnie.

«Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno — będziecie żałowani.

«Cóż więc! odmówią wam poświęconego smętarza? kto wie jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

«Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą — i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych, i mieć godzinę cichą.»

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: «Dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

«Więc oto wiedz, że przed pięciu dniami upadła skała i zawaliła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny, stary, z pięciu synami — a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem mówiąc: to długa praca, niech umrze.

«A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją; lecz nie słychać nic w tej jaskini, nawet jęku.

«Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień; może jeszcze żyje ojciec, lub które z dzieci jego.

«Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym, uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.»

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale i stało się wielkie milczenie, a Szaman podniósłszy oczy w górę modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę tak, że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wziąwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte, błyszczały jak szkło; a czworo innych umarłych leżało w bliskości, jedni na drugich.

I spojrzawszy na nich Szaman rzekł: «Co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dla czegożem się modlił!»

Tak mówiąc wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyznie.

I przyszli nad jeziora podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody która się nie ruszała, a złota była gdzieniegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: «Jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?»

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną odpowiedział: «Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

«Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

«A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłemi mu były.

«Człowiek to był blady, z błękitnemi oczyma, wychudły i pełny ognia.

«A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa, i uczuł wstrząśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to co widział, śmiejąc się i płacząc.

«A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: Oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! — I to powiedziawszy upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

«A we dwa lata później, powiedzieli nam nowi wygnańcy co się stało, i policzywszy noce poznaliśmy że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

«Szanujemy więc ten krzyż nie mówiąc więcej: oto człowiek który leży pod nim był warjatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to? —»

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu rzekł: «Czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?»

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: «Oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.»

I podniosłszy oczy, rzekł: «Boże! Boże! prosimy cię aby nasza męka była odkupieniem.

«A nie będziemy cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy że twój sąd

nad nami jest zapadły. — Lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

«Bo cóż jest życie aby go żałować? czy to jest Aniół dobry, który nas opuszcza w godzinę śmierci?

«Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi którzy się mogą za lud poświęcić.»

I rzekli na to nędzarze: «Oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem swoim przybyła i cierpi za serce człowieka.

«Chodźcie! a pokażemy wam wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

«Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

«A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem klęknąwszy przed Cesarzem błagał o życie; i dano mu je pogardziwszy nim.»

Tak mówiąc przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli Cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych co szli za nim, spytał go: «Co by to było, ów szczęk żelaza i bicie? A zaś aresztant odpowiedział: «Karzą jednego z nas.

«Zapewne starca, który wczoraj nie chcial pracować dla święta Boskiego, pędzą przez łańcuchy.»

A udawszy się na miejsce męki, Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi, stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a w środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litośnych.

Lecz starzec odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: «Mój ojcze! —»

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej. —

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana kłócić się zaczęli pomiędzy sobą, i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny!

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą, na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się, za poradą któregoś z tych co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: «Oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.»

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba jakoby wicher, pytając: «Co czynicie?» lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewej krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami czekając co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu; a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: «Źle czynimy! godziż się aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?»

I przeraziły się zgraje mówiąc do siebie: «Oto umierają i nie skarżą się.»

Rzekli więc do tych co byli ukrzyżowani: «Chcecie, a zdejmiemy was?» Lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych co uciekali nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła — zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej, i zadziwili się postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: «Co się stało?»

A przyszedłszy bliżej strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał. —

A powstawszy rzekł do Anhellego: «Oto mi duch Boży oznajmił winę tego ludu, i wiem dla czego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na smętarz.

«Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.»

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku smętarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana: «Co to za Anioł z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrzał na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego spotknął się na niem, i krzyknął boleśnie; ale poznawszy że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! czas nie jest jeszcze spoczynku.

A powstawszy Anhelli, oglądał się w około i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek co się wstydzi, mówiąc:

«Otom zobaczył Anioła podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

«A miłowałem ją w czystości serca mego; dla tego łzy mię zalewają kiedy myślę o niej, i o mojej młodości.

«Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

«Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym?

«Dla czegoż nie powstanie wicher co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dla czego ja żyję?

«Oto już jednego włosa nie ma na mojej głowie z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły, ja zawsze pamiętam.

«A nie ma jednej kawki w powietrzu, którąby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

«Bo zdaje mi się że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzę się raz drugi.

«Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstawać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

«Oto mi więc smutno że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.»

A Szaman zapatrzywszy się w gwiazdy rzekł: «Zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

«Cóż zrobię? Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał, i pozwolę aby weszły w lilje wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych; zamieszkały w tem co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

«A wiesz-li kto jest ten Anioł smutny na smętarzu? Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy która wylaną była nad narodami.

«Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej i wnuczce Marji Panny — jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

«A teraz jest wygnaną jak wy jesteści wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się lecz śpijcie!

«Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów; ona jest pasterką renów.

«Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził gdy mówić będzie.

«Zaprawdę, że dla tych co są smutni, ta kraina piękną jest i nie bezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

«Tu przylatują mewy, i gnieżdżą się, i kochają się, nie myśląc że jest jaka piękniejsza ojczyzna.»

Tak mówił i podniósł jednę z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyciągały główki przez miejsce gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość śpiącego człowieka.

A wziąwszy ją rozgniewany Anhelli, rzucił o ziemię mówiąc: «Precz kościele shańbiony.»

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupiem z infułą i z krzyżem na głowie; a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: «Oto przyszliście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

«Ręce moje łamały hostję, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę mówiąc: bądźcie przeklęci burzyciele grobów.

«Azaż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorale, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony?

«Kiedy Kimbar wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc, oto jest krzyż.

«Nie poszedłem że na wygnanie jak człowiek czysty? Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegóż więcej chcecie od ludzi co umarli?

«Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z niemi.

«A to jest moja kość, ta kość spruchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja; a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

«Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? Gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberji, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej?»

Tak skarżył się — i przepraszał go Anhelli za obelgę kości jego mówiąc: «Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

«Myślałem że się smucisz za wzgardę kości twojej. — Jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? Lecz niech tak będzie jak się Bogu podobało.

«A nie powiem ci co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć choć jesteś umarłym i poszedłbyś jęcząc po świecie.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego, i zrzuć ogniste szaty, i rozbierz się z płomieni.»

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli wołając: «Powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.»

Skoro to wyrzekł, usłyzał z pod ziemi jakoby głosem tym co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman mówiąc: «Wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.»

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki, i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni. A stanąwszy Szaman pod oknami słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichło; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące zaczął mówić, zapalając się w smutku:

«Cóżeście uczynili, rzekł, bezemnie? widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

«Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

«Boś czysty był jak lilja, biorąca z wody liście i kolory niewinne; boś mi był jak syn dobry.

«Nie smuć się aż do śmierci po zgonie Ojczyzny twojej, ani płacz myśląc że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.»

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: «Ktoś nadchodzi? czy to śmierć stąpa głośno?»

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy napełnił wielkiemi łzami; i odwrócił się od niego Szaman płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: «Chceszli mię wziąść za brata? Chodź ze mną.» A ta mu do nóg upadła mówiąc: «Aniele mój!»

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za niemi szli renowie Szamana, wiedząc że za nowemi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była usługą i ścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nią ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli że była spokojną o przysłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się, jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich; widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi mówiąc: «Oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy to nie opuści nas.»

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był, jakoby głos Boży, odzywający się na wysokościach, do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu, zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy zalane łzami wielkiemi, rzekła Ellenai: «Umiłowałam ciebie bracie mój i opuszczam.»

A powiedziawszy gdzie ją miał pochować, że pod sosną która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: «Czemże ja będę po śmierci?

«Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie Anhelli; pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

«Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze. — Ale grobowiec wszystko zakończy. —

«Nie zapominaj o mnie — bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren któregom doiła, zalewając się łzami.

«Jeżeli wiesz gdzie ludzie idą po śmierci to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

«Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją?

«I nawet miejsce to gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

«Ty powiesz że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata. — Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

«A oto patrzaj, nad łożem mojem, ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to Anioł złoty stojący nademną?

«Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc. — Biedne reny moje, żegnam was.

«A teraz podniosę oczy do Królowy Niebieskiej i będę się modliła do niej.»

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanję to Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy «Różo złota!» skonała.

I na znak cudu, upadła żywa róża na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!

Lecz róża owa cudowna dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu gdzie trup spoczywa.

W trzy zaś godziny po północy, usłyszał Anhelli stukanie do drzwi które były z lodu, i odwaliwszy bryłę wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty, pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: «Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.»

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloe uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach. —

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: «Idźcie na równinę Syberji.»

A patrząc w światło Boże, zrozumieli Aniołowie jaka była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się Aniołowie, ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wzdrygąwszy się rzekli: «ludzie, co czynicie? Azaż to jest ofiara Bogom piekielnym.»

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: «Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem który go przyjmie jest głód.

«Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządził nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszemi, i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności?

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyznie i w ziemi gdzieśmy się urodzili?

«Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. — Przeklęty!»

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś Anieli:

«Nawróćcie się, rzekli, i proście Boga! albowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.»

I roześmiali się głośno ci ludzie, nie wiedząc że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: «Jakiż jest znak?»

A wyciągnąwszy rękę Anieli, pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: «Oto ten jest.»

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady, na widok rzeczy tak piękniej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich jakoby szklanne nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim który szedł od nich, poczuł że byli od Boga, i czekał co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: «Poznałem was, nie kryjcie się, Aniołami jesteście.

«Przychodzicie-li pocieszyć mię? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?»

I rzekli mu ci młodzieńcy: «Oto przyszliśmy ci zwiastować że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

«Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

«Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

«A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekami przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

«Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

«Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.»

I rzekł im odpowiadając Anhelli: «Zaprawdę, urągacie mi mówiąc o Piaście i o początku wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem nędzę!

«Czy przyszliście przerazić mię wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego co cierpi? Nie dosyć-że jest przerażenia w grobowcu?

«Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

«Pierwsza lilja na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

«Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

«A gdym usiadał dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem co szeptał.

«Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

«Idźcie! i powiedzcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjętą jest, oddaję ją, i zgadzam się aby umarła.

«Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

«A choć Bóg wie że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej — to ją dam.»

I przerwali mu Anieli mówiąc: «Gubisz się — żądanie człowieka jest sądem na niego.

«A wiesz-li ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los miljonów?

«Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?»

I ukorzył się Anhelli mówiąc: «Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mię.

«Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie jak harfa z porwanemi strunami. Do kogóż mówić będę? —

«Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

«A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

«A wzrok mój, jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

«Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi idące z latarniami przed panem.

«I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

«Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą. Cóż uczynić?

«O! dajcie mi moc miljona ludzi, a potem mękę miljona tych, którzy są w piekle.

«Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

«Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mię daleko i już nie wrócę! — Nigdy!»

A znowu przerwali mu Anieli, mówiąc: «Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

«Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

«Ostrzegamy więc ciebie z woli Boskiej że za niewiele godzin umrzesz — przeto bądź spokojniejszy.»

Usłyszawszy to Anhelli, spuścił głowę i poddał się woli Boskiej. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam Anhelli, zawołał smutnym głosem: «Więc koniec już?

«Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?»

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce: a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkiemi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrzał na Anhelli i zawołał: «Gdzie wy lecicie, o mewy?»

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: «Lecimy do ojczyzny twojej!

«Czy każesz nam pozdrowić kogo? Czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

«Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia:

«Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowca — i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.»

Taki był głos ptaków, i roskruszyło się serce w Anhellim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniała się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony, spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tententem.

Śnieg szedł przed nim, przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: «Tu był żołnierz, niech wstanie!

«Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

«Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważa!

«Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

«Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

«Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

«Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych.»

Tak mówił rycerz, a Eloe powstawszy z nad trupa, rzekła: «Rycerzu, nie budź go — bo śpi.

«On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

«Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak djamentowe źródło, i tak wonne jak lilje wiosenne.

«To ciało do mnie należy, to serce mojem było. Rycerzu! koń twój tętni — leć dalej!»

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem, jakby burzy wielkiej! A Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał. —

OJCIEC

ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mahomeda Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora, inaczej zaś z Egiptu do Syrji dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu uledz losowi. Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zwiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish. Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu zobaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na wschodzie, o której Lamartine z takiem uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem jak najwygodniej urządzić. Wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem,

przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mię otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza — za nią wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych, orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga: rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwem świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwolono mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z strażników kwarantanny. W wigilję Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegały aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem: okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Środziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego Cherubinem. Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu były opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni. — Anhelli myślał że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą. — Przeszła jednak ta bezsenna noc zgryzoty, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale tu nie był

koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mię o nowem niebespieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku. Unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do pobliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to było trzeba własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniało się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży, i ze mnie zapewnie zbierał zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk nierozumiany i smutna nuta kołysały mię do snu. A wtenczas może mię anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczył krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne — gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstellację Orjona, tak podobną

do gwiaździstej lutni zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje, ku grobowcowi Chrystusowemu. A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu, i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać. A czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. Odwróciłem się od tej sceny, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilje białe, zwiastując że się zbliżam do żyźniejszej krainy: i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilje, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historja jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmości dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumiałym języku, i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu! —

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki.
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromedarów
Chodziło co dnia na piasku pagórki,
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkię tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! O, boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!

Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: Starcze! gdzie są twoje córki?
Najprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha.
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrasku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci.
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie. —
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować —
Krzyknąłem wściekły: Niech nikt się nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła.
I tam gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umarły obie
Że choć po śmierci najmłodszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły —
Ja nie słyszałem jak obie umarły!
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą;
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze to niebo nie splamione chmurą;
A mnie się zdawało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu,
I już nie takie jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube,
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!

O! była to więc piekielna godzina,
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem! Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny,
Nikt by nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem
On do tamtego stawał się podobny,
Stawał się jak trup pierwourodzony.
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzała — matka

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Jak z wielbłądami na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził —
I patrzał! — Tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy.
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym,
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.

Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez ładu i serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: Niech Bóg wszystko bierze;
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi skonał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą, co woła: Jesteście przeklęci! —

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie!
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda, tak ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek —
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona zrobiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią

Jako na różę, przez me łzy i słońce.
Ach ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy —
Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecić.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić —
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków już trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską.
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe! —
Przyszła jak ptaszek, cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Woła: Ratuj mię! ratuj mię, mój ojcze! —

I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I, nieostrożni! zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczami rozdarli. —
Ty im to Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na smętarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci, w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
Przez tą równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu kędy morze bije —
Dla ciebi szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Allah!

Szumem pożaru co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci me wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy obstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze!
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze;
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho! —

Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — — Czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy —
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy:
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy! —
I już nie wróci nigdy! — O! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy. —
I te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja, niosłem do Szecha kaplicy,

Gdzie się nam trupia otwierała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie i słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa?
W pustym namiocie między mną i żoną,
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnie było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu —
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski:
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy.
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy!

Zona, co nawet nie tknęła połowy.
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię
I obudziłem się — na dni czterdzieści. —

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy —
Znalazła jeszcze niezepsute wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione.
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płócienniej nory,
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mię ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali, starzy —
W pamięci mojej, żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną,
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,

W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami — i słuchałem blady
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż gdy ochłodnie —
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach Boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieści;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy,
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o, Boże wiekuisty świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem —
Wszak ty nie jesteś synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiem że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy! ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,

Potem cię ogień pali, piersi gorą
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój smętarz — a tamtędy droga!

W SZWAJCARJI.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem czemu ta dusza, z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada!
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach śrebrzystych cała się rozwiesza —
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmięsza;
A czasem tylko jakie białe jagnię,
Przez tęczę idzie na krajne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny.
Lub jaki gołąb co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęcze szybko przeleci i błyśnie —
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!

Tak rozwidniona źrenicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej te moje oczy! —
A za tym zmysłem co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się i zgaśnie — i zniknie!
I byłem jak ci co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnafarbnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny —
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą — jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę — poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blisko, złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice,
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie!
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie —

Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta,
Rumieniec kwiatu co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była wszystko robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem
Myślałem całe długie pół godziny!

Wyspowiadałem się potem z tej winy
Słuchajcie! — Oto przed Tela kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja — ach nie wiem co się ze mną stało!
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono —
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty? —
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie —
W tem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,

I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną,
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria — — —!
Jak biała róża kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach myśli. —

Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody;
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy —
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory.
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury! —
O moja luba! tam pójdę za tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I się błyszczącą łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,

W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wisien na około rosło,
Ile słowików na wiśniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłótni słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić —
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie! —
Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczem nie strwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
W tem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd jak się wszystko stało —
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni,
Ręce na białą zakładała szyję;
Jak ta co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję,
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka;
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek, inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;

I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem, kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadziło mirry,
I widać było że nie wiedząc, płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie,
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom — —
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone, własnych myśli słycha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła, z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona.
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś Boskiej kary;
I skarga smutna czystych nimf, podziemna?
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —

I ptaszęt nas tak obudziły gwary —
Mówisz ty o tem? jak ta co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łeska,
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem —
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i najprzód ją zdziwiły róże
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jednę i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przeźroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie,
Zda się że nowe ją zdziwiło życie —
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przeźroczystszą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość.
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą. —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dianny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny —
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich,

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże!

Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże.
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem że mu to skrzydło połamię —
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą!
Szalet się oku wydawał jak trumna:
Maleńki, cichy — kiedym spojrzał z góry:
Nasz ogród z wisien jak smętarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody! —
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
Zabite ćwiekiem śmierci okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany. —
Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi. —
Pamiętam tylko że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek — — — —
— — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią —
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy.
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
Myśląc że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dianna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami:
Te drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą. —

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od alp na śniegu różowych — różowa? —

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niębie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem że źle będzie!
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

WACŁAW.

Są przedmioty, których by się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie **Marja** odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mię do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu, dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny. A dwa poprzedzające poemata przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

I.

Witaj mi ziemio stepów — gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy.
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
A krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy, zemstą, śpiącą w grobie! —
Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodiaków;
I czuć w powietrzu że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie!
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jaki wicher głuchy —
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy.
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli że Sawa jedzie w tysiąc koni!
Ale już w grobach są ci sławo-krośni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiesz co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb, lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowem oku,
Gdzieś w księżowym się przegląda stoku?
Czy wiesz że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Że pomścisz syna, ojca, matkę, brata,
W tej błyskawicy co na szabli lata! —
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,
Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu na takich Aniołów,
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy,
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole;
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze,
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma co zabija ciało!
Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało;

Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne —
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach,
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów!
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach;
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach.
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą! —
Więc zacznę — — W imię Ojca, Syna, Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnem kole,
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem
Choć orderami był srebrny i wiekiem! —
Ani posłane z poselstwem od matki
Kieby go w rękę całowały dziatki,

Jakby przed marą piekielną szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione — bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,
Bo na swe dziatki patrząc, łzy miał w oku!
Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim, jako krwawa tęcza.
A gorzej — wiedział to sam że odstręcza!
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi
Więc juz oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą,
Ujmować dusze co chcą nienawidzić;
A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział że tłumną hołotą
Rzucał się sprosny lud na jego złoto;
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie:
A wtenczas sercu jego, biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca,
Maleńki, blady i nierozkwitniony,
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowemi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika,
Ale mu z óczek cały błękit świeży
Pije oczyma — i wzdycha i wierzy

W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eoljonem;
Bo myślał że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotej kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku —
I czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladem obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężnem zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna:
Gdy się uśmiecha — zda się że do nieba;
Płacze — to myślisz że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło! —
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa,
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce,
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą —
— — — — — — — — — — —

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini —
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,

Dzieci i męża bezsenne wezgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie! —
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary
Staje powiewna, z lampą w ręku, blada,
Słuchać co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty rosą
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona,
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek, nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dumie.
To jaki książe, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem, domem, tronem —
Włada; gdzieindziej podobny do węża,
Tu zdrajca — panem jest żony i męża!
Więc to nie z gachem Dianna grafini,
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini?
W grocie co gładkim wyłożona brusem,
Szklannej kaskady zamknięta obrusem.
Szarfa ta wody lecąca z wysoka,
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci;
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina —
Na wszystko miłość waży się matczyna,
Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
A ciemność trwożna okryła kobietę. —

Chociaż nie sama drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny;
Gdy woda głośniej w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela —
Na głowie, siwem porośniętej runem,
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kościół, czary i amfory. —
Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei,
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową,
Pierwsze i drżące otworzyło słowo —
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu:
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle —
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza —
I widzi jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła duchowe, łabędzie,

Całe rozwioną przeciw wichrom losu —
To wtenczas serce jak z twardego ciosu.
I tem się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła!
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade;
Ktoby w jej usta, już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha;
Ktoby usłyszał z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła, z ludźmi się spotkać i z błaskiem —
I z obwinieniem co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy!
Ktoby w tej chwili, nie zalane łeską,
Ale pięknością jasne nad-niebieską,
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma:
Ten by ją całkiem miał niepotępioną! —
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

X.

Jedne tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżyca się pali.

To właśnie okno grafowskiej komnaty
Jak anioł, blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka by wziąść z tego ciała duszę —
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie:
Otwierać bramy nim się człek opowie!
Bo to nie djabeł, ani żadna jędza,
To Kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty księże Prokopie
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i Kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini lampa w oknie płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści —
Sam mówił ludziom że otruty kona,
Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;

A bramę chyba wyłamać wypada
Jak umrze. U drzwi słuchają, Graf gada —
Czasem się jakiś głosek serafina,
Niebieską skargą ojcu przypomina;
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałośne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu —
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie:
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci co słuchali przez grube podwoje,
Mówią że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści szemrzą poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnemi drzwiami, na ogród, na kwiaty —
I raz go z wody wydobyła zgraja:
Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
Widziano jak biegał przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody —
Widziano jak się topił cały blady:
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosenny maja?
A już od lat wielu takie rzeczy —
Nikt nie przysięgnie, i nikt nie zaprzeczy,

Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo,
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dla tego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka;
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tem ludzie, z twarzą bladą,
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą —
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą, krwią zbryzganą! --
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pargaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału —
Niech Bóg go broni w rozpaczy od szału!
Biada! o, biada! gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie!
To dość dla serca co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba: sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa!
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną.
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno —
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,
Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu.
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;

Drzewo, co późnej mogło czekać zimy —
On tak wyglądał, jak rycerz Solimy
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał, obejrzeć się gdzie na kurhanie.
Myślałbyś wtenczas że to anioł stepu,
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony —
Dostała wcześnie anielskiej korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej, na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? O, Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty,
Umarł przed sądem — a drudzy że ścięty —
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama,
Na takim wielkim rodzie? taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem? —
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem,
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze módz odkupić głowę! —
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy, i za śmierć gołębia,
Nikt-że tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
Nikt-że — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?

Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;
Albo umiera, syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony.
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu, przed zbójcą swej żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

XV.

Ale to pewna że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony!
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze —
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
Na wszystkie echa roskoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie —
Mówią, że myśli o polskiej koronie.
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy.
Jam go opuścił śród tego zamętu,
Myśląc: i cóż jest twardość diamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom —
W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga, ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna.
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła:
Miłość to tknęła, boleść nie zabiła —
Więc jeszcze nadto w nim miłosnej siły
A już nikogo kochać — prócz mogiły! —

O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca! —
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą! —
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli że anioł ją rzucił obrończy —
Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy,

XVI.

A dziś? — już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie:
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju,
Leży na złotem wezgłowiu w pokoju —
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy.
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

XVII.

«Dyanno —!» Przyszła, stanęła w pokorze.
«Zruć teraz piękna te ślubne obroże,
Wypogódź teraz czoło lodowate.
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę;
A skoro tylko zabłyśnie Gingary,
Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary,
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.»

«O! Antynoe już czuję zgryzoty,

A przecież śmierci męża jam niewinna!
Ona to! ona, ta kobieta gminna,
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełnić jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam by ta wiedźma z piekła
Czarę miłośnem zaklęciem urzekła:
Ona — o! srogi i okropny błędzie! —
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość — umarły.»

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie:
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc jak w świetle twarz się Grafa mroczy;
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu — o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi! — promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica.
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś — okropność! miałżeby Wacława —?
Przy łożu chusta tak leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu —? O nie, ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.
O nie — przysięgam święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny sama przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo, zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem;
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w tej kobiecie pękło
O marmur czoło uderzyło, jękło —
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła,
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie — zadrżał, oczyma nie mignął.
Lecz cały zadrżał, i cały się wzdrygnął —
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się — i poszedł dalej

XX.

Sen to, czy mara jaka nie zbawiona?
Krzyczą po zamku że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się czego u Greczyna,
Krew w niem zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.
Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiej ciszy,
Trącają — milczy jak widmo zaklętc,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
Grafini mówią była przy nadziei —
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
Wyrzucaś wietne brylantowe strzały.

Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne —
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne.
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą —
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku, złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić!
Cierpieć, miłować, nienawidzieć, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce, dawno znane,
Weszło — ostatnie — i nie zapłakane?

XXII.

Graf Wacław woła. — Wybito pódwoje?
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław — przy nim synaczek maleńki —
Zbladli — Graf woła księdza i trumienki —
Wyszli — pojechał Kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże co się pod oknami żarzą,
Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko te przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze? —
Nie — stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowem powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa, w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.

I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność —
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł — ksiądz słucha — on usty drżącemi:
«Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;
Wiem co w tej czarze było — o, anioły!
Ogień miłośny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę —
Co? może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć: kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czym grobowiec dotąd tylko wiedział! —
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli?
Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał gdy wstąpił we mnie!
A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
Zbudzić to serce gdzie zgryzoty piętno?
Wiedzieliż oni co ogień poruszy
W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?

Jaka rozogni się krwi mojej zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — Zaprawdę nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę! —
Przeklęci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą! —
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
Wszystko co ludzi przerażało trwogą —
Ale nie miłość — — Co kochać? i kogo?
Ach gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
Ta najkochańsza, najsłodsza umarła,
Wstała — to serce by moje rozdarła.
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
Niż starość ludzka, pełna krwi i winy;
Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
Otwiera niebo bez Boga — bez końca.»

XXIV.

«Księże! są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci! —
Nie jestem takim — jak ludzie niewinni;
Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia. — Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o zgroza!
Na śmierć haniebną na karę powroza! —
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty —
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny czysty,
Wszystko to jedna godzina obali!
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiaj bym wolał, o Boże! przed gminem,
Powieszonego się nazywać synem! —

Lecz wtenczas! z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imię —! Szczęściem
Mój ojciec umarł — tak jak był powinien. —
Czemuś ty księże zadrżał? jam nie winien —
Że mnie widziano tej nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?
Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz — księże! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę — lecz przysiądz za dumny.»

XXV.

«Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.
Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,
Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni,
Lubią posępnych słów oglądać skutek:
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek:
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w tej krainie cichej, wnętrznej burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.
Wytłómaczyli to ludzie inaczej,
'en marmur bolu — tę ciszę rozpaczy.»

XXVI.

«Ty wiesz że dumni nieszczęściem, nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęściem wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie —
To nawet wiara nie pochyli głowy.
A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda?
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tem sercu. Na co mię przywiodła —
Ty wiesz — lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodu!
A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.»

XXVII.

«Nie uniewinniam ja siebie, o księże! —
Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą, zaczęte, wytrwane!
Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
O! trzeba było siadać nad mem łożem! —
Gdy we śnie serce mi coś prało nożem! —
Gdy się budziłem w noc bez-księżycową,
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową.
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc czemu serce drży boleśnie.
Mówią, żem chodził po pałacu we śnie —
Nie wiem, lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał. chodził, płakał, jęczał, gadał —

Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą —
Nie wiem — bo o tem mi się wszystkiem śniło.
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
Na głowie — — Gdzie jest druga moja żona?» —

XXVIII.

«Stój! stój! Nie szukaj tej kobiety ojcze. —
Od innych ciosy okropne, zabójcze,
Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła,
Aż przyszło wreszcie że dziś, jędza blada — —
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To jej na sercu, to je kiedyś zrani.
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru «carrara» łazienka —
To dla niej. — Putrzę, i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo — —
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć!
Zostawić gruzy leżące na pował,
Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie — tu błądząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił —
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i wilgoci!» —

XXIX.

«Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą —
Świetniejsze serca wylatują przodem,
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani, to naród wysyła
Posłów — zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
O! czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu! — Ach, wtenczas, księże, nie dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
Jabym się teraz nie miał chełpić z czego! —
Szyki się biły pod Maciejowicą:
Wleciałem, ściśle zamknięty przyłbicą.
Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem;
Wreszcie i armat zakryłem się błyskiem.
I smutny w sobie, wpadłem we krwi morze.
Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był w tym ogniu rąbiącym upiorem.
O śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca! —

Lont nie chciał armat przedemną zapalać;
Kule się bały we krwi mojej zwalać,
I omijały świszcząc koło ucha;
Miecz mój po karkach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność —
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tem wola Boska! nie odgadnę,
I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, nakształt siedzącego trupa!
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, dymny, zimny.
Stałem — wtem jeden z niedomarłych, blisko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko:
Schylam się z konia — patrzę: krwią się broczy,
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy.
Dobyłem miecza — o! nie bladnij, księże! —
Choć syknął na mnie ten, gorzej jak węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.»

XXX.

«Księże — gdzie teraz Kościuszko? — w mogile —
Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych lawinach:
Musi być smutny, nad nim szmer w drzewinach.
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: ojcze! — choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, księże! serce mi rozszerza,
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną.
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną?»

XXXI.

«Obróć tu księże twe łzawe oblicze —
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
Słuchaj, po śmierci kraju, już shańbiony,
Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nademną swoje smutne gwary —
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny!
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie! —
Wchodzę — trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo —
Ściany się zdały napełnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: «nie płacz» z każdej cegły —
A mnie okropne łzy po twarzy biegły.
Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam o bogdajbym był sam! o shańbienie!
Starzec wychodzi w księżyca promienie,
Poznaję — mój teść — przy niepewnym świcie
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;
Twarz jego dzika, okropna, surowa.
Rozwija — patrzę — ojca mego głowa! —
Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał:
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

«Tak to mi starzec zwiędłe serce kruszy!
Tak to anielstwo wypędzono z duszy!

Tak to myśleli, że mię zdeptać mogą —
Aż się od hańby obroniłem trwogą!
Lecz nie pomogło — bo jak od zwierciadła,
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie.
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie,
Więc niech się skończy ten los, co mi ciąży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanej duszy
Dozna właściwych bolów i katuszy.
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc —! Księże — pociesz ty mię przecie!
Czy ty łzy tylko masz dla mnie z pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem!
Co tu widziałem, pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote:
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem.
Lecz on kochał nic, nie tęsknił za niczem —
A jednak tęsknił i kochał — — Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem.
Myślałem — biedny! czego on się męczy?
Łabędź, w jeziora zakochał się tęczy —
Umarł nim zgasła, nie doczekał nocy.
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo-echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
Myślałem że mu skrzydełka motyla

Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem że już odemnie ucieka! —
Wrócił — przy nogach mi go ból pokonał,
W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
O, cud okropny! co iskrę słoneczną
W serduszku dziecka zamknął — miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
To go zabiło — a ja cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniej
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła —
Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy — —
Przyszła! Tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy — O! to męki moje!
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje!
A jednak twarze to może jedyne,
Co odpuszczają mi hańbę i winę —
Co widząc dolę znękanego twardą,
Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą! —
Mario! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze żeś przyszła się tu ulitować!
Dobrze żeś mi się duchem pokazała,
Taka posępna, i cicha, i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca! —
Mario, czekaj zachodu miesiąca —
Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księże!
Wkrótce me ciało już ziemię zalęże,
Na długie słowa słowa już mi braknie czasu.
Każ uszyć nową jej suknię z atłasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety —
Pamiętaj — trumna to od wejścia czwarta —
Patrz, jak ta szata już na niej podarta.
Czy dobrze? — Zrób to, nim promienie świtu —
Patrz — uśmiechnęła się na to z błękitu — —»

XXXIII.

«Nie mów nikomu o mnie sługo Boży!
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę — choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo — — Dla czegoś drgnął przed tym rozkazem
Powieś tę chustę przed Panny obrazem —
Musi być święta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
To mi ostatni jest dar dla kościoła.
I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczy:
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest próbą
To upodlenie moje — i przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzej jak to co już było.
W dumie mej jeszcze przynajmniej zachodzę,
Że mię przed śmiercią broni uledz trwodze.
Gdy przy tem łożu nic, tylko rozpacze —
Gdyby mniej dumy, płakałbym — i płaczę.
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czem by się żadne łzy nie mogły zgodzić.
Wściekłość na siebie, żar co się nie studzi,
A nawet, księże! jakiś żal do ludzi:
Jak gdyby oni byli winni zdawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć.
To wszystko. — Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi — a ja go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć!
Tysiące walczyć i tysiące ginąć — —

Po mnie nieszczęścia więzienia i wojny —
I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
O, nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
A jednak — starcze! ty módl się i za mnie — —!»

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O, domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność —
Ale krew jego już dawno zepsuta.
Ciągła samotność, łzy wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało, zwiędłe od katuszy —
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią.
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zruci,
Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
Lecz nie! Ten zamek wre skargą i gwarem!
Domysły rosną z niepokojem, swarem.
Mówią że pani chciała ukryć winę;
Mówią że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie? — Po cóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije:
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wije.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie,

Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną,
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między nimi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: «Zdrajco! otóż tobie
Trucizna — w przodków wypróchniałym grobie!
Idź trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciątko moje ty i moja żmija —
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją!
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Choć Ukrainie kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle — ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka jak śmierci godzina! —»
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie,
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.

Mówią że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoliona —
Gdy wszystko scichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,
Całego w gwiazdach, w promienistem złocie:
Duchy powietrzne, za tęczową szarfę,
Przyniosły jemu zapaloną harfę.
Usiadł — do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie.
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem?
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dosłychać harfy tej cudnej dzieciny.
Nie wiem czy wierzyć — lecz cuda są wszędzie —
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie,
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

POEMA

PIASTA DANTYSZKA,

HERBU LELIWA,

O PIEKLE.

OFIAROWANIE.

U nóg twych kładę: O! żałosna wdowo
Polskiego ludu! O matko w żałobie!
Tych, co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych — co wierzą że wstaniesz na nowo!

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarze wątpiące i blade! —
W a r s z a w o! tę pieśń ci pod nogi kładę,
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy! —

Potem — schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy, i u nóg ci leży.

F l o r e n c j a, 15 listopada 1838 r.

Usiadł na grobie, gdzie jasne motyle
Około róż się kręciły grobowych:
Poprawił wąsa i wylotów płowych,
I rzekł: Pięcioro mam dzieci w mogile,
A zaś ostatni, wężowego płodu,
Syn mój ostatni jest zdrajcą narodu.
To mi włos siwy cały się wypręża,
I drży i wstaje z głowy dębem węża:
Kiedy pomyślę, jak mi się zdradziecko
Ostatnie moje pohańbiło dziecko.
Lecz niech tak będzie! Pana Boga wola!
Kontusz wytarty, szabla i niedola,
I czapka krzywo zatknięta na głowie,
I moi gdzieś tam w mogiłach synowie —
Z tym ja, mój panie, jak królowie dumny,
Krzyż zrobię święty i pójdę do trumny,
A biada temu, pod kim się usunie
Mogiła moja i ziemia na trumnie!
A biada, jeśli mój syn zdrajca stąpi
Na ten grobowiec, bo się rozestąpi;
Bo zeń czerwone płomienie wybuchną;
Bo nań wyskoczy mój trup, moje próchno,
I kąsać będzie, robactwem oblizie —
Aż go zje, aż go zdusi — aż go zgryzie!

Patrzaj ty na mnie — ot! taki jak jestem,
Widziałem Boskich na oczy aniołów.
Ot taki nędzarz, brudny od popiołów,
Obmyty krwawym narodowym chrzestem,

Nie mogę przeżyć bez pociech do zgonu,
Poszedłem sobie na górę Sionu,
Cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym,
Na zakrwawionym grobie Chrystusowym;
Za moje martwe syny się pomodlić,
A tego przekląć, co się ważył spodlić.
Za tych, co zabił tyran i zabija,
Zmówić na grobie trzy Ave Maria —
Na te mogiły, gdzie leżą krwawemi,
Jerozolimskiej przynieść trochę ziemi.
I grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy,
Posypać liściem srebrzystej oliwy,
Która Chrystusa uroszona łzami,
Wyrosła drzewem litości nad nami.
I cóż! przebiegłem błękitne żywioły,
Ot w tym żupanie i z tą szablą rdzawą,
A jak turecki jaki święty, goły;
A śpiąc pod żaglem, albo gdzie pod ławą.
I patrz, jak podróż staruszkowi służy!
Wróciłem sobie jak żóraw z podróży —
Wichry mi trochę podszarzały skrzydeł,
Mój kontusz teraz nie do malowideł;
Przez pas wychodzą moje chude kłęby,
Szabla na skałach wyszczerbiona w zęby;
Lecz chociaż sobie wygląda jak chrobra,
Byleby wojna, patrz! co? — jeszcze dobra!
Jeszcze jak niebo ma łono błękitne.
A jak nią świsnę! jak po czaszkach zgrzytnę!
Dalibóg! nie dam grać po nosie sobie!
Bom to zaprzysiągł na Chrystusa grobie.

Ale do rzeczy, mości dobrodzieju!
Tu mówią w karczmie i po domach plotą,
Żem się ja zapił aż na śmierć zgryzotą;
Że tracę nawet tę trochę oleju,
Którą ma z łaski Bożej twór człowieczy,
I roję sobie niestworzone rzeczy.

Mówią, że sztuką jakąś, może djablą,
Zaszedłem w piekle dzwonić moją szablą;
Że mi się trochę opaliła dusza,
Żem sobie nawet podsmalił kontusza:
Że mi skra padła na gołą łysinę
I wypaliła tajemniczą dziurę!
Skąd, kiedy piję, to wypuszczam chmurę!
A nawet, mówią, iskry wielkie, sine
Bogdajby djabeł oniemił fałszerze!
Ja w Pana Boga i w Chrystusa wierzę,
I co dnia mówię z kogutem pacierze.
A kto obelży mojej duszy sławę,
Z tym ja mieć będę żelazną rozprawę.
A postaw tu dzban, jak gwiazdy zaświecą,
Ujrzysz czy z mojej łysiny skry lecą?
A jeśli lecą, to dobrze, nie pusta —
Więc pożar łatwo mi zalać przez usta;
A jeśli zatkać tę łysinę ręką,
Skry sobie będą wychodziły szczęką —
A ludzie niech się sami siebie strzegą!
A że ja palę się, co im do tego?
Otóż tak dobrze! — dzban — przyniosłeś wina.
Postaw tu, panie — tu — na tej mogile;
Niech trup zazdrości, że ludziom godzina
Uleci sobie jak złote motyle.
Bo cóż? — my także grobów kandydaty!
A kto jak ja żył, lelijowe kwiaty
Mieć będzie kiedyś i polane rosą —
I drzewa, gdzie się słowikowie niosą,
I tak śpiewają i z taką rozpaczą,
Że aż tam brzozy na kurhanach płaczą.

Brr! — Coś mi panie teraz w oczach widno.
Słuchaj! Raz jednej nocy, bez księżyca,
Widziałem panie rzecz strasznie ohydną —
Lecz nie mów o tem, bo to tajemnica!
Bo jakby na mnie to poczuli księża,
Gotowi wygnać z kościoła jak węża;

A nie wie o tem ani gwiazdek para,
Ani syn zdrajca; ani matka stara,
Co jeszcze żyje gdzieś nad wodą Niemna,
I kołowrotek swój obraca, ciemna,
Biedaczka, nie wie dotychczas o niczem —
Nawet że tamci pomarli synowie.
Bo kiedy ręką mię maca po głowie,
To ja się różnym przerabiam obliczem,
Udaję różny głos i różne twarze;
A potem ślepej odgadywać każę,
Który z jej synów stoi przy niej blisko,
I zawsze inne powiada nazwisko —
Myśląc biedaczka, że przy niej są bliscy
Synowie zdrowi i żywi, i wszyscy —
A Bóg im dawno na niebiosach świeci!
A stara zamrze, to tam znajdzie dzieci!

Lecz to nie o tem mowa, mości panie!
Raz kiedy była tu cisza ponura,
A ja siedziałem spokojny przy dzbanie,
A nad sosnami temi była chmura,
Rozrzucająca okropną ciemnotę,
A tam wisiało pod nią słońce złote.
A ja tak z czapką na bakier na głowie —
Mój mości panie — dwaj mię Aniołowie
Przyszli powitać, mówiąc: — Panie Piaście! —
Zadziwiłem się i rzekłem: — Skąd waście,
Których ja nigdy znać nie miałem w zysku,
Wiedzą o moim rodzie i nazwisku? —
Tak mówiąc, byłem w djabelnym kłopocie;
A do mnie piękne te figury w złocie:
Nie bój się! Boga jesteśmy posłani;
A jeśli zechcesz przelecieć się z nami
Przez te ogromne szafirowe pola,
To z twoją wolą jest i Boga wola.
Tak mi mówili; a ja panie rzeźwy,
Wstałem: dalibóg! dziś przysięgam trzeźwy,
I w dłonie klaszcząc, jak dziecina klaska,

Rzekłem panowie jaśni! jeśli łaska
Dajcie mi widzieć tych co w piekle gorą?
A potem moich dziateczek pięcioro,
A potem jeszcze gdzieś na tamtym świecie —
O kim ja mówić chcę, zapewne wiecie?
Więc jeśli wola jest Jehowy na to,
Niech będę z temi, co już poszli dawno,
I włożeni są w ziemię lodowatą. —
A gdy mówiłem, to było mi jawno,
Że prośbę moją napróżno zanoszę.
I że nie zrobią święci o co proszę.
Aż tu mój panie, nad podziw, ci złoci
Biorą mię, nakształt zerwanej stokroci
Biorą, i prosto w tęczę złotowłosą,
Na ciemną chmurę, nad sosnami niosą:
I bez żadnego szelestu i dźwięku,
Niosą szlachcica w niebo, z dzbanem w ręku.
Aż ja z nad chmury upuściłem dzbana —
I potem aż się dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole,
I zostawił mu siniec w upominku —
Pożałowałem dzbana i uczynku.

A to więc panie mój, były nie żarty!
Na złotych skrzydłach jak król rozpostarty
Lecę, a tęcza co wisi na chmurach,
Świeci jak brylant na kontusza dziurach;
A gwiazdy żółte, różowe i sine,
Sypią się deszczem na moją łysinę;
A księżyc blisko przybiega i staje,
I widzę srebrne rzeki, srebrne gaje,
Góry — o góry zaczepiłem pałasz — —
A dotąd nie chce wierzyć pan bakałarz,
Choć mu po stokroć na honor mówiłem:
Gdy księżyc świeci we mgle — że tam byłem.

I tak mię nieśli Boscy aniołowie —
A ja siedziałem jednemu na głowie,

Puszące się dumą jak paw na folwarku;
Nogi zaś moje drugi niósł na karku —
Anielik mały, jak różyczka młody,
I nogi moje dźwigał jak dwie kłody,
A takie były te aniołki skoczne,
I takie zwinne, że nie oni sami,
Alem ja zaczął prosić się ze łzami,
Niech sobie stary na chwilę wypocznę;
Bo mi już kości trzeszczą jak łuczywo,
I w gwiazd mi żywych towarzystwie ckliwo.
I zaręczam ci na honor szlachica,
Że postawili mię na dwóch podkówkach,
Na samym środku srebrnego księżyca;
I na różanych mię oparli główkach,
A ogień zaczął mi iść przez łysinę —
Jeżeli kłamię, panie, to niech zginę!
Ogień wybuchał przez kości i skórę,
I szedł z księżyca jak kolumna w górę.
A stąd urosło o mnie to przysłowie,
Żem się wypalił na księżycu w głowie.
Ale w tym, panie, prawdy ani trocha!
Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha?
Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpaczy
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszy że krzyczą do broni! —
Przed Panem Bogiem się tylko ukłoni,
A potem ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.
To i mnie widzisz żem jeszcze gotowy —
Choć mi czuć dawno już wilgoć smętarza,
I zapach trumny nozdrze już obraża,
Zapach posępnie smutny i cedrowy —
To chociaż czuję że przez bliskie rżysko,
Leci koń śmierci, i leci, i tętni,
I już nadbiega z próżnem siodłem blisko;
Nim wskoczę: biada; kto mi się nawinie!

Biada! kto moją ojczyznę zasmętni!
Bo nim łza po mnie, to wprzód krew popłynie.
O! wy nie wiecie, co się w sercu złoży
Zemsty i bolu, nim się grób otworzy?
O! wy nie wiecie, ile dusza dzika
W jeden cios szabli na przyszłość zamyka,
Wiele modlitew o zgon ludzki kładnie?
Aż z takim ciosem pierwsza głowa spadnie!
To może wtenczas gdy ją w piasek rzuci,
Do Pana Boga i modlitwy wróci,
I spokojniejsza sądów Boskich czeka,
Ubrana w jasną szatę, w krew człowieka — —
Ale to mary! to są mary krasne.
Ja potępiony, nie zemszczony zasnę!
Z sercem na zemstę tak długo upartem,
Ludzie zostawią śpiącego w kurhanie;
Śpiącego starca, w kontuszu wytartym —
I tak na wieki będzie, tak mospanie!
Przybędzie tylko ku kraju ozdobie,
Jeden grób więcej i starzec w tym grobie:
A słowiki mu chór żałości utną.
I cóż? — Na księżyc wróćmy, bo mi smutno.

Otóż jak mówię! — Hej! dolej mi szklanki!
Gardło jak suche, to gra jak w multanki!
A tu mi trzeba o piekielnym dziwie,
Jak psu po nocy, zaszczekać chrapliwie.
Idę przez księżyc złocisty i szary —
I napotykam trzy okropne mary.
Przy ogniu trójka siedziała spokojna,
Około ognia: Głód, Dżuma i Wojna —
Siedziały cicho i w kotle warzyły
Trupy, z wczorajszej wyjęte mogiły.
Widząc te rzeczy w lodowatej strefie,
Krzyknąłem: Jezu, Mario, Józefie!
A pocieszywszy się modlitwą skrytą,
Rzucam się na nie z szablicą dobytą:
Rzucam się wściekły — jak tnę bogobojnie,

Uciąłem prawe ucho pani Wojnie;
A Głód je chwycił, i gębę rozdziawił,
Połknął uszeczko siostrzycy i strawił,
I w kociół je wnet rzucił z drugiej strony.
Stałem, i wąsa kręciłem zdziwiony —
Myślę: co robić? A djabli to wiedzą.
Co utnę szablą to połkną i zjedzą.
Twarz mi się zgrozą stała trochę blada,
Bo panie! sprawa z djabłami nie lada!
I przemyślałem więc summarum summa
Co robić? Aż tu do mnie pani Dżuma:
Nie jendycz się tak, krzyknęła, szlachcicu!
Na srebrnej ziemi, na zimnym księżycu,
I nie bądź takim przeraźliwym Serbem;
Wszak ty Leliwę, księżyc miałeś herbem?
Więc może ciebie nie bardzo rozbestwię,
Prosząc na ucztę w twem własnem królestwie.
Siadaj przy kotle i powąchaj woni,
A potem proszę, jedz — bez ceremonji.
Na takie dictum, choć przysięgam jeszcze,
Djabelne jakieś szły po skórze dreszcze,
Zbliżam się — z kotła idzie krwawa para,
Wonna — myślałem że gotują Cara
Lub inną jaką potępioną liszkę;
Zazieram — krwawy war — proszę o łyżkę —
Dają mi, wielka jak łopata, sina,
Dobywam z kotła coś — to głowa syna!
Struchałem! Syna mojego głowinka!
Blada i krwawa; oczki otworzone,
Usteczka jeszcze jak róże czerwone,
Twarz, oczki, mego najmłodszego synka!
Patrzy się na mnie, żółciutki jak woski;
I tak trzymałem go za złote włoski,
I nie wiedziałem wyć, płakać, czy szczekać?
Aż widmom z oczu krew zaczęła ściekać,
I rozpłakały się krzycząc: szlachciuro,
Nam samym smutnie, zimno i ponuro,
I drżą wnętrzności jak żywoty matek,

Słuchając, jak ty płaczesz twoich dziatek;
A nie obwiniaj nas! bo my bez plamy!
My je od ojca kochanego mamy —
On je tam łowi gdzieś w krwawym potoku,
I w morzu płaczów: i nam tu co roku
Przysyła takich głów tysiące darem.
Ojciec co karmi tak, zowie się Carem;
A my kochamy go, bo dla nas dobry —
Mówiły: a ja płakałem jak bobry.
I płacząc kocioł mięszałem aż do dna;
Więc najstarszego syna głowa chłodna,
I główka tego co był w rodzie średni,
I pięcioro ich — wszyscy moi biedni! —
Wszystko pięcioro głów z kotła dobyłem,
I nie płakałem już po nich — lecz wyłem.
I tak mi wyschły źrenice rozpaczą,
Że zawstydzały mię widma co płaczą.
Jakby martwica co po piekle hasa,
Wiążę te głowy trupeczków do pasa:
Tak przywiązuję tu za włoski złote,
Pod samym sercem najmłodszą sierotę;
A tu wąsatą twarz syna ułana,
A tutaj trzecia, czwarta przywiązana,
A piąta wisi tuż przy rękojeści:
I tak z wszystkiemi pięciu — o boleści! —
Aż na te widma zimna padła trwoga —
Głośno krzyczałem że idę do Boga.

O! haniebna to była maskarada!
Gdybym się kiedy tak we wsi pokazał,
Proboszcz by dzwonić w dzwon umarłych kazał,
Za mną by dziatek leciała gromada.
A tam — krew ciekła na księżyca bruki —
Leciały za mną wrony, sępy, kruki,
Wilki wyjrzały z parowów i jękły,
Aniołki znikły, bo się mnie przelękły;
Przecięż, żem nie był zbój, to łatwo docice,
Na czole miałem napisane: ojciec.

W oczach łzy były co wszystko tłumaczą —
Zabójce tak nad trupami nie płaczą.
Szedłem przez góry, szedłem przez padoły;
I nie wiem gdzie szła ta piekielna droga,
I nie wiem czyli tam chodzą anioły;
A ja krzyczałem że idę do Boga.
Idę przez ciemne, tajemnicze światy,
Ukochanemi trupami skrzydlaty.
Idę, a język mi syczy jak żmija,
Mózg wszystko pali, łamie i zabija,
Boleść, co w sercu cały świat oskarża,
Mój widok sądem jest, mój płacz przeraża —
Umarli co mię zobaczą, nie zasną;
Bóg może nawet twarz odwróci jasną.
Na blask boleści, który ze mnie strzela,
Od krwi co w kontusz wypłowiały wsięknie!
Matka się Boska odwróci i zlęknie,
Myśląc że była matką Zbawiciela.

Idę — w tem, panie, patrzę — jakaś szklanna
Z księżyca w niebo wytryska fontanna;
A od niej leci woń miła i słodka,
A przy niej tańce, pląsy i chichotka.
Dziewczęta hoże, proste jak bądyle,
A ze skrzydłami jak polne motyle —
Za dziewicami rój kochanków młody,
Goni, całuje i spycha do wody;
A ukąpane dzieweczki, wychodzą
Piękne jak róże, co się dzisiaj rodzą —
Piękne jak białe narcysy do wianka!
I za kochankiem, znów leci kochanka,
I nikną w łąkach. A ta wywrócona,
Gdzieś szafirowe łowi winogrona:
A ta do wody kryje się jak płotka,
Nie mając innej szaty jak ta woda;
A ta całuje kogo tylko spotka —
Wszędy wesołość, śmiechy, miłość, zgoda.
Zmartwiałem — wąs się najeżył surowy.

Spojrzałem gorzko na dzieciątek głowy —
Szukam, znajduję dwa kamienie duże,
Chwytam — w tem jeden zamienił się w róże,
Drugi w motyla — tak, że z gniewu burzą,
Motylem na nie rzuciłem i różą.
Wściekłość mię zdjęła! W tem jedna z dzieweczek:
Patrzcie! krzyknęła: co to za figura?
Patrzcie! krzyknęła: co za aniołeczek
W starym żupanie! patrzcie co za gbura!
I wszystkie w śmiechy ha! ha! ha! ha! ha! ha!
A jedna do mnie: proszę pana Lacha!
Proszę tu bliżej, tu nie ma zazdrości,
Dla wszystkich płynie fontanna młodości.
Proszę tu bliżej; zagrzej sobie żyły,
A wyjdziesz świeży jak kwiatek z mogiły;
Odrzucisz czaszki zbierane na grobie,
Wymyjesz tę krew co z żupana cieknie,
A potem sama zakocham się w tobie,
I przekochamy czas, i czas ucieknie! —
Proszę tu bliżej! proszę do fontanny!
Tak zapraszała ta i drugie panny.
A tu mi wtenczas już gniew nie wystarczał,
Zęby szczęknęły, i język zawarczał,
A wy niegodne! a wy kogutnice!
A tam kraj we krwi? a tu w różach lice?
A tam mogiły — a tu! — bierz was djabli! —
Jak skoczę panie! jak dobędę szabli!
Jak się z krzyżowym wypuszczę zamachem!
Wszystkie różyczki w nogi! — ja za niemi —
Lecą, ogromnym ścigane przestrachem,
Biją mię w oczy włosami złotemi;
A ja zaś rąbię — co machnie szablica,
To utnie kawał srebrnego księżyca.
A te się śmieją, biegną i wietrzeją
I za laury się kryją i znów śmieją,
I przez cyprysy skakają jak róże —
Ażem się cały w łzy zapocił duże!
A tak mi serce wściekło się grobowe:

Że odwiązawszy z paska, syna głowę —
Przypadkiem głowa to była ułana —
Jak za włos chwycę! jak zakręcę wartko!
Jak palnę!!! — czarna z niej krew jak ze dzbana.
Ułan, miłośne to było lampartko!
Skoro się poczuł, w trop za dziewczątkami,
I djabli by go nie wstrzymali sami.
Kręci się, leci, kolorów nabiera,
Wąs się zakręca, oko się otwiera,
Jak w lot się puścił, tak leci i leci! —
A trupek to był: a proszę waszeci!
Fartuszkiem swoim z bielutkiego rąbka
Najpiękniejsza go wzięła jak gołąbka,
I przytuliła: i chórem gromadnim
Zaczęły wszystkie piękne płakać nad nim.
Aż mi jęły ciec łzy po siwych wąsach.
Zostańcie! rzekłem: zostańcie wy w pląsach,
Wy, co i płakać umiecie rycerzy!
Przy waszem sercu mu dobrze, niech leży;
Niechaj spoczywa, a wy moje młode
Lejcie na niego tę młodości wodę —
A choć nie zbudzi, to lepsza jest ona
Polewać trupy, niż łza moja słona.
Ubierzcie go wy w kwiaty lelijowe,
Tańcujcie nad nim i bądźcie mi zdrowe.
Bo mnie staremu inna niż wam droga,
Bo ja mam krwawy zapozew do Boga.
Tak mówiąc, w serce jakby mieczem ranny,
Od śmiejącej się odszedłem fontanny.
A wiatr z prędkiemi lecąc za mną echy,
Przynosił długo płacz, róże i śmiechy.

Lecz to na długą powieść się zabiera;
A człowiek grzeszny częstokroć umiera
I małej bajki życia nie zakończy.
A nad nim wszyscy w śmiech! — a wstyd mospanie!
A cóż robiłeś ty na życia łanie?
A rzadko jaki tam anioł obrończy,

Stłumi obmowy gadające licho,
Mówiąc: on w grobie śpi — gadajcie cicho!
Więc o to chodzić każdemu powinno,
Ażeby «finis» był w jego żywocie;
Jak jedną powieść skończy, zacznie inną,
Gdzieś tam na tęczach w promienistym złocie,
Gdzie już nie pójdzie nic chęciom opacznie.
Kiedyż się moja taka powieść zacznie?
Jużem grób sobie jak ziarnu wyorał —
Ale bierz djabli grób, ciało i morał!
Do rzeczy panie! Na końcu księżyca
Stoi piekielna jakaś szubienica,
I biednych ludzi po śmierci przestrasza,
Kołysząc trupem brzęczącym Judasza.
Za szubienicą zaś tą o pół ćwierci
Mili niebieskiej, stoi brama śmierci.
Nie dla tych ludzi co szli wedle cnoty,
Ale dla krwawej piekielnej hołoty.
A na tej bramie są różne napisy! —
Na szabli mojej, jak żebrak na kiju,
Przed piekłem mój łeb uchyliłem łysy
I czytam — tutaj: sacre nom de Diu,
Ognistą szablą jakąś grenadjera
Wyrysowane, stoi w diamencie.
Tu inne jakieś straszniejsze przeklęcie
Carrajo! Goddam! Do stu —! et cetera.
I różne takie, mój panie, rysunki
Nosi na sobie ta piekielna wieża,
Żem się pokornie udał do szkaplerza,
I odmawiałem pobożnie korunki.
A dreszcz mię przebiegł i przejęła skrucha
Widząc jak za tą wieżą ogień bucha.
A tutaj do mnie z bramy jakiś człeczek
Krzyknął: szlachcicu! — Jam zaś, nie chcąc sprzeczek
Z djabłami, udał, żem ślepy i głuchy,
I litanije trzepię pełen skruchy,
A patrzę zezem — a ten nieboraczek
Z ognia wydobył nos krzywy jak haczek,

I kichnął skrami i łzy miał na licu;
I znów mię prosi: mój panie szlachcicu!
Jeżeli twoja łaska, albo czyja,
Niech zmówi za mnie sto ave maria;
Jam cenzorował książki i obraski —
A teraz w piekle; zowię się Sz.n..ski —
A djabeł tutaj mię postawił na to,
Abym nie wpuszczał myśli; a pod stratą
Duszy moskiewskiej uczynić to muszę,
Bo choć ją djabeł rwie, mam jeszcze duszę!
A to! krzyknąłem, rzecz niesprawiedliwa
Cenzory w piekle palić jak łuczywa!
A przyznam ci się, żem nie wiedział prawie,
Kogo ja z piekła do nieba wyprawię.
Już się za szkaplerz biorę nieświadomy —
Aż tu w korunkę dwa czerwone gromy!
Aż tutaj szkaplerz i szlachcic się pali.
Uciekam — widzę rzekę — buch! do fali!
Wpadłem, myślałem że już na dnie leżę;
Lecz te główeczki dziatek jak pęcherze
Płyną po wodzie, i mnie starca niosą.
O wy! z twarzyczką białą, złotowłosą!
O wy dzieciątka moje! z twarzą młodą,
Jak wy nosili mię nad piekła wodą!
Jak wy dźwigali mię śród tego wrątka —
O! łabędzie wy moje! o dzieciątka!
Próżno mię jakiś chciał wyrwać z powodzi,
I do swej czarnej zapraszał mię łodzi —
Człowiek co wożąc mgły, zarabia chleba.
Odpowiedziałem: łodzi mi nie trzeba,
Bo mię tu niosą synaczkowie moi;
Wody nie trzeba — bo mię łza napoi,
Ani rozmowy — bo trupki te bawią,
Ani modlitwy — bo mię one zbawią,
A zaś przed Bogiem nie trzeba wymowy,
Bo za mnie będą mówiły te głowy.
A wszystkie trupy co na łodzi stały,
Na moją głowę pokazując sobie,

Pytały: czy to jaki łabędź biały,
Co smutnie śpiewa gdy ma zasnąć w grobie?
Bom się unosił śpiewając żałośnie,
Po czarnej wodzie co z łez ludzkich rośnie.

Nie patrz ty na mnie, gdy ja w smutek wpadam,
Bo wtenczas nie wiem co się ze mną robi —
I cały we łzach utonąwszy, gadam.
Lecz gdy mię starca wesołość ozdobi,
Wtenczas mi śmiało możesz patrzeć w oczy.
Śmiejmy się! ej ha! aż serce podskoczy!
Śmiejmy się jako woda zwierciadlana!
Śmiejmy się! pozwól że zajrzę do dzbana —
Hej tak! otarłszy pot na siwej skroni,
Spuściłem pałasz, niech po piekle dzwoni.
Człowiek poczciwy to nie tajemnica,
Po całym piekle niech słyszą szlachcica.
Twarz polska nie ma obłudnej skorupy,
Niechaj w nią patrzą jak w zwierciadło, trupy —
Kto ma z płomieni posłanie i trunę,
A w grobie mi się z oblicza podoba,
Za tego westchnę — a kto nie, to plunę.
Albowiem szlachcic żywy — to osoba —
A król umarły jest to rzecz nicości,
Troszkę robaków — tfu! i trochę kości.

Lecz wprzód opiszę jaką tam strukturą
Stoi ta wieża zwana trupów górą. —
Czarna po wierzchu, czerwone ma wnętrze,
O siedmiorakim zbudowana piętrze;
Różne języki w niej mówią i płaczą,
A wchodzisz na nią drożynką ślimaczą.
A czasem ciemno tak, choć wykol oczy;
A tam grom wytnie, a tam wąż wyskoczy,
A tam lew ryknie, a tam żmije pisną;
Czasem jak wilcy, trupy okiem łysną.
Śród takich strachów, śród takiego dziwa,
Szedłem Dantyszek, Piast, herbu Leliwa.

A każdy mi trup mówił: dobra droga!
Wiedząc że idę ze skargą do Boga;
I niosę cztery główki mego rodu,
Jak pokrwawionych gołąbków dwie pary —
I mam w kieszeni manifest narodu,
Abym przeczytał go przez okulary
Przed panem Bogiem; i dowiódł rozprawą
Ze szlachcic, kiedy zabija, ma prawo.
Że mu przystojnie gdy przed Bogiem stanie
Ze krwią na szabli, ze skargą na zębie.
Bo cóż — był biały. — Ale to mój panie
Jak okrwawione po nocy gołębie,
Kiedy na pole walki pić przylecą;
Nie wiedzą same co piły? czem świecą?
Tak i my biedni, ludzie nieobłudni,
Cożeśmy winni, że krew w naszej studni?
Cożeśmy winni że krwią czara tłusta
I krwawe oczy i czerwone usta?
To może nawet nam i serca bolą
Jeść ciągłą zemstę z łez żałosnych solą!
Ale cóż robić? tak nam być na wieki
Ludziom, bez Boga litosnej opieki —
Tak — aż się kiedyś tam szala nachyli.
Choćbyśmy do dnia sądnego krew pili,
Bądźmy jak męże co walczą i mszczą się;
A choćby tyle w nas życia jak w kłosie,
Co rośnie pośród gdzieś przejezdnej drogi —
Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!

Tu cię na wstępie powieści przerażę —
Wieża piekielna oparta na Carze,
Na jednym trupie, jak na zgniłym palu,
Cała się trzęsie wisząc na moskalu.
A nie dziw się ty sile trupiej belki,
Bo to w osobie piekielnej — Piotr Wielki.
Siedzi pod wieżą, a na niego z cebra,
Jakieś straszydło okropne, puchacze,
Wylewa ciepłą krew ludu i płacze —

I oczerwienia mu łeb, piersi, żebra.
Przed tym straszydłem, co siedzi czerwone,
Myślałem z trwogą że we krwi utonę.
Co robić? krwawa podemną kałuża,
Nademną smutnie krew ludzka szeleści;
Straszydło siedzi i oczów nie zmruża,
A oczy jego czerwone jak róża.
A tyle w nich krwi, że łza się nie zmieści.
A rzecz straszniejsza! każdy trup włóczęga,
Carowi temu na wierność przysięga! —
We krwi się topią mary niedołężne;
Ogień zapalił im palce przysiężne,
Tak, że każdego kościo-trupa wdzięki
Widać przy ogniu palącej się ręki —
Palą się, klęcząc. — A tu nowe dziwo!
Krew do mnie woła po polsku: Leliwo!
Jam jest krwią ludzi umarłych bez plamy!
Jam jest żałosną i męczeńską jestem!
O przekop ty mi twoją szablą tamy,
A ja popłynę z płaczem i z szelestem,
I całe piekło mszcząca się zatopię! —
Rzekła: ja zaraz do szabli i kopię.
I krew się cała z kałuży wywala,
Skarży się, płacze i szumi jak fala;
Zagasza trupom płonące ramiona.
Cała dolina we krwi już czerwona —
Wszystko się topi jak w sądu godzinę!
Ja sam co rów ten wykopałem, płynę —
Już po pas we krwi, już czerwona szyja,
Już wąsy — Jezu! krzyknąłem, Maria!
Piekło się wali! — a dajże go biesu!
Co jeden szlachcic narobił tertesu?
Piekło zalane krwawą falą — ginie,
Szatani toną — pan Dantyszek płynie.
Powietrza nabrał sobie w twarz pyzatą,
Urąga z głupiej fortuny jak Kato.
Łysina błyszczy ludziom potępionym,
Jak biały księżyc na morzu czerwonem.

Szabla rdzewieje. — Niech ją biorą djabli!
Polak w kołysce i w trumnie przy szabli.
Wreszcie znudziło mi się tak żeglować —
I pomyślawszy, zawołałem: Chryste!
W imię Twe święte racz ty mię zachować.
I wnet uchwycił mię ktoś jak w ogniste
Skrzydła, i wyniósł w nieskończoność ciemną,
I przez powietrze mgliste leciał ze mną.

Skorom wyleciał nad czerwone brody,
Zacząłem wołać: wody! wody! wody!
Czarny cherubin, co mię w skrzydłach nosił,
Skoro posłyszał żem pokornie prosił,
Postawił ciało me grzeszne na skale,
I ulitował się mnie, i wspaniale
Oko swe własne z nad dzioba wyłupił,
I dał mi z oka pić — a jam się upił.

Polak prawdziwy kiedy się upije,
Wspomni ojczyznę i płaczem zawyje;
Potem jak ludzie w zmysłach nieprzytomni,
Śmieje się głośno gdy o niej zapomni.
Tak ja mój panie! to śmiech, to łzy żywe,
Lałem na moje długie wąsy siwe.
I cóż! gdy miła ojczyzna nie żyje,
Kto starca może obwiniać że pije?
Hej, nieście dzbany, i stawiajcie w koło!
Niech pomagają umierać wesoło!
Niech pomagają tysiącami dźwięków,
Nie słyszeć kajdan i płaczu, i jęków!
Niechaj na kwiaty obalają śliczne,
I pod lipami do snów cichych tulą! —
Na cóż nam serca chować balsamiczne?
Cóż po tem? że łby siwe się rozczulą
I znów na piersi zasklepioną ranę,
Jak łby łabędzie spadną zadumane?
Co zrobią myśli pod czaską ogromną?
Przypominając — co sobie przypomną?
Nic. — Wszędzie nędza, smutek i zgryzota!

Ojczyzna — kawał skrwawionego błota!
Polak — wygnaniec, męczennik, sierota!
To pić i szukać zapomnienia w dzbanie,
A zbudzić serce, gdy kraj zmartwychwstanie.
Upił się starzec — a tu właśnie sina
Zachodzi jemu drogę Katarzyna.
Spojrzałem na nią! o krwawa! o sroga!
Trupy! skrzydełka! nieście mię przed Boga!
Spojrzałem na nią i w źrenicę cisnę,
I powiekami mogiłę zawarłem —
I będę milczał, aż ją krwawem garłem,
I krwawem okiem, przed Bogiem wybłysnę;
Aż ze mściwego serca wyrzucona,
Przed Panem Bogiem upadnie i skona.
Trupki! skrzydłami wy bądźcie pośpiechu —
O! wy nie śpieszne już! o! wy leniwe!
Główki! ptaszęta wy moje nieżywe!
Ja się wam każę nieść przez kraje grzechu,
A wy płaczecie, i wasz głosek niemy
Mówi mi: Ojcze! my już w grobie śpiemy!
Dobrze! nie będę was płakać, o dziatki!
Ani jak ojce, ani tak jak matki;
Lecz jak jaskółka jaka nieszczęśliwa,
Co puste gniazdo skrzydłami nakrywa;
I o swych dzieciach jak o żywych roi,
I pod skrzydła się własne zajrzeć boi.

Ciało Carycy zgniłe, starożytne,
W sercu ma węże, jak miecze błękitne,
Za sobą skrzydła też wężowe wlecze,
A z czarnych piersi, krew jak koral ciecze.
Na grynszpanowej krwi te węże tyją,
I nad umarłą niewiastą się wiją;
A twarze mają blade martwych ludzi,
A usta im krew zastygniona brudzi —
A z bladych twarzy wznoszą się do góry:
Płomienne, z ognia piekielnego sznury.
Także ujrzałem i dziś jeszcze widzę,

Na siedmiu węzłów splątanej łodydze,
Jakby ten świecznik tyleż liczył prawic,
Widzę głów siedem trupich i błyskawic.
Świecznikiem była. Tu nagle, o zgroza!
Jeden wąż nad nią nagiął się jak łoza —
I zdjąwszy z siebie człowieka oblicze,
W usta jej czarne, krwawe, tajemnicze,
Wszedł i do serca aż może przeniknął,
Bo potem wyjął głowę i krwią syknął —
A senność jakaś padła na umarłą,
Poziewające otworzyła garło. —
Patrzałem trwożny co się dalej stanie,
A z niej ogniste wyszło poziewanie!
I w gadzinę szło jakby płomień siny;
A drugi płomień w trupa, szedł z gadziny.
A tu już wstrzymać nie mogłem szablicy!
Jak tnę w nadęty żywot czarownicy,
Cały otworzył się jak czarna grota:
Wyszedł dym, płomień i węże z żywota.
Węże — i na mnie lecą czarnym kłębem,
Próżno je szablą tnę, zgrzytając zębem,
Próżno, z gadziny rodem nie ma rady —
Ten kłębek w setne rozsypał się gady.
Lecą i myślą że szlachcica zniszczą —
Lecą i skrami sykają i świszczą.
Uciekam, a wąż tuż, tuż za mną ściga.
Odcinam się im, kręcę się jak fryga;
Wreszcie do głowy po ostatnią radę —
Chwytam dzieciątko jedno moje blade,
Rzucam je, więcej sam niż trup wybladły! —
Na głowę dziecka wszystkie gady wpadły,
I okręciły ją wiankiem i zjadły. —

Tam węże jedzą głowę, a tam krzyki!
A tu mię liżą płomienne języki —
A tu duch jakiś okropny, ponury,
Ze złotą tacą, w chałacie z purpury,
Idzie i usty ognistemi piecze

Na złotej tacy — co? — serce człowiecze! —
Spojrzał nocnego na mnie okiem ptaka.
I rzekł mi: patrzaj; to serce Polaka.
Kłamiesz! krzyknąłem, straszydło szkaradne!
Bo w nas się serce tak nie trzęsie żadne,
A choćbyś rozdarł mi szponami ciało
I wyjął moje, aniby zadrżało! —
A ta rzecz drżąca i zgniła, i szara,
To musi serce być jakiegoś Cara —
To serce, co jak wąż z tacy umyka,
Musi być z Cara, albo z niewolnika,
Bo drży wyjęte z piersi — bo się boi. —
A duch: Co ci się mój szlachcicu roi?
To serce przyniósł tutaj pies szatański,
I szczęknął do mnie że to Erywański;
A ja upiekłem je dla Lucyfera.
Tak mówiąc usta na nowo otwiera,
I na te serce ogniem z gardła dmucha.
Serce się kurczy pod ustami ducha,
Więdnie, i krwią się rozlewa po misie;
A kiedy szatan jaśniej dmuchnie — skrzy się.

Poszedł. A szlachcic poleciwszy Panu,
Serce Polaka co nie dźwięk liczmanu,
Ale dotknięte od fortuny młota,
Wydaje smętny brzęk szczerego złota —
To serce Panu oddawszy w pokorze,
Wyszedł jak okręt, na nieszczęsnych morze.
I wyżeglował w jakieś kraje smętne,
Gdzie było niebo krwią narodów mętne —
I krwawa tęcza była na ciemnicy,
Jak wstęga z cichej krwi i błyskawicy,
A całe niebo zielone jak z miedzi —
A pod tą bramą czerwoną trup siedzi.
Złożyłem ręce na piersiach pobożne:
Koło martwego przechodzę ostrożnie,
Abym nie trącił o rzecz taką cichą,
Siedzącą martwie pod krwiami narodów —

Idę — i moją nic dźwięczę szablicha,
Myśląc że to jest jaki trup Herodów,
Któremu tu jest wieczności początek
I wieczna skrucha, za rzeź niewiniątek.
Aż tu ktoś do mnie z ciemnego powietrza:
Pluń w twarz, zawołał, tej bezwstydnej marze,
Która jak szakal tu krew trupią zwietrza.
Stanąłem: myśląc że Boga obrażę,
Że mię tu szatan w swoje sidła łowi,
Każąc mi w ciche lice plwać trupowi.
A gdym z sumieniem zadał się do sporów,
Głos znowu krzyknął: plwaj! bo to Suworów!
Ha! ha! krzyknąłem — szlachcicu! moskalu!
Więc i ty teraz po krwi naszej w żalu?
Siedzisz jak żeglarz na rozbitej łodzi,
A krew po oczach przelęknionych chodzi?
I nigdy na nie nie spada powieka;
A czasem tylko mgnienie krwi powleka
Sine szkło, w czaszce oprawione trupiej!
A czasem się wzrok cały w tęczę wsłupi —
A wtenczas jako liść na drzewie chory,
Źrenica twoja ma różne kolory;
I różne blaski i haniebne cienie
Miota, o rzezi mówiące sumienie.
Czy słyszysz jeszcze pod okropną tęczą
Jak matki krzyczą? jak dzieciątka jęczą?
Jak wyrzynana Praga wre i płacze! —
Maro! na ciebie żaden wąż nie skacze,
Żadna przy tobie nie szeleści dusza;
Lecz piekło trupów się pod tobą rusza! —
A tęcza jak bicz na ciebie okrutny,
Bo siedzisz blady, drżysz i jesteś smutny.
To nieszczęśliwym nam znośniej w ciemnicach,
Z łańcuchem u nóg, ze łzami na licach;
Mniej obrzydliwe, gdy z więzienia nory
Wychodzą blade szpiegowskie potwory,
I stają nakształt ciemnego anioła,
Słuchać co we śnie mówią blade czoła

To stokroć lepiej w krwawą upaść rzekę,
Oddawszy duszę swą Panu w opiekę;
I świat utracić jak rzecz jaką podłą —
A potem, gdzieś tam, pod smętarza jodłą
Leżeć spokojnie i z umarłych pychą
Słuchać, jak sławny hymn śpiewają cicho:
I przerywają sobie często łzami,
Żywi, śpiewając nad zmarłych trumnami.

Hej! hej! piekielna rozszerza się góra,
Im dalej idę, tem bardziej ponura,
A tu jakiś trup, niby wierzba sucha:
Ogniem jest jasnym po głowę od brzucha,
A jeszcze Panie! uda ma zupełne —
Wnętrze: oleju, krwi, żył, ognia pełne.
Tak opuszczona chrześcielnica kościelna,
Gdzie była niegdyś woda nieśmiertelna,
Kiedy ją ludzie opuszczą, pleśnieje;
Wąż ją wypełni, i mech przyodzieje.
Tak i w żywocie tym trupim, już gady,
Płomień i błędnych iskierek gromady,
A nad tym wszystkim spleśniała skorupa:
A ciągle nowy grzmot walił w pół trupa.
I taki był blask, że szlachcic Leliwa,
Myślał: tam Bóg się za światłem ukrywa.
Z taką nadzieją, człowiek nie ze słomy,
Krzyżem się świętym opatrzył — i w gromy!
Skry go opadły, a piorun potrąca —
Nie dotknąć szabli, jak ogień gorąca.
Duszeczki z twarzą niż lilijki bladszą
Na starca z ognia piekielnego patrzą,
Proszą biedaczki o Ave Maria —
Szlachcic się żegna, modli się i mija,
Męki się biednych duszeczek użalił,
I szedł, i w ogniu Pana Boga chwalił.

Przeszedłem gromy i ognistą chmurę —
Idę, a oczy zanoszę na górę —
A tu na złotym niby słońca denku

Krzyż. — A! szlachcicu Piascie! pomaleńku!
Do krzyża Waćpan przystępuj z pokorą,
A niech obłudne ludzie djabły biorą!
Lecz krzyż choć w piekle siedzi przez trafunek,
Niechaj u siwej głowy ma szacunek.
Wtem patrzę napis haniebny, o trwoga!
«Na krzyżu nigdy tym nie było Boga»
Cóż to! krzyknąłem, więc to jakaś stara
Szatańska sztuka! krzyża trup i mara!
A to co? Jakieś pobożne trupiątko,
Złożone rączki trzyma jak dzieciątko;
W grobowcu świeżo wykopanym klęczy,
Podnosi ręce, skarży się i jęczy.
A ma na głowie koron potrojenie;
W koronach z ognia żywego kamienie,
Twarzyczkę suchą co się wiecznie łzawi.
A tu — niech mię Bóg jeśli może zbawi,
A człowiek jeśli chce niech nie dowierza,
Ale ja powiem żem widział — Papieża!
Tu mi się wszystko pomięszało w oczach;
Chwytam na złotych wiszącą warkoczach
Główeczkę syna i rzucam na marę —
A trupek złotą mu strącił tiarę,
A tak uczynił pokutnika z króla.
A ja krzyczałem: Papieżu! a bulla?
Tu starzec zawył z przeraźliwą hryją:
Krzyżu! trupami na mnie, wołał, biją!
A ja na jego płaczu kirielle
Rzekłem: a co ty robiłeś w kościele?
Takżeby Chrystus dziatki w krwawych rosach
Trzymał na łonie i głaskał po włosach?
Bo my dziatkami prawie niewinnemi,
Kładli się we krwi na ojczystej ziemi.
A ty? o stary, czyś wyciągnął dłonie
Ku tej ojczyznie, która we krwi tonie?
Czyś ty się za nią pomodlił przed Bogiem?
Widzianoż ciebie przed ołtarzów progiem,
Żeś sypał popiół na twe włosy siwe?

Trupami cię przywalę! znaj Leliwę!
A w niebie skargę na ciebie zaniosę,
Pannie Marii królestwa patronce;
I całą tęczę aniołów roztrącę,
I przejdę całą gwiazd różowych rosę,
I na księżycu jej białym uklęknę;
I tak ją łzami skruszę — krwią przelękne,
Że wreszcie z niebios błękitnych wyprawi
Anioła, co nas pocieszy i zbawi.
A ciebie, coś tył pacierzem i czaszą
Złożyć by w ten grób! i krwią zalać naszą! —
Na to staruszek: wcale nie potrzeba,
Rzekł mi, po zemstę chodzić aż do nieba —
Obacz! jak mię ten krzyż za szyję ściska.
Tak mówiąc starzec wyszedł z grobowiska,
I Chrystusowe szedł lizać znamiona.
A krzyż go w czarne uchwycił ramiona,
Podniósł za szyję, wstrząsnął i uścisnął;
Aż trup swojemi źrenicami błysnął;
Z szyi się własnej rwie jakby z powroza —
Krzyż zadrżał — ciało upadło. O zgroza!
Urwany się trup w mogile położył,
A krzyż żałobne ramiona otworzył.
Głowa człowieka, wzrok miotając sowi,
Wypadła z ramion ciemnemu krzyżowi,
Biegła, aż ciało w krwi jasnej znalazła,
I sycząc jak wąż do mogiły wlazła.

O! jakże trudno z tych ciemnych padołów
Grzeszną podlecieć myślą do aniołów?
Lecz kto w opiekę się da panu swemu,
Ten nie ulegnie przestrachowi złemu:
Ani mu zadrżą nawet wtenczas wargi,
Kiedy żałosne rozwodząca skargi
Dusza, na wieczność odchodzi z żywota,
Gasnąc jak jaka piękna lampa złota.
A chyba boleść przejdzie serce do dna,
Myśląc, że ziemia go nie była godna.

Że wędrownikiem na polu szerokiem,
Odchodząc, płakać nawet nie ma po kim.
A kiedy strumień lat przeminął lotny,
Został na świecie jak bocian samotny;
A żaden z druhów we śnie, ni na jawie,
Nie przyjdzie usiąść na gościnnej ławie.
Tylko gołębi znajomych za młodu,
Dziatki zlatują pod lipę do chłodu
I po murawach sobie chodzą dumne,
Jakby do starca mówiąc: precz ty w trumnę.
To tak nie wiedzieć co nam starym czynić?
Kwiaty się zdają nasze oczy winić,
I na to listki tęczowe wyciągać,
By szklannym oczom starości urągać.
To więc nam w płomień piekła patrzeć smutnie,
Gdy inni grają w piszczałki i w lutnie.
To więc o rzeczach strasznych rozpowiadać,
I nad rzekami utrapienia siadać,
Słuchając jak te potępione wody,
W przepaść nieszczęścia unoszą narody.

Gdzież to ja byłem? Ha! w piekielnym lesie,
Gdzie nieraz wicher nieszczęścia poniesie
Dusze szlachetne i po ziemi szarga,
Jak zwiędłe liście w których szumi skarga.
A ciemny był las, smutny i głęboki!
A drzew gałęzie powite jak smoki:
Na jednych wisi czarny liść i krwawy,
Te otworzyły wielki pień dziurawy
I siedzą z dumną starości powagą.
Dobyłem szabli, a ujrzawszy nagą,
Taki mię smutek zdjął i tak szalony
Żem zaczął rąbać las na wszystkie strony.
Aż tu krew tryska, oczy mi zalewa,
Krwią wybuchają, jęczą wszystkie drzewa! —
Próżno ubieram pierś w najświętszą Trójcę!
Krwią leją — krzyczą: stój, my samobójce!
O przestań rąbać! o ty bez litości!

Człowieku! czemu ty nam łamiesz kości? —
Któż wy jesteście spytałem, o dusze?
A jeden do mnie: Nie krusz mi gałęzi!
Bo ja w tym dębie pokutować muszę,
Żem duszę moją chciał wyrwać z uwięzi,
I otworzyłem jej drogę ołowiem.
Słuchaj mię stary, to ja ci opowiem,
Jak ruska ręka twarz splamiła jasną,
A jam się umył krwią na twarzy własną.
Nie chcę was słuchać, krzyknąłem, na Boga!
Że wami hańba miotała i trwoga,
To wyście w sobie zacierali święty
Chrystusa Pana wizerunek! Krwawi!
Przeklęci bądźcie! i las wasz przeklęty! —
Nie zabijali się Polacy prawi!
Ani przed dumną Kościuszki mogiłą,
O takiej rzeczy kiedy słychać było! —
A teraz przyszło nam jak na ostatki,
Że się na trupach samobójczych matki
Kładną i rany ich haniebne liczą,
I w dziurę czaszek pożegnania krzyczą! - -
A dusza idąc tam, gdzie droga pusta
Na wyjściu ich łzy znajduje i usta,
I oczy matki otwarte na straży —
I znów do czaszki wraca przerażona.
Nie zabijali się Polacy starzy!
Drugi raz Chrystus w was i Polska kona! —
A to więc hańba w nieświęconej ziemi,
Chować się wcześnie pod kwiatki złotemi,
Których to runem lekko wiosna rusza:
Gdy w innych ciałach cierpi polska dusza?
O czarni! hańby ojczystej niepomni!
Bądźcie wy teraz pokorni i skromni
Pod kamieniami rozstajnemi świata;
Tam łzy — a tu was szlachcic szablą płata,
Choćby go wasza krew zalała z głową.
Tak mówiąc idę i rąbię na nowo —
A szabla moja smutnie w drzewach brzęczy,

A las oblewa mię krwią — a las jęczy;
I woła za mną i na drzew wyłamy
Wychodzą białe księżycowe plamy —
To smutnych duszę co z twarzą księżyca,
Przez krew patrzały w piekle na szlachcica.
Idę, a czarna krew z tych dębów syka —
Idę, podobny z twarzy do krwawnika,
Idę, i niosę niestrwożone lice —
A wtem się chować zaczęły księżyce,
Dusze się trwożne zamykały w korze;
Las cały, Panie, w czerwonym kolorze
Błysnął okropnie ciemno i ogniście,
I wypadały płomienie przez liście.
Z trwogi się ręką przeżegnałem lewą,
I pochowałem się grzeszny na drzewo.
Patrzę, a tutaj konnych ludzi kupa,
Galopem ściga książęcego trupa.
A niech mię święty mój Dantyszek broni!
Ci ludzie byli pół człeka, pół koni.
O biedny księże! o jaka mizerja!
Wężowe chwosty miała kawalerja,
Z ognia przyłbice, akselbanty z węży —
Takich musztrować, o jakże to cięży!
I nie słuchają komendy i lecą
I kopytami ognistemi świecą. —
Próżno się książe drzew płaczących chwyta;
Na łeb mu skrawe rzucają kopyta,
Na blade czoło, na lenty ze srebra:
Aż trupia postać przed burzą uklękła —
A jam usłyszał jak trzasnęły żebra,
Jak czaszka jego zgrzytnęła i pękła.
I dalej leciał ów hufiec kałmucki
I na las runął gdyby morskie wały;
I rozpłakał się las po za nim cały,
I rozjęczał się las — a jęk był ludzki.

Wybiegłem wtenczas blady z po za drzewa
Coś zgniecionego jęczy i poziewa;

Przychodzę — płótnem nakryte trupisko.
Oddzieram płótno, ciało się oddziera.
Zmartwiałem cały na te widowisko;
Z pod płachty, czaszka odarta wyziera,
Już nie oczyma, o święte Anioły!
Ale czarnemi patrzy na mnie doły.
I nagle się tak poskarżyła smutnie!
O! czemu ty mię dręczysz starcze Boży?
I czemu ty mi twarz zrywasz na płótnie?
Tak mówi ta kość i serce mi trwoży,
I do litości ku niemu skłoniła:
Więc rzekłem: czaszko! bogdajbyś ty była
Wprzód powiedziała, czym jest przyklejone
Na twoich kościach te płótno czerwone —
A jabym wtenczas Waszej Księcej Mości
Zostawił jego płaski nos na kości.
A teraz więcej już rany nie ruszę,
Bo czasem miałeś ty litość i duszę;
A czasem nawet, czerwony Herodzie,
Uszanowałeś Chrystusa w narodzie.
A nim ci błyska Polski szabla goła,
To przed nieszczęściem uchylałeś czoła.
Więc bądź spokojny! ja zemsty nie biorę,
I oddam drewnu twojemu tę korę.
A nawet jeszcze przed tych konnych przyjściem,
Ciało przysypię samobójczym liściem;
I zaśniesz jako ludzie w krew ubrani,
I nie wynajdą cię pod krwią szatani.
Tak powiedziawszy nałamałem w boru,
Rzeczy płaczącej, krwawego koloru.
I książęcego przysypałem trupa.
Zastygła na nim posoki skorupa;
A gdy wstąpiłem, cały drżący trwogą,
Na nią, to nawet nie jękła pod nogą.

I patrz na jakiej ja mogile sterczę,
Jak krzyż wsadzony na ciało mordercze?
I wodzę okiem po nieszczęścia światach;

Smutny jak bocian stojący na czatach.
A ty mię widząc tam w ciemnicy piekła,
Pytasz gdzie moja wesołość uciekła?
Na tym czerwonym grobie i liścianym,
Na tym ohydnym, we krwi pochowanym;
Wietrząc arabskich prawie nozdrzem koni,
Skąd przyjdzie wicher Chrystusowej woni?
Z której się strony w samobójczym lesie
Błękitny księżyc zbawienia podniesie —
Skąd mi samotna twarz Bogarodzicy
Błyśnie łabędzią bielą w błyskawicy —
Skąd mi nadzieja słoneczna zaświta? —
Stoję — a któż mię o wesołość spyta?
To więc szaleni co się zawsze śmieją,
I każdą rozpacz farbują nadzieją?
Wesołość była ozdobą Polaków. —
Lecz już podcięto skrzydła złote ptaków.
To już nie lecą gwiazdom patrzeć w oczy;
A dumne serca teraz robak toczy;
I twarz schylona lepiej dziś przystoi,
Niż stal na piersi i skrzydła na zbroi.
Bo nie polecą już rycerze nasi,
Jak ptak co myśli że krwią słońce zgasi;
Ale gdy wyjdą na walkę ich stada
Ziemia się mogił pod końmi zapada —
Lub zdrajcę — Co tam! — Dolej mi węgrzyna!
Piję za zdrowie zdrajcy — mego syna —
A kiedy teraz w tym ostatnim łyku,
Czuję truciznę gorzką na języku,
Uczynię sobie może usta słodsze.
Mówiąc o zdrajcy tym i o tym łotrze.

Stałem na grobie Wielkiego Książęcia,
Śród drzew co krwią mi oddawały cięcia;
A oto jakiś wóz przez lasy rusza:
Powozi djabeł, czy stracona dusza.
W ręku ma lejce z płomieni czerwone,
A wóz prowadzą dwa węże zielone.

Patrzę na gady, widok wcale nowy,
Jak ogonami popychają głowy.
Krzyczę na djabła. Hej! hej! ta kareta
Czy do najęcia? A na mnie woźnica,
Obróciwszy się jako błyskawica:
To powóz, mówi, jest króla Makbeta.
Nie wiesz kto jest ten król co ma żmije?
Ja o nim pierwszy raz słyszę jak żyję. —
Więc w niewinności chrześciańskiej duszy
Rzekłem do djabła: mój panie koniuszy
Podwieź mię proszę dwie piekielne mile,
Jeżeli ty chcesz i chcą krokodyle.
A djabeł do mnie — uważ jaka zdrada!
Djabeł powiedział mi: niechaj pan siada.
Siadam: i dalej po zakrętach góry.
Galopowały zielone jaszczury.
To po kamieniach, to się we krwi ślizga,
To ognistemi wóz falami bryzga.
A ja choć czujny jak zając na zdradę,
Haniebny zwyczaj mam chrapać gdy jadę.
Więc senna głowa na pierś mi opadła,
I śpię — i dusza ze mnie się wykradła,
I poleciała sobie w lata młode
Pod jakieś wierzby, co płaczą na wodę,
Nad jakieś wody co się całe śmieją,
Gdy róże księżyc poranny zaleją.
Widzę małego Dantyszka psotnika,
Jak tam gołębia wypuszcza wabika;
A ptak powraca drugim lasu brzegiem.
I obsypuje mię gołębi śniegiem.
A choć to kradzież, to jako anieli
Myłem się w ptaszków pokradzionych bieli;
I różany się chłopczyk, śmiałem ładnie,
Jak ten co narcys aniołom ukradnie;
Senny, gołębic owiany szelestem —
Budzę się — Jezus, Mario! gdzież jestem?
Cwałują węże w ognistej hołobli,
Po błotnem polu, po okropnej grobli.

Jako kamienie obmyte na rosie,
Po obu stronach trupie głowy skrzą się;
Rzecz godna dziwu, że z twarzycą krwawą
Był trup na lewo, a biały na prawo.
I tak w kałużach smętnych utopieni,
Trupowie biali, trupowie czerwieni;
Wszystko się kręci w oczach i przestrasza.
Już chcę wyskoczyć, chwytam się pałasza:
A mój przewodnik: jakie masz rachuby,
Spytał, śród sejmu grząść? czy między kluby?
Jezu! krzyknąłem: więc tu ich jak liści?
A to posłowie są? a to — klubiści?
A za cóż ty ich Boże tak potopił? —
Nic nie rzekł djabeł, ale węże skropił,
Lecą i świszczą — drży grobla w piszczeli.
Patrzę przed siebie — O święci anieli!
Ogień piekielny przedemną, już piecze,
W ogień mię wieczny ten haniebnik wlecze;
Pędzi — chcę krzyczeć — wąs mi biały swędzi —
Chcę krzyczeć — głos mi zastyga — on pędzi
I urąga się ze mnie winowajca:
Patrzę. — O! Boże mój! — To syn mój zdrajca.
Już w płomieniste ubrany obłoki,
Patrzy się na mnie, syn mój jednooki —
Okropnie hańbą splamiony na twarzy!
Śmieje się głośno że mnie w ogniu zwarzy,
Że resztę włosa, co miał kolor stali,
Na mojej głowie pobielił i spali.
Śmieje się, leci w przeraźliwym pędzie.
O nie! — krzyknąłem zdrajco! tak nie będzie.
I wydobywszy złotego szkaplerza
Wiążę mu szyję, piorun krwi uderza,
Pali, wyrzuca ognistemi ziarny;
Wyszły: wzrok biały na wierzch, język czarny,
Z oczu się jedna wytoczyła śloza
Wielka — i umarł. — Wyskoczyłem z woza
Już rozpalony jak gancarskie cegły;
A węże z sinym trupem w żar pobiegły.

Przepadaj zdrajco ty, ohydny gadzie!
Owco ty, w białym zarażona stadzie! —
Ty, coś mię zabił dwa razy ohydą!
Ty, drżąca dotąd w mojem sercu dzido! —
Przekleństwo moje jak piorun nie mignie,
Ale na ustach mi martwych zastygnie.
A gdybyś w grobie twarz moją obaczył,
Zlękniesz się, widząc żem ja nie przebaczył;
I śpię, i groźne otwarłem powieki
W grobie gdzie tylu śpi cicho, na wieki. —
Lecz ja sen mogił na przekleństwach spędzę.
Z duszy uczynię krwawą zemsty jędzę,
I biegnąc — biegnąc za tobą jak mara,
Znajdę cię wężu, choć na piersiach Cara!
Dawniej, gdy były na honorze szczerby,
Albo ród gasnął — to łamano herby:
To może jakiś trupi rycerz konny,
Wleci do gromnic przez jałowiec wonny,
I na trumnie mi skruszy tarczę dumną.
I w ziemię razem zapadnie się z trumną.
Bo kiedy zdrajco honor rodu splamią,
Nie ma imienia już — herby się łamią.

Sinego trupa, lecąc jak szalone.
W żar zatargały jaszczurki zielone;
I zniknął — tylko coś — trzaskanie kości,
Jak płacz wilgotnej na ogniu parości,
Słyszałem, blady, śród płomieni jęku. —
Patrz! — Jam go niegdyś piastował na ręku!
I całowałem go w oczka ogniste;
Ja całowałem go niegdyś?! O Chryste!
Jakże od przekleństw do litości blisko!
Zapatrzyłem się smętny w te ognisko,
I było już na ustach: powróć synu!
Obmyj się ty krwią szlachetnego czynu,
Wymyj tę plamę jaką łzą czerwoną.
I nie grzesz więcej i chodź tu na łono!
Nie! nie! nie! czuję — o! ty krajo-bójca! —

Ty tego nawet nie zrobisz dla ojca!
Więc wieczny rozbrat z tobą, o szatanie!
Boże mój wielki! o Boże mój, Panie!
Jak ty mię dotknął między całym gminem,
Jak ty mię moim ukarałeś synem!
Oto shańbiony o litość cię proszę,
I smętne oczy do ciebie podnoszę. —

Nie był to płomień co trzaskał nędzniki;
Ale jakoby lekkie śniegu płatki,
Błądziły jasne w powietrzu płomyki.
A jako owiec zmoczonych gromadki,
Kiedy przed deszczem schronią się pod gruszę,
Pod smętnem drzewem stały biedne dusze.
A płomień się lał okropnemi rosy,
I spływał trupom po drżących ramionach,
I oczerwienił boleśnie ich włosy
Te biedne, jeszcze na głowie w koronach.
Bo to królowie co na to nie dbali,
Że łzy kraj topią, że się w ogniu pali;
Byleby tron swój mieli z baldahinem,
Nie dbali co tam, jaki miecz nad gminem.
To więc i w piekle szukają kotary,
Przed bolesnemi się zakrywać żary.
Ale na próżno, bo płomień ponury
Dosięgnął ramion, odziera ze skóry —
A gdzie upadnie na ciało, tam tleje!
Płatek ognisty skrzy się i topnieje,
I zgryzie ciało i kość, aż ją złamie.
Jeden trup spojrzał przez płomień i ramię —
A obaczywszy moje oczy sine,
Mój kontusz, dziatek moich główki, minę —
Przeląkł sie i padł, krzycząc: jakiś Mścisław —
A wiesz ty kto to był? — to Król Stanisław.

Drzewa, płomienie, węże, trupy, mary,
Z drogi! do Boga chce Dantyszek stary!
A jeśli go Bóg z piekła nie wydźwignie,
Gdzie jako kamień dumając, zastygnie. —

Coraz mniej światła, coraz większe próby.
W około widzę palące się groby,
W grobowiec trupy kładą się jak kręgle —
Płomień je chwyta i pali na węgle;
A po spaleniu znowu w głębi dołu
Leży trup cały z białego popiołu! —
I wszystkie członki jak za życia spoi;
A wtenczas się go w grobie ogień boi —
I z pod białego na desce człowieka
Z grobowca, dwoma skrzydłami ucieka.
Pomiędzy mogił ognistemi sznury
Szedłem, o królach dumając ponury;
Aż tu się jawi, z groźnemi przechwałki,
Jakiś trup w drobne pocięty kawałki,
I poslepiany sztucznie krwią człowieczą:
Kawały ciała na nim brzęczą, skrzeczą;
A jak w złodzieja ręku worek krwawy
Szczękają, trąc się o siebie i stawy.
Członków zaś wszystkich pozrastanych zbiegi,
Koralowemi oznaczone ściegi. —
Widząc że ku mnie się haniebny zbliża.
Zrobiłem ręką znak świętego krzyża.
On mi dłoń podał — wziąłem — ramię pęka,
I w ręku trupa została mi ręka.
Trup odskoczywszy, widząc że się trwożę:
Tyś mię obraził, krzyknął, na honorze!
Panie Leliwo, więc nie czas odwlekać,
Wybierz co wolisz, strzelać się czy siekać?
A ja zmartwiały i żółty jak drzewo:
To ty? krzyknąłem, coś miał za cholewą
Zawsze kartelusz, albo pistolety,
Aby za honor, albo za kobiety
Strzelać, w tę jeszcze nie zamkniętą bliznę,
Którą szlachetny człek wziął za ojczyznę?
A i tu jeszcze jeżysz wąsy krucze?
Pojedynkarzu — stój! ja cię nauczę!
Tak mówiąc z pochwy dobyłem szablichy.
A trup przedemną posępny i cichy,

Ręką nie dobrze do ciała przyszytą
Wziął się za włosy, chrzeszczące jak żytol
I podniósł z karku skrzącą się oczyma
Głowę, jak człowiek co latarnię trzyma;
Myśląc, że stary, zlękne się nikczemnie
Twarzy, co śmiała się w powietrzu ze mnie.
Dobrze! krzyknąłem — przy takiej latarni
Bić się będziemy jak duchowie czarni;
A jeśli taki ty ptaszek grobowy,
To pojedynek nasz będzie na głowy.
Tak mówiąc, gniewem i zemstą zażarty,
Staję — w ręku mi warczy synek czwarty;
W samą pierś godzę, rzucam — od tej gałki
Rozleciał się ów trup w drobne kawałki,
I w różne ludzkie groby poupadał.

A płomień z grobów wybuchnął i gadał:
Dobrze zrobiłeś żeś się zemścił przecie,
Za nas pociętych w samym wieku kwiecie.
Wszyscy od jego polegliśmy broni —
Ani z nas kwiatu ojczyznie, ni woni,
Lecz dusze poszły w tę ognistą wodę
Z ciała naszego, skarżąc się że młode,
Zmuszone już iść i nigdy nie wrócić,
Jak róże, gdy im trzeba listki zrucić.
Dobrze żeś za nas się zemścił, o starcze!
A pozwól jeszcze że ciebie obarczę —
Mówił trupeczek jeden z tej gromadki —
Pocałowaniem dla żałosnej matki,
Której ubyło we mnie całe plemię!
Powiedz jej starcze jak wrócisz na ziemię,
Że syn — Tu w ręce dwa razy zaklaskał,
Ucichł i płomień w mogile go strzaskał.

Tak odprawiwszy straszny pojedynek,
Widzę że jeden mi już został synek;
Lecz cóż? — to Boga litości nie zmniejszy,
Bo to najmłodszy, bo to najpiękniejszy;

Matki kochanie i moja pieszczota:
Oczki błękitne a główeczka złota.
Boleśna moja główeczka, kochana!
Umrę — lecz główkę tę rzucę przed Pana.

I hej! Leliwa, co trupy zabija,
W piekle jak złota błyskawica mija.
Ku Panu Bogu prosty wziął kierunek,
Ale mu w głowie wre djabelski trunek:
To nim ostygnie, kto wie co z nim będzie?
Z drogi! Leliwa idzie w wielkim pędzie!
Bo właśnie był wir, gdzie biedaczka dusza,
Jeżeli wpadnie, to rusza i rusza.
Więc pan Dantyszek, choć się bardzo smęcił
Po swej ojczyznie, toczył się i kręcił.
A w koło duszek zakręconych tłumy,
Gwary, jęczenia, szelesty i szumy;
Szare powietrze wichrzy się i mięsza,
Z trupami trupów roztrąca się rzesza;
Zbiją się, zwichrzą, wezmą się za ręce —
I znów się kręcą i znów się ja kręcę,
I całe piekło jak w burzy i wichrze.
Tu fale głośno płaczące, tu cichsze;
Upiory dziewic z młodzieńcami w parach,
Białe i smętne z różami w symarach.

Patrzę — jak oman ze śniegu zamieci,
Jakaś duszeczka kręcąca się leci;
Serce mi drgnęło i warga pobladła —
W otwarte ręce ta mara mi wpadła,
Chciała na sercu odpocząć troszeczkę:
Lecz wicher wyrwał mi z rąk tę dzieweczkę,
I dalej poniósł w piekła zakamarki,
Z koszulą białą, pociętą na szlarki,
Co się kręciła na niej jak dzwon biały.
Poszła i wichry płaczu ją gdzieś wiały.
A od niej młodość zapachła i zgniłość;
A taki smutek i przestrach, i miłość

Wzięły mi stare moje serce w szpony;
Żem był jak dziecko — żem był jak szalony.

Dawniej to nieraz za legionistą
Strzelano czarną źrenicą, ognistą;
Dawniej — o dawniej! — Czy znasz ty wygnańcze
Ziemię, gdzie rosną mirt i pomarańcze?
Tam ja błądziłem. A cóż się dziś chwalić,
Że łatwo serce w dzieweczkach rozpalić!
To i ta biedna do kruczych warkoczy
Tuliła moje zadumane oczy;
A gdym ja wołał ojczyzny: ta pusta
Jasne jak róże dawała mi usta;
A jam się na nich uwieszał namiętny,
I zakochany, i dumny, i smętny.
A dziś ją taki wicher płaczu goni! —

Czekaj! — Chcę jeszcze raz pomyśleć o niej,
Jeszcze raz tylko, aż te dwie łzy pękną.
Ona tak była urodziwą, piękną!
I patrz — pamiętam — bogdaj mię pożarła
Pamięć — pamiętam ten dzień, gdy umarła.
Na marach białą złożyli dziewicę:
A matka wzięła okropne nożyce
I w szlarki cięła jej koszuli rąbki,
Aby nie było co kraść z tej gołąbki.
Oh! bo tam kradną ludzie w tamtej ziemi,
I wstydzą trupy z piersiami białemi
Oh! bo tam nędza, co w grób jeden rzuca
Na pierś dzieweczki suche starca płuca.
Albo dzieciątko śmiercią tajemnicze,
Co pada jak ssać — na piersi dziewicze! —
To niech przynajmniej ciało łzami myte,
Będzie w tym grobie koszulą okryte:
Koszulą taką! co kusić nie będzie
Złodzieja, w pióra pocięta łabędzie.
Tak ją ubrały ręce rodzicielskie —
Myślałem patrząc, że w skrzydła anielskie.

A ta wyrwała się z grobu jak mara,
I rozsypała się na niej symara;
Pierzchła jak gołąb, dotknęła mi kości,
Owiała wonią trupa i młodości;
Trąciła wichrem spróchniałej bielizny,
I wichrem żalu, starca bez ojczyzny! —

Czegoż ty chciałaś, martwa szalenico?
Mario moja! moja gołębico!
O Florentynko ty moja! ty śpiąca,
Tak cicho niegdyś, przy blasku miesiąca,
Kiedy cię smutna dusza moja strzegła!
Czemuś ty z grobu w tych szlarkach wybiegła?
I jak pieniążek kręcisz się nikczemnie?
Mario! czegoż ty chciała odemnie? —
Oczki jej były jak to niebo w górze,
Usta — perłami wysadzone róże;
Do niej podobna ta dziewicza brzoza,
Taka wstydliwa — a teraz? O zgroza! —
Módl się! a nie drwij że łzy lecą duże,
Bo i nam starcom niegdyś pachły róże!
I po nas innym zapachną i zwiędną,
Tylko je trzeba rwać ręką oszczędną — —
To chociaż serce tam burza skłopota,
Miłą mu młodość — temi kwiaty złota.
A pod ich wonią łeb siwy się chyli,
Gdy księżyc błyśnie, a słowik zakwili.

O Boże! Boże! jaka twa opieka
Jest tam w młodości nad sercem człowieka!
Gdyby pomyśleć, to już tyle razy
Miało czem zwiędnąć lub stać się jak głazy —
A nie! i patrzaj? z włosami białemi
Czuję mojego serca woń na ziemi,
I żywość jego — bo niech kto poruszy
Honoru mego, ojczyzny, lub duszy —
Niechaj sprobuje wydrzeć mi nadzieje,
A padnie trupem i krew go zaleje.

Lecz kiedy starca w pokoju zostawią,
Z włosem się jego białym wróble bawią,
Spokojny w smutnem zadumaniu stoi —
Jelonek się go bez matki nie boi.
A gdy myśliwiec jakiej białej łani
Pobije dziatki i samą porani,
Przychodzi, oczy do starca podnosi —
Skarży się matka i o litość prosi.
A nie myśl, nie myśl, że to są zmyślenia,
Widziałem oczy błękitne jelenia,
I zadziwiła mię jego odwaga,
I ufność w starcu i łez szklistych waga.

Ty powiesz teraz, że starzec majaczy,
I czeka sobie aż znów co zobaczy.
Nie tak zaprawdę się ze starym dzieje!
W nim wiecznie lampa czarodziejska tleje,
I tęcza blasków wiecznie w głowie świta,
A w sercu wiecznie ojczyzna zabita.
To choć pomyślał o młodości złotej,
Powróci znowu w serce dźwięk zgryzoty.
Nie będzie zawsze jak ci, co się smucą
Po różach, które zwiędły i nie wrócą.
Ale raz westchnie za wszystkiem co było;
A potem znowu jak krzyż nad mogiłą
Uświęcający grobowce posępne,
Czoło pamiątkom wzniesie niedostępne,
A pełen tylko nadziei i wiary.
Bo się przekonał, że to w świecie — mary!
Że nic tam nie ma w krajach pod-słonecznych,
Godnego serca i łez jego wiecznych.
A wszystko wiotkie, tak zrobione może,
Aby się jako liść zmieniało w borze;
Aby te wichry nieszczęścia i czasu
Miały czem smutnie szumieć w głębiach lasu.

I dalej idę — tu coraz mniej zgrai,
żdy się z męką swoją jak wąż tai.

Albowiem blisko u wierzchołka góry,
Największe zbrodnie, najstraszniejsze chmury;
I największemi są łzami wilgotni
Zbrodniarze wielcy, krwawi i samotni.
Idąc na górę, mówiłem do siebie:
Gdzież są więc zdrajce ojczyzny? Czy w niebie?
Oto był rodzaj trupa wszelakiego,
A z wielkich zdrajców nie było żadnego?
Czy się ubrali wilki w owiec wełnę?
Bez nich, mój Boże! to piekło nie pełne;
Bez nich tu braknie płomieniem ozdoby —
Na nich wołają z pod ziemi te groby.
Ledwom wymówił: O! rzecz nie do wiary!
Ręka zwyczajnej jakby ludzkiej miary
Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
I pokazuje w ciemności zdaleka
Jakąś ohydną rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnej utajony grocie,
Oddany strasznej jędzy w straż — zgryzocie.
Włos, najeżony strachem winowajcy,
Wstał na haniebnem, bladem czole zdrajcy.
I straszne w oczach było przerażenie,
Albowiem w grocie jęczały kamienie.
Wicher napędzał mu przez korytarze
Błąkające się ognie, trupów twarze;
A zaś oblicza i sine ogniska
Szły przypatrywać mu się — stojąc z bliska.
Między ogniami, co przyszły na straże,
Krwią osykany przez upiorów twarze,
Jak człowiek własną uznający winę,
Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
A kiedy jęki ozwały się w grobie,
Do ust po kostki wkładał ręce obie,
Widać miał w bolu słuchowi obronę,
Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwone.
Już chciałem uciąć szablicą te ręce,
Krwawe jak szpony orle, lub zwierzęce,

Nie zemstą, ale litością ruszony,
Gdy nagle biała mara jego żony
Wybiega, klęka i oczy podnosi:
I tak na rany Chrystusowe prosi:
Panie! ty ojca mojego masz lice,
I taki kontusz i taką szablicę,
Więc ci aż do nóg bolesna upadnę,
I do serca się twego łzami wkradnę;
I w niebie mojej ustąpię światłości,
Za jedną nad nim tylko łzę litości!
Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie
Teraz jak mara — jak błędne żórawie,
Ciągle ja latam i ciągle mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga.
A jeszczem biedna nie mogła wyjęczeć,
Aby go jęki te przestały dręczyć!
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać, i jęczy, i zgrzyta —
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo!
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą, aby go rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się! —
I czyż tak będzie od wieku do wieku?
Wyproś ty dla nas litości człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną,
Jeśli przebaczyć nie chcą — niech zapomną
Jeśli ich nasza męka nie roztkliwi,
Niech myślą że my byli tak szczęśliwi!
Od nas, niesione błękitami wody,
Pary łabędzi uczyły się zgody.
Od nas uczyły się śnieżyste szyje,
Chować pod skrzydło te, gdzie serce bije.
Słońce lubiło zaglądać w aleje,
Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje —
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził,
I księżyc prędzej na niebo przychodził.

A ja, spojona szczęściem i rozrzutna,
Każdą mu gwiazdę, co wschodziła smutna,
Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
I każdą jego nazywać imieniem;
Bo mię za każdą on całował w usta — —
Starcze, pogadaj ty, proszę z sumieniem!
Bo mi się zdaje tonącej w rozpaczy,
Gdy ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy. —

Tak mię prosiła: a na głos słowika
Serce się ludzkie choć stare odmyka.
Patrz — o! bielutka! — patrz — ta pochlebnica!
Twój kontusz, mówi, i twoja szablica
Z ojcem ci moim podobieństwo dały —
O, ty litośny! o, ty nie ze skały! —
Jakże się ostać przed takiemi prośby?
Twarzą już tylko udawałem groźby,
A już mi serce kruszyło się, miękło —
Już nad nią dwie łez roztopionych pękło —
Już wyciągałem ręce — wtem ta blada
Leci do męża, na serce mu pada.
A nędzarz blady jak płócienna chusta,
W jej piersi oczy pochował i usta.

Patrzę — o zgroza! — z pod kruczych warkoczy
Wstążeczka się krwi koralowej toczy,
I plami narcys ten litości srebrny!
On ją ukąsił — zbrodniarz! o haniebny!!
Jękła i nagle od ssącej gadziny
Pierś oderwała, A trup blady, siny,
Oczy zbłąkane obraca w około —
O niczem nie wie to haniebne czoło!
Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
A jednak spojrzał na krew i na żonę.
I wyszły z oczu mu dwie łzy tułacze!
Wyszły — a piekło wrzasło: zdrajca płacze,
Tu zadziwieni ciemni aniołowie,
Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.

Tu się tajemne rozjęczały ściany;
Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany —
Wszystko co było w gmachu i za gmachem,
Wabi się z tych łez ohydnym zapachem;
Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowi,
Urągający zdrajcy lamentowi.
A jeszcze dalej duchowie zaskalni,
Z po za ścian, słychać, płaczą niewidzialni!
Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami —
Uciekłem — uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne,
Widziałem ludzi do wężów podobne,
I zrastające się ich ciała z gadem:
Ale ten zdrajca oślinony jadem,
Ale ten własne gryzący piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele,
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy;
Ale ten straszny, co psim zębem broczy
Białą pierś żony i bolem się żywi,
A gdy zapłacze, to piekło zadziwi —
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się, żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna,
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna;
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet — a to jeden wyłom
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie;
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uschła i mieszka w niej gadzina podła.

A choćby i znów powstał lud z rozpaczy,
Któż Polskę taką jak była zobaczy?
Czy jaki ryeerz ścięty od zawoja,
Na zmartwychwstałą powie: matko moja —
Czy jaki z grobu wywołany miecznik
Pozna ten blady dzisiejszy słonecznik?

Co za nowości gwiazdą się obraca?
Lud z takiem sercem po śmierci nie wraca!
A gdzież są dzisiaj te pany w żupanie,
U których w sercu cnót na króla stanie?
A gdzież niewiasty, co synowskie ciało
I zgon, nie nadto, ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę? —
O! dajcie mi krwi ojcowskiej, niech bryznę,
I zwalam twarze dziś białe — i ciała! —
Bo krew z nich płynie jak w godzinach biała;
A nie tak ważną jak ojcowie głowe,
Ni takie serca mają bursztynowe.
Lecz wszystko jakoś popsuło się, zgniło,
A lud już strupiał, a kraj już mogiłą.

Nie budź! — Bo jestem smutnie zamyślony
O strasznem oku piekielnej korony.
Widzę jak gwiazda okropna sumienia,
Z góry wieżycę trupów opromienia.
A jako okno gdzieś po nocy w sali,
Od czerwonego księżyca się pali —
I opłomienia łoża królów ciemne,
A w sny ich trwogi rozrzuca tajemne —
Tak owa gwiazda nad piekłem szkaradnie
To zaczerwieni się, to znowu zbladnie,
I znów za obłok zachodzi ponury,
Za jakieś ciemne i skrwawione chmury! —
A gdy się krwiami napoi ta chłodna,
Z po za chmur jasna wychodzi, pogodna,
Otwiera usta i jakoby z płuca
W ciemne przepaście krwi piorunem rzuca.
Tam, gdzie kończyła się piekielna skała,
Spiorunowanych krwią widziałem ciała.

Już blisko Boga — patrzę — trup człowieka
W ciemność od gwiazdy sumienia ucieka,
Ucieka — z czołem na nią obróconem,
W złotej koronie i w płaszczu czerwonym.

Za nim — o honor! niewieście gromady
Trup nań rzucają maleńki i blady,
I kamienują czerwoną gadzinę!
Powietrze blade od trupków i sine — —
Deszczem nań leją z ramion rodzicielskich,
Mogiły smętne, pagórków anielskich.
Jakby niechętne trupy, jakby senne,
Gołębi stadem lecą przez Gehenne.
A dłoń to matek, co je tak umyślnie
Rzuca na trupa — nim rzuci, uściśnie,
Pożegna wprzódy i łzami opryska,
Potem za nóżki zakręci i ciska.
Wartkie jak kamień, sine jak ze stali,
Leci dzieciątko i w purpurę wali,
I kości trzaska na trupie szkaradne — —
Patrz! patrz! o zgroza! dzieciąteczko ładne
Z ziemi podnosi trup, za nóżki chwyta,
Broni się matkom, a broniąc się zgrzyta.
Ukląkł nareszcie — a trupiemi ciały
Tak uklękłego zakamienowały,
Matki po dzieciach płaczące żałośnie.
Grobowiec na nim straszny, śniady, rośnie:
Trupki się kładą przy trupkach w girlandy;
Już urosł kurhan jak mogiła Wandy.
I jeszcze kładną się przy duszkach duszki,
I urósł jako mogiła Kościuszki.
A gdy był wielki, krzyknąłem: O Boże!
Ja stary, pieczęć na grobie położę,
By nie zmartwychwstał — — — —
— — — — — — — — — — — —

Ej! dosyć, już dosyć!
Mamże ja Boga wielką litość głosić?
Czy się przeklinać stary człowiek smutny,
Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.
Taki jest Polak — dobra jego sprawa,
[illegible]awe zaczęcie i osnowa krwawa;
[illegible]kiedy przyjdzie dobić aż do końca,
[illegible]rzdzić się mu księżyca i słońca!

Ej! ale ziarno się nie darmo sieje,
To i tam w końcu coś widać — nadzieję —
Smutna to lampa i nocnego ptaka,
Lecz i ta dobra nad grobem Polaka.

To więc chodź ze mną aż na trupów górę,
Klęknij, wznieś oczy w tę gwiazdę, w tę chmurę,
Bóg za nią — klękaj! niech się twarz nie bieli.
A cóż że z gwiazdy piorun krwi wystrzeli —
Klękaj! — To niech się wola Boska stanie!
Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie;
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi!
I co, że powróz proroka udusi?
Że może ściętej głowie nie pozwolą
Spocząć na sercu zabitem niedolą?
I co, że wnuki łzą kwiaty pokropią,
Kiedy nie pełny grób starców odkopią,
I znajdą tylko tam bez czaszki, ciała?
To co? — Powiedzą: głowa zmartwychwstała!
I aniołowie, strażnicy tej bryły,
Wylatującą widzieli z mogiły —
Gdy piorunami się noc smętna zmierzchła,
Wylatywała jak gołąb i pierzchła.
A gdy z aniołem, co smętnych prowadzi,
Wygnańce nasi będą wracać bladzi,
I rozpoznawać podobieństwo głazów —
Z pomiędzy białych narcyzów i ślazów,
Niech wtenczas smutne oczy napotyka
Kwietny grobowiec, starca męczennika.

O Polsko! Polsko święta! bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna,
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy —
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne —
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij ty o nas! o wspomnij — —!

Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze i piorun co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile —
Jak się wydaje przez Boga przeklęta,
A nie zapomnisz ty o nas, o święta! —

PRZYPISY.

Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem lekkiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia ponurych wieszczów; kontuszem Leliwy odstrychnęło się od oryginału i wzoru, stawszy się więcej rubasznem i polskiem. Kontusz zaś ten wiele myśli wygnał, wiele myśli skrócił, a nawet często zwięzłości potrzebnej w wyrażeniach nie pozwolił; zamiast zaś rozpraw teologicznych Danta, przymusił autora do użycia tej prostej filozofji, która tak pięknie rozjaśniła niegdyś wiersze Jana Kochanowskiego; przyłączyło się tylko do niej trochę melancholji, nieznanej szczęśliwym przodkom naszym. Powiedziawszy te słów kilka o całym poemacie, przystąpię z oszczędnością do wyjaśnienia niektórych szczegółów i obrazów.

Str. 221. w. 13. Dla wszystkich płynie fontanna młodości.

Między pięknemi urojeniami wieków średnich było mniemanie, że gdzieś na ziemi w pustyni wytryska źródło, z którego pijąc, odzyskać można młodość. Marko-Polo szukał tego źródła, jadąc do wielkiego Khana. Minstrelowie Prowancji często o tej wodzie w pieśniach wspominają; a dziś jeszcze nieraz Arab wypuszcza konia na pustynię i zagłębia się w piaski, w nadziei że na fontannę młodości wiecznej natrafi.

Str. 240. w. 4. Świecznikiem była.

W twarzach trupich węży, które stoją na trupie Katarzyny i palą się na włosach, czytelnik możeby ujrzał podobieństwo do Potemkina, Zubowa i innych gachów tej nierządnicy. Przez prędkość, Dantyszek zapomniał węże imionami ludzkiemi ponazywać; jako też powiedzieć czytelnikowi: że Katarzyna,

starająca się długo pochlebstwem u Woltera i innych, aby ją za światłą pochodnię cywilizacji na północy okrzyczeli, po śmierci hołd ten odebrała od zdrobniałego Danta w kontuszu.

Str. 241. w. 15. I szczeknął do mnie, że to Erywański.

Przez patrjotyzm zapewne go Dantyszek Księciem Warszawskim nie nazywa; a dziwić by się powinien, że zeń wyjęto serce: on go nie miał.

Str. 242. w. 12. Plwaj, bo to Suworów.

Za nadto dumną i posępną ma karę ten człowiek, który za życia miał srogość lwa, z postacią małpy. Malują go dobrze wiersze jego do Katarzyny po wzięciu Izmaiłowa, w których na skrwawionej karcie imię tej carycy tak bezbożnie z imieniem Boga połączył; a lepiej jeszcze maluje małpią i szatańską duszę jego następująca anegdota: Podczas rzezi Pragi ujrzał Suworów jendyka skaleczonego, który gdzieś z zakrwawionego domu, krwią ludzką i swoją okryty, kulejąc uciekał. «O biedne stworzenie!» zawołał, patrząc na ptaka wódz moskiewski, «dla czegoż ty niewinnie masz mieć udział w nędzy i nieszczęściach ludzkich?» Po takiej patetycznej przemowie zawołał swego lekarza, kazał mu owego ptaka opatrzyć i pilne o nim mieć staranie. A gdy się to działo, trwała rzeź i ludzie umierali.

Str. 246. w. 36. Krwią leją, krzyczą: stój! my samobójce!

W Dancie jest podobnież las, w którym drzewa gadają i mieszczą w sobie dusze samobójców. — Dant naśladował z Wirgiljusza; a Danta zaś Tass i Ariost naśladowali, zamykając mary w cyprysach. Kładę tu kilka wierszy dosłownie prawie z Danta tłómaczonych, abym o zupełną kradzież literacką nie był posądzony.

A pień zaś krzyknął: — Czemu ty mię łamiesz? —
Tu znowu ucichł i na ranę białą
Krew czarna wyszła kroplami z parości.
I znowu krzyknął: Czemu rwiesz mi ciało?
Człowieku! nie masz ty w sercu litości?
Byliśmy ludźmi, dziś drzewami piekła!
Lecz czyliż przeto dłoń twoja tak cięży?

Czyliż nas łamać i karcić ma wściekła,
Choćbyśmy w korze miały dusze węży? —
Jaka gałąska, gdy z liściem ucięta,
Kiedy ją ogień od końca kaleczy,
To drugą stroną skarży się i syczy.
A wilgoć razem z powietrzem zamknięta,
Płaczliwie z ciasnej wymyka się więzi — --
Tak właśnie z owej uciętej gałęzi
Krew ze słowami jedną wyszły drogą,
Rzuciwszy gałąź, stałem, zbladły trwogą — i t. d.

Las Dantyszka napełniony jest zapewne duszami oficerów, którzy shańbieni przez Wielkiego Księcia, szli zabijać się w Saskim ogrodzie i strzałem pistoletowym często płoszyli słowiki, spokojnie w ciemnych kasztanach zamieszkałe. Znajome jest mieszkańcom Warszawy wzgórze i urna kamienna, oblana nieraz krwią tych nieszczęsnych.

Str. 249. w. 2. Oddzieram płótno, ciało się oddziera.

Centaury tratujące Wielkiego Księcia nieznani są z nazwiska Dantyszkowi, nieświadomemu rzeczy mitologicznych; również nie wiedział że płótno nakrywające trupa jest koszulą Dejaniry, którą raz wdziawszy, z kawałkami ciała oderwać tylko można było od kości.

Str. 253. w. 22. Nie ma imienia już, herby się łamią.

Posępna i poetyczna ceremonja u dawnych Polaków, łamania herbów po wygaśnieniu jakiej familji, odbywała się w kościele, do którego wlatywał rycerz konny i drzewcem w tarczę uderzał. Po śmierci hetmana Branickiego odbył się ten obrzęd podobno po raz ostatni.

Str. 259. w. 2. I rozsypała się na niej symara.

W narodach, które już zniewieściały, albo wcale nie mają egzystencji politycznej, dziwna jest obojętność względem umarłych. I tak w Toskanji podróżny nie znajdzie tych smętarzów, które taką wonią kwiatów obwiewają wzgórza miasteczek niemieckich. Bogatsi Toskańczycy chowani są pod zimnemi murami kościołów, ubożsi zaś wywożeni o cztery mile za miasto na smętarz zwany «Trespiano» i rzucani razem bez trumien w jeden grobowiec, który co dnia piętnaście ciał

pożera. Hamleta trzeba nad takim grobem! Hamleta, któryby Ofelję swoją widział pomięszaną z ohydną zgrają umarłych w jednej mogile. — Z tego zwyczaju Florencji urodził się zapewne ów wymysł matczynej czułości, godny prawdziwie serca jaskółek: że kiedy jakie biedne ciałko dziewicze lub dziecięce przymuszone są powierzyć czarnym grabarzom Trespiano — bojąc się, aby go ci chciwi ludzie przed rzuceniem w dół z ostatniej koszuli nie obnażyli — ubierają martwego w długą białą symarę i pod fałdami rozcinają tę szatę w długie aż do dołu wstążki, tak, że się wydaje całą, a złodziejom już na nic przydatną być nie może. Biedny Dantyszek będąc jeszcze żołnierzem legjonistą i wygnańcem, nie miał zapewne dość grosza, aby dzieweczkę swoją w Santa Croce obok Danta pochować i musiał ją na równinie Trespiano zostawić. — Jeżeli który z wojażerów rozczuli się nad przygodą złotej młodości Dantyszka, niechaj zmówi Ave Maria, przejeżdżając około smętarza, gdzie leży ta piękna, siostra może Fornariny. Dziwny smętarz, na którym krzyż tylko jeden stoi pośrodku i otwiera boleśne ramiona, a pod nim i w około żadnej nie widać mogiły, lecz ziemia gładka, runem niby wiosennem okryta i zielona, a co dnia dół jeden czarny, wielki, otwarty, czekający na umarłe.

Str. 262. w. 11. Słuchaj — ja niegdyś utopiona w stawie.

Leliwa nie wymówił nazwiska zdrajcy, ale powyższy wiersz pokazuje, że ci oboje widziani w piekle są ci sami, o których jest rzecz w cudownym poemacie Malczewskiego. O parze tych małżonków czytałem także w manuskrypcie piękną tragedję, którą napisał Korzeniowski. Wspomniawszy o tym pisarzu, muszę tu wyjawić moje zadziwienie, że go Polska dotychczas tak mało zna, a stąd i nie dosyć ceni — przez taką obojętność gotuje sobie wyrzuty sumienia na przyszłość, kiedy już poetów nie będzie.

Str. 266. w. 6. Mogiły smętne pagórków Anielskich.

Na smętarzach w Litwie osobne jest wzgórze przeznaczone na grzebanie maleńkich, i nazywa się: Górką Anielską.

Str. 266. w. 20. Tak ukłękłego zakamienowały.

Czytelnik domyśli się, że tu jest mowa o Mikołaju. A Dantyż mógłby powiedzieć, jak Dante, umieszczający w piekle

człowieka żywego jeszcze — że Car widzialny na tronie znikomą jest tylko marą i trupem już, a prawdziwie zaś z duszą swoją umarł i znajduje się w piekle. Twierdzenie to Danta, tak przeraziło owa żyjącą jeszcze podówczas osobę, że sama zaczęła wierzyć w dwojaką swoją istność, i bać się o rzeczywistość ciała swego na ziemi. Okropny sceptycyzm! —

Str. 266. w. 34. Że byłem trupków pieniądzem rozrzutny.

Obwinia siebie Dantyszek: że uniesiony mściwością, rozrzucił swoje dziatki po piekle, i żadnej główki nie doniósł przed Bogą; a nie powiada czy sam doszedł aż do nieba. Sądzićby więc należało, że ustał na siłach i wrócił na ziemię, nie dokonawszy zamiaru. Po inaczej skutek jego skargi, to jest litość Boską uczulibyście nad sobą.

MAZEPA,

TRAGEDJA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

Król Jan Kazimierz.
Mazepa, dworzanin króla.
Wojewoda.
Amelja, żona Wojewody.
Zbigniew, syn Wojewody z pierwszego małżeństwa.
Chmara, Pasek, Chrząstka } dworzani Wojewody.
Kasztelanowa.

Pokojowi królewscy, Szlachta, ludzie Wojewody, Ksiądz, i. t. d.

Scena w zamku Wojewody.

AKT II.

SCENA I.

(Sala oświecona jak na bal.)

WOJEWODA, ZBIGNIEW potem KASZTELANOWA.

WOJEWODA.

A przy mozdzierzach trzymać zapalone lonty. —
Waść mi, Panie Zbigniewie synu, zajrzyj w kąty
Czy wszystko jak potrzeba na królewskie gody.
(Do wchodzącej Kasztelanowej.)
Mościa Kasztelanowo! mam wielkie powody
Cieszyć się, że cię widzę w zdrowiu i świeżości - -

KASZTELANOWA.

Jakże mi pięknie zamek wygląda Waszmości!
Co lamp! co pozłotowin! — A gdzie Aści żona?

WOJEWODA.

Dotychczas niegotowa i nieprzystrojona —
A to mój syn zastąpi ją tu przy Asińdzce.
Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce
Czy się już król nie toczy po drodze lipowej.
Zbigniewie, atentuj się Wąść Kasztelanowej
I baw Jaśnie Wielmożną.

KASZTELANOWA, do Zbigniewa.

Waść przyjeżdżasz z Padwy?

ZBIGNIEW.

Nie, mościa Dobrodziejko, już z wojska.

KASZTELANOWA.

Doprawdy?
Waść w wojsku?

MAZEPA,

TRAGEDJA

W PIĘCIU AKTACH.

SCENA III.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, wchodzi AMELJA.

KASZTELANOWA.

Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma; na głowie bez żadnego fiocha

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Tak młodziutka? To jeszcze dziecko! (do Amelji.) A proszę cię,
Bądźże mi przyjaciołką, moje pięknę dziecię.
Uważaj mię jak swoją. — Cóż? jaka ty ładna!
A to panie Zbigniewie cud! — Z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. — Nie płoń się, starej wolno mówić.
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić,
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę.
Nadto biała, we włosach zatknęłaś różyczkę —
Nadto białą! — jeszcze dzieciątko niewinne. —
Panie Zbigniewie, czy masz respekta powinne
Dla takiej młodej matki? jakże wy z nią razem?
To dziwnie, Waszeć mi się zdajesz zimnym głazem,
Atentuj że się Wasze tej młodziutkiej matce.

(Do Amelji.)

Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.
Cóż — czy cię nudzi starej gawęda bez końca?
Powiem ci coś miłego: tu z królem przybywa
Pan Mazepa.

AMELJA.

Któż to jest

KASZTELANOWA.

Jakto? nieszczęśliwa!
nigdy nie słyszałaś o panu Mazepie?

AMELJA.

Nie Mościa Dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Ja ciebie oślepię!
Jak ci zacznę o złotym mówić sowizdrzale,

A może twoje czyste serduszko rozpalę
Ogniem nieugaszonym! — Obaczysz go sama.
Serce jego otwarte jak przejezdna brama:
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota —
Spojrzenia jego nakszałt kowalskiego młota,
Ciągle w biedne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. — Niech to będzie Asińdzce nauką.

(Walą z dział.)

AMELJA.

O Boże, król!

KASZTELANOWA.

Nim wejdzie, mamy czasu dużo —
Tam na ganku pan Pasek, z powagą papużą
I z wielkiem stał papierem — ba! to mówca śliczny
Przygotował dla króla wiersz makaroniczny.
O czem że ja mówiła Mościa dobrodziejko —
Ha — otóż pan Mazepa — jeszcze mu czuć mleko
Pod nosem, a już o nim tyle rzeczy plotą!

SCENA IV.

(Ciż sami.)

MAZEPA włazi oknem niewidziany przez aktorów.

KASZTELANOWA.

Wystaw ty sobie co to za sowizdrzał! co to
Za urwis ten Mazepa!

MAZEPA, na stroni.

Ba, tu o mnie mowa —

KASZTELANOWA.

Wystaw sobie co to jest za przewrotna głowa!
Co to za wróg niewieści! Węża wziął za godło —
Paź, kochanek, włosami kazał wypchać siodło —

MAZEPA, kłaniając się Kasztelanowej nagle.

Fałsz! Mościa Dobrodziejko — proszę nie dać wiary.

KASZTELANOWA.

Jakże tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Z księżycem przez szpary.
Lecz w czas przychodzę bronić własnego honoru.

KASZTELANOWA.

Lecz jak tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Jak motylek dworu
Przez okno, Mościa pani.

KASZTELANOWA.

Ba, kłamcy masz minę
Okno wysokie.

MAZEPA.

Z włosów mam różnych drabinę.

KASZTELANOWA.

Z włosów kochanek?

MAZEPA.

Tak jest

KASZTELANOWA.

Lecz czemuż przez szyby
Nie przeze drzwi?

MAZEPA.

Bo we drzwiach jest Pasek, co niby
Cerber z trzema głowami — krew się w żyłach ścina —
Co jedna skończy mówić, to druga zaczyna —
Myśląc że to się nigdy nie skończy — uciekłem.

KASZTELANOWA.

Już ja widzę że Waćpan ten dom zrobisz piekłem,
Że tu Waćpan przez okno wniesiesz niepokoje.

MAZEPA.

Skądże tak zła opinja?

KASZTELANOWA.

Ja bardzo się boję
Waszej niestateczności. — Niech nas Bóg ochrania;
Waszeć nigdy nie możesz być bez zakochania.
Lecz tutaj wartoby się rozkochać ze skruchą —
Jak się zakochasz, to mi powiesz w kim — na ucho —
Ja stara, cię nie zdradzę —

MAZEPA, z ręką na sercu.

Paź Aśćkę przekona —

SCENA V.

Ciż sami. KRÓL, WOJEWODA, i wiele szlachty.

WOJEWODA.

Oto jest, Najjaśniejszy Panie, moja żona,
Która ci się do kolan uniży.
A to — Kasztelanowa Robroncka ze Spiży;
A to mój syn jedynak twej potencji sługa.

KRÓL.

Cóż to? Paź tu?

MAZEPA.

Oracja była bardzo długa,
Nie chciałem się rozczulić, wnet mi oczy mokną —
Wszedłem przez okno —

KRÓL.

Strzeż się wylecieć przez okno.

MAZEPA.

W szczęśliwsze pozwól Królu ufać horoskopy.

KRÓL, do Wojewodziny.

Pani racz mi dać rękę. — Te ogniste stropy
Prawdziwie empiryjskim zdają się obłokiem —
A ty Wojewodzino —

(Kończy do ucha komplement.)

WOJEWODA.

Za królewskim krokiem,
Mości Panowie proszę — proszę — bardzo proszę! —

(Wychodzą wszyscy, oprócz Mazepy, na dalsze pokoje.)

SCENA VI.

MAZEPA, sam.

O! dziwny świat! ten młody Rotmistrz przy macosze
Tak cudownej, a zimny jak lód się wydaje,
Gdy ja, ledwom ją ujrzał, już mi serce taje —
Już chciałbym albo żyć z nią — albo umrzeć dla niej.
Mościa Kasztelanowa! o, zgadłaś Waćpani,
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik! —

Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik —
Ona mi będzie serce obracać oczyma.

(Wojewoda wchodzi.)

WOJEWODA.

Cóż to czy mój stół żadnych względów nie otrzyma?
Proszę, Wielmożny Panie, nie pogardzaj strawą —

(Mazepa kłania się i odchodzi.)

SCENA VII.

WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Panie Chmara; w ogrodzie czy od lamp jaskrawo?

CHMARA.

Już się palą —

WOJEWODA.

Wyłamać zaraz tę przegrodę —
Niech król zobaczy dobrze w zamku Wojewodę —
Niechaj mu będzie jasno — cóż? — wyjąć tę ścianę! —

(Ludzie wyjmują ścianę w głębi teatru, pokazuje się ogród illuminowany.)

To pięknie! — Czy tam wszystkie rozkazy wydane?
Czy włość pije, Mospanie, czy upiekli wołu?

CHMARA.

Wszystko, Panie

(Wchodzi Pan Pasek.)

PAN PASEK.

Jegomość Król wstaje od stołu,
Już kazał sobie podać z nalewką miednicę.

WOJEWODA.

Panie Pasek, każ urżnąć polskiego muzyce.

(Rozchodzą się w różne strony, Wojewoda idzie do Króla. —)

SCENA VIII.

(Muzyka gra poloneza.)

KRÓL wchodzi w pierwszej parze prowadząc WOJEWODZINĘ. — Za nim Paź MAZEPA z KASZTELANOWĄ, potem opodal ZBIGNIEW z jakąś Panią. WOJEWODA na końcu.

KRÓL, do Amelji.

Pani Wojewodzino, to królewskie gody! —
Jeśli wola, pójdziemy kołem przez ogrody?

AMELJA.

Sługa Waszej Królewskiej Mości.

KRÓL.

Proszę w ślady.

(Polonez wychodzi do ogrodu.)

KASZTELANOWA, przechodząc do Mazepy.

A Waćpan się już kochasz?

MAZEPA.

Już.

PIERWSZA Z PAŃ, do Zbigniewa.

Jak Waszmość blady —

ZBIGNIEW.

Mościa Pani, zapewne takim byłem wczora.

(Wychodzą. Polonez wraca z ogrodu. Król puszcza rękę Wojewodziny — wszystkie pary rozłączają się.)

KRÓL.

Wielmożne panie, proszę iść same, gąsiora.
A teraz nowym wszystkich wyborem zaszczycić.

(Kasztelanowa bierze rękę Króla — inne panie wybierają tancerzy; Amelja zostaje na przodzie sceny, a paź z boku. — Polonez cały wychodzi — i bal przenosi się do sal dalszych.)

SCENA IX.

AMELJA, MAZEPA.

MAZEPA, na stronie.

Udało mi się żadnej ręki nie uchwycić
I zostać z nią sam na sam! — Piękności cudowna!
Owiała mię przy tobie trwoga niewymowna,
Jak w miejscu świętem —

AMELJA, do siebie.

Tak mi coś na sercu smutno!

MAZEPA, na stronie.

Niespokojnością jestem dręczony okrutną.
Jak tu zacząć — (do Amelji) Czy wolno Panią prosić w tany?

AMELJA.

Niech Pan wybaczy.

MAZEPA

Więc nie?

AMELJA.

Nie.

MAZEPA.

Głosek twój szklanny
Wyuczył się harmonji od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków,
Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnemi,
I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi! —
Pozwól mi głos usłyszeć — i zobaczyć oczy —
Bo pomyślę żeś gniewna. — Ty drżysz? — Nikt nie wkroczy;
Wszyscy za królem ciągną po zamku. — My sami. —
O! to kraj dziwny! tu są niebianek ustami
Róże zamknięte, nie chcą otworzyć się całe —
Widzę na ustach uśmiech. — Muszę oczy śmiałe
Odwrócić, bo mię twoich brwi mignienie zgubi.

AMELJA.

Nie wiem czy Waszmość wiejską prostotę polubi;
Ale muszę mu wyznać, że ta jego mowa
Wcale mi się nie zdaje —

MAZEPA.

Bywaj Pani zdrowa
Jeślim obraził —

AMELJA.

O! nie.

MAZEPA.

Idę — i w łeb strzelę.

AMELJA.

Tak żartować!

MAZEPA.

Bynajmniej — jak robie podchmielę,
Gotów jestem na wszystko! — idę pić z rozpaczy.

AMELJA.

A potem?

MAZEPA.

Potem Pani z okna mię zobaczy.
Strzelającego sobie w łeb —

AMELJA.

Pan stroi żarty.

MAZEPA.

Cóż mam robić na świecie? co? — czy grać w drużbarty,
Albo z królem odmawiać litanije smętne?
At — nie mam już w nic wiary, serce moje mętne —
Ciebie bym jeszcze, Pani, wziął za spowiednika!
Boś podobna do świętej! — Ty słuchasz słowika,
A ja mam więcej, Pani, z tobą do mówienia
A ty mię słuchać nie chcesz? (Do siebie.) Już się zarumienia —
Dobry znak. (Głośno.) O niebieska! bądź świętą osobą,
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą?
Ja mam wiele na sercu ciężącej spowiedzi.! —
Pod oknem twojem pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną:
Czyliż mi dziś słowika zastąpić niewolno?
Czy to gniew twój obudzi?

AMELJA.

O Boże! o Boże!

MAZEPA.

Jam się rozpytał dobrze o wszystko we dworze —
Wiem że twój balkon brzozą płaczącą okryty,
Lilijami ubrany —

AMELJA.

Pan nie jesteś skryty,
Gdy się do roli szpiega przyznajesz tak snadnie!

MAZEPA.

Tak — jestem bez honoru!

AMELJA.

Pan tu w przepaść wpadnie.
Ja mam obrońcę — ja tu będę obroniona!

MAZEPA.

Lecz Pani będziesz tego żałować, kto skona.

AMELJA.

Próżne słowa! tak błaho nikt życia nie traci;
I bez żadnej nadziei —

MAZEPA.

W twej drżącej postaci
Wiele dla mnie nadziei.

AMELJA.

Żadnej nie ma — żadnej

(Odchodzi.)

SCENA X.

MAZEPA, potem KASZTELANOWA.

MAZEPA.

Już się jak rybka wędki uchwyciła zdradnej!
Przysięgnę, że się z okna dziś do mnie wychyli.
Resztę uczyni djabeł —

(Wchodzi Kasztelanowa.)

KASZTELANOWA.

A gdzież to wy byli
Mój panie Dworzaninie? z kim się to gwarzyło?

MAZEPA.

Z nikim, Wielmożna Pani — —

KASZTELANOWA.

Serduszko się wpiło
Jak kleszcz! — Ja ci coś powiem — jestem tu na oku.
Widziałam jak was Zbigniew wypatrywał z boku —
Strusiłbyś panie Paziu gdybyś go zobaczył —
Bo tak wyglądał jak trup! — Żeby Waszmość raczył
Podać mi do powozu rękę? —

MAZEPA.

Już cię tracę
Mościa Kasztelanowo?

(Daje rękę i wyprowadza Kasztelanowę.)

SCENA XI.

ZBIGNIEW i WOJEWODA, który przez cały ciąg sceny wyprowadza gości z czapką w ręku i kłania się nisko.

ZBIGNIEW.

Serce mi kołace
Jakbym miał omdleć — — Tutaj stała nieruchoma —
On gadał do niej, trwoga w niej była widoma!
O czem on do niej mówił? jakiemi wyrazy?
Ona się odwróciła, widziałem dwa razy,

Jakby z niespokojności — trzebaż mi się było
Pokazać? — Ten dom będzie paziowi mogiłą.

WOJEWODA.

Gasić światła! — Król się Pan ma ku spoczynkowi.

(Wychodzi.)

ZDZISŁAW.

I nikt że mi tu z duchów litosnych nie powie
O czem oni gadali? — Nie — ja spać nie będę;
Pójdę — aż się tych myśli dręczących pozbędę,
Ukołysany nocną cichością w ogrodzie.
Jeśli usłyszy — on mię pozna po chodzie
I przypomni że jestem na świecie. — O męka! —

(Wychodzi.)

SCENA XII.

(Inny pokój w zamku.)

KRÓL, WOJEWODA z pochodnią, MAZEPA, Pokojowi królewscy.

KRÓL.

A niechże przecie Waszmość przedemną nie klęka

WOJEWODA.

Król się pozwoli rozzuć.

KRÓL, podnosząc go z ziemi.

Waść zanadto czyni!
Prosimy cię, zostaw nas nocnej monarchini
Diannie, co w te szyby zamierzchłe zagląda.
Sam się ku spoczynkowi miej. Morfeusz żąda
Ofiary po ofierze Bachusa.

(Wojewoda kłania się i odchodzi.)

Bóg z wami.

(Pokojowce królewscy odchodzą.)

SCENA XIII.

KRÓL, MAZEPA.

KRÓL.

Podaj mi brewiarz. Niebo iskrzy się gwiazdami —
«Ave Maria plena.» — Mazo! słuchaj —

MAZEPA.

Panie?

KRÓL.

Czy wiesz Acan gdzie tutaj śpią moi dworzanie?

MAZEPA.

Na lewo.

KRÓL.

A pan zamku?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś kiep.

MAZEPA.

Zgoda.

KRÓL.

«Ave Maria» — Nie wiesz gdzie śpi wojewoda?

MAZEPA.

Nie wiem —

KRÓL.

Toś wielki dureń.

MAZEPA.

Już drugi raz słyszę.

KRÓL.

A ty gdzie śpisz?

MAZEPA.

Ja nie śpię.

KRÓL.

A cóż robisz?

MAZEPA.

Piszę

Dzieje twe, Miłościwy Panie.

KRÓL.

Sowizdrzale

Historjografie!

MAZEPA, na stronie.

Bogdajbyś pękł ex-kardynale.

KRÓL.

Co waść mruczysz?

MAZEPA.

Nic — wiersze —

KRÓL.

Ba — ja się założę,
Że ty masz jaką schadzkę po nocy.

MAZEPA.

Być może —

KRÓL.

Ja wiem pewnie. Waść gadał z Wojewodziną!

MAZEPA.

Chwaliłem przed nią Waszą Królewską Mość

KRÓL.

Ino
Mów prawdę. Waść ją będziesz widział dzisiaj jeszcze?

MAZEPA.

Jak tylko serce moje gdziekolwiek umieszczę,
To mi Król Miłościwy wnet zajrzysz.

KRÓL

Nie zajrzę,
Bynajmniej —

MAZEPA.

Wnet przeszkadzasz mi królu —

KRÓL.

A dajże
Mi święty pokój, głupcze — tak mi trąbisz w uszy,
Że aż uciekam —

(Bierze na siebie płaszcz Mazepy zostawiony na krześle, i kapelusz Mazepy kładzie na głowę.)

MAZEPA.

Królu! to mój płaszcz.

KRÓL.

Bez duszy!
Chcesz żebym dostał febry, bez płaszcza, po rosie.

MAZEPA.

Król Miłościwy wszakże ma swój.

KRÓL.

Co? młokosie!
Chcesz żeby mię po nocy w królewskiej odzieży,
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy?

I oddawało winne królewskie honory! —
Cóż Mazo, Waść nie jesteś na gorączkę chory;
Jeśli mię płaszcz zarazi czem, to głupstwem chyba! —
Czekaj tu Waść —

(Wychodzi do ogrodu.)

SCENA XIV.

MAZEPA, sam.

Niech djabli wezmą tego grzyba!
Jemu to w pazia płaszczu po księżycu chodzić
I pod oknami marznąć — i niewiasty zwodzić!
Ortodoxus! przeklęty Ortodoxus! ckliwy!
Wszak jeszcze wczoraj włos mu wyrywałem siwy —
Poczekaj! Drugi raz mię nie złapiesz tak snadnie!
Dalibóg że mu w moim płaszczu bardzo ładnie —
Gotowa jeszcze okno otworzyć!

SCENA XV.

KRÓL, wraca ze szpadą dobytą, ranny w rękę — MAZEPA.

KRÓL.

Nędzniku!

MAZEPA.

Królu!

KRÓL.

Zdrajco bezczelny!

MAZEPA.

Skądże tyle krzyku?

KRÓL.

Waść mię posłał na zgubę.

MAZEPA.

Ja?

KRÓL.

Zbójcę nasadził.

MAZEPA.

Przysięgam, Miłościwy Panie —

KRÓL.

Waść mię zdradził —

MAZEPA.

Co widzę? Najjaśniejszy Pan masz krew na dłoni!

KRÓL,

Wytłomacz się urwisie! Niechaj się Waść broni —
Będziesz Waść ukarany! — Ledwom dał dwa kroki,
Jakiś olbrzym wypada, jak sosna wysoki,
Z szablą dobytą — i wnet, nuż rąbać na ślepo;
Krzycząc: podły Mazepo! tchórzu ty Mazepo!
Nie będziesz ty mi więcej po księżycu łaził!

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

On mię nie obraził,
On Waści lżył — a mnie co do tego panie?

MAZEPA.

Lecz on ranił królewską dłoń i znak zostanie.

KRÓL.

Bogdajeś pękł — to wszystko ja cierpię za Waści.

MAZEPA.

On widział, że król, jego uchodząc napaści,
Zostałeś ranny?

KRÓL.

Widział — krew ciekła z oszczepa —
A mój ludojad krzyczał — jaki tchórz Mazepa!
Ranny już, a z pod szabli jak łajdak uchodzi!

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

A cóż to mi szkodzi
Że ktoś Waści nazywa tchórzem?

MAZEPA.

W żaden sposób —

KRÓL.

Injurje takie zawsze należą do osób,
Do których wymierzone są i do nazwiska.

MAZEPA.

Lecz jutro, Miłościwy Panie, krew odzyska
Swoje prawa.

KRÓL.

Co? jakie krew odzyska prawa?

MAZEPA.

Jutro, nazwisko tchórza, weźmie ręka krwawa.

RÓL

Co ty mówisz?

MAZEPA.

Racz o tem pomyśleć raz drugi.

KRÓL.

Idź Waść i obudź moje pokojowe sługi —
Pakować się — ja jutro wyjeżdżam przed słońcem.
Przeklęta noc!

MAZEPA.

Przeklęta noc!

KRÓL.

I koniec końcem —
Wyjedziemy.

MAZEPA.

I koniec końcem wyjedziemy.

KRÓL.

Ten zabójca rozpapla —

MAZEPA.

Nie musi być niemy.

KRÓL.

Przeklęta noc!

MAZEPA.

Injurje należą do osób.

KRÓL.

Co ty mruczysz?

MAZEPA.

Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

KRÓL.

Ba! to rzecz ciekawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

No i cóż? jakże Waszeć mój honor obroni?

MAZEPA bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani.

Oto mi, królu patrzaj, krew trysnęła z dłoni —

KRÓL, ściskając go,

Dziecko moje kochane!

MAZEPA.

Cóż jest w tej zadzierce!
Ja bym się może królu — dla niej ranił w serce.

AKT II.

SCENA I.

(Galerja z arkadami otworzonemi na ogrod.)

KRÓL, WOJEWODA.

KRÓL.

Mój Mości Wojewodo! to rzecz nie do wiary —
Paź napadnięty —

WOJEWODA.

Niech mię położą na mary,
Jeśli ja co rozumię Najjaśniejszy Panie,
W tej gmatwaninie —

KRÓL.

Niech to już tak i zostanie.
A Waszeć wojewodo nie wdawaj się w śledztwo.

WOJEWODA.

Co? Miłościwy Panie, moje tu szlachectwo
Na szwank jest wystawione, assasinium w domu!

KRÓL.

No, przecież się nie stało wielkie zło nikomu,
Paź tylko przywileju wietrznika nadużył
I oberwał Mospanie to na co zasłużył;
Dobrze mu tak, niech ładnym się oczkiem nie wabi.
No — cóż tak Wojewodo dumasz?

WOJEWODA.

Wabik babi,
Ten paź — może się strasznie oparzyć. — Mopanek!
Niechaj się strzeże, niech tu nie szuka kochanek —
Mój dom nie jest —

KRÓL.

I cóż tak drzesz pas złotolity?

WOJEWODA.

Więc pazik szukał tutaj po nocy kobiety?

KRÓL.

Wojewodo, ja nie wiem!

WOJEWODA.

Miłościwy Panie —
Pozwól mi — pójdę — ranne zastawiać śniadanie.

KRÓL.

Dajem wam wszelką wolność.

(Wojewoda odchodzi.)

SCENA II.

KRÓL, sam.

Ten starzec zazdrosny —
Jakże taki charakter w starych ludziach sprosny —!
Jaki śmieszny! — Rwał wąsa i rozdzierał pasa,
A wszystko więził w sobie, i krwi tylko krasa,
Wyszła mu na policzki starością zwiędniałe
Wstrząsał się, jakby dźwigał na ramionach skałę.
Widziałem jak mu błysła źrenica czerwona,
Gdy wyrzekłszy: kobieta, w myśli dodał: żona.
Oj wojewodo! tak mi wyglądałeś Wasze
Jak Radziejowski, gdy jadł ze Szwedami kaszę.
Cóż to? — Wojewodzina! —

SCENA III.

KRÓL, AMELJA.

AMELJA.

Panie Miłościwy!
Przyszłam ze skargą.

KRÓL.

Jakżem dumny i szczęśliwy!

AMELJA.

Królu! widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia —
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia —
Mówić nie mogę. — Niech król w lica mi nie patrzy!

KRÓL.

Któżby chciał na tych licach kwiat oglądać bladszy,
Kiedy jesteś tak cudnie piękną, gdy się płonisz.

AMELJA.

Królu, ty mię obronisz — — ufam że obronisz,
Jeśli mię nie chcesz widzieć Panie pod mogiłą —
Twój dworzanin mię zelżył — Panie —

KRÓL.

Jak to było?

AMELJA.

O tak Królu, jak zwykle, dziś, o słońca wschodzie
Szłam na mszę. — Pan Mazepa mię spotkał w ogrodzie,
Na wąskiej kładce zewsząd okrytej drzewami —
Ukląkł — jam się bladością okryła i łzami.
Lecz nie chciałam się cofnąć, by nie zdradzić strachu.
Począł mówić że poznał mię po róż zapachu,
Że mu wschodzące słońce powiedziało o mnie.
Zawstydzona, ile że ubrana mniej skromnie,
Bom nie myślała że mnie kto z ludzi nadybie —
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę —
Gdy ten bezczelnik lica moje widząc blade,
Rozumiał że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy! —

KRÓL.

O! szatan!

AMELJA.

Więc się, Panie, zawstydzona skarży —
Ufa, że się król ujmiesz za sprawą kobiety —

KRÓL.

Osądź go sama.

AMELJA.

Jak to! — ja mam sądzić — nie ty?
Królu! ty w naszym domu —

KRÓL, na stronie.

Przeklęty paziku! —

(Do Amelji.)

Pani, w naszym kodeksie jest zbrodni bez liku,
Lecz takiej nie ma zbrodni, ani kary na nią.

AMELJA.

Królu! powiedz mu że on domu tego panią
Shańbił — że podłe serce mu w piersiach uderza,
Ani serce Polaka, ni serce rycerza;
Powiedz mu, że my, biedne kobiety, się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam i zapomnę o nim.
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta!
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta!
Powiedz mu, że nikogo nie mając za stróża,
Mogłabym mieć mściciela — lecz mam go za tchórza,
I wzgarda moja litość urodziła we mnie.
Ale mu powiedz królu, że zrobił nikczemnie,
Powiedz i wypędź — niech go nie widzę przed sobą.

KRÓL.

Czemuż winienem pani że z twoją żałobą
Do mnie przyszłaś —

AMELJA.

Sądziłam że króla przytomność
Nie wstydzi —

KRÓL.

O szczęśliwy król, któremu skromność
Zawierza! i w całem się zdaje zaufaniu —
Szczęśliwy cię oglądać po świeżem spłakaniu —
Jeszcze cichemi łzami żalu brylantową!
O! nie płacz, ja ukarzę pazia — daję słowo —
Ukarzę — i nie ujrzysz go więcej przed tobą.
Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą,
Piękna Wojewodzino — o zakład że zgadnę
Jak masz imię; być musi imię smętne, ładne —
Jakże twe chrzestne imię?

AMELJA.

Amelja.

KRÓL.

Bóg z nami!
Słowik tej nocy ciągle pod memi oknami
Śpiewał to imię — jam spał i słyszał potroszę —
Teraz już z serca tego słowika nie spłoszę.
Piękna Ameljo! I tak więdnąć tu odludnie? —
Ten zamek nad jeziorem położony cudnie,
Ale smętny jak moje we Francji więzienie:
Te okna, te arkady, te lipowe cienie.
Ale tu całe życie prawie przeżyć trudno — —
Ameljo! czy ci w zamku tym czasem nie nudno?
Czy nie żądasz odmiany? — Tu dnie smutne płyną!
Ja bym w tym zamku umarł już, Wojewodzino!
To więzienie jak moja francuska wieżyca.
Ach! było i tam dziewczę, tak jasnego lica,
Jak ty pani — tak w każdem ujęciu okrzętna,
Która mi wtenczas miłą, a dziś jest pamiętna.
Jesteś od niej piękniejsza, lecz podobna trochę —
Ty jesteś smutna, tamto dziewczę było płoche.
Nieraz oszukiwała więzienia pachołków
I list z kraju przyniosła w bukiecie fijołków — —

AMELJA.

Jakże się nazywała ta biedna dziewczyna?

KRÓL.

Klaudia.

AMELJA.

Więc kochała i umarła z żalu?

KRÓL.

Wdową jest po marszałku dzisiaj d'Hospitalu.

AMELJA.

Zapomniała? zdradziła?

KRÓL.

Odmieńmy rozmowę.
Dziś, gdy mię gryzą kolce korony cierniowe,
Cóżbym nie dał, by dawne powróciły lata!

Gdy chleb spleśniały przy mnie, w oknach była krata,
A serce kochające przy sercu mi biło! —
O pani! jakże teraz samotnemu miło,
Znaleść tak piękną smętnych uczuć powiernicę —
Takie dwie łzy, dwie takie w oczach błyskawice,
Co z gniewnym ogniem niosą razem przebaczenie!
Takie słyszeć nad własną niedolą westchnienie,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia!
Tron i koronę rzucić, bez przyjaciół, wsparcia,
Opuścić kraj, gdzie ludzie są w sercach zatruci —
Rzucić wszystko, z tą jedną co nigdy nie rzuci!

AMELJA.

Mogęż odejść?

KRÓL.

O pani! zostań — jedna chwila —
Ty nie wiesz, że w tej chwili los mój się przesila,
Że mi korona spada z głowy, co się schyla
Przed tobą, czarodziejko!

AMELJA.

Mogęż odejść panie?

KRÓL.

O, dumna! — raz niechętnie dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz — —

AMELJA.

Już mi widne —

KRÓL.

Czoło w koronie!

AMELJA.

Zimne — —

KRÓL.

Dokończ.

AMELJA.

I bezwstydne.

(Odchodzi.)

SCENA IV.

KRÓL, WOJEWODA.

WOJEWODA, spotykając odchodzącą Amelję.

Co to jest? Do swych Aśćka idź apartamentów!

KRÓL.

Cóż tak srogi?

WOJEWODA.

Miłościwy Panie, bez wykrętów,
Coś mi dziś we łbie jęczy pogrzebowym dzwonem:
Krew, co się lała, leży pod żony balkonem.

KRÓL.

Co? Pazik taki śmiały?

WOJEWODA.

Królu! proszę o to:
Wypraw ty mi z zamczyska tę laleczkę złotą!
Wypraw ją, bo już Panie Miłościwy ranna,
To jak się dotknę, stłuc się gotowa jak szklanna.
Ja żony nie podzieram, to święta kobieta —
Lecz ten paź, on się czegoś tu królu dopyta.
Ja ciebie może Panie Miłościwy nudzę,
Lecz powiadam: jeśli chcesz mieć w dalszej usłudze
Twojego dworzanina, to go wypraw prędzej:
On się tu może zgubić jak worek pieniędzy.
Złoto wabi — on cały złoty — toć ukradną —
Wypraw go Miły Panie — ma figurkę ładną,
Ja się o niego boję.

KRÓL.

No; mój Wojewodo!
Widzę że w tobie ta krew, to nie szafran z wodą.
Cieszę się, żeś mi jeszcze czerstwy i ognisty.
Przyślij mi pazia — zaraz mu napiszę listy
I wyszlę do Warszawy.

WOJEWODA.

A ją mu dam szkapę.
(Odchodzi.)

SCENA V.

KRÓL, potem MAZEPA.

Ja zgrzeszyłem jak dziecko — a paź weźmie w łapę:
To i dobrze, on w moich zamiarach przeszkadza.
A jak widzę, to mnie tu on haniebnie zdradza
I sam pięknie przy własnej patronuje sprawie.
To i dobrze, z listami pazika wyprawię —
Zostanę sam, a pomoc mi rychło przybędzie.

(Wchodzi MAZEPA.)

Nastraszyłeś mi Waćpan przed czasem łabędzie.
Próżno spuszczasz oczęta i przegryzasz wargi:
Były tu na Waćpana, gapiu, różne skargi!
Wywędrujesz mi stąd precz, z listami do żony.
Do gabinetu za mną! —

(Wchodzi do gabinetu.)

MAZEPA.

Proszę jaki słony
Mój ortodoxus! nigdy tak źle nie zaczynał.

KRÓL, za sceną.

Za mną do gabinetu Waść — —

MAZEPA.

Djabeł kardynał.

(Wychodzi za królem.)

SCENA VI.

ZBIGNIEW wchodzi.

Tu wszedł paź — już go nie ma — zaczekam. — Tą razą
Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potem zabić się samemu!
Cóż jest w tej cichej śmierci okropnego? — Czemu
Lękamy się tej ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonemi na piersiach rękami?
Śmierć — innej nie ma drogi przedemną. — O Boże!
Gdyby mi kto powiedział wczoraj, że być może
Jaki człowiek na ziemi z sercem ludzkiem w łonie,
Piękniejszy niż róża, listkiem kryjąca jej skronie,

Bliższy jej ust, niż swojski jej kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty —
Muszki wieczorne, którym ja zazdroszczę co dnia.
Ach! nie wiem; wczoraj mi się zdawała to zbrodnia,
Dotknąć jej twarzy — dzisiaj możebym szalony — --
Tak więc ten, co się pali sam, żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi!
Zimnym, zwalanym trupem — —

SCENA VII.

WOJEWODA, ZDZISŁAW.

WOJEWODA.

Waść tu czekasz kogo,
Waść widzę porysował marmury ostrogą?
Cóż to jest za rysunek — trupia głowa? — Synu!
Waszeć mi się chcesz rąbać? Wstyd — to człowiek z gminu;
Takiego wojewoda pod kijem zatłucze.
Posłałem Chmarę — ja go respektu nauczę —
Melka niewinna że krew pod oknem — niewinna;
Lecz z paziem, co ją sądził ścierką, to rzecz inna!
Pod kijem on odszczeka, już posłałem Chmarę —
Zostaw to wszystko Waszeć na to czoło stare.
Czy ty myślisz że matka o tem nie wiedziała?

ZBIGNIEW.

O! na to ja przysięgnę.

WOJEWODA.

Panu Bogu chwała,
Że mi nadarzył świętą kobietę za żonę!
Czy Waść uważał, miała oczęta czerwone
Od płaczu — —

ZDZISŁAW.

Bo też każde posądzenie boli.

WOJEWODA.

Posłałem ludzi — będą przy wielkiej topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana,

ZDZISŁAW.

Lecz jak się król pan dowie?

WOJEWODA.

Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

SCENA VIII.

Ciż sami. KRÓL i MAZEPA wychodzą z bocznych drzwi.

KRÓL.

Mości Wojewodo!
Paź jedzie do Głuchowa, potem z naszą zgodą
Powraca do Warszawy, rzecz ukartowana.
Pozwólże mu Waścine uściskać kolana,
I każ mu spuścić mosty.

WOJEWODA.

Niech odjeżdża zdrowo —
A odemnie niech przyjmie szablę turkusową,
I rumakiem murzynem nie gardzi na drogę.
Koń ten bystre ma oczy i lotną ma nogę —
Oby Waści szczęśliwie niósł przez nasze pola
Do szczęśliwego celu.

MAZEPA.

Jeśli wasza wola,
Przyjmuję oba dary. — Piękny upominek!
Dobra szabla, a jeszcze lepszy koń murzynek —
I bogdajby to koń był, co kiedyś po lesie
I po łąkach aż na tron pazika zaniesie!
Jak to mi wywrużyła cyganka przed laty.

KRÓL.

A lećże mi po łąkach paziku skrzydlaty,
Wspomnij o mnie na tronie i bądź mi aljantem. —
A teraz wojewodo chodźmy, alikantem
Pić za szczęśliwą podróż tego pretendenta
Do korony. (Do Mazepy.) Niech Waszeć o listach pamięta.

(Odchodzi z Wojewodą.)

SCENA IX.

MAZEPA, ZBIGNIEW.

ZBIGNIEW, dobywając szabli.

Mości panie, do szabli!

MAZEPA, dobywając szabli.

Wiem co to się znaczy.

ZBIGNIEW.

Strzeż łba.

MAZEPA.

Mości rotmistrzu! jestem syn kozaczy —
Bić się umiem; lecz wcale nie czuję ochoty
Tłuc ojca turkusówką w syna pancerz złoty;
Ani Wojewodzica, co jak róże młody,
Zabiwszy, uciec z zamku koniem Wojewody.
Wreszcie i to Waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrusza,
Że się wstydzę tej w zamku odegranej roli —
Więc jeżeli szanowny pan Zbigniew pozwoli,
Ścisnąwszy się jak bracia, rozjedziemy w zgodzie.
Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, w ogrodzie,
Co mię obłąkał, ogniem zapalił, miłością —
Czar trwa — i mnie uniża teraz przed Waszmością,
I szczerym mnie afektem ku niemu zapala.
Cóż mówisz na to Waszmość? Czy serce pozwala?
Czy od proponowanej jest dalekie zgody?
Wierzaj mi, wrzućmi nasze zatargi do wody,
I bądźmi przyjaciołmi!

ZBIGNIEW.

Drwisz! Czy jesteś tchórzem?

MAZEPA.

Każdy swego honoru powinien być stróżem.
Zdaj to na mnie — potrafię zniżyć się bez szwanku.

ZBIGNIEW.

Waść zmykałeś tej nocy.

MAZEPA.

Księżyca kochanku:
Czy pewny jesteś że ja przed Waścią umykał?

ZBIGNIEW.

Mój Boże! jak wąż z bolu pod żelazem ksykał!
Zdejm rękawiczkę — krwawe masz na ręku znamię!

MAZEPA.

Pewnyż jesteś że twoje żelazo i ramię
Temu winne, Mospanie, że mam krew na ręce?

ZBIGNIEW.

Wykręcasz mi się podle.

MAZEPA.

Lecz się nie wykręcę.
Co? — Oto moja ręka — tak, dalibóg krwawa,
Lecz nie Waćpan ją zranił.

ZBIGNIEW.

Ba! to rzecz ciekawa!

MAZEPA.

Mospanie, jak nabierzesz znajomości świata,
Poznasz że nieraz cześci albo krwi utrata
Potrzebną jest «ut salvat» miłe nam osoby.
Waćpan jeszcze przez żadne nie przeszedłeś próby,
A jednak w tym się właśnie Wać znajdujesz razie,
Że nie tak na odwadze szumnej, na żelazie
Honor najdroższej tobie osoby spoczywa,
Jako na roztropności — to sztuka prawdziwa:
Serce mieć pełne ognia, zimne jak lód lice,
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

ZBIGNIEW.

Żadnych takich tajemnic nie mam do ukrycia.

MAZEPA.

Więc może ja się mylę. — Każdy ma do picia
Kielich mniej więcej gorzki; a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką serca truje.
Zdjął mnie smutek, gdym ujrzał w chmurach ciemnych losu
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu,
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze,
Mówią: niestety! — dodać zmuszeni: na zawsze!
Jestem dziecko; lecz takie widząc przeznacznnie,
Szczere i wielkie w sercu uczułem cierpienie,
I litość — i poświęciłbym siebie —

ZBIGNIEW.

A za kogo?

MAZEPA.

To moja tajemnica.

ZBIGNIEW.

Do szabli!

MAZEPA.

Tak srogo?

ZBIGNIEW.

Sercę wydrę!

MAZEPA.

Dla czego pobladłeś jak chusta? —
Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.

ZBIGNIEW.

Kłamiesz jak pies!

MAZEPA.

Koniecznie?

ZBIGNIEW.

Do szabli, mospanie!

MAZEPA.

Ha! kochasz ją —!

(Biją się. Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.)

ZBIGNIEW.

Dostałeś.

MAZEPA.

Waść lepiej dostanie.

(Mazepa wytrąca pałasz z ręki Zbigniewowi i obala go na kolano.)

ZBIGNIEW.

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości.

MAZEPA, podnosząc go.

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz Waszmości
O braterstwo i przyjaźń! Daj zemście spoczynek.
Użyłem słów wabiących gniew i pojedynek,
Abym poznał, czy Wasze jest jednym z tych ludzi,
Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
I odejmuje pokój starca włosom siwym? —
Czy Waść jesteś szlachetnym, albo nieszczęśliwym!
O tak! szczerze Waszmości chcę być teraz bratem.

(Zbigniew rzuca się w objęcia Mazepy.)

Zbigniewie mój! z tym biednym kłócący się światem
Walką wrącego serca — mój drogi! szlachetny!
Ty mi się podobałeś — ty w tym zamku świetny,
Jak rycerz dawnych czasów ująłeś mi serce!
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiej iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczem skalał się, przewinił —
W jej szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo! —
Wierzaj mi — ty być musisz twego losu sługą —
Bo nie możesz być panem — nie — to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna,
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita —
Lecz ty uciekaj — ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia — tobie uciekać potrzeba! —
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba:
Te wkrótce zetrą serca na proch — tak je znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą.
To się i z tobą stanie. Jedź ze mną Zbigniewie!
Jak dwa motyle w wichru kręcone powiewie,
Przelecimy przez okna otworzone dworu,
Gdzie gapie, a w kontuszach różnego koloru,
Jak ćmy głupie obsiadły starą Francuzicę.
Przewrócimy ten cały stary świat na nice,
Brzękiem, śmiechem, szyderstwem napełnimy salę!
Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
Przy ogniu twego serca — a jak ogień boski
I w tobie zamrze — wtenczas żadne łzy i troski
Już nie wrócą, i będziem śpiewali: «victoria!»
Widzisz, moje kazanie gorzkie jak cykorja,
Wycisnęło mi z oczu łzy, drogi Zbigniewie —
I cóż?

ZBIGNIEW.

Pojadę z tobą — —

MAZEPA.

Dziś przy wielkiem drzewie
Koło karczmy zaczekam na cię do północy.

ZBIGNIEW.

Nie tam — jedź inną drogą.

MAZEPA.

Co? czy tam Rakocy
Stoi z wojskiem?

ZBIGNIEW.

Nie pytaj, bo mi wstyd wyjawić,

MAZEPA.

Więc potrafię się w bliskiem miasteczku zabawić
Grą w kości, choćby z jakim wojakiem ciemięgą.

ZBIGNIEW.

Czekaj tu — ja ci każę klacz osiodłać tęgą —
Wtenczas wiatr nie doścignie!

MAZEPA.

Idź, chłopaku szczery!

(Zbigniew odchodzi.)

SCENA X.

MAZEPA, sam.

Panie Mazepo! teraz Wasze innej cery —
Co się z twoją złożoną zrobiło maszkarą?
Mówiłeś jak ksiądz — próżno djabeł krzyczał! «haro!»
Ty brnął w cnotę jak w błoto, ani dbał o siebie —
Dwa dni tego humoru, a umrę i w niebie
Będę siedział po uszy! — Ba! lecz bies powróci.

(Podnosi listy królewskie z ziemi.)

Aha! królewskie listy! — Ten król mi coś czmuci —
Dalibóg! szablą pieczęć przecięta na dwoje —
Schowam — ja się tej szelmy ciekawości boję —
To mój wróg — ba! — lecz pieczęć na dwoje złamana.
Tylko troszeczenieczkę — —

(Zaziera w listy.)

«Proszę Waszmość Pana»
Do Głuchowskiego pisze komendanta.

(Przebiega list oczyma.)

Nieba!
Ukartowane wszystko na rapt jak potrzeba —
Ortodoxus chce porwać żonę Wojewodzie!
Dalej — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?
(Czyta.)
«Pana Mazepę — zaraz zasadzić do wieży,
I strzedz aż do dalszego z nim rozporządzenia.»
(Chowa listy.)
Ach, panie ortodoxus! — Co? — mnie do więzienia?
A młodziutką starego żonę w twoje łapy? —
Więc ty myślisz że wszyscy, włącznie ze mną, gapy?
Że w twoich sidłach muszki uwikłane zginą? —
Tej nocy muszę widzieć się z Wojewodziną,
Jej tylko mogę wyznać tę dziecka ciekawość — —
Czegóż się lękam? — Moja zwinność, lotność, prawość
Wszystko ocali. — Będę ją widział tej nocy —
Mam jej honor i własną śmierć we własnej mocy;
Z tem się zgubić nie można! —

SCENA XI.

MAZEPA, ZBIGNIEW wraca.

ZBIGNIEW.
Koń czeka gotowy.

MAZEPA.
Do widzenia!

(Wychodzi.)

ZBIGNIEW, sam.
Skończona rzecz — ugiąłem głowy
Przed nieszczęściem! Skończona ze mną rzecz — zginąłem.
Gdyby wiedzieć, że człowiek smutny jest aniołem,
Że co tu niespokojnych miłości uniknie,
To będzie miał u Boga! — Mój cień wkrótce zniknie,
I w tej krainie więcej o mnie nie usłyszą —
Ale po latach wielu z jaką straszną ciszą,
Trumny się starych ludzi w jednym lochu schodzą,
Jakby się nigdy z sobą nie znały — i płodzą

Robactwo obrzydliwe. Patrząc na te kości,
Ktoby wtenczas przypomniał ludziom o miłości,
Odebrałby śmiech dziwny trumien w odpowiedzi
I odszedłby jak głupiec z mistycznej spowiedzi!
Czas jest rozgrzeszycielem. — O jakże tym błogo,
Co swe gryzące wiecznie serce przeżyć mogą! —

SCENA XII.

ZBIGNIEW zamyślony. — Widać Amelję zbliżającą się po drugiej stronie arkad. — KSIĄDZ idzie za nią. — Amelja staje przed Zbigniewem i uderza go lilją po twarzy.

AMELJA.

Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelja daje Zbigniewowi lilję — lecz Ksiądz, stojący za nią, wyrywa kwia z rąk Amelji i mówi srogo.)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilja jest kwiatem aniołów.

AKT III.

SCENA I.

(Pokój Wojewody.)

WOJEWODA, CHMARA,

WOJEWODA.

Więc paź tu jest — w ogrodzie?

CHMARA.

Widzialem na oczy —

WOJEWODA.

Zdejm Wacan strzelbę — spróbuj czy zamek odskoczy.
Czemu Waść patrzysz na mnie? no? — Zbierz Acan ludzi!

Ale cicho, niech się Król Jegomość nie zbudzi —
Idź — z ludźmi bądź w ogrodzie.

(Chmara wychodzi.)

Panie! Chryste Panie!
Otóż to rzecz! W zamczysku moim polowanie
Na gacha mojej żony! — Chryste, Jezu Chryste!
A dajże ty umarłym światło wiekuiste!
Pomrą! piekielnie pomrą! —

(Wychodzi zbrojny.)

SCENA II.

Mieszkanie Wojewodziny. — Okno otwarte na balkon — z jednej strony alkowa zasłoniona firankami.)

MAZEPA, wlazi oknem.

Wszystko śpi w zamczysku.
Żadnego po komnatach szmeru ani błysku.
Doskonale — to pokój kobiecy! — Gdzież ona?
Może jeszcze w ogrodzie chodzi zamyślona —
Może u swoich niewiast — —

(Pokazując na alkowę)

Może tam uśnięta.
Co robić? czy tam zajrzeć? — Alkowo przeklęta!
O najniebezpieczniejsza z zasadzek alkowo!
Za tą zasłoną lekką, wiotką, purpurową,
Ona śpi, snem różowym, cichym, — Djable! djable!
Jak ty mnie dręczysz!

(Zaziera w alkowę i wraca.)

Pusta. — Przysięgam na szablę,
Że nie miałem złej myśli, ruszając firanek.
Cóż robić? — Ona przyjdzie — skryję się na ganek,
A na wachlarzu kilka słów do niej napiszę:

(Pisząc)

Odeszlij twe niewiasty — jestem tu — —

(Rzuca wachlarz.)

Co słyszę?
Kroki dwóch osób — mury te dla mnie fatalne!
! Jajeśli mnie odkryją tu — w łeb sobie palnę!

(Wchodzi do alkowy i zakrywa firanki.)

SCENA III.

AMELJA I ZBIGNIEW.

AMELJA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko!

AMELJA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biedna ja! biedna!

ZBIGNIEW.

Dla czego?

AMELJA.

Nie wiem — ja na tym świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa! — Ja nie wiem
Co mi jest. — Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocnem powietrzu. — Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — Lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jak zły dzień. — Boże! skądże przyszło tobie
Odjeżdżać? — Ty mi nigdy nie mówiłeś o tem.
Zostanę sama! Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko!

AMELJA.

Nie! Więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! nigdy już! nigdy!

AMELJA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek, co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada.

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELJA.

Chodź tu! klęknij mi Wasze! — Cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się? — I ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem! — Chodź — czoło Waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW, klęka przed nią.

Matko! o matko! litości!

AMELJA.

Milcz! milcz! Ja cię rozumiem — tak padłeś przedemną!
Waćpan przedemną strasznie upadłeś. — Bóg ze mną —
Ja Waćpanu nie mogę nic — prócz łez — ja sama
Cierpię. — Idź Waść — —

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELJA.

Prócz łez. — Jaka plama
Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać;
Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni: Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą, obleję cię łzami —
Ty będziesz je pamiętał, te łzy! — Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać — i o mnie. — Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie —
Bądź zdrów! —

ZBIGNIEW, chce wstać i mdleje.

Ciemno mi w oczach!

AMELJA

Słyszysz! ktoś nadchodzi.
O wstań! o wstań! — To ojciec nasz — —
(Do wchodzącego Wojewody.)
Niech Pan Dobrodziej
Ratuje — twój syn leży mi u nóg zemdlały.

SCENA IV.

Ciż sami, WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA, do ludzi za sceną.

Pilnować drzwi i okien. — Jeszcze honor cały —
Mój syn tu był na straży! — (Do Amelji) Czyś ty jego struła?

AMELJA.

Ja?

WOJEWODA.

Ty bez cześci.

AMELJA.

Mężu!

WOJEWODA.

Waćpani tu czuła
Gacha w komnacie; czarów użyłaś na dziecko.
Wszedł i omdlał.

AMELJA.

Co Waćpan mówisz?

WOJEWODA.

O! zdradziecko
Umiesz ty się wykręcać czarna ohydnico!
Panie Chmara! synowi memu pod nos świecą —
Czy żyje?

CHMARA.

Dycha, Panie.

WOJEWODA.

Wynieść do ogrodu.

ZBIGNIEW, przychodząc do zmysłów.

Gdzie jestem? co to znaczy? ojciec! —

WOJEWODA.

Bez wywodu
Panie synu — nie kryj się Waćpan — ja świadomy
Całej rzeczy. — Bogdajby mnie trzasnęły gromy!
Bogdajbyśmy obadwa legli od pioruna —
I ta winna! ta sądna! ta przebiegła kuna!
Ta —! ścierka!

ZBIGNIEW.

Ach! ona mój ojcze niewinna!

Nie — ona jest, jak mówią, kobieta uczynna,
Nic więcej — ona tylko się —

ZBIGNIEW.

Ojcze! na Boga!

WOJEWODA, do Amelji.

Jak mi Waćpani płaczesz? jak cię trzęsie trwoga?
Ha! bo też tu się stanie z nami rzecz okropna. —
Waćpani mi tu byłaś bardzo nieroztropna!
Waćpani prowadziła źle swe ceregiele,
To teraz będą kiry i trumny w kościele —
Przygotuj się Waćpani! bo to sprawa czarta.
O! jaka ty na czole ze wstydu wytarta!
Inna by już mi do nóg padła cała długa
I całowała stopy.

AMELJA.

Ja Waszmości sługa,
Ale jestem niewinną.

(Zbigniew pada do nóg.)

WOJEWODA, po Zbigniewa.

Ty śmiesz prosić za nią?

ZBIGNIEW.

Nie, ja sam jestem —

WOJEWODA, przerywając.

Tak, ty — z twoją matką panią —
Złączyliście się —

ZBIGNIEW.

Ojcze!

WOJEWODA.

Przeciw starca głowie,
Aby ją okryć hańbą! — Niech ci Bóg da zdrowie:
Wybrałeś się tu dobrze z protekcją Wasze.

ZBIGNIEW.

Ojcze! choćbyś miał piorun, to ja go zagaszę
Krwią moją, i sam jeden tę winę odkupię! —

WOJEWODA.

O synu krwi wężowej! — synu! — zimny trupie!
Bez duszy — i ty żadnym gniewem się nie palisz?

Czy twoje młode kości naruszył paraliż?
Czy serce tylko twoje tknięte paraliżem?

ZBIGNIEW.

Ojcze! te słowa dla mnie są boleści krzyżem —
Reszta będzie bez męki. — Syn z pokorą czeka.

WOJEWODA, do Amelji.

Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

AMELJA.

Ja —?

WOJEWODA.

Patrzcie na nią teraz! patrzcie jak się chwieje! —
Ona tu wnet omdleje.

AMELJA.

Nie — ja nie omdleję.
O Matko Boska! bądź ty ze mną w tej godzinie!

WOJEWODA.

Przysięgam, że Waćpani gach jak mucha zginie. —
Panie Chmara, poszukać w alkowie!

AMELJA, zatrzymując Chmarę.

Stój Wasze!
Pierwej w tych piersiach srogie utopcie pałasze,
Nim dotkniecie firanek — a ty słuchaj mężu —

WOJEWODA.

W twoim pokoju człowiek jest — kobieto! wężu!

AMELJA.

Zbigniewie! — Nie ma w moim pokoju nikogo!

WOJEWODA.

Da się to widzieć.

ZBIGNIEW.

Ojcze! nim postąpisz nogą,
Pomyśl co robisz — tu się rzecz okropna stanie —
Ja wierzę — i ty musisz wierzyć — o mój Panie!
O mój ojcze! ty wierzysz? nieprawdasz?

WOJEWODA.

Rufianie!!

ZBIGNIEW.

O! mój ojcze!

WOJEWODA.

Dla czegoż ty się z passjonatem
Droczysz — i stoisz tutaj — i jesteś mi katem? —
Dla czego ty jej wierzysz! O gadzino sromu!
Waść by mnie teraz wtrącił do szalonych domu?
A jednak ja mam zmysły wszystkie dobrze zdrowe! —
Panie Chmara! każ ludziom tę straszną alkowę
Zrewidować — tam nie ma okien — nie uciecze —
Tu go Waćpani kozak za włosy wywlecze:
Będzie ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ja mu z piersi serce jak oko wyłupię. —
Ja Waćpani pozwolę potem spać przy trupie —
Jeśli nie będzie chciała — przywiążę jak sukę —
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę!
Będą o niej pamiętać, aż Polski nie będzie.
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie —
Mną będą straszyć dziatwę. — Hej, iść pod kotary!

(Ludzie zwołani przez Chmarę chcą iść do alkowy. — Zbigniew staje u wejścia i dobywa szabli.)

ZBIGNIEW.

Ojcze, każ im się cofnąć bo pójdą na mary —
Bo ja tu ich nie puszczę! —

WOJEWODA, sam daje krok wprzód.

(Zbigniew dóbywa pistoletu i przykłada sobie do piersi)

On ze mną zaczyna?!

ZBIGNIEW.

Stój ojcze! bo na progu tu wstąpisz w krew syna.

WOJEWODA.

A to djabeł zacięty!

AMELJA.

Zbigniewie! Zbigniewie!
Odsłoń firanki — ja wiem że twój ojciec nie wie
Co ja cierpię — lecz niech się przekona oczyma —
Oczy są jego sercem, on innego nie ma;
Gdyby miał — ulitowałby się tysiąc razy.

(Do Wojewody.)

O Panie! ja niewinna! ja bez żadnej zmazy —
Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiety! —

Patrz! twój syn do ust kładzie pistolet nabity —
On nie może wytrzymać udręczenia mego,
On się chcę zabić, panie! —

WOJEWODA.

A wiesz ty dla czego
Do ust włożył pistolet i za śmiercią dyszał?
Bo tam za sobą szelest człowieka usłyszał!
Bo ja aż tu słyszałem.

AMELJA.

Ten starzec mię łamie!
Zbigniewie! tyś nie słyszał nic? — ten starzec kłamie.

ZBIGNIEW, jakby pasując się z sobą i wpadając w obłąkanie.

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona.
Tam nikt nie wejdzie. — Piersio Chrystusa, czerwona
Siedmią ranami — tu nikt nie wejdzie — o Boże!

(Idzie ku Amelji.)

Matko! — macocho —

(Cofa się ze wstrętem i znów wraca pod alkowę.)

Ojcze — ja się tu położę
Jak pies — i nikt nie wejdzie. Miej litość nademną,
Ojcze! O! ja omdleję — słabo mi i ciemno —
Ja omdleję drugi raz! — Ta scena mię dręczy!
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam nie ma nikogo — czy ci nie dość na tem —
Ojcze! — O! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący —
Patrzaj — ja cały blady — patrzaj cały drżący —
Ja słabnę — jeszcze chwila a serce mi pęknie —

AMELJA, do Wojewody.

Litości, Panie! — niechaj twa zaciętość zmięknie —
Ja bardzo cierpię! —

WOJEWODA, ponuro.

Chciałbym uwierzyć w Waćpanią.

(Zdejmuje ze ściany krucyfiks.)

Przysięgniesz na krucyfiks?

ZBIGNIEW.

Ja przysięgnę za nią,
Ojcze! co myślisz? kazać przysięgać kobiecie?

Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam! — Usta kobiet są jak niemowlęce —
Ich straszliwemi słowy nie potrzeba mazać —
Mój ojcze! daj krzyż — ludziom już można rozkazać
Aby odeszli. — (Na stronie) Co to i ona się zbliża? —

AMELJA.

Ja przysięgnę.

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

I cóż?

ZBIGNIEW, cicho, do ucha Amelji.

Matko — precz od krzyża! —

AMELJA, kładzie rękę na krucyfiksie.

Na Chrystusowe rany, i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze,
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona.
Niech wam tak Bóg odpuści! —

ZBIGNIEW.

Ojcze! rzecz skończona.

WOJEWODA.

Ha?

ZBIGNIEW.

Wszak przysięgła?

WOJEWODA.

Amen.

ZBIGNIEW.

Ojcze! idźmy razem —
Ja sam jestem jak senny!

WOJEWODA.

Chmara! idź z rozkazem,
Niechaj mi tu mularzy przyszle budowniczy.

(Chmara odchodzi.)

ZBIGNIEW.

Cóż to jest?

WOJEWODA.

Król Jegomość tutaj sobie życzy
Kaplicę mieć pod bokiem; więc trzeba mularzy,

ZBIGNIEW.

Ojcze? tobie coś patrzy okropnego z twarzy!

WOJEWODA.

Ja? Mospanie, spokojny. — Na Chrystusa rany
Spokojny jestem starzec. Choćby teraz w tany
Tak mi wesoło, tak mię ta przysięga cieszy! —
Gdyby nie to, że śmierci się kościotrup śpieszy
I już stoi nad głową, śmiałbym się na gardło —
Lecz, Mości Panie, serce już we mnie umarło.
Śmierć się dotknie i kości na proch się rozsypią —
Cyt — cyt — cyt — czy słyszałeś? jakieś bóty skrzypią —
Czemu Waść drżysz?

ZBIGNIEW.

Już późno, ojcze, już poranek —

(Wchodzą mularze i Chmara.)

WOJEWODA.

Zamurować alkowę — nie tykać firanek.

ZBIGNIEW.

Mój ojcze, ta niewiara —

WOJEWODA.

A Waść mojej żonie
Wierz — przysięgła na krzyżu — to ja teraz bronię,
Abyś ją Waść o krzywą nie sądził przysięgę. —
Zamurować! — Na piekieł czerwonych potęgę
Zaklinam się, że nigdy tam nie zajrzą ludzie!
Tam leży tajemnica, tam żeńskiej obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca — tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara,
Tam letarnik żyjący swego ciała strawą —
Ze szklannemi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą,
Gryzący ręce! — Patrzcie jak ten mur podrasta! —
Otóż to z sercem prawie kamiennem niewiasta,
Żona co dba o siebie, o honor kobiecy,
Zabójczyni, zrobiona nagle z nierządnicy!
Synu! Co Wacan myślisz o swojej macosze?

(Podczas tych słów mularze już część wejścia zamurowali. — Amalja, która stała zamyślona, rzuca się nagle do nóg Wojewody.)

AMELJA.

Panie! mój mężu —

WOJEWODA.

Aśćka mi rozkazuj.

AMELJA.

Proszę
Pozwól mi, nim alkowę zamurują —

WOJEWODA.

Aha!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść mężu!

WOJEWODA.

Już Aśćka się waha? —
A przysięgłaś!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak Waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą —
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW, na stronie.

Dzień sądu prawdziwy!

AMELJA, pokazując na alkowę.

Panie tam jest —

WOJEWODA.

Ha! — jest kto? i cóż?

AMELJA.

Tam jest żywy —

ZBIGNIEW, na stronie.

Kto? czy sam król?

AMELJA.

Konterfekt mej nieboszczki matki!

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro! — wybieg bardzo gładki!
Precz od kolan! a wy tam śpieszniej z tą robotą.
Rozwiedziemy się Pani — tę obrączkę złotą
Odbierzesz cudzołożna żono w konsystorzu!
A teraz mi Acani utoniesz jak w morzu —
Pod klucz serce — nie będziesz mnie więcej hańbiła!

CHMARA.

Panie, mur dokończony.

WOJEWODA.

Zamknięta mogiła.
Na murze krzyż napisać —

ZBIGNIEW, znajduje wachlarz rozłożony, na którym był Mazepa o swojem przyjściu napisał. — Czyta i chowa wachlarz.

O nieba! — co widzę!

WOJEWODA.

Chodź stąd Waćpani, nie płacz — ja z łez próżnych szydzę.
Precz stąd wszyscy — tu będzie królewska kaplica —
A za ołtarzem straszna, trupia tajemnica;
Między tobą, niewierna, a piekłem chowana —
O! straszliwa to ściana! bolesna to ściana!

(Do Chmary.)

A wy — co tam byliście tego mura bliscy
Milczcie. — «Et requiescat in pace!» — I wszyscy
Precz ztąd!

(Wychodzą wszyscy. Wojewoda ostatni żonę za rękę na pół omdlałą wyciąga.)

AKT IV.

SCENA I.

(Pokój ciemny — okno jedne z kratami)

AMELJA sama, potem CHMARA.

AMELJA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie! —
O jak posępnie błyszczą księżyca promienie!
Już druga noc — jam ani godziny nie spała —

CHMARA, wchodząc z wody dzbankiem i z chlebem.

Czy Pani będzie jadła?

AMELJA.

Nie.

CHMARA.

Pani płakała?

AMELJA.

Nie — — Czy nikt się nie pytał ciebie, Panie Chmara,
Jak ja się mam?

CHMARA.

Nikt, Pani.

AMELJA.

I nikt się nie stara
Za mną? nikt się nie wstawia? — Czy jegomość w zdrowiu?
Powiedz, że tu od tego na dachu ołowiu
Zimno mi — ja mam febrę!

CHMARA.

Czy przysłać doktora?

AMELJA.

O nie! jeszcze nie jestem je śmiertelnie chora,
Tylko mi zimno. Czy tu ksiądz nie przyjdzie do mnie?
Ksiądz spowiednik —

CHMARA.

Pan się dziś rozgniewał ogromnie
Na panicza — godzinę się kłócili z synem.

AMELJA.

Ach!

CHMARA.

Panicz się za księdzem ujął kapucynem,
Lecz bardzo było trudno dojść do ładu z panem —
Wreszcie zezwolił. Oto chleb i woda z dzbanem
Niech się Pani posili — wszystko dobrze będzie.
Przypomniały dziś Panią Panu dwa łabędzie,
Co przypłynęły po żer aż pod okno szklanne —
Pan je chciał spłoszyć —

AMELJA.

Moje łabędzie kochane?

CHMARA.

Pan je chciał spłoszyć, nawet już ze strzelby mierzył,
Ale Pan Zbigniew ręką po lufach uderzył
I nabój poszedł na wiatr. Jegomość już wzdycha;
Wczoraj, ledwo przy stole wziął się do kielicha
Nie mógł dopić — i ryknął jak lew — wstał od stołu
I chciał odbić alkowę — ba — pańskiemu czołu
Coś ciąży, coś dolega — wstyd samego siebie —
Ja go znam — on się prędzej pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu — to panisko dumne!

Ja go znam; taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam — to dotkliwy jest Pan na honorze.

AMELJA.

Panie Chmara! Acana słowo wiele może —
Proś Acan jegomości i nalegaj ne to
Aby zajrzał w alkowę.

CHMARA.

Jużciż, całe lato
Nie przejdzie tak, wypłynie na wierzch tajemnica —
Ale teraz nie można.

AMELJA.

Czemu?

CHMARA.

Tam kaplica
Gdzie był pokój Imości, ołtarz gdzie alkowa.
Królisko się tam ciągle z brewiarzem chowa —
Wpadł w religijny afekt i sprowadził popów
Unitów —

AMELJA.

Panie Chmara, zbierz ty kilku chłopów
Pójdź w nocy — każ rozwalić mur! — Pan się przekona
Że niewinną posądził — że ja wierna żona.
Ty nawet Panu wielką uczynisz przysługę —

CHMARA.

Ale Pani, tam człowiek jest — ja w tę framugę
Zajrzałem — stał tam blady jak trup —

AMELJA.

Matko Boska!
Czy to jest urok jaki? Panno Częstochowska!
Czy jaki zły duch ludziom tym pokazał lice.
Człowieku! ty widziałeś szatana źrenice,
Błyszczące się w ciemności po nad mojem łożem —
Idź precz! idź! — jesteś kłamcą!

(Chmara wychodzi.)

SCENA II.

AMELJA.

O! gdyby tym nożem
Można się przebić i być spokojną i zasnąć!

Nie, nie — nie mam odwagi — ja muszę zagasnąć
Zwolna; wypiwszy do dna, ten kielich goryczy.
Cóż to? słychać po wschodach znów krok tajemniczy?
Ktoś idzie — ksiądz zapewne.

SCENA III.

AMELJA, ZBIGNIEW wchodzi zakapturzony w księdza habicie.

AMELJA, rzucając się ku niemu.

To anioł z obłoków!
Zbigniewie! jam poznała szelest twoich kroków
To ty!

ZBIGNIEW.

Precz! precz! — z daleka odemnie —

AMELJA.

Co słyszę!
To musi być kto inny —

ZBIGNIEW, odsłania twarz.

To ja.

AMELJA.

Gniew kołysze
Twoją wiotką postacią, jak znikomym cieniem. —
I z czemże ty przyszedłeś do mnie?

ZBIGNIEW.

Z potępieniem —

AMELJA.

Za cóż ty mię potępić chcesz? Ty cały drżący!

ZBIGNIEW.

Przyszedłem cię potępić jak umierający,
I przekląć — i przed tobą trupem się położyć,
Lecz pierwej przekląć! —

AMELJA.

Skądże ci mię biedną trwożyć!
Dla czego ty przeklinać mię masz? Wszak ty jeden
Nie masz prawa przeklinać.

ZBIGNIEW.

O! tu mi był Eden —
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,

Hymnem anielskim, twoje tłumione westchnienia —
Twoje dusza, połową mej duszy weselszą!
Nie mówiłem ci tego pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią.
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. — O matko!
Z daleka stój! — Przyszedłem się na twoją gładką
Twarz zapatrzyć i ludzkiej piękności urągać —
Nie śmiej już po mnie żadnej przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo! —
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę —
Chodź tu — powiem na ucho. — Utnij włosy krucze,
I powieś się — lub — słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz —

AMELJA.

Zbigniew!

ZBIGNIEW.

Ty mię raz już łzami
Oszukałaś — więc oszczędź sobie teraz mdłości —
O! — jak ja tę kobietę kochałem! — Litości!
O jak ja tę kobietę kochałem!!!

AMELJA.

Zbigniewie!

ZBIGNIEW.

Ktoby myślał że ona nic o żądzach nie wie!
Ja sam myślałem — głupi! — Teraz dobrze pomnę
Jakie mi ona nieraz uściski nieskromne,
Jakie gorące usta na czole mi kładła! —
Drżę cały kiedy myślę — i tego widziadła,
Nie mogę teraz wygnać z pamięci — nie mogę!
Śmiała się ze mnie w duchu! — Chodź, dam ci przestrogę:
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia, i żywym
Nie przystoi — lecz musi być wreszcie wyśmianą.

AMELJA.

Jakżem się ja za niego modliła dziś rano!

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

Czy wiesz ty, co do mnie mówiłeś Zbigniewic?

ZBIGNIEW.

Czy ty go bardzo kochasz?

AMELJA.

Kogo?

ZBIGNIEW.

O! zarzewie
Piekielne! — Ona pyta kto — wiesz! twoj kochany!
Wiesz — o! ten podły! o ten tchórz — zamurowany! —
Czy ty go bardzo kochasz? mów! mów! klnę się duszą,
Że się raczęta twoje w moich rękach skruszą!
Jeśli nie powiesz! — Wyznaj, nie potrzeba szlochać —
Ty zamurowanego musisz bardzo kochać,
Bo ty myślisz że się on poświęcił za ciebie?
Kłamstwo! omdlał ze strachu! — to tchórz! — Jak Bóg w niebie!
To tchórz! — Ze strachu omdleć musiała gadzina —
Ale gdy się obudził, to ciebie przeklina!
To pierś drze, i przeklina; ręce w piersiach broczy —
Ot — i chciałby tę swoją krew ci rzucić w oczy —
Tu! — gdzie te łzy, po czystym migają lazurze —
On cię przeklina, ręce swe krwawi na murze —
Potem je niesie do ust z głodu i krew pije!
Ten człowiek teraz tylko przekleństwami żyje! —
(Zamyśla się.)
Ona go będzie wiecznie kochać umarłego —
To sęk jak wydrzeć marę z pamięci — bez tego —
Zemsta się jak skorpijon własnym jadem chłoszcze!
(Ze smutkiem i skargą.)
Ameljo! o Ameljo! — chodź tu! — ja zazdroszczę
Tamtemu człowiekowi i zawiść mię dręczy! —
Ameljo! — ja jęczałem, jak on teraz jęczy,
Jak on patrzaj — pogryzłem z bólu ręce obie;
Ja mu będę zazdrościł spokojności w grobie!

Tak, jak teraz zazdroszczę męczarni i głodu —
Daj mi ten nóż — to serce chce zimnego lodu.
Obaczysz, jak ja umię kochać, cierpieć, konać —
Daj nóż! — Ja ciebie muszę kobieto przekonać,
Że gdybyś mię kochała, to jabym był godny
Nawet miłości wiecznej!

AMELJA.

Stój! nóż nadto chłodny —
Ja ci go mojem sercem rozdartem ogrzeję!
O jak ten człowiek straszny! serce we mnie mdleje.
Zbigniewie! czy ty pewny że tam był kto taki?

ZBIGNIEW, rzuca jej wachlarz.

Patrz!

AMELJA.

Wachlarz mojej matki.

ZBIGNIEW.

Czytaj! tam są znaki,
Po których ja poznałem że był —

AMELJA.

Chryste Panie! —
Prowadź ty mnie — przed królem uczynię wyznanie,
Prowadź mię — ja niewinna — lecz tam człowiek kona!
Potem umrę ze wstydu i w twoje ramiona
Upadnę skonać. — Ty mię uwierzysz niewinną!
O! przed królem ujrzycie wy mnie teraz inną —
Ja was tam dobrze wszystkich i ciebie przekonam,
Ja wam opowiem wszystko co wiem — potem skonam.
To może wy się przecie zmiękczycie litością!

SCENA IV.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA.

Waćpani masz przed królem stanąć Jegomościa —
Ze mną! Rzecz się odkryła.

(Wyciąga za sobą żonę.)

ZBIGNIEW.

Bronić ją! niewinną!

(Zruca habit księdza i wychodzi.)

SCENA V.

(Pokój jak w trzecim akcie, przemieniony na kaplicę.)

KRÓL stoi na stopniach ołtarza. — Kilku KSIĘŻY. — Potem WOJEWODA. AMELJA, potem ZBIGNIEW.

KRÓL.

A! to święci ojcowie, jakby powieść gminna!
Mury jęczą — trudno tu strachom nie dać wiary
Coś mi się bardzo kręci Wojewoda stary.
Żona jego zniknęła — może tu zamkniona.

(Wojewoda wchodzi z Amelją.)

WOJEWODA.

A ot mi, królu, moja zmartwychwstała

KRÓL.

Lecz tam jęk słychać była, przeniknął mi kości.
A! Panie Wojewoda — gdzie jest syn Waszmości?

WOJEWODA.

Nie wiem?

(Wchodzi Zbigniew.)

A ot i Pan Bóg zesłał mego syna.

KRÓL.

To rzecz dziwna! Ojcowie święci, to kraina
Zaczarowana! — duchy wywołane stają!
Mury te, Wojewodo, dziwne rzeczy tają,
Rozkazujemy zaraz tę ścianę rozwalić! —

WOJEWODA.

Wolałbym miłościwy Panie zamek spalić,
Za mur ten nie zajrzawszy, lecz gdy taka wola —
Panie Chmara rozbić mur! — Panie Chmara hola!
Krzyknij mi tam na ludzi niechaj przyjdą z młoty.
Lecz miłościwy Panie królu, ten skarb złoty
Będzie należyć do mnie — cały skarb cacany,
Bo to skarb przez małżonkę moją pochowany.

KRÓL.

Rozbić mur! —

(Ludzie rozwalają mur; jeden z księży wchodzi do alkowy.)

Cóż tam?

KSIĄDZ.

Jakiś człek bez zmysłów leży.

KRÓL.

Wynieść go tu —

WOJEWODA.

Lecz — królu, on do mnie należy!

SCENA VI.

Ciż sami. MAZEPA wyprowadzony z alkowy przez Księdza.

KRÓL.

Co to znaczy? mój własny paź — to pan Mazepa!

WOJEWODA.

Fortuna mi, widzisz królu, daje ślepa —
Twego pazia za trupa.

KRÓL.

Ocucić go winem.
Na Boga! — Wojewodo! z twoim panem synem
Odpowiecie przed sądem i przed trybunały!

WOJEWODA.

To mi więc, Mości Królu, jest krok nazbyt śmiały
Zabić cudzołożnika?

KRÓL.

Rzecz się ta wyświeci —
Gościnny mi się wcale zdaje dom Waszeci! —
Panie Mazepo — cóż się Waćpanu wydarza?

MAZEPA.

Mości Królu wychodzę z pod tego ołtarza
Jak Lazarus — rzecz całą jak była odsłonię,
A przynajmniej że honor tej Pani obronię,
Która niewinnie męża posądzenie znosi.
Potem paź kogo trzeba pokornie przeprosi,
A komu trzeba — mignie pod oczy żelazem.
Wyprawiony przez ciebie panie mój, z rozkazem;
Wziąwszy w zanadrze listy, groźby i odprawę,
Musiałem tu załatwić honorową sprawę —
W pojedynku zaś owym przez traf oczewisty
Przeciwnik mi otworzył szablą twoje listy,
A ja w otwarte, jak paź ciekawy —

KRÓL.

Mazepo!

MAZEPA.

Listy te były takie, żem się tu na ślepo
Wrócił do zamku. — Króla chcąc uniknąć twarzy,
Wkradłem się do ogrodu, nie spotkałem straży,
I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogo by w mojej biedzie wziąść za protektora —
Albowiem mnie to srogie groziło więzienie —
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pustego pokoju tej Pani. — W tem słyszę
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu Jejmości, o prezencji własnej,
Potem z trwogi do ciupy tej wpadam niejasnej
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina!
Z Wojewodzicem była to Wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić jak ryba z niewoda,
Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny Wojewoda!
Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mię za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze —
Lecz słucham — ona, Panie miłościwy, płacze!
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupce ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie nie ma! — Jakże tu wyjść było?
Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło?
Już myślałem że burzę przeczekam bez szwanku —
W tem Wojewoda ludzi zawołał z krużganku.
Przyszli — ja słucham — — włosy mi wstają na głowie,
Każe mię kamieniami zawalić w alkowie! —
Walą głazy — ja słucham — stosują do węgła —
Lecz jakże, było, Królu, wyjść? — Ona przysięgła!
Tej kobiecie by nigdy wtenczas nie wierzono —
Nie wyszedłem. — Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną.
Zamurowali! — Ciszę uczułem podziemną —
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone — zacząłem żałować
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować —

I zdjął mię strach — o głodzie pierwsza myśl nadbiegła,
Gdzie zajrzę — ciemność: czego się dotknę, to cegła.
I zdjął mię strach i strach mi był bratem do końca —
Nie wiem wiele tych godzin minęło bez słońca!
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści —
W tem słyszę — coś nademną jęczy, i szeleści —
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany —
Znalazłem — — to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu! Te skargi pisklęce,
Trzepiotanie się jego — gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą — że padłem bez ducha

KRÓL.

Byłbyś tam Waszeć zamarł jak w bursztynie mucha
Gdyby nie ja. — Nad czemże dumasz Wojewodo?
Nie widzimy aby to było z jaką szkodą
Waścinego honoru, że ten świszczypała
Zmartwychstał.

WOJEWODA.

Co?

KRÓL.

Ta rzecz się przez omyłkę stała.
Paź mówi prawdę, mógłbym pokazać te listy,
A zobaczyłbyś Waćpan że miał zamiar czysty:
Że pragnął owszem honor Waściny ocalić.

WOJEWODA.

Na Boga! — To mnie, Królu, na nic się nie żalić;
Być ukontentowanym — z hańbą zostać wiecznie —
Nie prawdaż?

KRÓL.

Ja tu hańby nie widzę —

WOJEWODA.

To grzecznie!
To miłościwy Panie dowód twojej łaski —
Więc ty hańby nie widzisz? Ja stawiam zatrzaski
Na wilka, a złowiłem wróbla i czyżyka;
Pokój chcę zamurować — i cudzołożnika
Zamurowałem. — Smutny to wypadek Panie!
A teraz niech się ze mną wola Boska stanie:
Ale ja tego pazia już mam i nie puszczę.

KRÓL.

Co? — i ty śmiesz? —

WOJEWODA.

Gdy jeleń wejdzie w moją puszczę —
To, mości Królu, jelen mój — ja dobrze strzelam,
Ja tu was teraz starą męką rozweselam.
Śmiejcie się! — i ty żono śmiej się — pókiś żywa —

KRÓL.

Cóż to za zemsta w starym twarda i straszliwa!

MAZEPA.

Chodzi mi o tę panię — co u Waszej Mości
Nie znajduje obrony, ani też litości. —
Cóż pocznie tu obelgom na zęby wydana? —
Oto miłościwego mi zaklinam Pana,
Aby temu, co powiem, chciał dodać powagi
Królewskiem przyzwoleniem. Oto jest miecz nagi,
Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa
Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczura dobywa —
Ja żądam sądu Boga!

KRÓL.

Zezwalamy z żalem.

WOJEWODA, dobywając szabli.

Chodź się bić —

KRÓL.

Ty sam starcze?

WOJEWODA.

Ja będę rywalem
Tego gacha, co broni niewiernicy sprosnej.
A jużby też był Pan Bóg bardzo nielitośny,
Gdybym ja go nie zabił.

ZBIGNIEW.

Ojcze, zdaj to na mnie!
Lecz jeżeli zginę — to wtenczas przynajmniej
Uwierz ty w jej niewinność. — Niechaj żyje błoga,
Krwią ludzką od potwarzy broniona przez Boga.
Przywrócisz mi — tu Boski cios nie może minąć —
sz mi? —

AMELJA, do Wojewody.

Nie pozwól mu iść — on chce zginąć.

WOJEWODA.

Precz! on zwycięży — a ty! — (Odpycha ją.) No, synu do szabli!
Zbigniewie! — ot mi teraz szepcą jakby djabli,
Że ty się pomścisz za mnie. Czy czujesz to w sobie?
Jeżeli nie, to zostań.

ZBIGNIEW.

Nie myślę o grobie —
To za wcześnie, za wcześnie. Cóż? Panie Mazepo —
Co się tak mamy rąbać i może na ślepo
Przy księżycu, albo li przy pochodni blasku,
Proponuję broń palną. Miejsce, w bliskim lasku —
Czekam na Pana —

MAZEPA.

Chodźmy —

ZBIGNIEW.

Aha! — Mości Panie!
Nim się tu z nami wola Pana Boga stanie:
Jako rycerz osoby, której cześci bronisz,
Warto że się jej kornie do kolan ukłonisz;
Że ciebie i obrończą broń pobłogosławi —

WOJEWODA.

Paź przed nią? —

ZBIGNIEW.

Jeśli winna, to pazia odprawi
Z błogosławieństwem zguby. — Bóg winnym nie sprzyja.

(Mazepa klęka przed Amelją, która stoi nieruchoma.)

WOJEWODA, do Amelji.

Słyszysz! Błogosławieństwo Wać pani zabija —
Błogosław go! — Cóż, martwa jak kamień, daj rękę!

AMELJA, wyrywając rękę Wojewodzie.

Czemu mnie Waćpan ciśniesz! —

(Błogosławiąc Mazepę.)

Na Chrystusa mękę,
Bądź pobłogosławiony. — A tamtem? a drugi?

WOJEWODA.

Tamtego błogosławił ojciec — Hej! niech sługi
Wyjdą w las z pochodniami — poświecić synowi! —

ZBIGNIEW.

Niech nikt nie idzie za mną.

WOJEWODA, do Zbigniewa.

Zamorduj! strach mrowi
Przenika mnie. — Zamorduj! mierz w serce głęboko!

(Zbigniew całuje ojca w rękę i daje znak Mazepie Wychodzą oba.)

SCENA VII.

(Ciż sami prócz Zbigniewa i Mazepy.)

KRÓL, do Wojewody.

Osłupiał mi coś Waszmość — w ziemię wlepił oko.
Pomyśl, jeszcze czas cofnąć tych szaleńców obu.

WOJEWODA.

Już nie czas — moja krzywda domaga się grobu. —
Już nie czas, Mości Królu! — Wszak tam winny padnie.
A mój syn — ot mi czoło ni trochę nie bladnie;
Mój syn przeciwko mojej cześci nie zawinił.
Niesprawiedliwość by to sam Pan Bóg uczynił,
Gdyby mój syn nie wrócił. — Cyt, proszę o ciszę —
Proszę — o wielką cichość —

(Chwila milczenia, słychać strzał pistoletu.)

KSIĄDZ.

To sąd Boga.

WOJEWODA.

Słyszę. —
To mój syn strzelił — drugi nie strzela. Nie strzeli —
Już mu się czoło śmierci okropnością bieli —
Już serce pękło — leży u stóp mego syna.
Bądź pochwalony Boże! — Twoja to przyczyna
Najświętsza Panno! Ciebie moje serce sławi!
Jakże się nad tym trupem mój syn długo bawi —
To dziwnie — strzał był tylko jeden, mego syna,
A po nim już ogromna ubiegła godzina —
musiał umrzeć. — Czemuż tu nie widać mego —

SCENA VIII.

(Ciż sami. MAZEPA wchodzi z pistoletem w ręku i staje przy królu.)

WOJEWODA.

Gdzie jest mój syn? gdzie syn mój? Gdzie mój syn? Dla czego
Wy tacy bladzi? — W imię przenajświętszej Panny.
Co to jest? — Pokaż piersi mi twoje? —

(Biegnie do Mazepy i rozdziera mu żupan na piersiach.)

Nie ranny!!!
Mój syn zabity! — Chłopiec mój zamordowany!!!

(Wali się u stóp króla twarzą do ziemi.)

KRÓL.

Nie ruszać go — nie mówić nic — bo takie rany
Same się muszą goić — i łzy mają swoje.

WOJEWODA, wstając.

Gdzie moje dziecko! ja chcę widzieć dziecko moje!

(Wychodzi.)

KRÓL.

Iść za nim —

(Jeden z księży wychodzi za Wojewodą.)

SCENA IX.

(Ciż sami, prócz Wojewody.)

KRÓL, do Mazepy.

Czy się wszysto odbyło z honorem —

MAZEPA.

Nie pytaj Najjaśniejszy Panie; on był wzorem
Szlachetności i wdzięku — śmierć miał bardzo smutną.
Zajmij się ty jej losem — patrz — blada jak płutno,
Posąg który się trzyma strętwieniem boleści —
Jej ducha anioł teraz podnosi i pieści —
A ona mu rozpaczy ciszą odpowiada!

KRÓL.

Patrzcie, powraca stary — wraca mara blada —
Nie zatrzymujcie — idzie obłąkany — puśćcie! —

SCENA X.

(Ciż sami. Wojewoda wraca, niosąc w ręku chustę zbroczoną.)

WOJEWODA.

Oto me łzy i syna mego krew na chuście.

AMELJA, z obłąkaniem postępuje ku niemu.

To dla mnie.

WOJEWODA, rzuca jej w twarz chustkę krwawą.

Masz ją w oczy.

AMELJA.

A! — A! —

(Pada na wznak omdlała.)

KRÓL.

To dzień sądny!

WOJEWODA.

Królu! proszę na pogrzeb — a będzie porządny —
A ty mi panie wszakże nie odmówisz, sądzę —
I ten paź także. — U wrót zasunąć wrzeciądze! —
I ten paź także. — Czarną wywiesić chorągiew —
Tokaju z beczek zaraz utoczyć do stągiew —
Będzie stypa —

KRÓL, na stronie.

On widzę mię tu więzi gwałtem.

WOJEWODA.

Dla oszczędności — grzebać będziemy ryczałtem.

AKT V.

SCENA I.

(Sala w zamku.)

WOJEWODA, CHMARA

WOJEWODA.

Czy syn już w trumnie?

CHMARA

W trumnie już panicz spoczywa.

WOJEWODA.

Czy moja żona jeszcze nie umarła?

CHMARA.

Żywa —

Ale już jej nie długo. —

WOJEWODA.

Teraz Panie Chmaro

Cokolwiek się tu stanie z moją głową starą,

Waćpan mię nie opuścisz?

CHMARA.

Przysięgam na krzyżu!

WOJEWODA.

Więc ty widziałeś wojsko kwarciane w pobliżu?

CHMARA.

Jadąc po trumnę, wojsko spotkałem i działa.

Tu szli —

WOJEWODA.

Stąd o dwie mile?

CHMARĄ.

O dwie.

WOJEWODA.

Bogu chwała!

Dosyć mam czasu. — Król chce wyjechać koniecznie —

Ja króla puszczę — lecz paź tu zostanie, wiecznie,

Choćby mi spadł łeb siwy. Idź — czekaj rozkazu!

(Chmara wychodzi.)

Proszę — nie zapłakałem jeszcze ani razu,

Tak mi ta zemsta wszystkie łzy w oczach wypiekła —

Lękam się tylko, by mi już z rąk nie uciekła!

SCENA II.

WOJEWODA, KRÓL, ubrany jak do podróży. MAZEPA — kilku pokojowych królewskich.

KRÓL.

Mój Wojewodo, z naszą by to chęcią było

Nad twojego chłopaka zapłakać mogiłą,

Bo to nam i pancerny tęgi wojak ubył —

Zaprawdę, że to smutna rzecz! on wczoraj tu był,

Śmiał się z nami, rozmawiał, dziś już gdzieś przed Bogiem,
A na nas tu spogląda z litością, i głogiem
Nazywa róże świata. To rzecz jest głęboka,
Kiedy tak nagle młodość nam schodzi z przed oka,
I wynosi swe wszystkie, za ten świat, nadzieje.
Dziwnie, że się i kiedy człowiek głośno śmieje,
Będąc na takim świecie — lecz róż robić z dolą!
Stary mój druhu, jak ci te rany przebolą,
Zapraszamy cię do nas, do stolicy, w gości.
Dalipan że mi smutno rzucać dom Waszmości!
Ale są interesa Rzeczy-pospolitej —
I te mię bardzo naglą.

WOJEWODA.

Pogrzeb nie odbyty,
A ty Panie wyjeżdżasz? —

KRÓL.

Wierzaj Wojewodo,
Że gdyby to nie było z wielką kraju szkodą —

WOJEWODA.

Ot — na co próżno gadać, Miłościwy Panie,
Ty wyjeżdżasz — lecz syna mego kat zostanie —

KRÓL.

Na Boga! Mości Panie, na co?

WOJEWODA.

By zdał sprawę.

KRÓL.

Cóż to? Czy Waszność sądną chcesz postawić ławę.
A niechże się coś Waszmość na Króla ogląda —
Czy Waszeć męki, czy Waść krwi człowieczej żąda?
Na Boga! — a to może gdy mi pryśniesz w oczy,
I Waćpana się głowa po trumnie potoczy.
Śmiałżebyś tutaj zrobić rokoszową próbę? —
Czy Waść myśli uwięzić królewską osobę?

WOJEWODA.

Król stąd wyruszy — ale bez pazia wyruszy.

KRÓL.

, czy śmiesz nas trzymać? — Waść się puszy?
ie śmie!

WOJEWODA.

Żadnej nie użyję siły;
Ale ci królu drogę zastąpią mogiły.

KRÓL.

Do szabel Mospanowie!

WOJEWODA.

Moja w pochwie leży.
Kazałem zaszpuntować gardła mych mozdzierzy.
Ja się nie oprę siłą — tylko w moim dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę.
Próg dla królewskiej nogi —

KRÓL.

Ba — gadzino dumna! —

(Wojewoda wychodzi do bocznego pokoju i wraca, niosąc na ramionach trumnę syna, którą we drzwiach stawia na poprzek.)

WOJEWODA.

Oto jest, Mości Królu, syna mego trumna!
Oto próg Mości Królu, świętty trup człowieka!
Teraz że, Najjaśniejszy Panie, ojciec czeka.
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie,
Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie —
Daj pazia, lub idź Panie —

KRÓL.

Odsuń tego trupa —

WOJEWODA.

O! teraz dobrze moja zamknięta chałupa? —
Cóż Panie paziu ze mną zostajesz? czy zgoda?
Ja Waćpana dzień jeden chcę mieć. Dzisiaj środa —
W piątek wypuszczę — żywcem wypuszczę — niech zginę.
Lecz cię żywego będę miał — choć przez godzinę —
Na matkę się Najświętszą klnę, że wyjdziesz żywy.
Ja tylko chcę mieć ciebie w rękach —

MAZEPA, na stronie.

O, straszliwy! —
W ręce mię chce wężowe owinąć jak w bluszcze.

WOJEWODA, do króla.

Przysięgam Panie, że ci go żywcem wypuszczę.

MAZEPA, do króla na boku.

Panie, zostaw mię — jedź. Twoje szyki blisko.

Przyjedziesz tu, działami otoczysz zamczysko,
Mnie się tu nic nie stanie. Król stracisz powagę —
Mam szczęśliwe przeczucie, będę miał odwagę,
Król wrócisz za godzinę —

KRÓL, namyśliwszy się do Wojewody.

O! starcze zacięty
Ja ci pazia zostawiam — lecz za jeden zdjęty
Włosek z niego — za jedną plameczkę na cześci
Ty mi odpowiesz głową!

WOJEWODA.

W tym domu boleści
Paziowi będzie dobrze —

KRÓL.

Zobaczym się, stary!

(Wojewoda trumnę bierze na ramiona: Król i pokojowce wychodzą.)

SCENA III.

WOJEWODA, MAZEPA, potem Chmara i słudzy w żałobie.

WOJEWODA.

Nie wiem czy do widzenia — tu szerokie mary
Ja może pójdę z synem — tu śmierć ludzi ściga —
O! patrzajcie jak człowiek krzyż Chrystusa dźwiga,
Zmorduje się i gotów powalić się trupem —

(Kładzie trumnę na środku sali.)

MAZEPA, na przodzie sceny sam z sobą gada. — Wojewoda zaś nad trumną stoi i daje rozkazy.

Zostałem się więc teraz królewskim okupem.
Stary zda się że nie dba — ani na mnie patrzy —
Lecz się w nim żółć gotuje strasznie, coraz bladszy —
Coś żuje jakby zemstę żuł —

WOJEWODA.

Hej! Panie Chmara

(Wchodzi Chmara i słudzy.)

Ustawić tu katafalk — trupów będzie para —

MAZEPA.

Zimno mi trochę —

WOJEWODA.

Rzędem postawić gromnice.

MAZEPA.

Wolałbym jaką prędką śmierć jak błyskawicę.

WOJEWODA.

Na drugiej trumnie także przybić moje herby! —

MAZEPA.

To nie dla mnie —

WOJEWODA, do Mazepy, uderzając go po ramieniu.

Mospanie!

MAZEPA.

Co?

WOJEWODA.

Czy liczysz szczerby
Na tym suficie?

MAZEPA.

Patrzę na sufit bez celu —

WOJEWODA.

Stary dom.

MAZEPA.

Jeszcze potrwa.

WOJEWODA.

Dłużej niż nas wielu.

MAZEPA.

Życie jest w ręku Boga.

WOJEWODA.

Waszmość mi pozwoli
Że zostawię samego — jest to dom niedoli —
Ot zostawiam Waćpana z nim.
(Pokazuje na trumnę syna, i do niej mowę obraca.)
A wstańże śpiochu!
Wstańże i baw. — Co, nigdy już? — nigdy! — Garść prochu!
Kilka desek — i wszystko! —

MAZEPA, na stronie.

Biedny stary!

WOJEWODA.

Proszę —
Zostań Waść z tym nudziarzem i baw się potrosze,
Jak można, aż powrócę.

MAZEPA.

Mam suplikę jedną
Do ciebie, Mości Panie —

WOJEWODA.

Co? — masz matkę biedną?
Którą żywisz? — ja dam jej dławiącego chleba
Jak Waść umrzesz —

MAZEPA.

Tu mówić otwarcie potrzeba.
Syn twój, Wielmożny Panie, nim skonał —

WOJEWODA.

Nim? — dalej —

MAZEPA.

Kilka mi prośb ostatnich zdał —

WOJEWODA.

Starcze! oszalej!
Syn go egzekutorem zrobił testamentu! —

MAZEPA.

Nie chcesz więc słuchać Panie, cierpliwie?

WOJEWODA.

Bez wstrętu.

MAZEPA.

Klnę się Bogiem, i śmiercią jak sądzę już bliską,
Że mam czyste zamiary. Te biedne chłopczysko
Polecił mi, bym widział się tu z matką panią.

WOJEWODA.

Ja ci ją przyszlę.

(Wychodzi.)

SCENA IV.

MAZEPA później AMELJA.

MAZEPA.

Boże! o jakże mię ranią
Słowa tego człowieka! — Próżno — cierpieć muszę.
Wartoby też i na śmierć przygotować duszę
I pomodlić się Pannie Najświętszej przy trumnie —

To potem czoło moje będę nosił dumnie
I będzie mi pomocą Przenajświętsza Trójca — —
(Wchodzi Amelja z rozpuszczonemi włosami biało ubrana.)
Otóż i ona. — Jaka ty blada?

AMELJA, dając mu znak aby się nie przybliżał.

Zabójca!

MAZEPA.

Pozwól mi się przybliżyć — biedna moja Pani!
Nie oddalaj mię ręką — jesteśmi związani
Łańcuchem tajemnicy, jak trzy cienie bratnie —
Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie. —
On ciebie kochał, Pani! —

AMELJA.

On!

MAZEPA.

Śmierć jego sama —
(Amelja pokazuje ze zgrozą na Mazepę.)
O nie! na czole mojem krwi nie leży plama —
Jam go nie zabił!
(Amelja postępuje krokiem ku niemu.)
Słuchaj! — Gdyśmy byli w lasku
Brzozowym — przy księżyca ujrzałem go blasku,
Bardzo smutnym i bladym. — Co? serce ci bije?
(Amelja daje znak ręką aby mówił dalej.)
On mi się rzucił pierwszy z uściskiem ną szyję,
I położywszy głowę mi na pierś bijącą,
Milczał długo — i rękę moją trzymał drżącą,
Niestety! w mojej ręce była broń nabita! —
Nagle — strzał usłyszałem! Patrzę — on się chwyta
Rękami za powietrze i ne wznak się wali —
Przybiegam — patrzę; mały sznureczek korali
Zbiegał mu po puklerzu i plamił stokrocie.
Otworzył oczy, całe w księżycowem złocie,
I rzekł — przebacz! ty byłeś rycerzem shańbionej,
Ja ginę z ręki przez nią pobłogosławionej!
Przebaczcie mi i razem pamiętajcie o mnie —
Potem zaczął pacierze mówić nieprzytomnie
I zamknął oczy pełne łez — mówiąc o tobie.
(Amelja zaczyna płakać.)

O płacz! o płacz go Pani! — ten, co leży w grobie,
Godzien jest teraz naszej zobopólnej cześci.
Ameljo! — oto jestem ci bratem boleści! —
Jeśli kiedy, ja biedny na dworze sierota —
Wszak nie masz braci? Jeśli więc biedna istota,
Dworskie pacholę, może być tobie pomocą?
Otom jest na kolanach.

AMELJA, kładąc ręce na głowie klęczącego pazia i nachylając się nad nim.

Niech ci drogę złocą
Matki Boskiej anieli. — Ja umierająca — —

SCENA V.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA, chwyta za rękę Amelję i odrzuca ją od pazia.

Co? w obec trupa?!

AMELJA.

Nieeh mię Waszmość nie odtrąca
Ja sama padnę — jestem otruta —

(Chwiejąc się idzie i klęka przy trumnie.)

WOJEWODA.

To dumnie!
A nie kładź się Waépani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz —

MAZEPA.

Okropność! — Starcze, daj! niech skona —

WOJEWODA.

Co? trupie ty!

SCENA VI.

Ciż sami. CHMARA potem GONIEC od Króla.

CHMARA.

Posłaniec króla —

WOJEWODA.

Śmierci wrona,
Niech wleci — ścierwa tutaj gotowe i świeże!

(Goniec wchodzi.)

GONIEC.

Król Jegomość, spotkawszy kwarciane żołnierze,
Jest przed zamkiem i każe ci otworzyć wrota!
O dworzanina się też upomina.

WOJEWODA.

Złota
Wolność szlachecka! — zamku nie dam. Niech król bierze. —
Co zaś do dworzanina: na szlacheckiej wierze
Król może poledz; pazia mu wypuszczę żywcem.
Ale król będzie dobrym, Mopanku, myśliwcem,
Jeśli go złowi

GONIEC.

Mości Panie, są armaty.

WOJEWODA.

Da się to słyszeć — idź precz!

(Goniec i Chmara odchodzą.)

SCENA VII.

(WOJEWODA, MAZEPA i AMELJA, umarła na trumnie.)

WOJEWODA.

Moje antenaty!
Cieszcie się — ja ostatni nie bez szlachetności
Światowi daję habdank.

MAZEPA, na stronie.

Mróz idzie przez kości —

WOJEWODA, zbliżając się to trupa Amelji

Cóż to? na trumnie! — czy to cudzołożne łoże?
Cóż to? Waćpani milczysz. — Co? ja ci otworzę
Piersi, i tam zobaczę twój strach. — Wstań obłudna!
Waćpaniś mi taka była zawsze czysta, schludna,
A teraz się nie lękasz popiołem powalać —
A wstańże Imość i precz!!

(Zrzuca ją z trumny.)

Jak się można skalać,
Dotknąwszy takiej rzeczy rękami — pfu! zgroza!

(Do Mazepy, który klęczy nad ciałem Amelji.)

Słuchaj mię tu urwany wisielcze z powroza!
Ty mi nie tykaj żony —

MAZEPA, wstając.

Starcze wściekły, siwy!
Żałowałem cię, sądząc żeś był nieszczęśliwy —
Teraz pogardzam!

WOJEWODA.

Mówisz paniczu rozumnie —
Poczekaj — pogadamy — usiądę na trumnie —
No — i cóż? —

MAZEPA.

Podłą duszę masz. — Jać się nie boję,

WOJEWODA.

Ha —

MAZEPA.

Mogę na proch strzaskać podłe ręce twoje —
Mogę cię tu otrętwić jak piorun co miga —
Ot — wstań z trumny, bo trup się tam, pod tobą, wzdryga!

WOJEWODA.

Trup mego syna! —

MAZEPA.

Syna twego trup się męczy,
On cię nie chce na sobie czuć — on w trumnie jęczy.
Wstań hańbicielu zmarłych i upadnij czołem —
Bo ja tu jestem dla nich mścicielem aniołem! —
Bo ja mam piorun w ustach i przez litość jedno,
Nie rzucam go na twoją głowę siwą, biedną!
Na twoją nędzną głowę —

WOJEWODA.

Waszmość jesteś głupi —
Mówisz, a tu w około słuchają cię trupi;
A waszmość jesteś trzecim.

MAZEPA.

Jam się zdał na Boga —
Lecz Waść mi Wojewodo do nóg, bo wieść sroga —
Bo jak powiem — Waćpana krew zabić gotowa —

WOJEWODA.

Mów —

MAZEPA.

A Waćpan precz z trumny!

WOJEWODA.

Mów! bo twoja głowa —

MAZEPA.

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoję.
Ot — kochało się razem do śmierci: tych dwoje!

WOJEWODA, porywając się z trumny.

Łżesz!

MAZEPA.

A ty wstałeś z trumny.

WOJEWODA.

Przenajświętsza Trójco!

MAZEPA.

I twój syn był dla żony twojej — samobójcą!

WOJEWODA.

Mój syn — czekaj! przypomnę czy prawda. — Ohydni! —

(Słychać huk dział; kilka kul wlatuje do sali.)

Idź Waćpan stąd — tu kule latają. — Bezwstydni!
Idź Waść! —

MAZEPA.

Powrócę z królem, Mości Wojewodo! —
Syn twój chce leżeć przy niej —

WOJEWODA.

Precz!

MAZEPA.

Z Waszmości zgodą
Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem

(Wychodzi. — Słychać że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiej walki.)

SCENA III.

WOJEWODA, sam.

Biorą go — wiążą. — To mi to zemsta nad wrogiem!
Sznury się w mięso wpiły — koń ciało roztarga —
Zimno mi. — Synu! ojciec Waszmości się szarga
We krwi, a ty się krwawej nie przelęknij mary —
Co to jest? — jak tu ciemno? — Jakie to poczwary
Całujące się głośno w ciemnym korytarzu? —
A wstańże z trumny — wstańże ohydny nędzarzu!

Powiedz że to nieprawda — każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się trumno! ja gotów przebaczyć,
Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec —
O trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja ojciec!
Jeżeli z ciebie wyjdą łzy nad moją nędzą! —
Dosyć oszukiwania, i dosyć żywota!

SCENA IX.

WOJEWODA, CHMARA, później KRÓL na czele zbrojnych.

CHMARA.

Król —

WOJEWODA.

Daj mi kindżał.

CHMARA.

Panie! ukorz się —

WOJEWODA.

Do błota?

(Król wchodzi.)

KRÓL.

Wojewodo! dasz głowę —

WOJEWODA, zabija się.

Ot masz — niech ją zwleką! —
Lecz każ mię od tych trupów pogrzebać — da — le — ko —

(Pada martwy.)

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

paczyć!
czyć,
c —

ych.

—
10 —

RARIES
Stanford University Libraries
3 6105 010 610 090
PG
7152
B5
2-3
Y LIBRARIES · STANFORD UNIVERSITY
ES · STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
Stanford University Libraries
Stanford, California
Return this book on or before date due.